

Frederick Forsyth
"Pięść Boga"
Tom I
Przełożył: ARKADIUSZ NAKONIECZNIK

Tytuł oryginału
THE FIST OF GOD
Autor ilustracji
KLAUDIUSZ MAJKOWSKI
Opracowanie graficzne
IMI design studio/prepress
Redaktor
MIRELLA REMUSZKO
Konsultacja arabistyczna
BARBARA WRONA
Copyright (c) Transworld Publishers Ltd. 1994
Polish edition published by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.
All rights reserved.
ISBN 83-7082-355-6
Warszawa 1994. Wydanie I
Druk: Łódzka Drukarnia Dziełowa

Wdowom i sierotom po żołnierzach Special Air Service, a także Sondi, bez której wsparcia byłoby mi o wiele trudniej.

Serdecznie dziękuję tym, którzy wiedzą, co naprawdę zdarzyło się nad Zatoką i zrelacjonowali mi wszystko. Tylko wy macie świadomość tego, kim naprawdę jesteście; niech tak już zostanie.

LISTA NAJWAŻNIEJSZYCH POSTACI

AMERYKANIE:

GEORGE BUSH - prezydent USA
JAMES BAKER - sekretarz stanu USA
COLIN POWELL - przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów
NORMAN
SCHWARZKOPF - generał, głównodowodzący koalicyjnych sił zbrojnych w Zatoce Perskiej
CHARLES "CHUCK"
HORNER - generał, dowódca koalicyjnych sił powietrznych w Zatoce Perskiej
BILL STEWART - zastępca dyrektora CIA ds. operacyjnych
CHIP BARBER - szef Wydziału Bliskowschodniego CIA
WILLI AM WEBSTER - dyrektor CIA
DON WALKER - pilot USAF
STEVE TURNER - dowódca eskadry myśliwców USAF
RANDY ROBERTS - pilot USAF, skrzydłowy Dona Walkera
TIM NATHANSON - pilot USAF, nawigator Dona Walkera
HARRY SINCLAIR - szef placówki CIA w Londynie
SAUL NATHANSON - bankier i filantrop
"TATA" LOMAX - emerytowany fizyk jądrowy

BRYTYJCZYCY:

MARGARET
THATCHER - premier Wielkiej Brytanii
JOHN MAJOR - premier Wielkiej Brytanii, następca Margaret Thatcher
SIR PETER DE LA
BILLIERE - generał, dowódca brytyjskich sił zbrojnych w Zatoce Perskiej
SIR COLIN McCOLL - szef SIS

SIR PAUL SPRUCE - przewodniczący Komitetu Meduza
J. P. LOVAT - generał brygady, dowódca SAS
BRUCE CRAIG - pułkownik, dowódca 22. pułku SAS
MIKE MARTIN - major SAS
"SPARKY" LOW - oficer SAS w Chafdzi
DR TERRY MARTIN - arabista
STEVE LAING - szef Sekcji Bliskowschodniej SIS
SIMON PAXMAN - pracownik komórki irackiej SIS
STUART HARRIS - brytyjski biznesmen w Bagdadzie
JULIAN GRAY - szef placówki SIS w Rijadzie
DR BRYANT - bakteriolog, członek Komitetu Meduza
DR R El N HART - specjalista od gazów bojowych, członek Komitetu Meduza
DR HIPWELL - specjalista od broni jądrowej, członek Komitetu Meduza
SEAN PLUMMER - kierownik Sekcji Arabskiej przy Kwaterze Głównej głównodowodzącego sił koalicyjnych
PHILIP CURZON - pilot RAF-u, dowódca 608. eskadry
LOFTY HARRISON - pilot RAF-u, 608. eskadra
SID BLAIR - jego nawigator
PETER JOHNS - pilot RAF-u, 608. eskadra
NICKYTYNE - jego nawigator
PETER STEPHENSON - SAS
BEN EASTMAN "\ - SAS
KEVIN NORTH - SAS
IZRAELCZYCY: *
JAAKOW "KOBI"
DROR - dyrektor Mosa d u
SAMI GERSZON - szef Wydziału Operacyjnego Mosadu
DAWID SZARON - szef sekcji irackiej Mosadu
BENIJAMIN
NATANJAHU - wiceminister spraw zagranicznych Izraela
ICCHAK SZAMIR - premier Izraela
GIDEON "GIDI"
BARZILAI - kierujący Operacją JOZUE w Wiedniu
prof. MOSZE HADARI - arabista z Uniwersytetu w Tel-Awiiwie
AWI HERCOG/KARIM
AZIZ - agent Mosadu w Wiedniu
AUSTRIACY:
WOLFGANG
GEMUTLICH - wiceprezes Banku Winklera
EDITH HARDENBERG - jego osobista sekretarka
IRAKIJCZYCY:
SADDAM HUSAJN - prezydent Iraku
IZZAT IBRAHIM - wiceprezydent
HUSAJN KAMIL - zięć Saddama, minister przemysłu i uzbrojenia
TAHA RAMADAN - premier
SADUN HAMMADI - wicepremier
TARIK AZIZ - minister spraw zagranicznych
ALI HASAN MADŻID - gubernator okupowanego Kuwejt
SADI TUMA ABBAS - generał, dowódca Gwardii Republikańskiej
ALI MUSU LI - generał, dowódca Korpusu Inżynierskiego
ABD ALLAH KADIRI - generał, dowódca wojsk pancernych
AMI RSADI - zastępca Husajna Kamila
HASAN RAHMANI - szef kontrwywiadu
DR ISMAIL UBAJDI - szef wywiadu
UMAR CHATIB - szef tajnej policji (AI-Aman al-Amm)
USMAN BADRI - pułkownik, Korpus Inżynierski
ABD AL-KARIM

BADRI - pułkownik, pilot myśliwca Irackich Sił Powietrznych
DŻAFAR AL-DŻAFAR - dyrektor irackiego programu badań jądrowych
PŁK SABAWI - szef tajnej policji w okupowanym Kuwejcie
DR SALAH SIDDIKI - inżynier jądrowy
POZOSTALI:
AHMAD AL-CHALIFA- kuwejcki kupiec
ABU FU'AD - przywódca kuwejckiego ruchu oporu
ASRAR KABANDI - bohaterka kuwejckiego ruchu oporu
* W nazwiskach i nazwach hebrajskich oraz arabskich zastosowano transkrypcję fonetyczną (przyj. red.)

Rozdział pierwszy

Człowiek, któremu pozostało dziesięć minut życia, wybuchnął śmiechem.

Rozbawiła go historia, jaką tego chłodnego, przesiąkniętego mżawką wieczoru 22 marca 1990 roku, w drodze z pracy do domu opowiedziała mu sekretarka Monique Jamin.

Bohaterką opowieści była ich wspólna znajoma z Europejskiej Agencji Badania Kosmosu, mieszkającej się przy rue de Stalle, kobieta uważana za prawdziwego wampa i pożeraczkę męskich serc, która okazała się lesbijką. Obdarzony niezbyt wyszukany poczuciem humoru mężczyzna uznał to za niezwykle zabawne. Za dziesięć siódma wyszli z budynku usytuowanego na przedmieściu Brukseli i wsiedli do renaulta 21 kombi. Monika zajęła miejsce za kierownicą. Kilka miesięcy wcześniej sprzedała volks-wagena szefa, gdyż jej pracodawca był tak marnym kierowcą, iż obawiała się, że pewnego dnia spowoduje wypadek i zginie.

Do apartamentu, który mieścił się w środkowej części, składającego się z trzech budynków, kompleksu mieszkalnego Cherideu, w pobliżu rue Francois Folie, jechało się zaledwie dziesięć minut, ale po drodze zatrzymali się przy sklepie z pieczywem, gdzie kupili bochenek jego ulubionego pain de campagne. Deszcz zacinał ostro z boku, niesiony silnym wiatrem. Kobieta i mężczyzna pochylili głowy, i dlatego nie zwrócili uwagi na samochód, który zatrzymał się kilkanaście metrów z tyłu.

Nic dziwnego, gdyż żadne z nich nie przeszło odpowiedniego przeszkolenia. Nie wyróżniające się niczym szczególnym auto ze smagłolicymi pasażerami podążało za uczonym już od kilku tygodni. Mężczyźni, siedzący w samochodzie, tylko obserwowali. Naukowiec nigdy nie okazał im zainteresowania, uczynił to natomiast ktoś inny. Oboje wyszli ze sklepu, pośpiesznie wsiedli do renaulta i ruszyli w dalszą drogę. Dziesięć po siódmej Monika zatrzymała wóz przed szklanymi drzwiami trójczłonowego zespołu budynków, stojącego jakieś piętnaście metrów od ulicy. Zapropionowała chlebodawcy, że odprowadzi go do mieszkania, ale odmówił. Domyśliła się natychmiast, że jest umówiony ze swoją przyjaciółką Heleną i nie chce dopuścić do spotkania obu kobiet. Na użytek damskiego personelu wymyślił bajeczkę, iż Helena jest tylko kumplem i dotrzymuje mu towarzysztwa podczas rozłąki z żoną, a uwielbiające go kobiety udawały, że w to wierzą.

Jak zwykle postawił kołnierz płaszcza, wysiadł z samochodu i zarzucił na ramię czarną płócienną torbę, z którą prawie się nie rozstawał. Ważyła ponad piętnaście kilogramów, zawierała zaś mnóstwo papierów: notatki, obliczenia i szkice. Uczony nie ufał sejfom, na przekór wszystkim wierząc, że szczegóły jego najnowszych projektów są znacznie bezpieczniejsze w torbie przewieszanej przez ramię.

Monika obserwowała, jak jej szef, z torbą zarzuconą na plecy i bochenkiem pod pachą, podchodzi do drzwi, zatrzymuje się, przez

chwilę szuka kluczy, a następnie otwiera drzwi i znika za szklaną taflą, która automatycznie zamknęła się za nim. Dopiero wtedy odjechała.

Mężczyzna mieszkał na piątym piętrze ośmiokondygnacyjnego budynku. Dwie windy były usytuowane z dala od wejścia, wokół nich zaś biegły spiralnie schody, na które z każdego piętra prowadziły drzwi przeciwpożarowe. W chwili, kiedy uczony wysiadł, w korytarzu automatycznie włączyły się przyćmione światła. Po-brzękając kluczami, skręcił w lewo, zaraz potem jeszcze raz w lewo, przeszedł kilka metrów po rdzawobrazowej wykładzinie, zatrzymał się przed drzwiami mieszkania i podniósł rękę, by włożyć klucz do zamka;

Zabójca czekał po drugiej stronie wind, za załomem słabo oświetlonego korytarza. Teraz, trzymając zawiniętą w plastikową torbę berettę kaliber 7,65, stanął tuż za nie spodziewającym się niczego naukowcem. Torba była po to, aby łuski nie rozsypywały się po podłodze.

Pięć strzałów oddanych w kark i tył głowy z odległości niespełna metra wystarczyło aż nadto. Duży, tęgi mężczyzna runął twarzą na drzwi, i zaraz potem osunął się na podłogę. Morderca nawet nie nachylił się, by sprawdzić, czy ofiara nie żyje; nie było potrzeby. Wielokrotnie ćwiczył ten sposób egzekucji na więźniach i za każdym razem uzyskiwał pożądany efekt. Zbiegł po schodach na parter, wyszedł z budynku tylnymi drzwiami, przemknął przez zadrzewione ogródki i wsiadł do czekającego samochodu. Godzinę później znalazł się w ambasadzie swojego kraju, a następnego dnia opuścił terytorium Belgii.

Helena zjawiła się pięć minut później. W pierwszej chwili pomyślała, że jej kochanek doznał ataku serca. Ogarnięta paniką, po krótkiej szarpaninie z zamkiem otworzyła drzwi i wezwała pogotowie, ale zaraz potem przypomniała sobie, że w tym samym budynku mieszka domowy lekarz jej przyjaciela, i jego także zawiadomiła. Pierwsze zjawiło się pogotowie.

Kiedy jeden z sanitariuszy spróbował odwrócić ciężkie ciało na wznak, poczuł, że dotyka czegoś mokrego, a kiedy spojrział na ręce, przekonał się, że są lepkie od krwi. Zdyszany lekarz nadbiegł zaraz potem. Stwierdził zgon. Na korytarz wyszła także jedyna - poza uczonym - lokatorka piątego piętra: starsza dama, miłośniczka muzyki poważnej, która słuchała zarejestrowanego na płycie koncertu i nie miała pojęcia o niczym, co działo się za solidnymi drzwiami jej mieszkania.

Człowiekiem leżącym w kałuży krwi był doktor Gerald Vincent Buli, nieobliczalny geniusz, cieszący się reputacją jednego z najlepszych na świecie konstruktorów broni artyleryjskiej, ostatnimi czasy pracujący dla Saddama Husajna.

Po zabójstwie doktora Bulla w całej Europie nastąpiła seria bardzo dziwnych wydarzeń. Najpierw belgijski kontrwywiad przyznał oficjalnie, że już od kilku miesięcy uczony był niemal codziennie śledzony przez poruszających się prywatnymi samochodami ludzi o smagłej cerze, najprawdopodobniej pochodzących ze wschodniej części basenu Morza Śródziemnego.

11 kwietnia brytyjscy celnicy odkryli na nabrzeżu portu w Middlesborough osiem wielkich stalowych rur, wykonanych z niezwykłą precyzją. Miały one na końcach potężne kryzy, z gwintowanymi otworami pod ogromne śruby, umożliwiające połączenie ośmiu fragmentów w jedną całość. Władze celne oznajmiły triumfalnie, że wbrew temu, co umieszczono na fakturach i listach przewozowych, nie była to przesyłka dla zakładów petrochemicznych. Rury stanowiły elementy lufy gigantycznego działa, zaprojektowanego przez Gerry'ego Bulla i przeznaczonego dla Iraku. W ten sposób zaczęła się przypominająca farsę afera superdziała, dzięki

której udało się ujawnić mnóstwo nielegalnych transakcji, podstępne metody działania kilku agencji wywiadowczych, ogrom biurokratycznej głupoty oraz wynikająca z nadmiernej wiary we własne siły bezradność polityków.

W ciągu kilku następnych tygodni w całej Europie zaczęły pojawiać się kolejne fragmenty superdziała. 23 kwietnia Turcy zatrzymali węgierską ciężarówkę wiozącą do Iraku potężną stalową rurę o niespotykanej długości. Tego samego dnia greccy celnicy odkryli na innej ciężarówce ładunek sprawiających podejrzenie wrażenie stalowych części i na kilkanaście dni zaaresztowali niefortunnego angielskiego kierowcę.

W maju Włosi przechwycili siedemdziesiąt pięć ton podobnych części, wyprodukowanych przez Societa delia Fucine, a kolejnych piętnaście ton skonfiskowali w hucie Fucine w pobliżu Rzymu. Były one wykonane ze stali tytanowej najwyższej jakości i miały zostać zamontowane w zamku działa, podobnie jak kilkanaście innych elementów, zarekwirowanych w magazynie w Brescii w północnych Włoszech.

Do zabawy włączyli się także Niemcy, którzy we Frankfurcie i Bremerhaven natrafili na inne elementy słynnego już na cały świat superdziała, dostarczone przez Mannesmann AG.

Gdy Buli bardzo starannie i sensownie rozdzielił zamówienia na części, z jakich miało się składać działo -jego ukochane dziecko. Dwie angielskie firmy, Waltera Somersa z Birmingham i Sheffield Forgemasters, wyprodukowały rury, tworzące lufę. W kwietniu 1990 roku przechwycono ostatnią dostawę: osiem sztuk z pięćdziesięciu dwóch, które, według projektu, potrzebne były do zbudowania dwóch lufo długości 156 metrów każda i niespotykanym kalibrze jednego metra. Te monstrualne działa mogły wystrzeliwać pociski wielkości budki telefonicznej.

Elementy zespołu wahadłowego i obrotowego pochodziły z Grecji, części oporopowrotnika - ze Szwajcarii i Włoch, klin zamkowy z Austrii i Niemiec, materiał miotający z Belgii. W sumie, w produkcję zaangażowane były firmy z ośmiu krajów, a żadna z nich nie wiedziała do końca, co właściwie wytwarza.

Prasa brukowa przeżywała wielkie dni, podobnie jak triumfujące władze celne oraz brytyjski wymiar sprawiedliwości, który z wielką gorliwością zajął się Bogu ducha winnymi dostawcami. W ogólnym entuzjazmie nikt nie zwrócił uwagi na to, że sieć została wyciągnięta za późno: przechwycone elementy miały wejść w skład superdział numer dwa, trzy i cztery.

W związku z zabójstwem Gerry'ego Bulla powstało kilka zaskakujących teorii. Zgodnie z przewidywaniami, część dziennikarzy wietrząca wszędzie podstępne knowania CIA obarczyła tę właśnie instytucję odpowiedzialnością za śmierć uczonego. Rzecz jasna, był to całkowity nonsens. Mimo że w przeszłości ludzie z Langley nie raz i nie dwa decydowali się na wyeliminowanie pewnych osób pracujących w tej samej branży - na przykład informatorów grożących szantażem, renegatów czy podwójnych agentów - to wyobrażenie, że podziemia kwatery głównej Agencji są zapchane pod sufit ciałami jej dawnych pracowników, jest nie tylko śmieszne, ale także całkowicie nieprawdziwe.

Tym bardziej że Gerry Buli nie miał nic wspólnego ze światem tajnych operacji. Był znanym naukowcem, znakomitym projektantem bardziej lub mniej konwencjonalnego uzbrojenia artyleryjskiego, obywatelem Stanów Zjednoczonych, przez wiele lat pracującym dla swojej ojczyzny i chętnie opowiadającym o swoich zamierzeniach przyjacielom z US Army. Gdyby CIA chciała likwidować każdego amerykańskiego projektanta broni lub uczonego, który przez jakiś czas pracował dla innego kraju, niekonie-

cznie zaliczającego się do przyjaciół USA, to co najmniej pięciuset takich dżentelmenów w obu Amerykach i Europie musiałoby pożegnać się z życiem.

Jednak najważniejszym argumentem przemawiającym przeciwko tej teorii jest ten, iż od co najmniej dziesięciu lat działalność Agencji podlega ścisłej kontroli, i to zarówno wewnętrznej jak i zewnętrznej. Żaden oficer wywiadu nie wyda rozkazu "zlikwidować", bez pisemnej zgody zwierzchników. Gdy chodzi o kogoś takiego jak Gerry Buli, zgoda musiałaby pochodzić od samego dyrektora CIA. Funkcję tę pełnił wówczas William Webster, trzymający się ściśle przepisów były sędzia z Teksasu. Zgodę na przeprowadzenie potajemnej egzekucji można by uzyskać od niego równie łatwo, jak uciec z więzienia Marion podkopem wykonanym za pomocą łyżeczki do herbaty.

Najczęściej wśród domniemyanych sprawców śmierci doktora Bulla wymieniano, rzecz jasna, izraelski Mosad. Niemal cała prasa oraz większość przyjaciół i rodziny uczonego doszła do tego samego wniosku. Buli pracował dla Iraku, Irak zaś był wrogiem Izraela. Dwa i dwa daje cztery. Problem polega jednak na tym, że jeśli w świecie pełnym cieni i krzywych lusterek coś mniej więcej równa się dwóm, po dodaniu do czegoś, co także w przybliżeniu jest dwójką, tylko czasem może dać cztery.

Mosad jest najmniejszą, najbardziej bezwzględna i najczęściej używającą broni agencją wywiadowczą na świecie. Odpowiada za wiele zabójstw, dokonanych przez członków jednego z trzech oddziałów kidon – słowo to znaczy po hebrajsku "bagnet". Ich członkowie wywodzą się z doborowych jednostek armii izraelskiej. Jednak nawet Mosad obowiązuje pewne zasady, choć w większości stanowią one coś w rodzaju dobrowolnego samoograniczenia. Fizyczna eliminacja przeciwnika dzieli się na dwie kategorie. Pierwsza z nich to "konieczność operacyjna", czyli niemożliwa do przewidzenia sytuacja, kiedy osoba stanowiąca zagrożenie dla operacji lub biorących w niej udział ludzi musi zostać błyskawicznie i na zawsze usunięta z drogi. W tym wypadku nadzorujący akcję katsa lub dowodzący oficer mają prawo samodzielnie podjąć taką decyzję, wiedząc, że mogą później liczyć na pełne poparcie ze strony zwierzchników w Tel-Awiiwie.

Drugą kategorię tworzą ci, którzy trafili na listę osób przeznaczonych do likwidacji. Istnieją tylko dwa jej egzemplarze: jeden spoczywa w prywatnym sejfie premiera, drugi w sejfie szefa Mosadu. Każdy nowy premier, zaraz po objęciu urzędu, ma obowiązek zapoznać się z listą. Zawiera ona od trzydziestu do osiemdziesięciu nazwisk. Tylko od niego zależy, czy zaakceptuje ją w całości, zezwalając w ten sposób Mosadowi na samodzielne podjęcie decyzji co do czasu i miejsca wykonania wyroku, czy też zażąda, by konsultowano się z nim przed każdą misją.

Najogólniej rzecz biorąc, tych, którzy znaleźli się na liście, można podzielić na trzy grupy. Pierwszą tworzą pozostający jeszcze przy życiu, czołowi hitlerowcy. Liczebność tej grupy zmniejsza się z każdym rokiem. Wiele lat temu Izrael przygotował i zrealizował skomplikowaną operację mającą na celu porwanie Adolfa Eichmanna, aby przeprowadzić pokazowy proces, natomiast inni naziści byli likwidowani bez żadnego rozgłosu. Do drugiej grupy zaliczają się niemal wszyscy działający obecnie terroryści, głównie Arabowie, zarówno ci którzy przelali już niejedną kroplę żydowskiej krwi, np. Ahmad Dżibril i Abu Nidal, jak i ci, którzy dopiero chcieliby to uczynić.

Trzecią grupę – do niej właśnie mógłby należeć Gerry Buli – tworzą ludzie pracujący dla wrogów Izraela, ale tylko ci, których praca stanowi, lub może stanowić, zagrożenie dla państwa żydowskiego oraz jego obywateli. Krótko mówiąc, każdy, kto znalazł się

na liście, ma ręce skalane krwią, albo też robi wszystko, by nastąpiło to w niedalekiej perspektywie.

Kiedy Mosad zwraca się z prośbą o zgodę na likwidację kogoś z listy, premier przekazuje sprawę sędziemu, którego nazwisko jest okryte tak głęboką tajemnicą, że zna je zaledwie kilku izraelskich prawników, a na pewno nikt ze zwyczajnych obywateli. Odbywa się "rozprawa". Uczestniczą w niej obrońca i prokurator. Jeżeli oskarżony zostanie uznany za winnego, prośba Mosadu wraca na biurko premiera, a ten składa na niej podpis. Resztą zajmuje się oddział kidonów... jeżeli tylko jest to możliwe.

Problem z teorią, według której Buli zginął z ręki agenta Mosadu, polegał na tym, że była zupełnie niespójna. To prawda, Buli pracował dla Saddama Husajna, ale projektował dla niego artylerię konwencjonalną (ta zaś nie stanowiła zagrożenia dla Izraela), rakiety (które w przyszłości ewentualnie stałyby się groźne), oraz gigantyczne działo (nie mogło służyć do ataku na Izrael). To samo jednak dotyczyło setek innych ludzi. Pięć lub sześć niemieckich firm wspomagało rozwój irackiego przemysłu chemicznego, wytwarzającego śmiertelne gazy bojowe; Saddam już kilka razy groził Izraelowi użyciem tej straszliwej broni. Niemcy i Brazylijczycy współpracowali przy budowie rakiet saad 16, Francuzi z kolei byli głównymi dostawcami technologii wykorzystywanych w pracach nad skonstruowaniem irackiej bomby atomowej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Tel-Awiw interesował się działalnością Bulla. Po jego śmierci wiele domysłów wzbudził fakt, że już od kilku miesięcy uczony skarżył się, iż podczas jego nieobecności w mieszkaniu składają wizyty jacyś nieproszeni goście. Nigdy nic nie zginęło, ale pozostawiono wyraźne ślady, które nie mogły ująć uwagi gospodarza: poprzestawiane szklanki, otwarte okno, kasetą wyjęta z magnetowidu i schowana do pudełka. Czy było to ostrzeżenie ze strony Mosadu? Owszem, ale sprawa nie stała się przez to ani odrobinę bardziej jasna.

Środki masowego przekazu bardzo szybko uznały, że śniadokórzy osobnicy, którzy jeździli za Bullem po całej Brukseli, to izraelscy zabójcy szukający sposobności do wykonania wyroku. Przeciwno tej teorii przemawia jednak fakt, iż agenci Mosadu nie wyglądają jak postaci z kreskówek i nie zachowują się tak jak one. Owszem, byli na miejscu, ale nikt ich nie widział - ani Buli, ani jego przyjaciele i rodzina, ani belgijska policja. Wyglądali i zachowywali się jak stuprocentowi Europejczycy, a w razie potrzeby mogli upodobnić się do Amerykanów lub do jakiegokolwiek innej nacji. To oni właśnie dali znać Belgom, że Bulla śledzi ktoś inny.

Poza tym, trudno byłoby znaleźć człowieka równie mało dyskretnego jak Gerry Buli. Uczony po prostu nie był w stanie oprzeć się pokusie mówienia. W przeszłości pracował już dla Izraela, polubił kraj i ludzi, miał wielu przyjaciół wśród izraelskich wojskowych i nie potrafił trzymać języka za zębami. Gdyby ktoś z jego znajomych rzucił od niechcenia: "Założę się, Gerry, że nigdy nie uda ci się wystrzelić ani jednego saada 16...", Buli natychmiast rozpocząłby trzygodzinny monolog, w którym przedstawiłby dokładnie co robi, jak dalece zaawansowane są prace, jakie pojawiły się problemy, w jaki sposób stara się je rozwiązać... jednym słowem, powiedziałby wszystko. Dla każdego wywiadu stanowił wręcz wymarzone źródło informacji. Zaledwie na tydzień przed śmiercią przyjął w swoim gabinecie dwóch izraelskich generałów, informując ich ze szczegółami o swojej bieżącej działalności. (Każde jego słowo zostało zarejestrowane przez magnetofony ukryte w teczkach oficerów.) Kto przy zdrowych zmysłach niszczyłby róg obfitości wypełniony po brzegi drogocennymi informacjami?

Nikt wreszcie nie wziął pod uwagę, że kiedy Mosad ma do czynienia z naukowcem lub biznesmenem, zawsze udziela mu ostatniego ostrzeżenia; zasada ta nie dotyczy jedynie terrorystów* Jest to prawdziwe, ustne ostrzeżenie, nie zaś ukradkowe przedstawianie szklanek lub otwieranie okien. Zwyczaj tego dochowano nawet wobec budowniczego pierwszego irackiego reaktora, doktora Jakji Al-Maszhada, egipskiego fizyka jądrowego, który 13 czerwca 1980 roku został zastrzelony w swoim pokoju w paryskim hotelu Meridien. Mówiący biegle po arabsku katsa zastukał do drzwi i w prostych słowach wyjaśnił uczonemu, co się stanie, jeśli ten nie zaprzestanie działalności. Egipcjanin zrewanżował się nieznanemu raczej mało elegancką sugestią, co powinien zrobić ze swoimi ostrzeżeniami. Nie było to rozsądne posunięcie. Wszystkie firmy ubezpieczeniowe stanowczo odradzają klientom udzielanie agentom Mosadu mało praktycznych, za to wywołujących niemiłe emocje rad. Dwie godziny później Jakja Al-Maszhad już nie żył, ale nikt nie mógł powiedzieć, że nie dano mu szansy. Rok po tym wydarzeniu izraelskie myśliwce zrównały z ziemią cały, wyposażony przez Francuzów, kompleks jądrowy Osirak Jeden i Dwa.

Buli był zupełnie inny: Amerykanin urodzony w Kanadzie, niezwykle towarzyski, łatwo nawiązujący kontakty, a w dodatku ogromny amator whisky. Izraelczycy mogli rozmawiać z nim jak z przyjacielem, i robili to niemal bez przerwy. Wystarczyło posłać któregoś z jego kolegów, żeby powiedział mu wprost, jak sprawy się mają: albo zerwie kontrakt, albo zajmie się sporządzaniem testamentu. Przykro mi, Gerry, po prostu tak właśnie wygląda sytuacja.

Bullowi z całą pewnością nie zależało na tym, by pośmiertnie zostać odznaczonym przez Kongres Medalem za Odwagę. Mało tego: zasygnalizował już wcześniej zarówno Izraelczykowi, jak i swojemu bliskiemu przyjacielowi George'owi Wongowi, że ma serdecznie dość Iraku. *

Gerald Vincent Buli urodził się w roku 1928 w North Bay w stanie Ontario. Był bardzo dobrym uczniem, gdyż od początku łaknął sukcesu i uznania w oczach świata. Skończył szkołę w wieku szesnastu lat, lecz nie miał wielkiego wyboru, jeśli chodzi o swoją dalszą karierę, bowiem jedyną uczelnią, która chciała przyjąć tak młodego studenta, okazał się Uniwersytet w Toronto, a dokładniej wydział inżynierski. Dopiero tam udowodnił, że jest nie tylko zdolny, ale wręcz błyskotliwy. Mając dwadzieścia dwa lata został najmłodszym doktorem w historii uczelni. Jego wyobraźnią zawładnęła najpierw inżynieria lotnicza, potem zaś balistyka, od której już tylko mały krok prowadził do artylerii.

Rozpoczął pracę w Kanadyjskim Instytucie Badawczo-Rozwojowym Uzbrojenia (CARDE), w Valcartier, wówczas jeszcze małym i spokojnym miasteczku koło Quebec. Na początku lat 50. człowiek spoglądał tęsknie nie tylko ku niebu, ale dalej, w kosmos; Zawrotną karierę robiło słowo "rakiety". Wtedy właśnie* okazało się, że Buli jest nie tylko błyskotliwy, ale można go nazwać po prostu geniuszem •- tryskającym pomysłami, łamiącym wszelkie konwencje geniuszem o nieposkromionej wyobraźni. Dziesięcioletni pobyt w CARDE zaowocował pomysłem, który aż do końca życia miał się stać jego obsesją.

Jak wszystkie znakomite pomysły wydawał się bardzo prosty. Otóż Buli uświadomił sobie, że dziewięć dziesiątych każdej ogromnej rakiety nośnej stanowi jej pierwszy stopień. Dopiero na samym szczycie znajdowały się stopnie drugi i trzeci, a jeszcze wyżej, na czubku kolosa, maleńki ładunek.

Gigantyczny pierwszy stopień miał przenieść raketę przez 150 kilometrów atmosfery, gdzie powietrze było najgęstsze. Powyżej

granicy 150 kilometrów wystarczała już bardzo niewielka energia, żeby umieścić satelitę na orbicie 400 do 500 kilometrów nad powierzchnią Ziemi. Po każdym starcie potężny i bardzo kosztowny pierwszy stopień ulegał zniszczeniu, by jako wypalona skorupa runąć z wysoka do oceanu.

Założmy, rozmyślał Buli, że drugi i trzeci stopień, oraz ładunek, zostałyby wystrzelone z ogromnego działa i w ten sposób pokonałyby te pierwsze 150 kilometrów? Teoretycznie było to nie tylko możliwe, ale także znacznie tańsze i łatwiejsze, a w dodatku działo można by wykorzystywać wiele razy.

Starał się zainteresować swoimi pomysłami ludzi wpływowych i zamożnych, lecz pierwsze starcie z politykami i biznesmenami zakończyło się porażką, przede wszystkim ze względu na jego osobowość. Nienawidził ich, oni zaś w pełni odwzajemniali to uczucie.

W roku 1961 wreszcie dopisało mu szczęście. Jego projektem zainteresował się najpierw Uniwersytet McGilla - ponieważ władze uczelni zwietryły szansę zdobycia rozgłosu - a zaraz potem Armia Stanów Zjednoczonych, która jednak kierowała się zupełnie innymi pobudkami: od niepamiętnych czasów hołubiąca amerykańską artylerię, toczyła zacięty spór z Siłami Powietrznymi, które pragnęły przejąć kontrolę nad wszystkimi raketami oraz innymi rodzajami broni zdolnymi osiągać pułap ponad 100 kilometrów. Dzięki połączonym funduszom obu sponsorów Buli zdołał stworzyć na Barbados niewielki ośrodek badawczy. Armia dała mu wycofane z eksploatacji działo kalibru 470 mm (obecnie największy kaliber na świecie), zapasową lufę, prosty radar, dźwig oraz kilka ciężarówek, Uniwersytet McGilla wyposażył natomiast warsztaty. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał włączyć się do rywalizacji o mistrzostwo świata w wyścigach samochodowych, za całe zaplecze techniczne mając blaszany garaż, ale Buli mimo wszystko zdołał dopiąć celu i rozpoczął karierę wynalazcy sypiącego jak z rękawa nowymi, znakomitymi rozwiązaniami. Miał wtedy trzydzieści trzy lata, był nieśmiały, roztargniony, pełen werwy twórczej i nie dbał o wygląd - krótko mówiąc, geniusz w każdym calu.

Swój ośrodek na Barbados nazwał Centrum Badawczym Wielkich Wysokości (HARP). Stare działo błyskawicznie przewieziono na miejsce i Buli zaczął eksperymenty z pociskami, które nazywał "jerzykami", gdyż wizerunek tego właśnie ptaka znajduje się w godle Uniwersytetu McGilla.

Buli pragnął wynieść ładunek na orbitę taniej i szybciej niż ktokolwiek inny. Zdawał sobie doskonale sprawę, że żaden człowiek nie przeżyłby wystrzelenia z armaty, ale słusznie przewidywał, iż w przyszłości dziewięćdziesiąt procent zadań będą realizować w kosmosie nie ludzie, tylko maszyny. Jednak Ameryka pod rządami Kennedy'ego starała się doścignąć Rosjan, poświęcając niemal całą uwagę znacznie bardziej spektakularnemu, choć w dalszej perspektywie raczej bezcelowemu, zadaniu umieszczenia na orbicie okołoziemskiej myszy, psów, małp, a wreszcie człowieka. Tymczasem na Barbados Buli toczył samotną walkę o wysokość za pomocą pomocy swojego działa i "jerzyków". W roku 1964 posłał jeden z nich na 92 kilometry, po czym wydłużył lufę o dodatkowe 16 metrów (kosztowało to zaledwie 41 000 dolarów) i wreszcie osiągnął magiczną granicę 150 kilometrów, dostarczając tam ładunek 180 kilogramów.

Rozwiązywał problemy na bieżąco, w miarę jak się pojawiały. Jednym z poważniejszych był materiał miotający. W małej armacie proch w ciągu mikrosekundy zamienia się w gaz, wypychając pocisk z lufy jednym uderzeniem, ale przy tak długiej, 36-metrowej lufie należało zastosować inną, wolniej spalającą się substancję.

Buli potrzebował materiału, który przepchnąłby pocisk przez lufę nie krótkim pchnięciem, lecz długim, posuwistym ruchem, nadając mu stopniowo coraz większą prędkość. Potrzebował... więc go wynalazł.

Wiedział również, że czułe instrumenty i urządzenia nie wytrzymają przeciążenia sięgającego 10 000 g, jakim poddawany jest pocisk podczas wystrzału, toteż skonstruował układ amortyzujący, który pozwalał na zredukowanie tego przeciążenia do 200 g. Trzecim problemem stał się odrzut. Przy dużym ładunku i znacznej masie pocisku energia odrzutu musiała być ogromna. Z tym problemem Buli poradził sobie dzięki ciekawemu układowi sprężyn i zaworów.

W roku 1966 dawni przeciwnicy Bulla z Departamentu Obrony wreszcie zdołali przekonać ministra, by wstrzymał finansowanie badań. Buli protestował, twierdząc, że jest w stanie posłać na orbitę zestaw instrumentów badawczych nieporównywalnie taniej, niż czynili to fachowcy z Przylądka Kennedy'ego, ale bez rezultatu. W trosce o swoje interesy Armia USA przeniosła Bulla z Barbados do Yumy w stanie Arizona.

Tam właśnie w listopadzie tego samego roku wystrzelił ładunek na 180 kilometrów w górę, ustanawiając rekord, którego nikt nie pobił przez dwadzieścia pięć lat. Jednak w roku 1967 z dalszego finansowania badań wycofał się także Uniwersytet McGilla, wkrótce potem zaś w jego ślady poszła US Army. Projekt HARP przestał istnieć. Natomiast Buli, już tylko jako konsultant, zamieszkał w posiadłości w północnej części stanu Vermont, blisko granicy z ojczyzną Kanadą.

Do projektu HARP życie dopisało interesujące postscriptum. Na początku lat 90 wyniesienie kilograma ładunku na orbitę okołoziemską na pokładzie promu kosmicznego kosztowało dziesięć tysięcy dolarów, podczas gdy Buli wiedział, że mógłby zrobić to samo za niespełna sześćset dolarów. W roku 1988 w Laboratorium Narodowym im. Lawrence Livermore'a w Kalifornii rozpoczęto prace projektowe nad ogromnym działem, jednak o kalibrze zaledwie 120 mm i lufie długości 50 metrów. Z nadzieją, że kosztem setek milionów dolarów uda się skonstruować znacznie większe działo, zdolne wystrzeliwać ładunki w przestrzeń kosmiczną. Po pewnym czasie komórka zajmująca się tym projektem usamodzielniała się i otrzymała nazwę Centrum Badawcze Superwielkich Wysokości...

Gerry Buli przez dziesięć lat mieszkał w swej posiadłości przy granicy. Ostatecznie zrezygnował z nie spełnionego marzenia o wielkim działem, które wystrzeliwałoby pociski w kosmos, i skoncentrował się na przynoszących znacznie większe profity badaniach dotyczących artylerii konwencjonalnej.

Od razu postanowił zmierzyć się z największym problemem: w wielu armiach świata podstawowym elementem uzbrojenia artyleryjskiego jest działo połowe kalibru 155 mm. Buli doskonale wiedział, że podczas wymiany ognia przewagę uzyskuje ten, czyje armaty mają większą donośność, gdyż może zniszczyć przeciwnika, samemu pozostając poza zasięgiem jego artylerii. W związku z tym zaczął od zwiększenia donośności i celności standardowego działka kalibru 155 mm. Wielu przed nim próbowało to uczynić, jednak nikomu się nie udało. Buli potrzebował czterech lat, żeby osiągnąć sukces.

Skonstruowane przez niego pociski osiągały podczas próbnych strzelań o połowę większą odległość i były znacznie bardziej celne niż pociski stanowiące standardowe uzbrojenie NATO, po eksplozji zaś rozpadały się na 4700 odłamków, podczas gdy tamte na 1350. Jednak Pakt Północnoatlantycki nie okazał najmniejszego zainteresowania pracami Bulla - na całe szczęście Związek Radziecki

także je zignorował.

Niezrażony Buli dalej parł naprzód, konstruuując nowy, ulepszony pocisk przeciwpancerny o zwiększonym zasięgu. NATO w dalszym ciągu wykazywało całkowitą obojętność, trwając przy swoich tradycyjnych dostawcach i amunicji starego typu.

Inne kraje, w przeciwieństwie do supermocarstw, nie zasypiały* gruszek w popiele. Do Highwater w stanie Vermont jedna za drugą przybywały wojskowe delegacje z całego świata. Widywano tam mundury armii izraelskiej (wtedy właśnie utrwały się więzy przyjaźni zawartych jeszcze na Barbados), egipskiej, wenezuelskiej, chilijskiej oraz irańskiej. Buli udzielał również chętnie konsultacji uczonym z Wielkiej Brytanii, Holandii, Włoch, Kanady, a także USA, którzy (w przeciwieństwie do Pentagonu), z ogromnym podziwem zapoznawali się z jego osiągnięciami.

W roku 1972 Buli bez rozgłosu otrzymał obywatelstwo Stanów Zjednoczonych, a kilka miesięcy później rozpoczął prace nad działem kalibru 155 mm. Po dwóch latach dokonał kolejnego przełomu, gdyż odkrył, że po to, by armata miała najlepsze parametry, długość jej lufy powinna być czterdzieści pięć razy większa od jej kalibru. Udoskonalona wersja działa polowego 155 mm otrzymała nazwę GC-45. Zmodyfikowana armata, strzelająca nowymi pociskami o zwiększonym zasięgu, miała o wiele większą skuteczność niż jej odpowiedniki znajdujące się w arsenalach państw komunistycznych. Jeżeli jednak Buli oczekiwał natychmiastowych kontraktów, to spotkało go srogie rozczarowanie: Pentagon uparcie popierał własne artyleryjskie lobby oraz rozwijał badania nad amunicją raketową, ośmiokrotnie droższą od pocisków Bulla, za to o identycznych parametrach technicznych.

Upadek geniusza zaczął się dość niewinnie, mianowicie od zaaranżowanej przez CIA wizyty w Republice Południowej Afryki, gdzie miał ulepszyć broń artyleryjską używaną w walce z okupującymi Angolę Kubańczykami.

Naiwność polityczna Bulla nie miała sobie równych. Poleciał do RPA, przekonał się, że bardzo lubi Afrykanerów i chętnie nawiązał z nimi współpracę. Fakt, że Republika Południowej Afryki była powszechnie potępiana za politykę segregacji rasowej, nie zmienił jego decyzji. Bez wahania pomógł unowocześnić południowoafrykańską artylerię i tamtejsza armia z pewnością w znacznej mierze właśnie Bullowi zawdzięczała, że bez trudu udało się jej unicestwić sowiecką artylerię i zmusić do odwrotu rosyjsko-kubański korpus ekspedycyjny.

Po powrocie do Ameryki Buli w dalszym ciągu sprzedawał skonstruowane przez siebie pociski każdemu, kto chciał za nie zapłacić. Jednak wkrótce potem do władzy doszedł prezydent Jimmy Carter, najważniejszym hasłem stała się "polityczna uczciwość", naukowiec zaś został aresztowany pod zarzutem dostarczania broni państwu znajdującym się na czarnej liście rządu Stanów Zjednoczonych. CIA natychmiast zapomniała, że kiedykolwiek miała z nim do czynienia. Przekonano go, że najlepiej zrobi, jeśli nie ujawni żadnych szczegółów, tylko od razu przyzna się do winy. Miała to być zwykła formalność: dostanie lekkiego klapsa, a zaraz potem cała sprawa przycichnie.

Jednak 16 czerwca 1980 roku sąd skazał go na rok więzienia i grzywnę 105 000 dolarów. Buli odsiedział cztery miesiące i siedemnaście dni w Allenwood w Pensylwanii, ale nie to wydawało mu się najgorsze.

Najbardziej zabolalo go powszechne potępienie, z jakim się spotkał, oraz fakt, że został oszukany. Jak mogli mu to zrobić? Przecież pomagał Ameryce jak tylko potrafił, przyjął obywatelstwo, w 1976 bez słowa sprzeciwu zastosował się do prośby CIA. Kiedy

przebywał w więzieniu, jego firma zbankrutowała. Buli był zrujnowany.

Po wyjściu z Allenwood opuścił na zawsze kontynent północno-amerykański i przeniósł się do Brukseli, gdzie zaczął wszystko od początku w maleńkim, jednopokojowym mieszkanku z wnęką kuchenną. Jego przyjaciele zgodnie twierdzili, że po wyroku zmienił się i nigdy już nie był taki jak przedtem; nigdy nie wybaczył CIA, nigdy nie wybaczył rządowi Stanów Zjednoczonych, a mimo to przez wiele lat starał się doprowadzić do powtórnego rozpatrzenia sprawy i rehabilitacji.

Ponownie został konsultantem i natychmiast przyjął ofertę, którą złożono mu jeszcze przed aresztowaniem - podjął pracę nad modernizacją chińskiej artylerii. Aż do połowy lat osiemdziesiątych działał niemal wyłącznie na zlecenie Pekinu, wprowadzając rozwiązania, które zastosował po raz pierwszy w dziale polowym GC-45 (stanowiły one teraz własność firmy Voest-Alpine z Austrii, która kupiła wszystkie patenty za dwa miliony dolarów). Buli zupełnie nie miał głowy do interesów; gdyby miał, bez trudu zostałby multimilionerem.

Kiedy działał w Pekinie, wydarzyło się sporo rzeczy. Inżynierowie z RPA jeszcze bardziej udoskonaili jego rozwiązania zastosowane w GC-45 i stworzyli własne działo polowe G-5 oraz samobieżne, ochrzczone kryptonimem G-6. Oba miały zasięg ponad czterdziestu kilometrów. Republika Południowej Afryki sprzedawała je potem na całym świecie, jednak Buli nie dostał z tego ani centa.

Wśród nabywców nowych dział znalazł się niejaki Saddam Husajn z Iraku. To właśnie ta broń, podczas trwającej osiem lat wojny irańsko-irackiej, pozwoliła wreszcie powstrzymać napływające jedna za drugą fale fanatyków, a następnie walnie przyczyniła się do wielkiego zwycięstwa na mokradłach Al-Fau. Saddam Husajn wprowadził jeszcze jedną, dość istotną zmianę: umieścił w pociskach gaz bojowy.

W roku 1987 Buli dowiedział się, że USA będą jednak kontynuować badania nad wystrzeliwaniem pocisków na orbitę okołoziemską, ale bez jego udziału. Tej samej zimy odebrał dziwny telefon z ambasady irackiej w Bonn. Czy doktor Buli zechciałby przybyć do Bagdadu na zaproszenie rządu Republiki Iraku? Doktor Buli nie miał pojęcia o tym, że w połowie lat 80. rząd Republiki Iraku wiedział o przygotowanej i przeprowadzonej przez Amerykanów Operacji Tampon, która miała na celu odcięcie wszelkich dostaw broni dla Iranu. Była to reakcja na masakrę, jakiej fanatycy Hezbollah dokonali w koszarach marines w Bejrucie. Największe korzyści dzięki Operacji Tampon odniósł właśnie Irak, ale władze w Bagdadzie całkiem słusznie doszły do wniosku, że pewnego dnia ich państwo również może się stać obiektem takich samych sankcji. Od tej pory zawsze, kiedy było to możliwe, starało się importować nie tylko broń, ale także technologię potrzebną do jej wytworzenia. Buli, jako znakomity projektant uzbrojenia, przedstawiał dla Bagdadu dużą wartość.

Misję rekrutacyjną miał przeprowadzić Amir Sadi, człowiek numer dwa w Ministerstwie Przemysłu i Uzbrojenia. Kiedy w roku 1988 Buli przybył do Bagdadu, Amir Sadi, kosmopolityczny dyplomata i naukowiec władający biegle angielskim, francuskim i niemieckim, omotał go z podziwu godnym wdziękiem.

Wyjaśnił uczonemu, że Irak potrzebuje jego pomocy, aby zrealizować marzenie o umieszczeniu na orbicie własnych satelitów. Żeby to osiągnąć, trzeba dysponować odpowiednią rakieta nośną. Egipczy i brazylijscy specjaliści uważali, że pierwszy stopień takiej rakiety może tworzyć pięć połączonych rakiet bojowych typu Scud, których 900 sztuk Irak nabył od Związku Radzieckiego, ale

realizacja projektu napotykała liczne przeszkody. Jedną z głównych był brak superkomputerów. Czy Buli zechciałby pomóc?

Buli uwielbiał problemy; ich pokonywanie nadawało życiu uczonemu sens. On także nie miał dostępu do superkomputera, ale stanowił jego dwunożny odpowiednik, a poza tym, jeżeli Irak naprawdę chce, jako pierwszearabskie państwo, umieścić na orbicie własnego satelitę, to istnieje inny sposób osiągnięcia tego celu, znacznie tańszy, łatwiejszy, a co najważniejsze, szybszy. Doprawdy? – zdumiał się Irakijczyk. Czy zechce mi pan o tym opowiedzieć? I Buli opowiedział.

Za maksimum trzy miliony dolarów mógłby w ciągu pięciu lat zbudować odpowiednie działo. Amerykanie, którzy przez cały czas prowadzili badania w laboratorium Livermore'a, zostaliby daleko z tyłu. Arabowie odnieśliby ogromny sukces. Doktor Sadi promieniał zadowoleniem. Obiecał, że przedstawi ten pomysł rządowi i gorąco go poprze, a czy tymczasem doktor Buli zechciałby przyjrzeć się irackiej artylerii?

Na zakończenie jednodniowej wizyty Buli zgodził się rozwiązać problem połączenia pięciu scudów w taki sposób, aby utworzyły pierwszy stopień interkontynentalnej rakiety, zaprojektować dwie nowe armaty dla armii lądowej, a także złożyć formalną ofertę podjęcia prac nad skonstruowaniem ogromnego super działa. Podobnie jak niegdyś w Afryce Południowej, nie przywiązywał najmniejszej wagi do tego, komu ma służyć. Przyjaciele ostrzegali go, że Saddam Husajn jest chyba najbardziej bezwzględny oprawca na całym Bliskim Wschodzie, ale w roku 1988 setki powszechnie szanowanych firm oraz dziesiątki rządów bez oporów prowadziło interesy z Irakiem.

Przynętą dla Bulla było ukochane działo, owoc jego umysłu. Kiedy je wreszcie zbuduje, nic nie stanie na przeszkodzie, aby mógł dołączyć do panteonu najświetniejszych umysłów ludzkości. W marcu 1988 roku Amir Sadi wysłał do Brukseli dyplomata, który miał za zadanie skontaktować się z Bullem. Owszem, uczony poczynił już pewne postępy w pracy nad pierwszym stopniem irackiej rakiety. Chciał je przedstawić przy okazji podpisywania kontraktu z rządem w Bagdadzie.

Kontrakt podpisano. Irak uznał, że trzy miliony dolarów na konstrukcję superdziała to śmiesznie mała kwota i zwiększył budżet przedsięwzięcia do dziesięciu milionów, ale w zamian zażyczył sobie szybszego tempa.

Szybkie tempo w wersji Bulla okazało się wręcz oszałamiające. W ciągu zaledwie miesiąca skompletował zespół najlepszych, samodzielnych pracowników naukowych, jakich mógł znaleźć. Kierownikiem grupy pracującej w Iraku został brytyjski inżynier Christopher Cowley. Buli nadał programowi raketowemu kryptonim Projekt Ptak, natomiast budowę superdziała nazwano Projektem Babilon.

Założenia techniczne przygotowano już w maju. Miała to być niesamowita machina: kaliber 1000 milimetrów, lufa długości 180 metrów, masa 1665 ton – dwa razy większa od kolumny Nelsona w Londynie, mniej więcej wysokości Pomnika Waszyngtona. Do tego jeszcze cztery hamulce odrzutu w postaci cylindrów o wadze sześćdziesięciu ton każdy, dwa siedmiotonowe mechanizmy równoważące i 182-tonowy zamek.

Stal musiała być najwyższej jakości, aby wytrzymać ciśnienie wewnętrzne rzędu 20000 kg/cm², o wytrzymałości na rozciąganie sięgającej 1250 MPa.

Buli poinformował także Bagdad, iż najpierw musi wykonać mniejszy prototyp, mini-Babilon kalibru 350 mm, o masie tylko 113 ton, niezbędny do testowania stożków ochronnych nowego typu, przydatnych także w pracach nad raketami. Irakijczycy nie tylko

nie mieli nic przeciwko temu, ale nawet zdawali się przejawiać wzmożone zainteresowanie owymi stożkami.

Znaczenie tego faktu albo umknęło wówczas uwagi Gerry'ego Bulla, albo uczony stłumił w sobie niepokój, widząc wreszcie realną szansę urzeczywistnienia swego długoletniego marzenia. Stożek taki ma chronić ładunek, niesiony przez pocisk lub raketę, przed uszkodzeniem wywołanym wysoką temperaturą, jaka powstaje w wyniku tarcia zewnętrznych powłok o atmosferę, kiedy pocisk przedziera się przez warstwy coraz bardziej gęstego powietrza. Jednak ładunki wystrzelwane na orbitę mają już tam pozostać i nie grozi im ponowny kontakt z ziemską atmosferą...

Pod koniec maja 1988 Christopher Cowley złożył u Waltera Somersa z Birmingham pierwsze zamówienie na stalowe rury, z których miała powstać lufa mini-Babilonu. Jednocześnie wiele firm w różnych częściach Europy otrzymało inne, nieraz bardzo dziwne zamówienia.

Tempo pracy Bulla było wręcz niewiarygodne. W ciągu dwóch miesięcy osiągnął tyle, że inni, by tego dokonać, potrzebowaliby dwóch lat. U schyłku roku 1988 miał już gotowe dwa nowe działa dla armii lądowej Iraku - oba samobieżne. Pod względem zasięgu i celności zdecydowanie górowały nad swymi odpowiednikami wchodzącymi w skład uzbrojenia Iranu, Turcji, Jordanii i Arabii Saudyjskiej, których armie kupowały sprzęt w krajach NATO i Ameryce.

Buli zdołał także uporać się z problemami, jakich nastręczało utworzenie z pięciu scudów pierwszego stopnia potężnej rakiety - nazwano ją Al-Ubajd, czyli Wyznawca. Przekonał się, że Irakijczycy i Brazylijczycy opierali się na fałszywych danych uzyskanych w wadliwie działającym tunelu aerodynamicznym. Usunawszy te błędy przekazał im wyniki swoich obliczeń, po czym skoncentrował się na zagadnieniu, które najbardziej go interesowało.

W maju 1989 roku większość liczących się producentów uzbrojenia, a także dziennikarze ze wszystkich ważniejszych gazet świata oraz rządowi obserwatorzy i agenci różnych wywiadów, spotkali się na targach broni w Bagdadzie. Spore zainteresowanie wzbudziły wówczas makiety dwóch wielkich dział. W grudniu po raz pierwszy wystartował Al-Ubajd; iracka prasa zareagowała na to wydarzenie entuzjastyczną wrzawą, zachodni specjaliści zaś przesyconym niepokojem niedowierzaniem.

Filmowana ze wszystkich stron przez telewizyjne kamery rakietą wzniosła się dostojnie w powietrze w bazie Al-Anbar. Trzy dni później Waszyngton przyznał, że ten trzystopniowy kolos rzeczywiście jest w stanie umieścić na orbicie okołoziemskiej sporego satelitę. Dla specjalistów oznaczało to coś jeszcze: że Al-Ubajd może w razie potrzeby posłużyć jako międzykontynentalny pocisk balistyczny. Zachodnie agencje wywiadowcze ocknęły się nagle z drzemki, by stwierdzić ze zdumieniem, że nie jest prawdą, jakoby Saddam Husajn nie stanowił żadnego zagrożenia. Trzy najważniejsze z nich, to znaczy amerykańska CIA, brytyjska SIS oraz izraelski Mosad, doszły do wniosku, że Projekt Babilon jest tylko nieszkodliwym dziwactwem, prawdziwe zaś niebezpieczeństwo może grozić ze strony rakiety. Wszystkie trzy popełniły błąd: to Al-Ubajd okazał się zupełnie bezużyteczny.

Buli wiedział dlaczego, i nie omieszkał powiedzieć o tym Izraelczykom. Al-Ubajd wzbił się na wysokość 12000 metrów. Pierwszy stopień nie oddzielił się od drugiego, trzeci zaś w ogóle nie istniał. Buli miał go dopiero zdobyć; w lutym wybierał się do Pekinu, aby przekonać Chińczyków, by zechcieli sprzedać plany trzeciego stopnia rakiety typu Wielki Marsz.

Poleciał tam, lecz spotkał się z grzeczną, niemniej jednak

stanowczą odmową. Przy okazji przeprowadził długą rozmowę ze swoim serdecznym przyjacielem George'em Wongiem. Po powrocie z nieudanej wyprawy Buli niespodziewanie oświadczył - i potem wielokrotnie to powtarzał - że chce jak najszybciej zerwać wszelkie kontakty z rządem w Bagdadzie. Tej nagłej zmiany nie spowodowały żadne naciski ze strony Izraela. Po prostu Gerry Buli doszedł do wniosku, że powinien trzymać się z dala od Saddama Husajna. Miał całkowitą rację, tyle tylko, że było już za późno. 15 lutego 1990 roku prezydent Saddam Husajn zwołał zebranie swoich doradców w pałacu w Sarsengu, ukrytym głęboko w górach Kurdystanu.

Lubił Sarseng. Pałac stoi na szczycie wzniesienia, a z jego okien o potrójnych szybach rozciąga się widok na górzystą okolicę zamieszkaną przez kurdyjskich wieśniaków, którzy każdej zimy - a zimy są tu ostre - drżą z chłodu w skleconych byle jak szafasach. Niedaleko od tego miejsca znajduje się zamordowane miasto Halabdża, gdzie 17 i 18 marca 1988 roku 70000 mieszkańców poniosło zasłużoną karę za kolaborację z Irańczykami.

Kiedy ustał ostrzał artyleryjski, pięć tysięcy tych kurdyjskich psów nie żyło, a siedem tysięcy miało zostać już na zawsze kalekami. Na Husajnie największe wrażenie wywarła skuteczność działania wypełniającego pociski cyjanowodoru. Niemieckie firmy przekazały technologię produkcji tego gazu, a także paraliżujących układ nerwowy tabunu i sarinu, za co zyskały uznanie prezydenta. Gaz przypominał swoim działaniem cyklon-B, który przed wieloma laty z tak dobrym skutkiem sprawdzono na Żydach i kto wie, czy pewnego dnia nie zostanie użyty ponownie.

Tego ranka Saddam długo stał przy oknie garderoby i spoglądał na rozciągający się w dole krajobraz. Już od szesnastu lat skupiał w swym ręku pełnię władzy i musiał w tym czasie ukarać wielu ludzi, ale nikt nie mógł zaprzeczyć, że wiele osiągnął. Nowy Sennacharib wyszedł z Niniwy, a nowy Nabuchodonozor z Babilonu. Niektórzy od razu wiedzieli, jak należy postąpić i okazali mu posłuszeństwo, a ci, którzy się sprzeciwiali, prawie wszyscy już nie żyli.

Wśluchiwał się w łoskot nadlatujących z południa śmigłowców, podczas gdy garderobiany zawiązywał mu zieloną chustę, maskującą obwisły podbródek prezydenta. Kiedy chusta znalazła się na miejscu, Husajn zapiął na biodrach pas z kaburą, w której tkwiła pozłacana beretta rodzimej produkcji. Nigdy nie rozstawał się z tą bronią. Zastrzelił już z niej jednego z ministrów i kto wie, czy kiedyś nie będzie musiał użyć pistoletu ponownie.

Do drzwi zastukał lokaj i oznajmił, że ludzie wezwani przez prezydenta czekają w sali konferencyjnej.

Kiedy wszedł do długiego pomieszczenia o wysokich oknach, za którymi widać było przykrytą śniegiem okolicę, zebrani jak jeden mąż zerwali się na równe nogi. Tylko tutaj, w Sarsengu, nie obawiał się o swoje życie. Pałac otaczał potrójny kordon Gwardii Prezydenckiej, czyli Al-Amn al-Chass, dowodzonej przez jego syna Kusaja, na dachu czuwały baterie francuskich rakiet przeciwlotniczych, niebo zaś bez chwili przerwy patrolowały myśliwce.

Zasiadł w przypominającym tron fotelu, dokładnie pośrodku stołu tworzącego poprzeczną kreskę dużej litery T. Miejsca po jego prawej i lewej stronie zajmowali czterej ludzie, których darzył największym zaufaniem. Od swoich poddanych i współpracowników Saddam Husajn wymagał tylko jednego: lojalności. Całkowitej, niewzruszonej, wiernopoddańczej lojalności. Długoletnie doświadczenie pozwoliło mu wyróżnić kilka jej stopni. Na samym szczycie znajdowała się rodzina, następnie klan, potem zaś plemię. Jest takie arabskie powiedzenie: "Ja i mój brat przeciwko naszemu kuzynowi,

ja i mój kuzyn przeciwko całemu światu". Wierzył w nie całym sercem.

Pochodził z najnędzniejszej części małego miasteczka Tikrit, z plemienia At-Tikriti. Wielu członków jego rodziny oraz plemienia piastowało w Iraku różne ważne stanowiska; mógł im wybaczyć każdą zbrodnię, każdą porażkę i każdy wybryk, jednak pod jednym warunkiem: że byli wobec niego lojalni. Czyż jego drugi syn, Udaj, obarczony psychopatycznymi skłonnościami, nie skatował na śmierć służącego i nie uzyskał natychmiast przebaczenia?

Po prawej ręce Saddama siedział Izzat Ibrahim, jego pierwszy zastępca, obok zaś zięć prezydenta Husajn Kamil, szef Ministerstwa Przemysłu i Uzbrojenia. Po lewej stronie zasiedli Taha Ramadan,, premier, oraz Sadun Hammadi, wicepremier i jednocześnie fanatyczny szyita. Saddamowi Husajnowi, który był sunnitą, to jednak nie przeszkadzało, gdyż jego tolerancja dotyczyła wyłącznie spraw religijnych. Okazywał pobożność tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebował. Minister spraw zagranicznych Tarik Aziz był na przykład chrześcijaninem. I co z tego, skoro i tak robi, co mu się każe? U szczytu pionowej kreski dużego T siedzieli generałowie dowodzący Gwardią Republikańską, piechotą, wojskami pancernymi, artylerią oraz Korpusem Inżynierskim, dalej zaś czterej eksperci, których raporty i opinie przyczyniły się do zwołania tego zebrania.

Miejsca po prawej stronie stołu zajęli doktor Ahmed Sadi i generał brygady Hasan Rahmani, szef kontrwywiadu. Naprzeciwko nich siedzieli doktor Ismail Ubajdi, który kierował działalnością wywiadu, oraz generał brygady Umar Chatib, szef budzącej grozę tajnej policji, czyli Al-Aman al-Amm.

Trzej mężczyźni odpowiedzialni za funkcjonowanie tajnych służb mieli precyzyjnie podzielone zadania: doktor Ubajdi prowadził działalność wywiadowczą za granicą, Rahmani neutralizował poczynania obcych siatek szpiegowskich na terytorium Iraku, Chatib zaś trzymał ludność w ryzach, niszcząc w zarodku wszelkie ośrodki zorganizowanego oporu. Pomagali mu w tym liczni donosiciele oraz przerażające plotki, jakie krążyły po kraju. Dotyczyły one losu tych, których aresztowano i trafili do więzienia Abu Gharib na zachód od Bagdadu, albo, co gorsza, do ośrodka przesłuchań zwanego szyderczo "salą gimnastyczną", mieszczącego się w podziemiach kwatery głównej Al-Aman al-Amm.

Do Saddama docierało wiele skarg na brutalność metod stosowanych przez szefa tajnej policji, lecz on zbywał je wszystkim uśmiechem i wzruszeniem ramion. Podobno osobiście nadał Chatibowi przezwisko Al-Mu'azzib, czyli Kat. Rzecz jasna, Chatib także wywodził się z plemienia At-Tikriti i był stuprocentowo lojalny. Niektórzy dyktatorzy wolą, żeby spotkania, dotyczące wyjątkowo delikatnych kwestii, odbywały się w jak najmniej liczonym gronie. Saddam wyznawał inny pogląd: jeżeli trzeba wykonać jakąś brudną robotę, niech wszyscy mają zbrukane ręce. Nikt nie będzie mógł później powiedzieć, że nie brał w tym udziału i o niczym nie wiedział. W ten sposób bez przerwy przekazywał swojej świcie wciąż tę samą wiadomość: jeżeli ja upadnę, wy upadniecie ze mną.

Kiedy wszyscy zajęli ponownie miejsca, prezydent dał znak głową swemu zięciowi Husajnowi Kamilowi, który z kolei polecił doktorowi Sadiemu, aby ten przedstawił swój raport. Uczony odczytał dokument, ani na chwilę nie odrywając wzroku od papieru. Nikt przy zdrowych zmysłach nie spoglądał Saddamowi prosto w oczy. Prezydent twierdził, że potrafi odczytać myśli z twarzy każdego człowieka, i wielu w to wierzyło. Poza tym, takie otwarte spojrzenie mogło oznaczać odwagę, wyzwanie, albo •- co gorsza -

nielojalność. Ci, których prezydent podejrzewał o nielojalność, zazwyczaj ginęli w straszliwych męczarniach.

Kiedy Sadi umilkł, Saddam zastanawiał się przez chwilę.

– Jak dużo wie ten Kanadyjczyk?

– Nie wszystko, ale dosyć, żeby domyślić się reszty, sajjidi.

Sadi użył arabskiego zwrotu grzecznościowego stanowiącego odpowiednik angielskiego "sir", tyle tylko, że przepojonego znacznie większym szacunkiem. Mógł także powiedzieć sajjid ra'is, albo "panie prezydencie".

– Jak szybko?

– Wkrótce, jeśli już mu się nie udało, sajjidi.

– Powiadasz, że on kontaktuje się z Izraelczykami?

– Bez przerwy, sajjid ra'is – odparł doktor Ubajdi. – Ma wśród nich wielu przyjaciół. Kilka razy był w Tel-Awii, gdzie prowadził zajęcia z balistyki dla oficerów artylerii. Możliwe, że stykał się także z Mosadem, choć nie mamy co do tego pewności.

– Czy uda nam się dokończyć bez niego? – zapytał Saddam Husajn.

– To dziwny człowiek – odezwał się jego zięć. – Wszystkie najważniejsze dokumenty nosi bez przerwy przy sobie w wielkiej płócienniej torbie. Wydałem już polecenie naszym ludziom z kontrwywiadu, żeby im się przyjrzel i sporządzili kopie.

– Zrobili to?

Prezydent zadał pytanie Hasanowi Rahmaniemu, szefowi kontrwywiadu.

– Bezwzględnie, sajjid ra'is. W ubiegłym miesiącu, podczas jego wizyty. Podano mu specjalnie spreparowaną whisky, po której zapadł w długi, głęboki sen. W tym czasie sfotografowaliśmy wszystkie dokumenty, jakie miał w torbie. Oprócz tego rejestrowaliśmy jego rozmowy. Fotokopie i stenogramy przekazaliśmy towarzyszkowi Sadri.

Prezydent ponownie spojrzał na uczonogo.

– Pytam jeszcze raz: czy uda nam się dokończyć projekt bez jego pomocy?

– Tak, sajjid ra'is. Myślę, że potrafimy to zrobić. Co prawda niektóre z jego obliczeń wydają się całkowicie niezrozumiałe, ale nasi najlepsi matematycy studiują je już od ponad miesiąca i z pewnością wkrótce dojdą, o co w nich chodzi. Reszta będzie należała do inżynierów.

Husajn Kamil posłał swemu zastępcy spojrzenie, które miało oznaczać: lepiej żebyś się nie mylił, przyjacielu.

– Gdzie on teraz jest? – zapytał prezydent.

– Poleciał do Chin, sajjidi – odparł Ubajdi, szef wywiadu. – Próbuje zdobyć trzeci stopień do naszej rakiety, ale nic tam nie wskóra. W połowie marca powinien być z powrotem w Brukseli.

– Macie tam ludzi? Dobrych ludzi?

– Tak, sajjidi. Już od dziesięciu miesięcy nie odstępują go ani na krok, jak tylko pojawi się w mieście. Właśnie dzięki temu wiemy, że często przyjmuje gości z Izraela. Zdobyliśmy także klucze do bloku, w którym mieszka.

– W takim razie zróbcie co należy. Zaraz po jego powrocie.

– Tak jest, sajjid ra'is.

Ubajdi gorączkowo zastanawiał się, kogo ma w Brukseli.

Spośród tej czwórki tylko jeden, Abd ar Rahman Mu'addin, wykonywał wcześniej podobne zadania. To on pociągnie za spust.

Kiedy trzech szefowie służb specjalnych i doktor Sadi wyszli z pokoju, Saddam Husajn zwrócił się do swego zięcia:

– Teraz druga sprawa. Kiedy dostanę to, na co czekam?

– Ostatnio zapewniano mnie, że przed końcem roku, obu Kusaj.

Jako członek rodziny Kamil mógł używać mniej czołobitnego tytułu, który znaczył tyle co "ojciec Kusaja". W ten sposób

przypominał też dyskretnie pozostałym obecnym, że nie wszyscy mogą pozwalać sobie na taką poufałość.

Prezydent mruknął coś pod nosem, po czym powiedział:

- Potrzebne nam zupełnie nowe miejsce, forteca, ale żadna z tych, które już istnieją. Prawie nikt nie będzie wiedział, gdzie się znajduje, nawet nie wszyscy tu obecni. Możecie to zrobić?

Generał Ali Musuli z Korpusu Inżynierskiego wyprostował się ze spojrzeniem utkwionym w mundurowej kurtce prezydenta.

- To wielki zaszczyt, sajjid ra'is.

- Znajdźcie najlepszego człowieka, żeby się tym zajął.

- Mam już go, sajjidi. To pułkownik, znakomity projektant i specjalista od budowy i kamuflażu. Rosjanin Stiepanow twierdzi, że nigdy nie spotkał kogoś lepszego.

- W takim razie niech się do mnie zgłosi. Nie tu, tylko w Bagdadzie, za dwa dni. Sam go sprawdzę. Czy jest lojalny wobec partii i mnie?

- Całkowicie, sajjidi. Z radością oddałby za ciebie życie.

- Przypuszczam, że podobnie jak wy wszyscy? - powiedział z sarkazmem prezydent, a po krótkim milczeniu dodał: - Miejmy jednak nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie.

Nikt już nie miał ochoty zabrać głosu i spotkanie się skończyło.

Kiedy 17 marca doktor Gerry Buli wrócił do Brukseli, był wyczerpany i przygnębiony. Koledzy przypuszczali, że depresja spowodowana jest tym, że rozmowy, jakie prowadził w Chinach, zakończyły się fiaskiem, ale mieli tylko częściowo rację.

Od ponad dwóch lat, to znaczy od chwili, gdy po raz pierwszy zjawił się w Bagdadzie, wierzył w to, w co chciał wierzyć - że zarówno trzystopniowa rakietą, jak i działą Babilon mają służyć wynoszeniu na orbitę niewielkich satelitów wyposażonych w instrumenty badawcze. Nie ulegało dla niego wątpliwości, że takie osiągnięcie stanie się powodem do dumy dla całego świata arabskiego, a w ostatecznym rozrachunku może przynieść także całkiem wymierne zyski, kiedy Irak zacznie wysyłać w kosmos satelity skonstruowane lub zakupione przez inne kraje.

Zapewniano go, że superdziało ma być skierowane na południowy wschód, tak aby wystrzelywane z niego pociski przelatowały wzdłuż całego terytorium Iraku oraz nad Arabią Saudyjską, a na orbitę wchodziły gdzieś nad Oceanem Indyjskim. Jednak po rozmowach z kolegami z Europy i Ameryki musiał przyznać, że żaden zachodni rząd nie uwierzyłby w taką wersję. Wszyscy uważaliby, że działą ma służyć celom wojskowym, na co zresztą wskazywał sposób, w jaki zamawiano jego elementy w rozrzuconych po całej Europie fabrykach.

Tylko on, Gerald Vincent Buli, znał prawdę - z tego działą nigdy nie będzie można strzelać tradycyjnymi pociskami artyleryjskimi, wszystko jedno jakich rozmiarów.

Najważniejszy powód jest następujący: co drugi segment 180-metrowej lufy musiał spoczywać na stalowej podporze, gdyż w przeciwnym razie po pierwszym strzale gigantyczna rura popękałaby na złączach i rozpadła się na kawałki. Wynikało z tego jasno, że niemożliwe będzie jakiegokolwiek korygowanie ustawienia lufy zarówno w płaszczyźnie pionowej, jak i poziomej, a tym samym zmiana celu ostrzału. Można by to ewentualnie osiągnąć demontując działą i ustawiając je ponownie w innym położeniu, ale taka operacja musiałaby zająć co najmniej kilka dni. Co więcej, mimo że lufę wykonano ze stopów najwyższej jakości, już po kilkunastu strzałach przestałaby się nadawać do użytku. Było także oczywiste, że superdziało błyskawicznie stałoby się łatwym celem dla przeciwnika, gdyż po każdym strzale u wylotu lufy musiałby pojawić się płomień co najmniej 90-metrowej długości, który natychmiast zostałby dostrzeżony przez satelity i samoloty szpiegowskie. Poza tym, fale

sejsmiczne wywołane wstrząsem po odpaleniu pocisku dotarłyby nawet do Kalifornii. Z tych właśnie powodów Buli powtarzał każdemu, kto chciał go słuchać, że superdziała nie da się wykorzystać jako broni.

Problem polegał jedynie na tym, że po dwóch latach spędzonych w znacznej części w Iraku uświadomił sobie, że Saddam Husajn traktuje naukę instrumentalnie. Ma ona służyć tylko jednemu celowi: konstruowaniu nowych rodzajów broni, które przyczynią się do utrwalenia jego potęgi. Dlaczego w takim razie zgodził się finansować Projekt Babilon? Przecież po pierwszym strzale gigantyczne działo zostałoby unicestwione przez bombowce lub rakiety przeciwnika.

Dopiero w Chinach, przy pomocy życzliwego i współczującego George'a Wonga, udało mu się znaleźć odpowiedź na to pytanie. Była to ostatnia zagadka, jaką rozwiązał w życiu.

Rozdział drugi

Potężny ram charger pędził główną szosą łączącą Katar z Abu Zabi w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Dzięki klimatyzacji we wnętrzu samochodu panował przyjemny chłód, z głośników dobiegały zaś dźwięki melodii country, wywołujących u kierowcy uczucie przyjemnej nostalgii.

Kiedy ominęli Ruwajs, znaleźli się na otwartym terenie: po lewej stronie między wysokimi wydhami od czasu do czasu pojawiała się morze, po prawej zaczynała się ogromna pustynia, która ciągnęła się setkami kilometrów aż do Zufar i Oceanu Indyjskiego.

Siedząca na miejscu pasażera Maybelle Walker spoglądała z podnieceniem na brązowochrome piaski lśniące w promieniach południowego słońca. Jej mąż Ray nie odrywał wzroku od szosy. Jako człowiek przez całe życie zajmujący się poszukiwaniem i wydobywaniem ropy naftowej miewał często do czynienia z pustyniami. "Jeżeli widziałas jedną, widziałas je wszystkie" mruczał, kiedy żona po raz kolejny wydawała stłumiony okrzyk, zachwycona i zdumiona zupełnie nowymi dla niej widokami i dźwiękami. Dla Maybelle Walker wszystko było cudownie zaskakujące.

Zaczęli od Kuwejtu, skąd terenowym samochodem pożyczonym od firmy pojechali przez Ras al-Chafdži i Al-Chubar do Arabii Saudyjskiej, stamtąd do Bahrajnu, a następnie z powrotem, do Kataru i Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Wszędzie, gdzie się zatrzymywali, Ray Walker dokonywał pobieżnej inspekcji miejscowego biura firmy – taki był oficjalny cel jego podróży – ona zaś zwiedzała z przewodnikiem wszystko, co się nadawało do zwiedzenia. Sądziła, że jest bardzo odważna, zapuszczając się w wąskie uliczki w towarzystwie tylko jednego białego mężczyzny; nie zdawała sobie sprawy, iż nad Zatoką mogła czuć się znacznie bezpieczniej niż w każdym większym amerykańskim mieście.

Była oczarowana wszystkim, co widziała podczas swojej pierwszej i prawdopodobnie zarazem ostatniej podróży zagranicznej. Zachwycała się pałacami i meczetami, nie mogła wyjść z podziwu nad ilością złota wystawianego na sprzedaż na bazarach, doznawała przyjemnego zawrotu głowy obserwując morze ciemnych twarzy i różnobarwnych strojów, wirujących wokół niej w zabytkowych dzielnicach.

Fotografowała wszystko i wszystkich, żeby po powrocie do domu pokazać koleżankom z klubu, gdzie była i co widziała. Nie zapomniała jednak o radzie, jaką otrzymała od przedstawiciela firmy w Katarze, który ostrzegł ją przed robieniem zdjęć spotkanym na pustyni Arabom bez ich zgody – niektórzy wciąż jeszcze wierzyli, że na fotografii może zostać uwięziona część duszy. Często powtarzała sobie, że jest szczęśliwą kobietą i ma wiele

powodów do zadowolenia. Zaraz po maturze wyszła za mąż za chłopaka, z którym chodziła od dwóch lat. Okazał się dobrym, godnym zaufania człowiekiem. Wkrótce potem podjął pracę w miejscowej firmie naftowej i stopniowo pisał się coraz wyżej, by wreszcie osiągnąć stanowisko jednego z wiceprezesów.

Mieli ładny dom w pobliżu Tulsy oraz letni domek nad samą plażą w Hatteras, między Oceanem Atlantyckim a cieśniną Pamlico w Północnej Karolinie. Owocem trwającego już trzydzieści lat, dobrego małżeństwa był wspaniały syn. A teraz jeszcze te dwutygodniowe wakacje na koszt firmy, wypełnione mnóstwem egzotycznych widoków, dźwięków i zapachów z zupełnie innego świata!

– Całkiem niezła droga – zauważyła, kiedy ram charger wspiął się na szczyt wzniesienia, z którego rozciągał się widok na pustynię i wijącą się przez nią, ciemną wstążkę szosy. Temperatura w kabinie samochodu wynosiła 21 stopni, na zewnątrz zaś przekraczała 48.

– Ja myślę – mruknął jej mąż. – Przecież to myśmy ją zbudowali.

– Firma?

– Nie. Wuj Sam, do licha.

Ray Walker miał zwyczaj mówić: "do licha" za każdym razem, kiedy udzielał jakiejś informacji. Przez pewien czas siedzieli w miłym milczeniu, podczas gdy Tammy Wynette zachęcał wszystkie dziewczyny, by trwały przy swoich chłopakach. Maybelle chciała pozostać ze swoim aż do śmierci.

Niemal 60-letni Ray Walker lada dzień miał przejść na emeryturę. Mógł się spodziewać co miesiąc czeku na całkiem sporą sumę oraz wysokich dochodów z mądrych inwestycji, jakie poczynił na giełdzie/Wdzięczna firma zrobiła mu dodatkowy prezent w postaci dwutygodniowej "inspekcji" jej przedstawicielstw rozlokowanych wokół Zatoki Perskiej. On także był tu po raz pierwszy, i choć podróż wywarła na nim znacznie mniejsze wrażenie niż na jego żonie, jednak jej bezgraniczny zachwyt sprawiał mu ogromną przyjemność.

Jeżeli o niego chodzi, to nie mógł się już doczekać, kiedy zasiada w miękkich fotelach pierwszej klasy, w samolocie, który zawiezie ich przez Londyn do Stanów. Wreszcie będzie mógł zupełnie normalnie zamówić dużą szklanekę schłodzonego budweisera. Niektórym ludziom islam może odpowiadać, ale on, mieszkając w najlepszych hotelach w Kuwejcie, Arabii Saudyjskiej i Katarze, gdzie nie można dostać ani kropli alkoholu, zastanawiał się nieraz, co to za religia, że nie pozwala człowiekowi w upalny dzień łyknąć sobie odrobinę zimnego piwa.

Miał na sobie strój, który uważał za coś w rodzaju obowiązkowego uniformu wszystkich nafcjarzy: buty z wysoką cholewką, dżinsy, szeroki pas, koszula i kowbojski kapelusz. W jego przypadku – zajmował się chemiczną analizą próbek w dziale kontroli jakości – wkładanie takich rzeczy można było uznać za lekką przesadę.

Zerknął na licznik; do skrzyżowania z drogą na Abu Zabi zostało jeszcze 130 kilometrów.

– Muszę odcedzić kartofelki, kochanie – mruknął.

– Tylko uważaj na skorpiony – ostrzegła go Maybelle. –

Tutaj podobno aż się od nich roi.

– Tak, ale one nie potrafią skakać osiemdziesiąt centymetrów w górę – odparł i ryknął śmiechem. Skorpiony, które rzucają się na szczającego faceta i kłują go w kutasa! Po powrocie do domu koniecznie musi opowiedzieć o tym chłopakom.

– Wstręciuch z ciebie, Ray – powiedziała Maybelle i także się roześmiała.

Walker zatrzymał samochód na poboczu, wyłączył silnik i ot-

worzył drzwi. Natychmiast poczuł się tak, jakby stanął przy piecu hutniczym. Szybko wysiadł i zatrzasnął drzwi, żeby nie wypuścić gorącego powietrza do kabiny, po czym stanął w rozkroku przy najbliższej wydmi i rozpiął rozporek.

Maybelle została w samochodzie, rozglądając się po okolicy.

W pewnej chwili spojrzała przez przednią szybę i wybałuszyła oczy.

- Mój, Boże, coś takiego! - wykrztusiła.

Niewiele myśląc złapała pentaxa, którego zawsze trzymała

w zasięgu ręki, otworzyła drzwi i wyslizgnęła się na zewnątrz.

- Ray, myślisz, że mogę zrobić mu zdjęcie?

Jej mąż był odwrócony w przeciwną stronę, oddając się jednej z największych przyjemności mężczyzny w średnim wieku.

- Zaraz wracam, kochanie. O kim mówisz?

Beduin stał po drugiej stronie drogi. Wyłonił się spomiędzy wydm jak zjawa: jeszcze przed chwilą go nie było. Maybelle Walker zatrzymała się przy przednim zderzaku chargeera, niepewnie obracając aparat w ręce. Ray wreszcie skończył, zapiał rozporek, odwrócił się i zmierzył badawczym spojrzeniem nieruchomego mężczyznę.

- Bo ja wiem... - mruknął. - Chyba tak. Ale lepiej nie podchodź za blisko. Na pewno ma pchły. Uruchomię silnik. Rób to zdjęcie, a jeśli coś mu się nie spodoba, wskakuj szybko do środka.

Zajął miejsce za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Silnik natychmiast ożył, a wraz z nim klimatyzacja.

Maybelle Walker zrobiła kilka kroków naprzód.

- Mogę zrobić ci zdjęcie? - zapytała, podnosząc aparat. - Fotografii? KJik-klik, na pamiątkę?

Beduin nadal stał nieruchomo jak posąg i przyglądał się kobiecie.

Jego niegdyś biała dżalabijja, teraz zszarzała i brudna, opadała luźnymi fałdami z ramion, sięgając aż do stóp. Czerwono-biała, kraciasta kufija była przytrzymywana na głowie przez czarny sznur, a skraj powiewającego materiału przesłaniał twarz na wysokości nosa, tak że widać było tylko ciemne, czujne oczy oraz fragment czoła, opalonego i wysmaganego suchym pustynnym wiatrem.

Maybelle zrobiła już mnóstwo zdjęć, które po powrocie do domu chciała umieścić w specjalnym albumie, jednak żadne z nich nie przedstawiało prawdziwego Beduina na tle saudyjskiej pustyni.

Podniosła aparat do oka. Mężczyzna nadal stał bez ruchu.

Ustawiła pentaxa w taki sposób, żeby Beduin znalazł się w centrum pola widzenia, zastanawiając się jednocześnie, czy zdąży dobiec do samochodu, gdyby Arab nagle rzucił się w jej kierunku. Klik.

- Bardzo dziękuję - powiedziała, ale on nadal ani drgnął.

Uśmiechając się szeroko zaczęła wycofywać się w kierunku samo-

chodu. Zawsze należy się uśmiechać - przypomniała sobie radę, jakiej Reader's Digest udzielał Amerykanom na wypadek, gdyby mieli spotkać kogoś nie mówiącego po angielsku.

- Kochanie, wsiadaj wreszcie! - zawołał jej mąż.

- Już idę. - Odwróciła się i otworzyła drzwi. - Wygląda na to, że nie miał nic przeciwko temu.

W czasie, kiedy robiła zdjęcie, skończyła się taśma w radioodtworzaczu, który automatycznie przełączył się na odbiór najsilniejszej stacji radiowej. Ray Walker złapał żonę za ramię, wciągnął ją do kabiny i ruszył tak raptownie, że spod kół strzeliły fontanny żwiru i piasku.

Arab odprowadził wzrokiem oddalający się samochód, po czym wzruszył ramionami i okrążył wydmię. Po drugiej stronie stał pomalowany barwami ochronnymi land-rover. Kilka sekund później Beduin także pędził już w kierunku Abu Zabi.

- Po co ten pośpiech? - zapytała Maybelle Walker z pretensją w głosie. - Przecież nie chciał mi zrobić nic złego.

- Nie o to chodzi, kochanie - odparł Ray Walker. Siedział

wyprostowany na fotelu, z rękami zaciśniętymi mocno na kierownicy i spoglądał bystro na pędzącą im na spotkanie drogę. Wyglądał jak uosobienie mężczyzny, który jest w stanie stawić czoło każdemu niebezpieczeństwu. - Jedziemy prosto do Abu Zabi i wsiadamy do pierwszego samolotu. Wygląda na to, że dziś rano Irak zaatakował Kuwejt, do licha. Mogą tu się zjawić lada chwila.

Był 2 sierpnia 1990 roku, godzina dziesiąta zero zero czasu miejscowego.

Dwanaście godzin wcześniej, spięty i podekscytowany pułkownik Usman Badri czekał przy gąsienicy nieruchomego T*-72 w pobliżu niewielkiego lotniska Safwan. Choć wówczas jeszcze o tym nie wiedział, wojna o Kuwejt miała rozpocząć się i zakończyć właśnie tam, w Safwan.

Tuż za pasami startowymi, przy których nie było żadnych budynków, biegła z północy na południe główna szosa. Na północ od tego miejsca znajdowało się skrzyżowanie z inną drogą, prowadzącą na wschód do Basry i na północny zachód do Bagdadu.

Czołg Badriego minął to skrzyżowanie trzy dni temu.

W odległości ośmiu kilometrów na południe od lotniska znajdował się kuwejcki posterunek graniczny. Ze swojego miejsca przy gąsienicy czołgu pułkownik Badri widział światła Dżahry, a nieco dalej na wschód łunę unoszącą się nad Al-Kuwajt.

Był podekscytowany, gdyż oto nadeszły wielkie dni dla jego ojczyzny. Wreszcie wybiła godzina, by ukarać te kuwejckie psy za to, co uczyniły: za bezwzględna, choć nigdy nie wypowiedziana wojnę ekonomiczną, za ogromne straty finansowe, wreszcie za ich butę i arogancję.

Czyż Irak przez osiem krwawych lat nie powstrzymywał własną pierśią perskich hord, które chciały zagarnąć wszystkie ziemie na północ od Zatoki? To położyłoby kres zbytkom i luksusom, w jakich pławili się Kuwejtczykcy. A jaką otrzymał za to nagrodę? Taką, że był okradany przez te parszywe psy, czerpiące ze wspólnego złoza Rumajlah znacznie więcej, niż im się należało! Czy teraz ma pokornie czekać, ubożając z każdym dniem, ponieważ nadmierne wydobycie ropy spowodowało, że jej cena zaczęła gwałtownie spadać? Czy ma ulec bezczelnym żądaniom tych kreatur, domagających się zwrotu nędznych piętnastu miliardów dolarów, jakie pożyczły Irakowi w czasie wojny?

O nie! Ra'is jak zwykle miał rację. Kuwejt historycznie stanowi dziewiętnastą prowincję Iraku. Był nią zawsze, aż do chwili, kiedy w 1913 roku Anglicy zakreślili palcem na piasku tę przeklętą granicę i utworzyli najbogatszy emirat świata. Teraz, jeszcze tej nocy, Kuwejt wróci do macierzy, a on, Usman Badri, weźmie w tym bezpośredni udział.

Co prawda jako inżynier nie znajdzie się na pierwszej linii, ale pojawi się zaraz potem z oddziałami saperów, koparkami, spychaczami i dźwigami. Miał czuwać nad tym, by droga pozostała cały czas przejezdna, nawet gdyby Kuwejtczykcy próbowali ją zablokować. Co prawda zwiad lotniczy nie wykrył żadnych umocnień okopów, skarp przeciwczołgowych lub betonowych pali - ale na wszelki wypadek ludzie i sprzęt będą czuwać pod rozkazami Usmana Badriego, aby w razie potrzeby przygotować drogę dla oddziałów Gwardii Republikańskiej.

Kilka metrów od niego w wielkim namiocie zebrali się wyżsi oficerowie, by - jeżeli zajdzie taka konieczność - dokonać ostatnich korekt w przygotowywanym od dawna planie. Z każdą mijającą minutą zbliżała się chwila, kiedy ra'is wyda w Bagdadzie rozkaz do ataku.

Godzinę temu Badri rozmawiał ze swoim bezpośrednim przełożonym, generałem Alim Musuli, dowódcą Korpusu Inżynierskiego. Udało mu się przekonać generała, że ludzie, nad którymi on,

Usman Badri sprawuje kontrolę, są w pełni wyposażeni i gotowi do wymarszu. Był winien Musulemu dożygoną wdzięczność za to, że ten w lutym tego roku zarekomendował właśnie jego do wykonania "zadania specjalnego".

Zaraz po rozmowie Musuli przedstawił go generałowi Abd Allahowi Kadiriemu, dowódcy sił pancernych. Badri widział także, jak do namiotu wchodzi generał Sadi Tuma Abbas, zwierzchnik elitarniej Gwardii Republikańskiej. Jako lojalny członek partii i gorliwy zwolennik Saddama Husajna ze zdumieniem i przerażeniem usłyszał, jak generał Kadiri mruknął pod nosem:

- Polityczny krętacz!

Jak to możliwe? Czyżby Tuma Abbas nie był zaufanym współpracownikiem Saddama Husajna, odznaczonym za zwycięstwo w bitwie na mokradłach Al-Fau, w której rozstrzygnęły się losy wojny z Iranem? Pułkownik Badri nie dopuszczał do siebie myśli, że prawdziwe mogą się okazać pogłoski, iż zwycięzcą z mokradeł Al-Fau był naprawdę generał Mahir Raszid. Zresztą, zaraz po zakończeniu wojny Raszid zniknął i teraz nikt już nie wymieniał głośno jego nazwiska.

W ciemności tłoczyli się żołnierze i oficerowie z gwardyjskich dywizji Tawakkulna i Madina. Myśli pułkownika wróciły ponownie do tego pamiętnego lutowego dnia, kiedy generał Musuli polecił mu zostawić wszystkie obowiązki związane z pracami wykończeniowymi przy fortecy Al-Kubaj i natychmiast zameldować się w jego kwaterze głównej w Bagdadzie. Badri przypuszczał, że otrzyma jakieś nowe zadanie.

- Prezydent chce was widzieć - oświadczył Musuli bez żadnych wstępów. - Wkrótce po was przyśle. Udajcie się teraz do swojej kwatery w koszarach i bądźcie gotowi w dzień i w nocy. Badri przygryzł wargę. Co takiego zrobił, co powiedział? Czyżby został fałszywie oskarżony? Nie, prezydent nie zaprzętałby sobie głowy kimś takim. Nieprawomyślny osobnik dostałby po prostu nauczkę od zbirów generała Chatiba z Al-Aman al-Amm. Widząc wyraz twarzy podwładnego Musuli parsknął śmiechem; białe zęby błysnęły pod obfitymi czarnymi wąsami, jakie, na wzór Saddama Husajna, nosiło wielu oficerów.

- Nie bójcie się, po prostu ma dla was zadanie. Bardzo specjalne zadanie.

Nie minęły nawet dwadzieścia cztery godziny, kiedy Badri został wezwany przed główne wejście do kwater oficerskich, gdzie czekała już na niego długa czarna limuzyna oraz dwaj ludzie z Al-Amn al-Chass, prezydenckiej straży przybocznej. Zawieziono go prosto do pałacu, i zaproszono do udziału w najbardziej podniecającym i brzemiennej w skutki spotkaniu w jego życiu. Pałac znajdował się między ulicami Kindi i 14 lipca, w pobliżu mostu o tej samej nazwie. Zarówno ulica, jak i most upamiętniały datę pierwszego z dwóch zamachów stanu z lipca 1968 roku, kiedy to generałowie zostali odsunięci od władzy, ster rządów zaś przejęła partia Ba's. Badriego zaprowadzono do poczekalni, gdzie spędził dwie godziny. Zanim stanął przed obliczem władcy, przeszedł dwukrotną, szczegółową rewizję osobistą.

Zatrzymał się w tej samej chwili, kiedy uczynili to dwaj towarzyszący mu strażnicy, zaszalował drżącą ręką, po czym ściągnął beret z głowy, wepchnął go pod pachę i zamarł w oczekiwaniu.

- A więc to ty jesteś tym geniuszem kamuflażu?

Ostrzeżono go, by nie patrzył prezydentowi prosto w oczy, ale jednak zrobił to, właściwie wbrew własnej woli. Saddam Husajn był w znakomitym humorze. Oczy wyprężonego przed nim jak struna młodego oficera błyszczały miłością i uwielbieniem. I bardzo dobrze. Spokojnym tonem wyjaśnił inżynierowi, czego od niego oczekuje. Pierś Badriego wezbrała dumą i wdzięcznością.

Przez pięć miesięcy walczył z czasem, by uporać się z zadaniem na dwa dni przed, wydawałoby się, całkowicie nierealnym terminem. Ra'is dotrzymał słowa: wszystko i wszyscy byli do dyspozycji inżyniera. Jeżeli potrzebował więcej betonu lub stali, dzwonił pod prywatny numer Kamila, a zięć prezydenta uruchamiał natychmiast rezerwy Ministerstwa Przemysłu i Uzbrojenia. Jeżeli chciał więcej ludzi, natychmiast zjawiały się setki kontraktowych robotników z Korei i Wietnamu. Przenosili ogromne ciężary, ryli w ziemi, mieszkając przez całe lato w nędznych barakach ustawionych na zboczu doliny. Potem zostali wywiezieni w nieznanym kierunku. Wąską gruntową drogą (po której później także nie pozostał najmniejszy ślad) oprócz wypełnionych robotnikami autobusów jeździły tylko ciężarówki ze stalowymi prętami zbrojeniowymi oraz innymi materiałami budowlanymi i wielkie betoniarki. Pozostali ludzie zatrudnieni przy budowie docierali na miejsce śmigłowcami; w obie strony lecieli z zawiązanymi oczami. Od tej reguły nie było wyjątków.

Badri osobiście wybrał miejsce po kilkudniowym lotniczym rekonesansie. Znajdowało się wysoko w Dżabal Hamri, na północ od Kifri, tam, gdzie w pobliżu drogi do Sulajmaniji wzgórza Hamrin zamieniają się w prawdziwe góry. Pracował dwadzieścia godzin na dobę, spał na miejscu, wrzaskiem, groźbami i obietnicami zmuszał ludzi do nieprawdopodobnego wysiłku, żeby wreszcie przed końcem lipca zameldować Saddamowi o ukończeniu budowy. Cały teren dokładnie uprzątnięto, zebrano wszystko do ostatniego okruszka cegły i odłamka betonu. Nie pozostał ani jeden kawałek metalu, który mógłby zalsnić w promieniach słońca, na skałach zaś zamaskowano wszelkie uszkodzenia i zadrapania. Wybudowano także trzy pasterskie wioski, dostarczone tam owce i kozy, na koniec zlikwidowano jedyną drogę. Okolica znowu wyglądała tak samo jak pięć miesięcy temu. Prawie tak samo.

Us*man Badri, pułkownik saperów, spadkobierca starożytnych budowniczych, którzy wzniesli Niniwę i Tyr, uczeń wielkiego Stiepanowa, mistrz kamuflażu, zbudował dla Saddama Husajna Ka'la, Fortecę.* Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje i nikomu nie uda się nigdy jej odnaleźć.

Na krótko przed końcem prac budowlanych Badri obserwował, jak uczeni i specjaliści od uzbrojenia montują gigantyczne działo, którego lufa zdawała się sięgać gwiazd. Kiedy wszystko było już gotowe, budowniczowie odlecieli, na miejscu zaś rozlokowano garnizon złożony z doborowych żołnierzy. Nikt nie mógł dotrzeć tu drogą lądową; wszyscy przybywający musieli przylatywać śmigłowcami, które jednak ani na chwilę nie stykały się z ziemią, tylko zawisały nad małą łączką w pobliżu góry. Dla pilotów przeznaczono całkowicie odizolowaną bazę, pozbawioną nawet łączności telefonicznej ze światem. Rozsiano ostatnie ziarna trawy, posadzono ostatnie krzewy i wokół Fortecy zapadła niczym nie zmacona cisza. Azjatyckich robotników wywieziono z miejsca budowy autobusami o zamalowanych na czarno szybach. W pewnej odległości od Fortecy, w głębokiej kotlinie, autobusy zatrzymały się, kierowcy i strażnicy uciekli, a wówczas rozległa się potężna eksplozja i całe zbocze kotliny osunęło się na autobusy, grzebiąc wszystkich, którzy się w nich znajdowali. Zaraz potem strażnicy i kierowcy zostali zastrzeleni przez żołnierzy.

Wrzawa, jaka wybuchła w namiocie dowodzenia, wyrwała Badriego z zamyślenia. Przez szeregi przebiegła podawana szeptem informacja, że z Bagdadu nadszedł rozkaz do ataku. Pułkownik pobiegł do ciężarówki i wskoczył na miejsce pasażera, a kierowca natychmiast uruchomił silnik. Dość długo stali jednak w miejscu, czekając, aż z ogłuszającym rykiem i klekotem gasienic

miną ich dwie dywizje czołgów Gwardii Republikańskiej, które miały jako pierwsze wkroczyć do Kuwejtu.

Osman opowiadał później swojemu bratu Abd al-Karimowi, także pułkownikowi, pilotowi myśliwca Irackich Sił Powietrznych, że cała operacja przypominała ćwiczenia na poligonie. Czołgi zmiażdżyły nędzny posterunek graniczny, a o drugiej nad ranem pancerna kolumna bez przeszkód posuwała się na południe. Jeżeli Kuwejtczyzy ludzili się, że ogromna iracka armia, czwarta co do wielkości na świecie, uderzy na Wzgórza Mutla i będzie szturmować ich skaliste granie tak długo, aż wreszcie przeciwnik zdecyduje się podporządkować żądaniom ra'isa, to grubo się mylili. Jeżeli Zachód uważał, że Irak ograniczy się do zajęcia wysp Warbah i Bubijan, uzyskując w ten sposób upragniony dostęp do Zatoki, to także grubo się mylił. Rozkazy, które nadeszły z Bagdadu, były jasne: Bierzcie wszystko!

Tuż przed świtem doszło do potyczki w pobliżu niewielkiego miasteczka Dżahra, położonego na północ od Al-Kuwajt. Tam właśnie zdołała dotrzeć jedyna brygada pancerna Kuwejtu, trzymana od tygodnia z dala od granicy po to, by nie prowokować Irakijczyków.

Było to nierówne starcie, choć Kuwejtczyzy, którzy podobno potrafili tylko handlować i wydobywać ropę, walczyli twardo i dzielnie. Na całą godzinę udało im się powstrzymać marsz doborowych oddziałów Gwardii Republikańskiej, dzięki czemu z bazy Al Ahmadi zdążyło wystartować kilka myśliwców skyray i mirage, ale w ostatecznym rozrachunku nie mieli najmniejszej szansy. Potężne T-72 zmasakrowały mniejsze i słabiej uzbrojone T-55 chińskiej produkcji, którymi dysponowali Kuwejtczyzy. W ciągu dwudziestu minut obrońcy stracili dwadzieścia czołgów, aż wreszcie zdecydowali się na odwrót.

Usman Badri, który obserwował z odległości półtora kilometra, jak pancerne mastodonty rozprawiają się z przeciwnikiem, nie mógł wiedzieć, że pewnego dnia te same T-72 dywizji Madina i Tawak-kulna zostaną rozniesione na strzępy przez brytyjskie i amerykańskie challengery i abramsy.

O świcie pierwsze oddziały agresora dotarły do północno-zachodnich przedmieść stolicy, opanowując cztery główne drogi wiodące do miasta: szosę z Abu Zabi, drogę na Dżahrę oraz autostrady numer 5 i 6. Wkrótce potem rozpoczęło się uderzenie na centrum.

Pułkownik Badri właściwie nie miał nic do roboty. Nie natrafiono ani na okopy, które musieliby zasypywać jego saperzy, ani na stalowe lub betonowe przeszkody, które trzeba by wysadzać w powietrze. Podczas całej operacji jego życie tylko raz znalazło się w niebezpieczeństwie.

Kiedy przejeżdżali przez Sulajbichat, bardzo blisko chrześcijańskiego cmentarza, a słońce świeciło im prosto w oczy, nadleciał nagle samotny skyray i odpalił w kierunku czołgu jadącego bezpośrednio przed ciężarówką cztery rakiety powietrze-ziemia. T-72 skręcił raptownie, znieruchomiał i stanął w płomieniach, a ogarnięta paniką załoga zaczęła uciekać przez wieżyczkę. W chwilę potem skyray pojawił się ponownie, siekąc ogniem z działek i karabinów maszynowych. Badri zobaczył jeszcze, jak asfalt przed maską ciężarówki zaczyna nagle kipieć, potem gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi i wyskoczył na zewnątrz. Kierowca zakręcił rozpaczliwie kierownicą, ciężarówka wpadła na pobocze, wspięła się na nasyp i przewróciła na bok.

Nikt nie doznał obrażeń, ale pułkownik był wściekły. Co za bałwan z tego szofera! Badri pozostała część podróży odbył w innej ciężarówce.

Przez cały dzień, kiedy dwie dywizje czołgów oraz oddziały

piechoty zmechanizowanej przewalały się przez miasto, tu i ówdzie wybuchała krótkotrwała strzelanina. W Ministerstwie Obrony zabarykadowała się grupa oficerów, którzy postanowili powitać najeźdźców ogniem z broni automatycznej. Jeden z irackich dowódców w przypływie wielkoduszności ostrzegł ich przez megafon, że wystarczy kilka strzałów z jego czołgu, aby z obrońców zostały tylko krwawe strzępy. Uznając słuszność tego argumentu, któryś z Kuwejtczyków rozpoczął negocjacje, w tym czasie pozostali przebrali się w cywilne ubrania i umknęli z budynku tylnym wyjściem. Jeden z nich miał później zostać przywódcą ruchu oporu w okupowanym Kuwejcie.

Najtrudniej przyszło Irakijczykom zdobyć rezydencję emira As-Sabaħa, mimo że jej właściciel zdążył uciec wraz z rodziną do Arabii Saudyjskiej.

O zachodzie słońca pułkownik Usman Badri stał odwrócony plecami do morza w najdalej wysuniętym na północ punkcie miasta i spoglądał na fasadę pałacu. Z budynku co jakiś czas wychodził kolejny iracki żołnierz, uginając się pod ciężarem łupów, lawirował między ciałami, które leżały na schodach i trawniku, i wrzucał zdobycz na ciężarówkę.

Pułkownik miał wielką ochotę także zabrać stąd jakąś rzecz na tyle cenną, żeby mógł podarować ją ojcu w Kadisijja, ale coś go przed tym powstrzymywało. Nawyki wyniesione z tej przeklętej angielskiej szkoły, w której uczył się wiele lat temu w Bagdadzie. Ojciec posłał go tam, gdyż przyjaźnił się z Anglikiem Martinem i wielbił wszystko co brytyjskie.

- Branie łupów to zwykła kradzież, chłopcy, a zakazują jej zarówno Biblia, jak i Koran, więc pamiętajcie, żebyście nigdy tego nie robili.

Po dziś dzień Usmanowi rozbrzmiewał w uszach głos pana Hartleya, dyrektora szkoły, przemawiającego do siedzących w ławkach uczniów, wśród których byli zarówno Anglicy, jak i Irakijczycy. Już po wstąpieniu do partii Ba's przekonywał często ojca, że Anglicy są imperialistycznymi agresorami, gnębiącymi Arabów przez długie stulecia tylko po to, by osiągać jak największe korzyści. Ojciec, liczący sobie już ponad siedemdziesiąt lat, uśmiechał się tylko na to i mówił: "To cudzoziemcy i do tego niewierni, ale są ludźmi honoru i przestrzegają jakichś reguł, mój synu. Czy byłbyś mi łaskaw powiedzieć, jakich reguł przestrzega twój Saddam Husajn?"

Nie sposób było wytłumaczyć starcowi, jak ważną rolę ma spełnić w Iraku Partia i że już wkrótce jej przywódca poprowadzi kraj do zwycięstwa i rozkwitu. Po pewnym czasie Usman zaprzestał dyskusji z ojcem, gdyż bał się, że ten powie o prezydencie coś, co zostanie podsłuchane przez sąsiada, i sprowadzi na nich wszystkich nieszczęście. Bardzo kochał swego starego ojca, ale nie mógł zgodzić się z jego poglądami.

Tak więc, z powodu wciąż jeszcze żywych wspomnień o nauczycielu, którego ostatni raz widział dwadzieścia pięć lat temu, nie przyłączył się do plądrowania pałacu emira, mimo że tak właśnie od niepamiętnych wieków czynili jego przodkowie.

Z kilkuletniego pobytu w szkole wyniósł przynajmniej tę korzyść, że znakomicie władał angielskim, co okazało się później bardzo przydatne, gdyż tylko w tym języku mógł dogadać się z pułkownikiem Stiepanowem, który dość długo był głównym specjalistą od inżynierii wojskowej w grupie radzieckich doradców. Potem, kiedy zimna wojna dobiegła końca, doradcy spakowali manatki i wrócili do Moskwy.

Usman Badri miał trzydzieści pięć lat i wszystko wskazywało na to, że rok 1990 będzie najwspanialszy w całym jego dotychczasowym życiu,

- Mówię ci, stałem sobie odwrócony plecami do morza,

patrzyłem na pałac emira i myślałem: "Na Proroka, dokonaliśmy tego. Nareszcie zdobyliśmy Kuwejt. W ciągu jednego dnia". I to był koniec tego wszystkiego – powiedział później swojemu starszemu bratu.

Okazało się jednak, że nie miał racji. To był dopiero początek. Podczas gdy Ray Walker "taszczył dupę w te i wewte" (żeby użyć określenia, które padło z jego własnych ust) po porcie lotniczym w Abu Zabi, łomocząc pięścią w ladę przy przedstawicielstwach kolejnych linii lotniczych i domagając się głośno natychmiastowego wydania biletu lotniczego dla niego i żony, co podobno gwarantowała mu amerykańska konstytucja, dla sporej liczby jego współziomków dobiegała właśnie końca bezsenna noc.

W odległości siedmiu stref czasowych, w Waszyngtonie, Rada Bezpieczeństwa Narodowego obradowała bez przerwy od poprzedniego wieczoru. Dawniej wszyscy zbierali się w Pokoju Operacyjnym w podziemiach Białego Domu, ale dzięki nowoczesnej technologii członkowie Rady mogli nie ruszając się ze swoich gabinetów, pozostawać ze sobą w stałej łączności dzięki starannie zabezpieczonej przed podsłuchem sieci telewizji kablowej.

Pierwsze raporty dotarły do Waszyngtonu właśnie minionego wieczoru, 1 sierpnia. Donoszono w nich o wymianie ognia wzdłuż północnej granicy Kuwejtu. Informacje te dla nikogo nie stanowiły zaskoczenia, gdyż już od wielu dni przelatujące nad Zatoką Perską satelity szpiegowskie KH-11 przekazywały obrazy świadczące o wielkiej koncentracji irackich sił zbrojnych w pobliżu granicy z mniejszym sąsiadem. Zagadka polegała tylko na tym, jakie są prawdziwe intencje Saddama Husajna: przestraszyć, czy zaatakować?

Rzecz jasna zażądano wtedy opinii od CIA, ale fachowcy z Langley okazali się mało przydatni, gdyż przedstawili jedynie hipotetyczne analizy przeprowadzone na podstawie zdjęć satelitar-nych oraz politycznych sygnałów, które były już doskonale znane Wydziałowi Bliskowschodniemu Departamentu Stanu.

– Byle półgłówki potrafiły wypichcić coś takiego! – parsknął Brent Scowcroft, przewodniczący Rady. – Nie mamy żadnego człowieka w rządzie Iraku?

W odpowiedzi usłyszał pełne ubolewania "nie". Ten problem miał później wracać jak bumerang przez wiele miesięcy. Zagadkę udało się wyjaśnić dopiero kilka minut przed dwudziestą drugą, kiedy prezydent Bush położył się spać i przestał odbierać telefony od Scowcrofta. Nad Zatoką było już po wschodzie słońca, a irackie czołgi znajdowały się za Dżahrą, zbliżając się do północno-zachodnich przedmieść Al-Kuwajt.

Wszyscy uczestnicy wydarzeń zgodzili się później, że długo nie zapomną tej nocy. Ośmiu mężczyzn reprezentujących Radę Bezpieczeństwa Narodowego, Departament Stanu, CIA, Kolegium Szefów Sztabów, Departament Skarbu i Ministerstwo Obrony pozostawało ze sobą w stałym kontakcie. Nie odstępowali ani na krok od monitorów, wydawali i przyjmowali niesamowitą liczbę poleceń. Podobny strumień rozkazów wypływał i wpływał do pokoju, w którym w Londynie zebrał się zwołany pospiesznie Sztab Kryzysowy. Londyn dzieliło od Waszyngtonu pięć godzin, ale od Zatoki Perskiej już tylko dwie.

Oba rządy natychmiast zamroziły wszystkie zagraniczne aktywa finansowe nie tylko Iraku, ale także Kuwejtu (za zgodą ambasadorów tego kraju). Miało to zapobiec zagarnięciu pieniędzy przez jakiś marionetkowy rząd, całkowicie podporządkowany Bagdadowi. W wyniku tych decyzji zablokowano na kontach wiele miliardów petrodolarów.

2 sierpnia o 4.45 rano obudzono prezydenta Busha, aby podpisał stosowne dokumenty. Margaret Thatcher zrobiła to samo. w Lon-

dynie już kilka godzin wcześniej, po czym pośpieszyła na lotnisko i wsiadła do samolotu odlatującego do Stanów.

Kolejnym istotnym krokiem było zwołanie Rady Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku w celu potępienia inwazji i zażądania natychmiastowego wycofania wojsk agresora. Rada uczyniła to w Rezolucji nr 660, wydanej jeszcze tego samego ranka.

O świcie telekonferencja została przerwana, jej uczestnicy zaś dostali dwie godziny na to, żeby pojechać do domów, wykapać się, przebrać, ogolić i stawić się o ósmej rano w Białym Domu na posiedzenie Rady Bezpieczeństwa Narodowego w pełnym składzie, któremu miał osobiście przewodniczyć prezydent Bush.

Wśród nowo przybyłych znajdowali się sekretarz obrony Richard Cheney szef Departamentu Skarbu - Nicholas Brady oraz prokurator generalny Richard Thornburgh. Departament Stanu nadal reprezentował Bob Kimmitt, ponieważ sekretarz stanu James Baker oraz jego zastępca Lawrence Eagleburger byli nieobecni w Waszyngtonie.

Z Florydy przyleciał przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów Colin Powell, przywożąc ze sobą potężnie zbudowanego, pozornie nieco ociężałego człowieka, któremu powierzono dowództwo nad wojskową stroną operacji. Człowiekiem tym był generał Norman Schwarzkopf.

O 9.15, kiedy George Bush opuścił spotkanie, Maybelle i Ray Walker siedzieli już w samolocie, który znajdował się gdzieś nad Arabią Saudyjską, niosąc ich ku bezpiecznemu domowi. Prezydent wsiadł do śmigłowca czekającego na południowym trawniku przed Białym Domem i udał się do bazy lotniczej Andrews, gdzie przesiadł się do prezydenckiego boeinga, który wystartował w kierunku Aspen w stanie Kolorado. Bush miał tam wygłosić przemówienie dotyczące zewnętrznego bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Temat okazał się wyjątkowo aktualny.

Już z samolotu prezydent USA odbył długą rozmowę telefoniczną z królem Jordanii Husajnem, władcą niewielkiego sąsiada Iraku. Wywodzący się z dynastii Haszymidzkiej król przebywał w Egipcie, gdzie konferował z prezydentem Mubarakiem.

Król Husajn błagał, żeby Ameryka dała Arabom kilka dni na uporządkowanie spraw drogą pokojową. zaproponował zorganizowanie czwórstronnego spotkania, w którym wzięliby udział prezydent Mubarak, on sam i Saddam Husajn, przewodniczyliby zaś Jego Wysokość król Fahd z Arabii Saudyjskiej. Jordański monarcha był pewien, że uczestnicy spotkania zdołają przekonać irackiego dyktatora, by natychmiast wycofał wojska z Kuwejtu. Na zwołanie konferencji potrzebował jednak trzech, może czterech dni, a wcześniejsze publiczne potępienie Iraku przez kogoś z jej potencjalnych uczestników obróciłoby wniwecz nadzieje na osiągnięcie sukcesu.

- Zgadza się - odparł prezydent Bush. Nieszczęsny George nie miał jeszcze okazji porozmawiać z damą z Londynu, która już czekała na niego w Aspen. Spotkali się wieczorem tego samego dnia. Żelazna Dama natychmiast doszła do wniosku, że jej dobry przyjaciel zaczyna się znowu wahać, i wzięła się ostro do roboty.

- George, tym razem nie możemy pozwolić, żeby uszło mu to na sucho. Po prostu nie możemy.

Mając przed sobą te niebieskie, błyszczące oczy i słysząc starannie dobierane słowa, wypowiedane lodowato zimnym tonem, George Bush przyznał wreszcie, że Stany Zjednoczone zgadzają się ze stanowiskiem Anglii. Jego najbliżsi współpracownicy twierdzili później, że znacznie bardziej niż artyleri i czołgów Saddama Husajna przestraszył się pewnej damskiej torebki.

3 sierpnia Ameryka skontaktowała się potajemnie z Egiptem,

przypominając prezydentowi Mubarakowi, jak bardzo jego armia uzależniona jest od dostaw amerykańskiej broni oraz ile Egipt winien jest Bankowi Światowemu i Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu. 4 sierpnia rząd Egiptu wydał oświadczenie potępiające aneksję Kuwejtu przez Saddama Husajna.

Ku żalowi króla Jordanii, choć z pewnością fakt ów nie stanowił dla niego zaskoczenia, iracki despota kategorycznie odmówił udziału w konferencji, podczas której musiałby siedzieć przy jednym stole z prezydentem Mubarakiem i królem Fahdem.

Władca Arabii Saudyjskiej król Fahd – doświadczony gracz polityczny, ukrywający za zasłoną grzeczności nadzwyczaj bystry i przenikliwy umysł – poczuł się boleśnie dotknięty przez człowieka należącego do tej samej kultury, która szczyliła się stworzeniem i przestrzeganiem wyrafinowanego kodeksu honorowego. Nie był tym zachwycony.

Z tej, między innymi, przyczyny nie doszło do spotkania w Dżiddzie. Drugą stanowił fakt, że saudyjskiemu monarsze pokazano zdjęcia dostarczone przez amerykańskie satelity szpiegowskie, na których widać wyraźnie, że iracka armia nie zatrzymała się, lecz maszeruje w szyku bojowym ku granicy Kuwejtu z Arabią Saudyjską.

Czyżby Saddam naprawdę miał zamiar kontynuować podbój? Wszystko na to wskazywało. Arabia Saudyjska ma największe zasoby ropy naftowej na świecie. Drugie miejsce zajmuje Kuwejt – jego złoża przy obecnym poziomie wydobywania powinny wystarczyć jeszcze na ponad sto lat, trzecie zaś Irak. Anektując Kuwejt, Saddam Husajn odwrócił te proporcje. Co więcej, 90 procent saudyjskich szybów i złóż znajduje się w północno-wschodniej części królestwa, w pobliżu portów Zarran, Al-Chubar, Damman, Dżubajl oraz nieco dalej w głębi lądu. Irackie dywizje zmierzały prosto w kierunku tego trójkąta, na zdjęciach zaś można było dostrzec kolejne oddziały kierujące się do Kuwejtu.

Na szczęście Jego Wysokość nigdy nie dowiedział się, że fotografie zostały spreparowane. Dywizje, które dotarły w pobliże granic jego kraju, zaczęły się już okopywać, ale buldożery zostały starannie wyretuszowane przez specjalistów.

6 sierpnia Królestwo Arabii Saudyjskiej oficjalnie zwróciło się do rządu Stanów Zjednoczonych z prośbą o przysłanie jednostek wojskowych w celu obrony jego granic.

Tego samego dnia na Bliski Wschód odleciały pierwsze eskadry myśliwców bombardujących. Rozpoczęła się operacja Pustynna Tarcza.

Generał brygady Hasan Rahmani wyskoczył z samochodu i wbiegł po stopniach prowadzących do hotelu Hilton, który stał się kwaterą główną irackich sił bezpieczeństwa w okupowanym Kuwejcie. Był ranek 4 sierpnia. Rahmani nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, że tuż obok hotelu znajduje się amerykańska ambasada; oba budynki usytuowano nad samym brzegiem morza, z obu też roztaczał się wspaniały widok na lśniące w promieniach słońca, błękitne wody Zatoki Perskiej.

Pracownicy ambasady jeszcze długo będą mogli w spokoju zachwycać się tym widokiem, gdyż za radą Rahmaniego placówka została natychmiast otoczona szczelnym pierścieniem przez Gwardię Republikańską. Naturalnie nie powstrzyma zamkniętych na jej terenie dyplomatów przed wysyłaniem do Waszyngtonu zakodowanych depech, wiedział także, iż nie dysponuje superkomputerami, które dałyby sobie radę z ich rozszyfrowaniem, ale jako szef irackiego kontrwywiadu zatroszczył się o to, żeby przekazy zawierały niewiele więcej niż to, co widać z okien budynku.

Co prawda Amerykanie przebywający w różnych częściach

miasta mogli porozumiewać się telefonicznie z ambasadą, lecz temu także dało się szybko zaradzić. Irakijczycy odcięli większość linii, pozostałe zaś trzymali na ciągłym podsłuchu. Najlepiej byłoby założyć podsłuch na wszystkich, ale do tego trzeba by więcej fachowców, ci zaś i tak mieli pełne ręce roboty w Bagdadzie. Generał wszedł do apartamentu zajętego przez kontrwywiad, zdjął kurtkę mundurową, rzucił ją spoconemu adiutantowi, który przytaszczył za nim dwie walizy wypełnione dokumentami, stanął przy oknie i spojrzął w dół, na hotelowy basen. Chętnie bym trochę popływał, pomyślał, ale w tej samej chwili zauważył, jak dwaj żołnierze napełniają butelki wodą z basenu, a dwaj inni oddają do niego mocz. Westchnął z rezygnacją i wzruszył ramionami. Rahmani miał trzydzieści siedem lat, był krótko ostrzyżonym, przystojnym mężczyzną o gładko ogolonej twarzy. Nie zawracał sobie głowy zapuszczaniem wąsów, które upodobniłyby go do Saddama Husajna. Wiedział, że znalazł się na tym stanowisku ze względu na swoje kwalifikacje, nie zaś przez jakieś partyjne układy. Był jednym z niewielu zawodowców w świecie politycznych kretynów.

- Dlaczego służysz temu reżimowi? - pytali go nieraz znajomi z zagranicy. Pytanie to padało zazwyczaj wówczas, kiedy udało mu się upić ich w barze hotelu Rashid albo w jakimś innym, bardziej ustronnym miejscu. Pozwalano mu kontaktować się z nimi, ponieważ między innymi na tym właśnie polegała jego praca, ale on pozostawał całkowicie trzeźwy. Bynajmniej nie wzdragał się przed alkoholem z pobudek religijnych - zawsze zamawiał gin z tonikiem, ale barman wiedział, że ma mu podawać sam tonik.

Uśmiechał się więc, wzruszał ramionami i odpowiadał:

- Jestem Irakijczykiem i jestem z tego dumny. Jak myślisz, jakiemu rządowi powinienem służyć?

W rzeczywistości doskonale wiedział, dlaczego służy reżimowi, którego przywódcami w skrytości ducha serdecznie gardził. Jeżeli w ogóle drzemały w nim jakieś uczucia - a często twierdził, że nie ma żadnych - to dotyczyły one wyłącznie jego kraju i ludzi. Prostych ludzi, o których istnieniu partia Ba's dawno już zapomniała. Jednak podstawowym powodem była chęć osiągnięcia czegoś w życiu. Irakijczycy z jego pokolenia mieli niewiele dróg do wyboru. Mógł uciec z kraju i z trudem wiązać na emigracji koniec z końcem, dorabiając tłumaczeniami i cały czas uciekając przed wysłanymi jego śladem zabójcami, albo pozostać w Iraku. Zdecydowawszy się na to drugie, miał do wyboru trzy rozwiązania: prowadzić działalność opozycyjną, by pewnego dnia trafić w łapy tego oprawcy Umara Chatiba - nienawidził go z głębi duszy, wiedząc doskonale, że tamten w pełni odwzajemnia to uczucie; próbować przetrwać jako niezależny biznesmen w kraju, którego gospodarka już od wielu lat była systematycznie niszczone; przytakiwać idiotom i piąć się ciągle w górę dzięki swej inteligencji i zdolnościom.

Nie widział w tym niczego niewłaściwego. Postępuje jak Reinhard Gehlen, który najpierw służył Hitlerowi, potem Amerykanom, a wreszcie Niemcom Zachodnim, czy jak Marcus Wolf - pracował, dla wschodnioniemieckich komunistów nie wierząc w ani jedno ich słowo. On także był wytrawnym szachistą. Żył dla gry, dla subtelnej rozgrywki między wywiadem i kontrwywiadem, Irak zaś stanowił jego prywatną szachownicę. Wiedział, że zawodowiec z każdego kraju na świecie zrozumiałby go bez żadnych problemów.

Hasan Rahmani odwrócił się od okna, usiadł w fotelu za biurkiem i wziął się do sporządzania notatek. Czekają go mnóstwo roboty, jeżeli chciał doprowadzić do tego, żeby Kuwejt stał się całkowicie bezpieczny jako dziewiętnasta prowincja Iraku.

Podstawowy problem polegał na tym, że nikt nie wiedział, jak długo Saddam Husajn chce pozostać w Kuwejcie. Rahmani mocno wątpił, czy dyktator sam ma na ten temat jakiegokolwiek wyobrażenie. Gdyby Irak wkrótce się wycofał, wówczas montowanie zakrojonej na szeroką skalę operacji kontrwywiadowczej miałyby się z celem. W głębi duszy generał Rahmani uważał, że Saddam ma szansę wyjść z awantury z całą skórą, ale pod warunkiem, że będzie działał bardzo ostrożnie, robiąc tylko to, co należy i mówiąc wyłącznie rzeczy, które inni chcą usłyszeć. Na początek należało przyjąć zaproszenie na konferencję w Dżiddzie, zasypać króla Fahda taką stertą komplementów, żeby się pod nimi udusił, i wmówić mu, że Irak pragnie tylko uczciwego porozumienia w sprawie wydobycia ropy, dostępu do Zatoki oraz dużych kredytów. W ten sposób, nie dopuszczając do sprawy Amerykanów i Anglików, Saddam mógł wykorzystać skłonność Arabów do ciągnącego się w nieskończoność targowania się i gadania.

Zachód, który nawet nad najważniejszymi zagadnieniami nie potrafił koncentrować się dłużej niż przez kilka tygodni, wreszcie znudziłby się i pozostawił sprawę w rękach czterech Arabów – dwóch królów i dwóch prezydentów, żądając w zamian tylko jednego: żeby ropa nadal płynęła nieprzerwanym strumieniem. Jeżeli w Kuwejcie nie doszłoby do jakichś bulwersujących wydarzeń, prasa i telewizja także bardzo szybko straciłyby zainteresowanie, reżim As-Sabaha szczyłby na wygnaniu, Kuwejtczyki przywykliby do życia pod nowym władcą, a dyplomaci uczestniczący w konferencji mełliby językami tak długo, aż wreszcie przestałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Jednak po to, aby wydarzenia mogły potoczyć się właśnie w taki sposób, należało postępować bardzo rozważnie i sprytnie – dokładnie tak jak niegdyś Hitler. "Pragnę tylko znaleźć pokojowe rozwiązanie konfliktu, nie chcę dokonywać już żadnych podbojów". Król Fahd z pewnością dałby się na to nabrać, tym bardziej że w gruncie rzeczy nikt specjalnie nie lubił Kuwejtczyków, a już szczególnie tej bandy As-Sabaha. Król Fahd i król Husajn zostawiają ich własnemu losowi, tak samo jak Chamberlain postąpił z Czechami w roku 1938.

Problem polegał jednak na tym, że Saddam był wprawdzie niesamowicie chytry i przebiegły – w przeciwnym razie już dawno by nie żył – ale jego wyczucie polityczne równało się zeru. Niemal na pewno popełni jakiś błąd: ani się nie wycofa, ani nie ruszy zdecydowanie naprzód, by zająć saudyjskie pola naftowe. Postawi wówczas Zachód przed wyborem: przymknąć oczy i udawać, że nic się nie stało, albo rozpętać wojnę, w wyniku której światowe wydobycie ropy na długie lata spadłoby do jednej trzeciej obecnego poziomu, co oznaczałoby konieczny koniec zamożności.

Zachód to przede wszystkim Amerykanie i Brytyjczycy, czyli Anglosasi. Rahmani dobrze znał tych ludzi. Chodząc przez pięć lat do szkoły podstawowej pana Hartleya nauczył się mówić biegle po angielsku, rozumieć Anglików, i liczyć się z tym, że w każdej chwili mogą bez ostrzeżenia rąbnąć cię pięścią w szczękę.

Potarł podbródek w miejscu, w którym wiele lat temu wylądował taki niespodziewany cios, i roześmiał się głośno. Jego adiutant siedzący po drugiej stronie pokoju podskoczył na krześle. Mikę, gdzie się teraz podziewasz i co się z tobą dzieje?

Hasan Rahmani – bystry, kulturalny, wykształcony światowiec służący reżimowi składającemu się w przeważającej części z bandytów i złodziei, pochylił się nad biurkiem i zabrał do pracy. Czekają go nieliczne zadania. Spośród 1800 000 ludzi, którzy mieszkali w Kuwejcie, zaledwie 600000 było Kuwejtczykami. Należało do nich dodać także około 600000 Palestyńczyków, z których część z pewnością pozostanie lojalna wobec swojej drugiej

ojczyzny, część poprze Irak, ponieważ tak właśnie uczyniła Organizacja Wyzwolenia Palestyny, większość zaś położy uszy po sobie i po prostu postara się przeżyć; 300000 Egipcjan – wśród nich ponad wszelką wątpliwość znajduje się sporo agentów pracujących dla Kairu, a tym samym dla Londynu i Waszyngtonu; wreszcie 250000 Pakistańczyków, Hindusów i Filipińczyków, w większości wykształconych robotników i służących – Rahmani był przekonany, że bez pomocy służącego żaden Kuwejtczyk nie potrafiłby nawet odgonić muchy, która usiadłaby mu na tyłku. Oprócz tego naliczył jeszcze około 50000 obywateli "pierwszego świata": Anglików, Amerykanów, Francuzów, Niemców, Hiszpanów, Szwedów, Duńczyków – kogo tylko dusza zapragnie. I on ma w tym bigosie zidentyfikować agentów obcych wywiadów, albo przynajmniej uniemożliwić im działalność... Rahmani z nostalgią wspominał czasy, kiedy po to, by przekazać wiadomość, posługiwano się telefonem albo kurierem. Wystarczyło wówczas zamknąć granice i przerwać połączenia telefoniczne. Teraz jednak byle głupiec z nadajnikiem wyposażonym w odpowiednią antenę mógł skierować ją na satelitę, wystukać numer na klawiaturze telefonu komórkowego i gadać do woli z Kalifornią. Oczywiście można go zlokalizować, ale jedynie za pomocą najnowocześniejszego sprzętu, którego było stanowczo za mało. Zdawał sobie doskonale sprawę, że nie uda mu się powstrzymać przecieku informacji ani wyłapać wszystkich uchodźców, którzy próbują przedostać się na drugą stronę granicy. Nie mógł także nic zdziałać przeciwko amerykańskim satelitom szpiegowskim; przypuszczał, że zostały już przeprogramowane w taki sposób, żeby orbita każdego z nich przebiegała nad terytorium Iraku lub Kuwejtu. Miał całkowitą rację.

Nie chciało mu się silić na osiągnięcie czegoś, czego osiągnąć się nie da. Musiał jednak stworzyć pozory, iż nie tylko spróbował to zrobić, ale że próba zakończyła się całkowitym sukcesem. Głównym celem powinno stać się przeciwdziałanie aktom sabotażu, zabijaniu Irakijczyków, niszczeniu sprzętu wojskowego oraz tworzeniu się struktur zorganizowanego ruchu oporu. Bardzo ważne było także, by członkowie tego ruchu nie otrzymali żadnej pomocy z zewnątrz. Wynikało z tego, że przyjdzie mu rywalizować z tajną policją, której siedziba znajdowała się dwa piętra niżej. Szefem placówki w Kuwejcie został Sabawi, osobnik tak samo prymitywny i brutalny jak jego zwierzchnik, Umar Chatib. Jeżeli jacyś Kuwejtczycy wpadną w jego ręce, bardzo szybko nauczą się wyc równie głośno jak iraccy dysydenci w Bagdadzie. W związku z tym on, Rahmani, skoncentruje się na cudzoziemcach.

Tego samego dnia tuż przed południem, doktor Terry Martin skończył zajęcia na Wydziale Orientalistyki i Afrykanistyki Uniwersytetu Londyńskiego, mieszczącym się przy Gowen Street, i wrócił do pokoju przeznaczanego dla starszych wykładowców. Zaraz za drzwiami zderzył się z Mabel, sekretarką, z której usług oprócz niego korzystali Jeszcze dwaj arabiści.

– Och, doktor Martin! Mam dla pana wiadomość. – Oparła czarną aktówkę na okrytym tweedową spódnicą kolanie i wyjęła z niej pojedynczą kartkę. – Dzwonił ten pan i prosił, żeby skontaktował się pan z nim najszybciej, jak tylko to będzie możliwe. Martin położył na swoim biurku notatki dotyczące kalifatu abbasydzkiego i podszedł do automatu telefonicznego. Po drugim sygnale usłyszał energiczny kobiecy głos, który poinformował go, z jakim numerem udało mu się połączyć. Żadnego nazwiska ani nazwy firmy, tylko numer.

– Czy zastałem pana Stephena Lainga? – zapytał Martin.

– Mogę wiedzieć, kto mówi?

– Martin. Terry Martin. Pan Laing dzwonił do mnie.

- Tak, doktorze Martin. Zechce pan chwilę poczekać?
Uczony zmarszczył brwi. Kobieta sprawiała wrażenie, jakby go znała, a w dodatku najwyraźniej wiedziała o telefonie Lainga. On jednak, choć wyteżał pamięć jak mógł, nie potrafił przypomnieć sobie żadnego człowieka o tym nazwisku. Kilka sekund później w słuchawce rozległ się męski głos:

- Mówi Steve Laing. Jestem panu ogromnie wdzięczny, doktorze, że zechciał pan natychmiast zadzwonić. Jakiś czas temu poznaliśmy się w Instytucie Badań Strategicznych, tego dnia, kiedy wygłosił pan swój znakomity wykład na temat irackiego przemysłu zbrojeniowego. Wiem, że zabrzmiało to trochę dziwnie, ale czy zechciałby pan spotkać się ze mną w porze lunchu?

Laing, kimkolwiek był, posiadał w mistrzowskim stopniu umiejętność grzecznego, niemniej jednak stanowczego narzucania swojej woli.

- Dzisiaj?

- Chyba że jest pan już umówiony. Dokąd się pan wybiera?

- Do bufetu, na kanapki.

- A może skusiłby się pan na solę u Scotta? Z pewnością wie pan, gdzie to jest: na Mount Street.

Rzeczywiście, Martin słyszał o tym lokalu, chyba najlepszej, a na pewno najdroższej restauracji rybnej w Londynie. Najwyżej dwadzieścia minut taksówką. Jest dopiero wpół do pierwszej, on uwielbia ryby, a ceny u Scotta z pewnością nie były ustalane z myślą o niezamożnych pracownikach naukowych. Czyżby Laing wiedział o tym wszystkim?

- Czy pan naprawdę jest z Instytutu Badań Strategicznych?

- Wyjaśnię to podczas lunchu, doktorze. Powiedzmy, o pierwszej. Do zobaczenia.

Połączenie zostało przerwane.

Kiedy Martin wszedł do restauracji, powitał go sam kierownik sali.

- Doktor Martin? Pan Laing czeka już przy stoliku. Proszę za mną.

Stolik stał w odległym zakątku sali, w miejscu, gdzie można było spokojnie pogawędzić bez obawy o to, że ktoś ciekawski podsłucha rozmowę. Kiedy Laing wstał, żeby się przywitać, Martin nabrał pewności, że pierwszy raz w życiu widzi tego szczupłego, kościstego mężczyznę o przerzedzonych, siwiejących włosach, w ciemnym garniturze i stonowanym krawacie. Laing wskazał swemu gościowi krzesło, po czym uniósł pytająco jedną brew, spoglądając na butelkę znakomitego meursault, której szyjka wystawała z wiaderka z lodem. Martin skinął głową.

- A więc jednak nie ma pan nic wspólnego z Instytutem?

Laing nie okazał ani zdziwienia, ani niepokoju. Zaczekał, aż kelner naleje wino i poda karty potraw, po czym podniósł kieliszek i uśmiechnął się do Martina.

- Pracuję w Century House. Czy to pana niepokoi?

Siedziba brytyjskiego wywiadu (SIS) mieści się w Century House, dość obskurnym budynku usytuowanym na południe od Tamizy, między Elephant, Castle i Old Kent Road. Rozkład pomieszczeń we wnętrzu nie najmłodszej już budowli jest tak skomplikowany, że goście właściwie nie potrzebują przepustek, gdyż zostawieni samym sobie gubią się w ciągu kilku sekund, a najdalej po kilku minutach zaczynają z obłędem w oczach wzywać pomocy.

- Nie, ale przyznaję, że zainteresował mnie pan.

- Obawiam się, że to my jesteśmy panem zainteresowani.

Podziwiam pana, doktorze i choć nie zawsze mogę nadażyć za pańskimi koncepcjami, staram się śledzić na bieżąco wszystkie pańskie dokonania.

- Doprawdy, trudno mi w to uwierzyć - odparł Martin.

Komplement sprawił mu jednak przyjemność. Każdy uczony lubi wysłuchiwać pochwał na swój temat.

•- Kiedy to prawda - zapewnił go Laing. - Dla pana też sole? Znakomicie. Mam nadzieję, że zdołałem zapoznać się ze wszystkimi opracowaniami, jakie dostarczał pan Instytutowi, ludziom z MSZ i Chatham House. Ma się rozumieć, czytałem także te dwa artykuły w Survival

W ciągu ostatnich pięciu lat, pomimo swojego młodego wieku, doktor Martin zyskał opinię znakomitego eksperta, dokonując analiz dla potrzeb Instytutu Badań Strategicznych, Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Chatham House. Survival jest czasopismem wydawanym przez Instytut; dwadzieścia pięć egzemplarzy każdego numeru wędruje natychmiast do siedziby MSZ przy King Charles Street, skąd pięć dociera nieco później do Century House. Terry Martin okazał się cenionym współpracownikiem tych instytucji nie dlatego, że był wybitnym specjalistą od średniowiecznej Mezopotamii, ale ze względu na swoje prywatne zainteresowania. Otóż wiele lat temu zaczął zbierać informacje na temat sił zbrojnych państw Bliskiego Wschodu, odwiedzając wszystkie targi i wystawy oraz zawierając przyjaźnie z producentami i ich arabskimi klientami, w czym walnie pomogła mu biegła znajomość języka. Po dziesięciu latach stał się czymś w rodzaju chodzącej encyklopedii, wypełnionej od pierwszej do ostatniej strony szczegółowymi informacjami na pasjonujący go temat. Cieszył się opinią najwybitniejszego fachowca w tej dziedzinie, podobnie jak amerykański pisarz Tom Clancy, który jest z kolei uważany za największego znawcę uzbrojenia NATO i państw dawnego Układu Warszawskiego. ,<

Podano sole i mężczyźni zaczęli jeść ze smakiem.

Osiem tygodni wcześniej Steve Laing, który już wówczas zajmował stanowisko kierownika operacyjnego Sekcji Bliskowschodniej SIS, zamówił w Dziale Osobowym szczegółowy życiorys Terry'ego Martina. Treść tego dokumentu wywarła na nim ogromne wrażenie.

Urodzony w Bagdadzie, wychowany w Iraku, przeniósłszy się do Anglii ukończył szkołę średnią w Haileybury z wyróżnieniami z angielskiego, historii oraz francuskiego i otrzymał możliwość wyboru stypendium w Oksfordzie lub Cambridge.

Jednak chłopiec, który mówił po arabsku niemal równie biegle jak po angielsku, pragnął pogłębiać znajomość tego egzotycznego języka, w związku z czym, wiosną 1973 roku zgłosił się na Wydział Arabistyki Uniwersytetu Londyńskiego. Naturalnie powitano go tam z otwartymi ramionami i jesienią rozpoczął naukę, jako główny temat studiów wybierając historię Bliskiego Wschodu.

Po trzech latach otrzymał tytuł magistra, po dalszych trzech zaś doktoryzował się z historii Iraku od ósmego do piętnastego wieku, ze szczególnym uwzględnieniem kalifatu abbasydzkiego, który istniał w latach 750-1258. Po obronie pracy doktorskiej wziął roczny urlop i wyjechał do Iraku. W roku 1980 zastał go tam wybuch wojny iracko-irańskiej, co przyczyniło się do pogłębienia jego zainteresowań zagadnieniami militarnymi tego rejonu świata.

Zaraz po powrocie, w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat, otrzymał propozycję objęcia stanowiska wykładowcy na wydziale orientalistyki i afrykanistyki. Było to dla niego ogromne wyróżnienie, ponieważ wydział ten cieszy się opinią jednego z najlepszych ośrodków studiów nad językiem arabskim na świecie. Przez cały czas nie zaniedbywał własnej pracy naukowej, dzięki czemu habilitował się mając trzydzieści cztery lata; wszelkie znaki na niebie i ziemi świadczyły o tym, że jeszcze przed czterdziestką zostanie profesorem.

Tyle Laing dowiedział się z życiorysu. Najbardziej jednak

interesowała go sprawa, o której w dokumencie wspomniano tylko mimochodem, to znaczy prywatne zainteresowania uczonego arsenalami państw Bliskiego Wschodu. Przez wiele lat było to drugorzędne zagadnienie, przesłonięte problemami zimnej wojny, ale teraz...

- Chodzi o tę sprawę z Kuwejtem - powiedział wreszcie.

Ryba znikła z talerzy, ale żaden z mężczyzn nie czuł się na siłach zmierzyć z deserem. Butelka meursault także była już prawie pusta. Laing zaś zatroszczył się o to, aby większa część jej zawartości trafiła do żołądka Martina. Teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na stole pojawiły się dwa kieliszki porto.

- Jak się pan zapewne domyśla, ta sprawa wywołała sporo zamieszania.

Laing użył bardzo delikatnego eufemizmu. Żelazna Dama wróciła z Kolorado w "boadiceowski" nastroju. Było to określenie upamiętniające starożytną brytyjską królową, znaną z tego, że kazała przymocowywać do kół swojego rydwanu sterczące prostopadle na boki ostrza mieczy, by w ten skuteczny sposób rozprawiać się z Rzymianami, którzy mieli nieszczęście wejść jej w drogę. Podobno minister spraw zagranicznych Douglas Hurd całkiem poważnie zastanawiał się, czy nie sprawić sobie stalowego hełmu, jego podwładni zaś zasypywali Century House żadaniami o jak najwięcej światłych rad i wskazówek.

- Chcielibyśmy przerzucić do Kuwejt u kogoś, kto poinformowałby nas, jak dokładnie sprawy stoja.

- Pod iracką okupację?

- Na to wygląda.

- A jaka jest w tym moja rola?

- Będę z panem szczerzy, doktorze - powiedział Laing, który wcale nie zamierzał mówić prawdy. - Musimy wiedzieć, co się tam właściwie dzieje. Interesuje nas iracka armia okupacyjna - ilu liczy żołnierzy, jak są wyszkoleni, jakim dysponują sprzętem. Chcemy by ktoś zebrał jak najwięcej informacji o naszych rodakach - jak dają sobie radę, czy grozi im poważne niebezpieczeństwo, jakie są szanse na wydostanie ich z Kuwejt u. Potrzebujemy człowieka tam, na miejscu. Od tego może bardzo wiele zależeć. Toteż szukamy kogoś, kto mówi po arabsku jak Kuwejtczyk albo Irakijczyk. Pan spędził wśród Arabów szmat życia, znacznie więcej niż ja, więc...

-*-* Przecież tu, w Wielkiej Brytanii, muszą być setki Kuwejt-
czyków, którzy chętnie podjęliby się tego zadania?

Laing sięgnął po wykałaczkę i zaczął od niechcienia dłubać nią w zębach.

- Szczerze mówiąc, wolelibyśmy kogoś z naszych.

- Anglika? Anglika, który wśród Arabów mógłby uchodzić za jednego z nich?

- Otóż to. Obawiam się jednak, że nie uda nam się znaleźć nikogo takiego.

Zawiniło albo znakomite białe wino, albo porto. Terry Martin nie zwykł pijać wina do posiłków. Potem chętnie odgryzłby sobie język, gdyby dzięki temu udało mu się cofnąć wskazówki zegara, ale było już za późno.

- Znam kogoś, kto by się nadawał. To mój brat Mikę. Jest majorem SAS. Bez trudu mógłby udawać Araba.

Serce zabiło Laingowi żywiej w piersi, ale oficer wywiadu nie dał po sobie niczego poznać.

- Doprawdy? - mruknął obojętnie, wyjąwszy z ust wykałaczkę, którą wreszcie udało mu się usunąć tkwiący uporczywie między zębami kawałek ryby. - Doprawdy?...

Rozdział trzeci

Steve Laing wracał taksówką do Century House podniecony

i nieco zdziwiony. Umówił się na lunch ze znakomitym arabista w nadziei, że uda mu się zaangażować go do innego zadania, o którym wciąż pamiętał, sprawę Kuwejtu zaś poruszył jedynie mimochodem, żeby zwabić uczonego w pułapkę.

Po latach doświadczeń wiedział bowiem, że zawsze należy zaczynać od pytania lub prośby, której "obiekt" nie jest w stanie spełnić, dopiero potem zaś przystępować do meritum sprawy. Specjalista, który nie potrafił udzielić odpowiedzi na pierwsze pytanie, albo nie mógł w jakiś inny sposób zadośćuczynić oczekiwaniom rozmówcy, zazwyczaj stawał na głowie, by okazać się jak najbardziej pomocnym w drugiej sprawie.

Niespodziewana deklaracja doktora Martina dała odpowiedź na pytanie, jakie padło poprzedniego dnia podczas spotkania na bardzo wysokim szczeblu, które odbyło się w Century House. Wszyscy zgodzili się wówczas, że jest to jedynie pobożne życzenie, ale teraz, gdyby okazało się, że doktor Martin ma rację... Brat władający arabskim jeszcze lepiej od niego... W dodatku służący w Specjalnych Siłach Powietrznych, a więc obeznany z zasadami konspiracji... Bardzo interesujące.

Dotarłszy do Century House Laing udał się prosto do swego bezpośredniego przełożonego, kierownika Sekcji Bliskowschodniej. Po godzinnej rozmowie obaj poszli na górę, do jednego z dwóch zastępców szefa SIS.

Brytyjski wywiad, czyli Secret Intelligence Service, szerzej znany pod tyleż popularną co nieadekwatną nazwą MI-6, nawet w czasach "otwartych" rządów pozostaje tajemniczą organizacją, pilnie strzegącą swoich sekretów. Dopiero nie tak dawno rząd Jej Królewskiej Mości przyznał oficjalnie, że SIS w ogóle istnieje, a jeszcze później, bo w roku 1991, ten sam rząd podał do wiadomości nazwisko szefa SIS. Większość fachowców z branży uważała to posunięcie za niecelowe i krótkowzroczne, gdyż odniosło jedynie ten skutek, że ów nieszczęsny dżentelmen musiał oswoić się z koniecznością posiadania ochrony osobistej, naturalnie opłacanej z funduszy publicznych. Takie oto niebezpieczeństwa czyhają na tych, którzy za wszelką cenę starają się grać w otwarte karty.

Nazwiska funkcjonariuszy SIS nie są zebrane na żadnej osobnej liście; poupychano je na listach zatrudnienia w wielu państwowych urzędach, przede wszystkim zaś w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, któremu oficjalnie podlega wywiad. Także środki finansowe, przeznaczone na działalność operacyjną, docierają okrężnymi drogami, najczęściej także za pośrednictwem różnych ministerstw. Nawet usytuowanie Kwatery Głównej przez wiele lat stanowiło pilnie strzeżoną tajemnicę państwową, dopóki nie okazało się, że każdy londyński taksówkarz poproszony o zawiezenie pasażera do Century House uśmiecha się i mówi: "A, do naszych szpiegów?" Dopiero wówczas uznano, że jeśli adres siedziby brytyjskiego wywiadu nie jest tajemnicą dla taksówkarzy, to należy się poważnie liczyć z możliwością, iż poznał go także KGB.

Choć nie tak słynna jak CIA, a w dodatku nieporównywalnie mniejsza i znacznie uboższa, Firma zyskała sobie znakomitą reputację ze względu na jakość swoich produktów, to znaczy zdobywanych informacji - i to zarówno wśród przyjaciół, jak i wrogów. Spośród czołowych agencji wywiadowczych świata tylko izraelski Mosad jest mniej liczny i jeszcze bardziej zakonspirowany. Człowiek, który kieruje działalnością Firmy, nawet przy zupełnie oficjalnych okazjach zwany jest Szefem, nigdy natomiast - wbrew temu, co często wypisuje prasa - Dyrektorem Generalnym. Tym drugim tytułem posługuje się szef siostrzanej organizacji MI-5, odpowiedzialnej za kontrwywiad.

W wewnętrznym żargonie Firmy o Szefie nigdy nie mówi się inaczej niż "C", co, wbrew pozorom, nie ma nic wspólnego ze

słowem "szef (chief), lecz wzięło się od nazwiska pierwszego Szefa w historii Firmy, nieżyjącego już od dawna admirała, sir Mansfielda Cummingsa.

Szef ma dwóch zastępców, ci zaś pięciu asystentów kierujących pięcioma głównymi wydziałami: Operacyjnym (który zbiera zdobywane tajnymi kanałami informacje), Wywiadu (analizuje dane, by stworzyć w miarę jasny i przejrzysty obraz), Technicznym (odpowiada za fałszywe dokumenty, miniaturowe aparaty fotograficzne, szyfry, systemy łączności oraz wszystkie inne urządzenia niezbędne do tego, żeby dokonać czegoś nielegalnego, a potem szybko wynieść się z niezdrowej okolicy), Administracyjnym (ustala pensje, opłaca emerytury, sporządza sprawozdania finansowe, kartoteki, itp.) oraz Kontrwywiadu (który stara się uchronić Firmę przed wroga infiltracją).

Wydział Operacyjny tworzą sekcje: Półkuli Zachodniej, Bloku Sowieckiego, Afryki, Europy, Bliskiego Wschodu, Azji i Australii, a także Sekcja Łączności - do jej obowiązków należy delikatne zadanie koordynowania współpracy z "zaprzyjaźnionymi" agencjami.

Szczerze mówiąc, rzeczywista struktura SIS nie jest aż tak prosta i przejrzysta (nic co angielskie nigdy nie jest do końca proste i przejrzyste), ale mimo to Firmie już od wielu lat udaje się działać z całkiem niezłym skutkiem.

W sierpniu 1990 roku w centrum uwagi znalazła się Sekcja Bliskowschodnia, a szczególnie komórka iracka. Można było odnieść wrażenie, że nagle wszyscy urzędnicy z Westminsteru i Whitehallu stali się jej wielbicielami i zjawili się rozwrzeszczaną, podnieconą gromadą.

Zastępca Szefa wysłuchał uważnie, co mają mu do powiedzenia kierownik sekcji i kierownik operacyjny dla tego rejonu, po czym kilkakrotnie skinął głową. Ich propozycje zapowiadały się dość obiecująco.

Problem wcale nie polegał na tym, że z Kuwejtu nie dochodziły żadne informacje. Wręcz przeciwnie. W ciągu pierwszych czterdziestu ośmiu godzin po inwazji, zanim Irakijczycy zdążyli odciąć międzynarodową łączność telefoniczną, każdy z miejscowych przedstawicieli brytyjskich firm zdążył co najmniej kilkakrotnie połączyć się z centralą, kuwejcka ambasada zaś bombardowała Ministerstwo Spraw Zagranicznych coraz bardziej alarmującymi monitami, domagając się natychmiastowego oswobodzenia kraju.

Niestety, żadnej z tych informacji nie można było uznać za stuprocentowo wiarygodną. Sam minister spraw zagranicznych stwierdził sarkastycznie, że Kuwejt po inwazji zamienił się w "mrowisko, do którego ktoś wrzucił świecę dymną"..

Jeżeli chodzi o personel ambasady, to został unieruchomiony na terenie placówki nad samym brzegiem Zatoki, niemal w cieniu pałacu emira. Z gmachu ambasady próbowano skontaktować się telefonicznie z obywatelami brytyjskimi, których dane (niezbyt dokładne) znajdowały się na częściowo zdezaktualizowanej liście, wobec czego trudno było się dowiedzieć, czy nic im nie grozi. Obywatele ci - w przeważającej większości biznesmeni - donosili tylko, że od czasu do czasu słyszą strzały. Trudno się dziwić, że fachowcy z Century House mieli kwaśne miny, kiedy stanęli wobec konieczności szczegółowego zanalizowania sytuacji na podstawie tak "precyzyjnych" raportów.

Doskonale wyszkolony człowiek, znający język, w dodatku podobny do Araba... Tak, to mogłoby być interesujące. Po pierwsze dostarczyłby wreszcie konkretnych, wyczerpujących informacji o tym, co się tam właściwie dzieje, a po drugie, może udałoby się pokazać politykom, że brytyjski wywiad jednak coś robi, a przy okazji sprawić, żeby William Webster z CIA udławił się swoim

poobiednim cukierkiem miętowym.

Co do samej pani premier, to zastępca Szefa wiedział doskonale, że po tym pamiętnym majowym popołudniu 1980 roku, kiedy oddział SAS rozniósł na strzepy terrorystów, którzy zajęli irańską ambasadę w Londynie, Margaret Thatcher darzy żołnierzy tej formacji ogromnym podziwem – tak się zresztą składa, że z wzajemnością. Wieczór po akcji spędziła wówczas w koszarach przy Albany Road, pijąc whisky i słuchając opowieści o ich niezwykłych wyczynach.

– Mam wrażenie, że będę musiał umówić się na pogawędkę z Dyrektorem Sił Specjalnych – powiedział wreszcie zastępca Szefa. Oficjalnie Specjalne Siły Powietrzne (SAS) nie mają nic wspólnego z wywiadem (SIS). 22. batalion (23. znajduje się w odwodzie i wchodzi do służby czynnej tylko w nadzwyczajnych wypadkach), stacjonuje w koszarach w pobliżu miasteczka Hereford w zachodniej Anglii. Jego dowódca podlega bezpośrednio Dyrektorowi Sił Specjalnych (DSF), urzędującemu w biurze na ostatnim piętrze niegdyś eleganckiej londyńskiej kamienicy, której fasada niemal bez przerwy zasłonięta jest pajęczą siecią rusztowań. Skromny wygląd tego miejsca sprawia, iż mało kto byłby skłonny uwierzyć, jak ważne planuje się tu operacje.

Dyrektor Sił Specjalnych podlega Dyrektorowi Operacji Wojskowych (zawsze w stopniu generała), ten z kolei szefowi Sztabu Generalnego (także generałowi, tyle tylko, że wyższemu rangą), Sztab Generalny zaś podlega ministrowi obrony.

Przymiotnik "specjalne" w nazwie SAS nie pojawił się tam przypadkowo. Siły Specjalne od chwili kiedy w 1941 roku zostały założone przez Davida Stirlinga, zawsze działały w ukryciu. Ich zadania to między innymi wypadki w głąb terytorium przeciwnika, zazwyczaj w celu zdobywania informacji, ale często także po to, by dokonać aktów sabotażu, eliminować terrorystów, uwalniać zakładników oraz sprawować opiekę nad bogatymi i wpływowymi. Podobnie jak członkowie wszystkich elitarnych oddziałów, żołnierze i oficerowie SAS prowadzą spokojne życie we własnym środowisku, nie mogą rozmawiać o swojej pracy z nikim obcym, nie pozwalają się fotografować i w ogóle niezmiernie rzadko wychodzą z cienia.

Ponieważ życie tych dwóch społeczności jest tak bardzo podobne, ludzie z SIS i SAS znają się przynajmniej z widzenia, w przeszłości zaś często razem działali, albo podczas wspólnych operacji, albo wówczas, gdy wywiad "pożyczył" któregoś z żołnierzy, aby wykonał jakieś szczególne zadanie. Właśnie coś takiego miał na myśli zastępca Szefa SIS, kiedy wieczorem zjawił się w tajnej kwaterze głównej SAS w Londynie, gdzie czekali już na niego generał J. P. Lovat oraz szklaneczka znakomitej whisky.

W tym samym czasie niczego nieświadomy obiekt negocjacji, które rozpoczęły się zaraz potem, przebywał w koszarach wiele tysięcy kilometrów od Londynu i studiował rozłożoną na stole mapę. Od ośmiu tygodni wraz z jedenastoma instruktorami mieszkał w części koszar zajmowanej przez osobistą ochronę szejka Zajda z Abu Zabi.

Batalion wielokrotnie już podejmował się podobnych zadań. Wzdłuż zachodniego brzegu Zatoki Perskiej, poczynając od Omanu na południu, na Bahrajnie na północy kończąc, ciągnie się łańcuch sułtanatów, emiratów i szejkanatów, od wielu stuleci pozostających pod wyraźnymi wpływami Brytyjczyków. Oman Traktatowy – obecnie Zjednoczone Emiraty Arabskie – otrzymały poprzednią nazwę dlatego, że Wielka Brytania zawarła z nimi układ, na mocy którego – w zamian za pewne przywileje w prowadzeniu handlu w tym rejonie świata – Royal Navy miała chronić je przed atakami piratów. Bliskie związki dotrwały do naszych czasów, a wielu

spośród władców małych państewek ma oddziały straży przybocznej przeszkolone przez specjalistów z SAS. Opłaty za te konsultacje trafiają do kasy Ministerstwa Obrony w Londynie.

Major Mike Martin rozłożył na zaśmieconym stole wielką mapę rejonu Zatoki Perskiej i studiował ją uważnie wraz z kilkoma podkomendnymi. Mimo iż skończył trzydzieści siedem lat, nie był jednak najstarszy w pokoju; dwaj sierżanci przekroczyli już czterdziestkę, ale mieli tak znakomitą kondycję fizyczną, że nawet ktoś dwukrotnie młodszy popełniłby poważny błąd, gdyby postanowił się z nimi zmierzyć.

– Znajdzie się dla nas jakaś robota? – zapytał jeden z sierżantów.

– Nie wiem – odparł Martin. – Saddam wkroczył do Kuwejtu, więc teraz musimy trochę poczekać, żeby się przekonać, czy wycofa się z własnej woli, a jeśli nie, to czy Rada Bezpieczeństwa postanowi go stamtąd wyrzucić? Jeżeli tak się stanie, to jestem niemal pewien, że będziemy mieli w tym swój udział.

– To dobrze – odparł z zadowoleniem sierżant, a pozostała szóstka skinęła poważnie głowami. Minęło już dużo czasu – zbyt dużo, ich prywatnym zdaniem – od chwili, kiedy po raz ostatni brali udział w prawdziwej operacji bojowej.

Aby dostać się do Batalionu, należy perfekcyjnie opanować jedną z czterech podstawowych umiejętności: wspinaczkę wysokogórską, prowadzenie specjalnie przerobionego samochodu w bardzo trudnym terenie, skoki spadochronowe z wielkich wysokości oraz nurkowanie, wiosłowanie i żeglowanie.

W swoim dwunastoosobowym oddziale Martin miał czterech skoczków (on również był spadochroniarzem), czterech kierowców, oraz, ze względu na to, że Abu Zabi leży nad Zatoką, czterech nurków.

Oprócz tego, że każdy żołnierz jest najwyższej klasy specjalistą w swojej dziedzinie, musi także mieć jakieś takie pojęcie o każdej z pozostałych, dodatkowo zaś wymaga się od niego umiejętności obsługi radiostacji, udzielania pierwszej pomocy oraz znajomości języków obcych.

Podstawowa grupa uderzeniowa składa się zazwyczaj tylko z czterech ludzi. Jeżeli któryś z nich zostaje wyeliminowany z akcji, trzej pozostali dzielą między siebie jego zadania.

Żołnierze SAS podkreślają z dumą, że są najlepiej wykształceni w całej armii. Podróżują po całym świecie, więc znajomość języków stanowi podstawowy obowiązek. Każdy musi posługiwać się biegle przynajmniej jednym językiem obcym. Przez wiele lat największą popularnością cieszył się rosyjski, ostatnio jednak, po zakończeniu zimnej wojny, zaczął wychodzić z mody. Podczas operacji na Dalekim Wschodzie bardzo przydaje się malajski, a od czasu operacji w Kolumbii, gdzie oddziały SAS walczyły z gangami kokainowymi z Medellin i Cali, coraz większe uznanie zyskuje hiszpański. Francuskiego uczą się wszyscy – tak na wszelki wypadek.

Ponieważ Batalion przez wiele lat pomagał sułtanowi Kabusowi z Omanu w walce z napływającymi z Jemenu Południowego komunistycznymi partyzantami, a także wykonywał misje szkoleniowe w większości pozostałych krajów rejonu Zatoki Perskiej, wielu żołnierzy w całkiem przyzwoitym stopniu opanowało język arabski. Sierżant, który pytał Martina o to, czy znajdzie się coś do roboty, był jednym z nich, ale musiał przyznać, że pod tym względem major nie miał sobie równych. "Nawija lepiej od niejednego Araba – powiedział kiedyś. – Nawet wygląda tak jak oni".

Mike Martin przygładził kruczoczarne włosy ręką o śniadej skórze.

- Pora spać, panowie.

Było dopiero kilka minut po dziesiątej, ale jeszcze przed świtem - później robiło się po prostu za gorąco - czekał ich piętnastokilometrowy bieg po pustyni z podkomendnymi. Miejscowi żołnierze nienawidzili tego punktu porządku dziennego, lecz ich szejek pozostawał nieugięty: jeżeli ci specjaliści z Anglii twierdzą, że miejscowym wyjdzie to na dobre, to znaczy, że mają rację. Poza tym, to on płaci za ich usługi i spodziewa się uzyskać satysfakcjonujące rezultaty.

Major Martin wrócił do kwatery, położył się i natychmiast zapadł w głęboki sen. Sierżant miał rację: Martin wyglądał jak Arab. Jego ludzie przypuszczali, że śniada cera, ciemne oczy i kruczoczarne włosy stanowią spadek po jakichś przodkach z południa Europy. Nie mieli racji, ale on nigdy nie uznał za stosowne wyprowadzić ich z błędu.

Dziadek Terry'ego i Martina ze strony matki był angielskim plantatorem herbaty w Darjeeling w Indiach. Jako dzieci często oglądali zdjęcia tego wysokiego mężczyzny o bardzo jasnej skórze i płowych wąsach, z fajką w zębach i sztuczerem w ręku, stojącego nad ubitym tygrysem.

W roku 1928 Terence Granger dopuścił się niesłychanego występku: nie dość, że zakochał się w Hindusce, to jeszcze postanowił się z nią ożenić. Takie wybryki nie uchodziły płazem. Nie zwolniono go, gdyż wówczas skandal ujrzałby światło dzienne, ale skazano na zesłanie w odciętej od świata plantacji w odległym Assamie. Jednak kara nie spełniła swego zadania, gdyż zarówno Granger jak i jego młoda żona, panna Indira Bohse, pokochali tamtejszą okolicę: surowe, górzyste tereny pełne dzikiego zwierza, strome zbocza porośnięte soczyscie zielonymi krzewami herbacianymi, klimat i ludzi. Tam właśnie, w roku 1930, przyszła na świat Susan. Wychowywała się w Assamie w mieszanej, angielsko-hinduskiej rodzinie, za towarzyszkę zabaw mając wyłącznie miejscowe dziewczęta.

W 1943 roku wojna zastukała do wrót Indii: Japończycy zajęli Birmę i z każdym dniem zbliżali się coraz bardziej. Granger przekroczył już wiek, w którym wcielano do armii, niemniej jednak zgłosił się na ochotnika i po krótkim przeszkoleniu w Delhi otrzymał stopień majora. Wszyscy angielscy ochotnicy zostawali od razu majorami, gdyż było nie do pomyślenia, żeby służyli pod rozkazami hinduskiego oficera; Hindus mógł być co najwyżej porucznikiem, a w wyjątkowych przypadkach kapitanem.

W roku 1945 zginął podczas forsowania rzeki Irrawaddy. Jego ciała nigdy nie odnaleziono. Przepadło bez śladu w gęstej birmańskiej dżungli, podobnie jak ciała dziesiątków innych mężczyzn, którzy mieli pecha i wzięli udział w najbardziej chyba zaciętych walkach, jakie rozegrały się podczas drugiej wojny światowej. Wdowa otrzymała od firmy skromną rentę i wróciła do tych, wśród których wyrosła. Dwa lata później nadeszły nowe kłopoty: podział Indii. Brytyjczycy wracali do domu. Ali Dżinah pragnął utworzyć na północy subkontynentu muzułmański Pakistan, pandit Nehru walczył o hinduistyczne Indie na południu. Kiedy ogromne fale uchodźców ruszyły w tych dwóch kierunkach, doszło do krwawych starć. Zginęło ponad milion ludzi. Pani Granger, obawiając się o bezpieczeństwo córki, posłała ją do młodszego brata swego nieżyjącego męża, architekta z Haslemere w hrabstwie Surrey. Pół roku później straciła życie podczas zamieszek.

W wieku siedemnastu lat Susan Granger po raz pierwszy przybyła do Anglii, kraju jej ojca. Pierwszy rok pobytu spędziła w szkole dla dziewcząt niedaleko Haslemere, następne dwa lata jako pielęgniarka w szpitalu w Farnham, kolejny zaś rok jako

sekretarka miejscowego prawnika.

Zaraz po skończeniu dwudziestu jeden lat - czyli najwcześniej, jak tylko mogła - zgłosiła się jako kandydatka na stewardesę do Brytyjskich Zamorskich Linii Lotniczych i ukończyła kurs w szkole BOAC w Heston pod Londynem. W zdobyciu świadectwa z najwyższą oceną pomogły jej nie tylko umiejętności pielęgniarki, lecz przede wszystkim wygląd i nienaganne maniery.

Była 21-letnią piękną o bujnych kasztanowych włosach, brązowych oczach i skórze pokrytej nigdy nie znikającą, złotawą opalenizną. Przydzielono ją do obsługi linii numer jeden z Londynu do Delhi - było to oczywiste, jako że władała biegle hindi.

W tamtych czasach czterosilnikowy argonaut potrzebował bardzo dużo czasu na odbycie tej podróży. Trasa wiodła z Londynu przez Rzym, Kair, Basrę, Bahrajn, Karaczi do Bombaju, stamtąd zaś do Delhi, Kalkuty, Kolombo, Rangun, Bangkoku, Singapuru, Hongkongu i Tokio. Rzecz jasna, jedna załoga nie wytrzymałaby takiego obciążenia; pierwsza "zmiana warty" następowała w Basrze w południowym Iraku.

Właśnie tam, w roku 1951, przy barze w Klubie Portowym.

Susan poznała dość nieśmiałego młodego urzędnika z Irackiej Kompanii Naftowej, która podówczas stanowiła jeszcze własność Brytyjczyków. Urzędnik - nazywał się Nigel Martin - zdobył się na odwagę i zaprosił ją na kolację. Wielokrotnie ostrzegano ją przed wilkami w owczej skórze. Takim wilkiem mógł okazać się pasażer, ktoś z załogi albo ludzi spotykanych przypadkowo podczas postojów. Ten młody człowiek wydawał się jednak bardzo miły, więc przyjęła zaproszenie. Kiedy później odprowadził ją do hoteliku dla stewardes, na pożegnanie wyciągnął do niej rękę. Była tak zaskoczona, że uścisnęła ją.

A potem długo leżała z otwartymi oczami w przesyconej ogromnym upałem ciemności zastanawiając się, co by się stało, gdyby pocałowała Nigela Martina.

Kiedy następnym razem zjawiła się w Basrze, już na nią czekał. Dopiero po ślubie przyznał się, że wywarła na nim tak wielkie wrażenie, iż poprosił miejscowego przedstawiciela BOAC, Aleksa Reida, by ten dowiedział się, kiedy Susan ponownie znajdzie się w składzie załogi. Przez całą jesień 1951 roku, kiedy tylko nadarzała się okazja, grali w tenisa, pływali w Klubie Portowym i zwiedzali bazyry Basry. Na jego prośbę wzięła urlop i pojechała z nim do Bagdadu, gdzie pracował.

Natychmiast zorientowała się, że jest to miejsce, w którym mogłaby osiąść. Różnobarwny tłum, zapachy wypełniające wąskie uliczki, kuchnie na świeżym powietrzu nad brzegiem Tygrysu, niezliczone sklepiki z ziołami, przyprawami, złotem i biżuterią - wszystko to przypominało jej Indie. Kiedy jej się oświadczył, zgodziła się z radością.

W roku 1952 wzięli ślub w katedrze św. Jerzego, anglikańskiej świątyni mieszczącej się przy ulicy Hajfy, a choć z jej strony nie zjawiła się ani rodzina, ani znajomi, to z ambasady i kompanii naftowej przyszło tyle ludzi, że wypełniali kościół po brzegi. Były to dobre czasy. Życie w Bagdadzie toczyło się powoli i bez przeszkód, na tronie zasiadał młody król Fajsal, krajem zaś rządził Nuri as-Sa'id, sterowany dyskretnie przez Brytyjczyków. Ich wpływy wynikały częściowo z ogromnej roli, jaką w ekonomii kraju odgrywała Iracka Kompania Naftowa, częściowo z faktu, że większość oficerów szkolili Anglicy, przede wszystkim jednak z tego, że cała klasa wyższa została wychowana przez angielskie niańki i angielskich nauczycieli.

W latach 1953 i 1955 przyszli na świat dwaj synowie państwa Martin, którym nadano imiona Michael i Terry. Byli do siebie równie mało podobni jak ogień i woda. W Michaelu do głosu

doszły geny panny Indiry Bohse: czarnowłosa, czarnooka i śniado-skóra, co wśród części brytyjskiej społeczności wywoływało nie-przychylne opinie, że bardziej przypomina Araba niż Europejczyka. O dwa lata młodszy Terry stanowił zwierciadlane odbicie ojca: niski, krępy, o różowej cerze i rudych włosach.

O trzeciej nad ranem dyżurny obudził majora Martina.

- Przyszła wiadomość, sajjidi.

Wiadomość była krótka, ale depesza otrzymała oznaczenie "superpilne", podpisał zaś ją sam Dyrektor Sił Specjalnych. Major Martin miał wsiąść w pierwszy samolot odlatujący do Londynu. Bezzwłocznie przekazał swoje obowiązki kapitanowi, który pełnił funkcję jego zastępcy, a kiedyś dowodził już podobną misją szkoleniową, przebrał się w cywilne ubranie i popędził na lotnisko. Samolot, który o 2.55 odlatywał do Wielkiej Brytanii, powinien już startować, kiedy nagle stewardesa oznajmiła pogodnym tonem, że z "przyczyn obiektywnych" nastąpi 90-minutowe opóźnienie. Ponad setka pasażerów powitała tę wiadomość zirytowanym pomrukiem.

Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi i na pokład wszedł szczupły mężczyzna w dżinsach, wysokich butach, lotniczej kurtce, z torbą turystyczną przerzuconą przez ramię, ci, którzy jeszcze nie spali, obrzucili go wściekłymi spojrzeniami. Dodatkowy pasażer został posadzony w pierwszej klasie i zaledwie kilka minut po starcie smacznie zasnął.

Siedzący obok niego biznesmen, który najpierw spożył obfita kolację, suto zakrapianą niedozwolonym alkoholem, potem czekał dwie godziny na lotnisku i półtorej godziny na pokładzie samolotu, przełknął kolejną pastylkę zobojętniającą działanie kwasów żołądkowych i łypnął niechętnie na spokojnie śpiącego mężczyznę.

- Przeklęty Arab! - mruknął i także spróbował zasnąć, ale bez rezultatu.

Dwie godziny później nad Zatoką Perską zaczął wstawać świt. Odrzutowiec British Airways lecąc na północny zachód był już wówczas daleko stamtąd. Tuż po dziesiątej czasu miejscowego wylądował na lotnisku Heathrow. Mikę Martin przeszedł przez odprawę jako jeden z pierwszych, ponieważ miał tylko bagaż osobisty. Nikt na niego nie czekał, ale on wiedział, że tak będzie. Wiedział też, dokąd powinien się udać. Wsiadł do czekającej na postoju taksówki.

W Waszyngtonie do świtu zostało jeszcze sporo czasu. Jedyne niebo nad odległymi wzgórzami Georges County, mniej więcej tam, gdzie rzeka Patuxent wpada do Chesapeake, zaczęło nabierać lekko różowego odcienia. Na piątym, ostatnim piętrze rozległego budynku tworzącego wraz z innymi kompleks znany po prostu jako Langley, wciąż jeszcze płonęło światło.

Sędzia William Webster, dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej, potarł zmęczone oczy, po czym wstał z fotela i podszedł do zajmującego całą ścianę okna. Kępę drzew, która zasłaniała mu widok na Potomac, nadal skrywała ciemność. Za godzinę promienie wstającego słońca przywrócą oblepiającym gęsto gałęzie liściom ich zwykłą, bladozieloną barwę. Dla sędziego była to kolejna nieprzespana noc. Od czasu irackiej inwazji na Kuwejt udało mu się tylko kilka razy zdrzemnąć między telefonami od prezydenta, Rady Bezpieczeństwa Narodowego, Departamentu Stanu i chyba wszystkich, którzy znali jego numer.

Za jego plecami, równie zmęczeni jak on, siedzieli Bili Stewart, dyrektor operacyjny Agencji, oraz Chip Barber, szef Wydziału Bliskowschodniego.

- A więc to wszystko? - zapytał ponownie dyrektor CIA, jakby miał nadzieję, że tym razem usłyszy bardziej optymistyczną odpowiedź.

Nic takiego jednak nie mogło nastąpić. Prezydent, Rada Bezpieczeństwa Narodowego oraz Departament Stanu – domagali się aktualnych, stuprocentowo pewnych informacji z Bagdadu, z kręgu ludzi stanowiących bezpośrednie otoczenie Saddama Husajna. Czy dyktator pozostanie w Kuwejcie, czy też ustąpi przed groźbami Organizacji Narodów Zjednoczonych, miotanymi jedna za drugą przez Radę Bezpieczeństwa? A może ugnie się dopiero wtedy, gdy odczuje skutki embarga naftowego i blokady ekonomicznej? Co myśli? Co planuje? Do licha, gdzie jest, przede wszystkim? Agencja nie znała, odpowiedzi na żadne z tych pytań. Rzecz jasna, mieli rezydenta w Bagdadzie, ale ten już wiele miesięcy temu musiał wstrzymać wszelką działalność. Okazało się, że został namierzony przez tego drania Rahmaniego z kontrwywiadu, w związku z czym należało przypuszczać, że informacje, jakich dostarczał, od dłuższego czasu były preparowane, a jego najlepsi informatorzy pracowali dla Rahmaniego i wciskali Amerykaninowi wierutne bzdury.

Naturalnie Agencja dysponowała zdjęciami – tyłoma, że można by w nich utonąć. Satelity KH-11 i KH-12 co kilka minut przelatywały nad Irakiem, fotografując ochoczo wszystko, co nasunęło się pod obiektywy ich aparatów, analitycy zaś pracowali dwadzieścia cztery godziny na dobę, starając się rozstrzygnąć, czy to, co wygląda na wytwórnnię gazów bojowych lub instalację nuklearną, rzeczywiście jest wytwórnnią gazów bojowych lub instalacją nuklearną, czy na przykład fabryką rowerów. Wspaniale. Analitycy z Narodowego Biura Rekonesansu Powietrznego, zaspokajającego zarówno potrzeby CIA, jak i Sił Powietrznych, oraz technicy z Narodowego Centrum Analiz Fotograficznych, tworzyli obraz, który pewnego dnia z pewnością będzie kompletny. O, tutaj mamy punkt dowodzenia, tutaj wyrzutnię rakiet, tu bazę myśliwców. Świetnie, bo wówczas bombowce obróca to wszystko w perzynę. Problem polegał jednak na tym, co jeszcze ma ukryte w zanadrzu Saddam Husajn? Zagrzebane głęboko pod ziemią i niewidoczne nawet dla wścibskich satelitów? Długoletnie zaniedbywanie Iraku dopiero teraz przyniosło gorzkie owoce. Dwaj mężczyźni zgarbieni w fotelach za plecami dyrektora zdobywali szpiegowskie ostrogi w czasach, kiedy beton Muru berlińskiego jeszcze dobrze nie zastygł. Przeszli długą i trudną drogę, zanim elektroniczne cudeńka zastąpiły ludzi w zdobywaniu tajnych informacji.

A teraz potrafili powiedzieć mu tylko tyle, że ani satelity szpiegowskie, ani stacje zwiadu elektronicznego nie są w stanie ujawnić zamierzeń szalonego dyktatora.

Satelity bez przerwy wykonywały zdjęcia, magnetofony w Fort Meade rejestrowały każde słowo, jakie zostało wypowiedziane przez telefon albo radio na terytorium Iraku, a mimo to najważniejsze pytania nadal pozostawały bez odpowiedzi.

Ten sam rząd, który był tak zachwycony najnowszymi osiągnięciami myśli technicznej, że bez wahania wydawał miliardy dolarów na cudeńka elektronicznej miniaturyzacji, teraz wrzeszczał rozpaczliwie, że te urządzenia nie spełniają swojej funkcji, współpracownicy dyrektora zaś stwierdzili z żalem, że wywiad elektroniczny może stanowić cenną pomoc dla człowieka-wywiadowcy, ale z pewnością go nie zastąpi. Miło było o tym wiedzieć, niemniej jednak taka świadomość nikogo nie przybliżyła ani o krok do rozwiązania problemu.

Biały Dom domagał się informacji, których mógł dostarczyć jedynie szpieg, informator, wtyczka, zdrajca lub ktokolwiek usadowiony bardzo wysoko w hierarchii irackiego reżimu. Niestety, CIA nie miała takiego człowieka.

– Pytaliście już Century House?

- Tak. Są w takiej samej sytuacji jak my.

- Za dwa dni lecę do Tel-Awiwu - powiedział Chip Barber. - Spotkam się z Jaakowem Drorem. Mam go zapytać?

Dyrektor skinął głową. Generał Jaakow "Kobi" Dror był szefem Mosadu, najmniej skorej do współpracy spośród wszystkich "zaprzyjaźnionych" agencji. Dyrektor wciąż jeszcze nie mógł im darować sprawy Jonathana Pollarda, którego Mosad wykorzystywał na szkodę Stanów Zjednoczonych. Ładni przyjaciele, nie ma co. Zawsze bardzo niechętnie prosił ich o przysługę.

- Przyciśnij, go, Chip. Przekonaj, że nie chcemy macić. Jeżeli ma kogoś w Bagdadzie, to musi nam go przekazać. Ja tymczasem pojedę do Białego Domu i jeszcze raz postaram się uspokoić Scowcrofta.

Po tym niewesołym stwierdzeniu spotkanie dobiegło końca. Czterej ludzie, którzy rankiem 5 sierpnia czekali w Kwaterze Głównej SAS w Londynie, także mieli za sobą pracowitą noc. Generał Lovat, dyrektor Sił Specjalnych, większą jej część spędził przy telefonie. Tylko między drugą a czwartą nad ranem pozwolił sobie na krótką drzemkę. Podobnie jak wielu żołnierzy na polu bitwy nauczył się drzemać zawsze, kiedy tylko się dało. W warunkach bojowych nigdy nie wiadomo, kiedy będzie można ponownie naładować akumulatory. Tuż przed wschodem słońca wziął prysznic, ogolił się, i był gotów przez cały kolejny dzień pracować na pełnych obrotach.

To właśnie on zadzwonił o północy czasu londyńskiego do wysokiego urzędnika British Airways z prośbą o wstrzymanie startu samolotu rejsowego z Abu Zabi. Jeżeli chce się działać szybko i skutecznie, z ominięciem papierkowej roboty, takie znajomości mogą okazać się bardzo przydatne. Wysoki urzędnik British Airways, obudzony w środku nocy, nawet nie zapytał, co to za człowiek, dla którego ma zatrzymać na ziemi samolot z ponad setką pasażerów. Znał Lovata, a ponieważ obaj należeli do Klubu Sił Specjalnych, wiedział mniej więcej, czym zajmuje się generał, i bez wahania spełnił jego prośbę.

W porze śniadania dyżurny zadzwonił na lotnisko Heathrow, gdzie powiedziano mu, że samolot lecący z Abu Zabi odrobił około jednej trzeciej 90-minutowego opóźnienia i jest spodziewany o dziesięć. Wynikało z tego, że major powinien zameldować się w koszarach około jedenastej przed południem.

Tymczasem kurier na motocyklu przywiózł z Aldershot, gdzie mieściła się kwatera główna komandosów, teczkę osobową Mike'a Martina. Zawierała ona szczegółowy opis jego długiej kariery, która zaczęła się w chwili, kiedy, jako 18-letni chłopiec, zgłosił się na ochotnika, i trwała przez dziewięćnaście lat - z dwiema długimi przerwami (spędził je w batalionie SAS).

Teczkę z opisem działalności Martina podczas tych dwóch okresów dostarczył w nocy dowódca 22. Batalionu SAS, pułkownik Bruce Craig. Zjawił się w Londynie tuż przed świtem.

- Witaj, JP. O co to całe zamieszanie?

Obaj oficerowie znali się bardzo dobrze. Lovat, znany wszystkim jako JP. lub Jaypee, dowodził oddziałem, który przed dziesięciu laty odbił z rąk terrorystów gmach Ambasady Iranu w Londynie, Craig zaś był wówczas jego zastępcą. Wcześniej także często mieli okazję współpracować ze sobą.

- Century House chce umieścić człowieka w Kuwejcie - odparł zwięźle generał. Nie miał zwyczaju długo przemawiać. Pułkownik rzucił teczkę na biurko.

- Jednego z naszych? Martina?

- Na to wygląda. Już wezwałem go z Abu Zabi.

- Mam ich w dupie. Dasz im go?

Mikę Martin był jednym z najlepszych oficerów Craiga, który

bardzo nie lubił, kiedy Century House "podbierał" mu ludzi. Dyrektor Sił Specjalnych wrzucił ramionami.

- Wygląda na to, że mnie zmuszą. Jeśli się nada. Jeżeli uznają, że tak, uderzą bardzo wysoko.

Craig mruknął coś niewyraźnie i wziął z rąk dyżurnego kubek z mocną kawą. Dyżurny był sierżantem, nazywał się Sid i walczył razem z Craigiem w Zulfar. Pułkownik wiedział, na czym polega polityka. Ludzie z SIS mogli na pozór działać skromnie i nieśmiało, ale jeśli naprawdę zależało im na czymś, wówczas wszystkie drzwi stawały przed nimi otworem. Obaj żołnierze dobrze znali Margaret Thatcher i byli jej gorącymi zwolennikami. Wiedzieli także, iż, podobnie jak Churchill, uwielbiała działać szybko i skutecznie. Jeżeli wywiad uprze się w tej sprawie, zapewne dostanie wszystko, czego zażąda, SAS natomiast przekaże mu pełną kontrolę, mimo że oficjalnie akcję uzna się za "wspólne przedsięwzięcie".

Dwaj ludzie z Century House zjawili się kilka minut po pułkowniku. Starszy nazywał się Steve Laing, młodszy zaś Simon Paxman i był szefem komórki irackiej SIS. Posadzono ich w fotelach, po czym dostali kawę i dwie teczki, których zawartość natychmiast zaczęli z uwagą studiować. Minionego wieczoru Paxman przez cztery godziny rozmawiał z młodszym bratem majora, starając się zebrać jak najwięcej informacji o pierwszych osiemnastu latach jego życia Mike'a.

W ostatniej klasie szkoły średniej Martin napisał list do dowódcy Dywizji Spadochronowej. Rozmowę wstępną wyznaczono na wrzesień. Miała odbyć się w ośrodku szkolenia rekrutów w Aldershot, gdzie stała zabytkowa dakota, z której skakali niegdyś żołnierze Dywizji, aby zdobyć most pod Arnhem.

W szkole zyskał opinię raczej przeciętnego ucznia, za to wyśmienitego sportowca. Komandos nie mieli mu tego za złe. Chłopiec został przyjęty i jeszcze w tym samym miesiącu rozpoczął 22-tygodniowe szkolenie początkowe.

Najpierw cztery tygodnie nauki walki wręcz, posługiwania się różnymi rodzajami broni i orientacji w terenie, a potem jeszcze dwa tygodnie takich samych zajęć oraz szkolenie w udzielaniu pierwszej pomocy, sygnalizacji i zabezpieczeniu się przed skutkami działania broni ABC (atomowej, bakteriologicznej i chemicznej).

W siódmym tygodniu doszły wyjątkowo uciążliwe ćwiczenia fizyczne, których uwieńczeniem były marsze wytrzymałościowe przez Wzgórza Brecon w Walii, gdzie niejeden silny, zdrowy młody człowiek umarł z powodu porażenia słonecznego, wychłodzenia organizmu lub wyczerpania.

W dziewiątym tygodniu rekruci przenieśli się do Hythe w hrabstwie Kent, gdzie odbywały się zajęcia na strzelnicy. Martin, wówczas już 19-latek, uzyskał jedną z najlepszych ocen. Tygodnie jedenasty i dwunasty wypełniały sprawdziany w otwartym terenie na poligonie w pobliżu Aldershot: marszobiegi po stromych wydmach, taszczenie ogromnych pni w błocie po pas, przy padającym bez przerwy deszczu ze śniegiem, i tak dalej.

- Sprawdziany? - mruknął Paxman, odwracając stronę. -

W takim razie, czym była cała reszta?

Ci, którzy przetrwali, dostali upragnione czerwone berety i naszywki, po czym na trzy tygodnie wrócili na Wzgórza Bracon, by doskonalić się w działaniach obronnych, patrolowaniu terenu i strzelaniu do ruchomych celów. O tej porze roku (styczeń) Wzgórza przypominają skalistą, lodową pustynię, ale obowiązywał całkowity zakaz rozpalania ognisk.

Od szesnastego do dziewiętnastego tygodnia trwało podstawowe szkolenie spadochronowe w bazie RAF w Abingon, podczas którego odpadło jeszcze kilku ludzi. Na koniec odbyła się "parada skrzydeł", a po niej najwytrwalszym przypięto do mundurów skrzydełka

komandosów. Choć raport milczał na ten temat, tamtego wieczoru w starym Klubie 101 osuszono wiele kufli z piwem.

Po kolejnych dwóch tygodniach, wypełnionych ostatecznym szlifowaniem formy, dumni rodzice mogli obejrzeć defiladę w wykonaniu swoich zmienionych nie do poznania pociech, które opuściły ich sześć miesięcy wcześniej.

Szeregowy Mikę Martin już na początku szkolenia został zidentyfikowany jako PMO – Potencjalny Materiał na Oficera.

W maju 1972 roku skierowano go do Akademii Wojskowej w Sandhurst, gdzie odbył pierwszy z jednorocznych Kursów Podstawowych, które właśnie wtedy zastąpiły stare, dwuletnie.

Parada, jaka wiosną 1973 roku odbyła się w Akademii, była największą w jej historii; uczestniczyło w niej aż 490 młodych oficerów, jako że wzięli w niej udział nie tylko "starzy" uczestnicy kursów numer 51 i 52, ale także młodszy "jednorocznicy". Defiladę odbierał generał sir Michael Carver, późniejszy marszałek polowy lord Carver, szef Sztabu Generalnego.

Porucznik Martin udał się natychmiast do Hythe, gdzie dostał pod swoje rozkazy pluton żołnierzy przygotowujących się do wyjazdu do Irlandii Północnej. Pojechał tam ze swymi podopiecznymi i spędził wraz z nimi dwanaście bardzo ponurych miesięcy w ultrarepublikańskiej enklawie Ardoyne w Belfaście. Tego roku było tam jednak wyjątkowo spokojnie, gdyż po Krwawej Niedzieli w styczniu 1972 IRA unikała komandosów jak najgorszej zarazy. Po Belfaście Martin wrócił do bazy w Aldershot, gdzie dowodził plutonem rekrutów, przeprowadzając narybek przez to samo piekło, które wcześniej sam musiał przeżyć. Latem 1977 roku trafił ponownie do 3. Batalionu Komandosów, który od lutego stacjonował w Osnabriick, wchodząc w skład brytyjskiej Armii Renu. I znowu nadeszły marne czasy. Mieszkali w nędznych koszarach, a w dodatku czasowo musieli pożegnać się ze skokami, gdyż przydzielono im takie same zadania jak zwykłej piechocie. Morale spadało z każdym dniem, przy lada okazji zdarzały się bójki między komandosami a zwykłymi żołnierzami, Martin zaś musiał surowo karać ludzi, za których dałby sobie uciąć rękę. Wytrzymał tylko do listopada, kiedy poprosił o przeniesienie do SAS.

Wielu żołnierzy SAS wywodzi się z oddziałów powietrzno-desantowych, prawdopodobnie dlatego, że wymagania i szkolenie są bardzo podobne, choć ci z SAS twierdzą, że muszą umieć więcej niż nawet najlepiej wyszkolony komandos. Dokumenty Martina trafiły do dowództwa batalionu w Hereford, gdzie zwrócono uwagę na jego biegłą znajomość arabskiego i zaproszono go do wzięcia udziału w kursie selekcyjnym wyznaczonym na lato następnego roku.

Fachowcy z SAS utrzymują, że najpierw wyszukują wyjątkowo twardych i odpornych ludzi, a dopiero potem zaczynają nad nimi pracować. W kursie obok Martina brało udział wielu ochotników wywodzących się nie tylko z komandosów i żołnierzy piechoty morskiej, ale także artylerzystów, czołgistów, a nawet saperów. Zasady kursu są bardzo proste. Już pierwszego dnia uśmiechnięty instruktor zapoznał z nimi wszystkich uczestników.

– Nie jesteśmy tu po to, żeby starać się was czegoś nauczyć, ale po to, żeby was wykończyć.

Była to prawda. Tylko 10 procent uczestników wytrzymało do końca wstępnego kursu selekcyjnego. Dzięki temu później wszystko idzie znacznie szybciej i sprawniej. Martin wytrzymał. Potem nastąpił ciąg dalszy: ćwiczenia w dżungli Belize i miesięczny trening w Anglii poświęcony umiejętności stawiania oporu podczas przesłuchań.

"Stawianie oporu" polega na tym, żeby nic nie powiedzieć nawet wtedy, kiedy bardzo niesympatyczni faceci wyrabiają z tobą bardzo niesympatyczne rzeczy. Na całe szczęście kursant ma prawo w każdej

chwili zrezygnować z dalszego szkolenia i wrócić do macierzystej jednostki.

- Oni mają świra - stwierdził Paxman, odkładając teczkę, by dolać sobie kawy. - Wszyscy, co do jednego, mają cholernego świra!

Laing mruknął coś niezrozumiale. Przeglądał zawartość drugiej teczki, dotyczącej działalności Martina w krajach arabskich. To mogło okazać się najważniejsze w kontekście czekającej go (być może) misji.

Pierwszy pobyt Martina w SAS trwał trzy lata. Otrzymał stopień kapitana i stanowisko dowódcy oddziału. Na własną prośbę został przydzielony do grupy A, czyli skoczków (oprócz niej są jeszcze grupy B, C i G), co było raczej zrozumiałe, jeśli weźmie się pod uwagę, że w wojskach powietrzno-desantowych należał do Czerwonych Diabłów, czyli oddziału specjalizującego się w skokach z wielkich wysokości.

W SAS, inaczej niż u komandosów, wykorzystano jego znajomość Języka arabskiego. W latach 1979-81 służył w armii sułtana Omanu w Zachodnim Zufarze, szkolił straż przyboczną w dwóch emiratach nad Zatoką Perską, doskonalił umiejętności Saudyjskiej Gwardii Narodowej w Rijadzie oraz udzielał korepetycji cywilnym ochroniarzom szejka Isy z Bahrajnu. W teczce znajdowały się informacje o tym, że posługiwał się językiem arabskim z niezrównaną biegłością oraz że za każdym razem, kiedy musiał podjąć ważną decyzję lub przemyśleć jakiś problem, wybierał się na długą pieszą wycieczkę po pustyni; nie przeszkadzało mu ani upały, ani natrętne muchy.

Kiedy zimą roku 1981 wrócił do komandosów, ku swej radości przekonał się, że jego oddział ma w styczniu 1982 wyruszyć do Omanu, by wziąć tam udział w operacji Skalista Lanca. W marcu pojechał na urlop, ale już w kwietniu otrzymał rozkaz, by niezwłocznie stawić się w koszarach. Argentyna napadła na Falklandy. Pierwszy Batalion został w Anglii, natomiast Drugi i Trzeci skierowano na Południowy Atlantyk. Płynęli liniowcem "Canberra", pośpiesznie dostosowanym na potrzeby wojska, i zeszli na brzeg w zatoce San Carlos. Podczas gdy Drugi Batalion wypierał Argentyńczyków z Goose Green - za tę operację jego dowódca, pułkownik Jones, otrzymał pośmiertnie Krzyż Wiktorii - Trzeci drałował przez Falkland Wschodni w kierunku Port Stanley.

- Wydawało mi się, że nazywają to "kicaniem" - powiedział Laing do sierżanta, który przyszedł dolać mu kawy. Sierżant zacisnął usta. Cholerni cywile.

- Tak mówi piechota morska. My i komandosi nazywamy to drałowaniem.

Niezależnie od nazwy chodzi o nieprzerwany marsz w paskudnej pogodzie z 60 kilogramami ekwipunku na grzbiecie.

3. Batalion rozlokował się w zabudowaniach samotnej farmy zwanej Estancia House, gdzie przygotowywał się do zajęcia Port Stanley. Jednak aby to osiągnąć, należało najpierw zdobyć silnie ufortyfikowane Wzgórze Longdon. To właśnie wtedy, tej paskudnej nocy z 11 na 12 czerwca, kapitan Mikę Martin zarobił swoją kulkę. Zaczęło się od cichego ataku na pozycje Argentyńczyków, ale atak szybko stał się bardzo głośny, gdyż porucznik Milne nastąpił na minę, która eksplodowała, urywając mu stopę. Argentyńczycy otworzyli ogień z karabinów maszynowych, na niebie rozbłysły oślepiające flary, które zamieniły noc w dzień, 3. Batalion stanął zaś przed wyborem: albo czym prędzej wracać na pozycje wyjściowe, albo ruszyć naprzód i zdobyć Wzgórze Longdon. Wybrali to drugie rozwiązanie, tracąc dwudziestu trzech zabitych i ponad czterdziestu rannych. Jednym z rannych był Mikę Martin, który, gdy został trafiony w nogę, wyrzucił z siebie niesłychanie długą wiązanke

soczystych przekleństw - na szczęście po arabsku.

Niemal cały następny dzień spędził na zboczach wzgórz, trzymając na muszce ośmiu drżących z zimna jeńców i starając się nie zemdleć. Dopiero po południu odnaleziono go, przewieziono do szpitala polowego w Zatoce Ajaxa, opatrzono ranę, a następnie załadowano na pokład statku szpitalnego "Uganda", gdzie otrzymał koję obok pewnego argentyńskiego porucznika. Podczas rejsu bardzo się zaprzyjaźnili i po dziś dzień korespondują ze sobą. Kiedy "Uganda" zatrzymała się w Montevideo, aby wysadzić na brzeg Argentyńczyków, okazało się, że Martin jest już na tyle zdrowy, aby wraz z innymi lżej rannymi wrócić do Anglii cywilnym odrzutowcem. Prosto z samolotu trafił do szpitala w Letherhead, na trzytygodniową rekonwalescencję.

Tam właśnie poznał pielęgniarkę o imieniu Susan, która po krótkim narzeczeństwie została jego żoną. Jeżeli oczekiwała na splendory i zaszczyty, które miały spłynąć na nią u boku męża, to poważnie się przeliczyła. Kupili niewielki dom w Chobham, skąd ona miała blisko do pracy w Letherhead, on zaś do Aldershot. Ale ponieważ przez pierwsze trzy lata małżeństwa Susan widziała go w domu dokładnie przez cztery i pół miesiąca, dała mu do wyboru: albo komandosi i ta przeklęta pustynia, albo ona. Po głębokim namyśle Martin wybrał pustynię.

Susan postąpiła bardzo słusznie, odchodząc od męża. Jesienią 1982 roku trafił na kurs dla oficerów sztabowych; ukończenie go otwierało drogę do szybkiego awansu, kariery, a w perspektywie do atrakcyjnej posady, być może nawet w Ministerstwie Obrony. Jednak w lutym roku następnego oblał egzamin.

- Zrobił to celowo - powiedział Paxman. - Jest tu notatka jego dowódcy, który twierdzi, że gdyby chciał, zdałby z najlepszą oceną.

- Wiem, wiem... - mruknął Laing. - Już to czytałem. To naprawdę niezwykły człowiek.

Latem roku 1983 Martin został oddelegowany jako brytyjski doradca wojskowy do Sztabu Generalnego sułtana Omanu. Po rocznym pobycie w Muscat, na prośbę gospodarzy, został tam jeszcze przez dwa lata, a w roku 1986 otrzymał awans na majora. Oficerowie, którzy mają już za sobą jeden, trzyletni okres służby w SAS, mogą tam wrócić, ale tylko na zaproszenie, Ledwie Martin przyjechał do Anglii zimą 1986 roku i uporał się z formalnościami związanymi z rozwodem, otrzymał takie właśnie zaproszenie. Drugi okres służby w SAS rozpoczął w styczniu 1988, najpierw na Północnej Flance w Norwegii, potem w Sułtanacie Brunei, a wreszcie jako szef wewnętrznej służby bezpieczeństwa w Hereford. W czerwcu 1990 roku, wraz z zespołem instruktorów i doradców, poleciał do Abu Zabi.

Rozległo się pukanie do drzwi, a w chwilę potem do pokoju zajrzał sierżant.

- Generał pyta, czy panowie skończyli, bo major Martin jest już w drodze z lotniska.

Obaj mężczyźni wrócili do gabinetu generała, a w chwilę później wszedł tam także Martin. Laing przede wszystkim zwrócił uwagę na śniadą twarz, czarne włosy i ciemne oczy. Posłał szybkie spojrzenie Paxmanowi: jedna sprawa wyjaśniona, zostały jeszcze dwie. Wygląda jak Arab, ale czy rzeczywiście zna tak dobrze język, a przede wszystkim, czy podejmie się zadania?

JP wyszedł zza biurka i zamknął dłoń Martina w żelaznym uścisku.

- Miło cię znowu widzieć, Mike.

- Dziękuję panu.

Przywitał się też z pułkownikiem Craigiem.

- Pozwól, że przedstawię ci tych dwóch dżentelmenów -

ciągnął Dyrektor Sił Specjalnych. – Panowie Laing i Paxman z Century House. Chcą przedstawić ci pewną... eee... propozycję. Panowie, proszę zaczynać. A może wolelibyście porozmawiać z majorem na osobności?

– Skądże znowu! – zaprzeczył pośpiesznie Laing. – Szef ma nadzieję, że jeśli nasze spotkanie przyniesie pozytywne rezultaty, operacja zostanie przeprowadzona wspólnymi siłami. Sprytnie zagranie, pomyślał JP; mówiąc o sir Colinie ten drań przypomniał mi, że w razie potrzeby nie zawahają się odwołać bardzo, ale to bardzo wysoko.

Cała piątka zajęła miejsca w fotelach. Głos zabrał Laing, który najpierw naświetlił tło polityczne, szczególny nacisk kładąc na to, jak wielkie niebezpieczeństwa dla Zachodu płyną z niewiedzy, czy Saddam Husajn zamierza wycofać się z Kuwejtu natychmiast, w późniejszym terminie, czy też postanowił pozostać tam na stałe. Z większości analiz wynikało jednak, że Irak najpierw złupi podbity kraj, potem zaś będzie grał na zwłokę, żądając od Organizacji Narodów Zjednoczonych gwarancji, których ta ani nie będzie mogła, ani nie zechce mu udzielić. Zanosilo się więc na długie miesiące niepewności.

Wielka Brytania musi wiedzieć, co dzieje się w okupowanym kraju – nie chodzi o plotki i pogłoski, ani o mrożące krew w żyłach historii, od jakich roi się w gazetach. Potrzebna jest konkretna, stuprocentowo pewna informacja dotycząca losu brytyjskich obywateli odciętych w Kuwejcie, wojsk irackich, a także – gdyby zaistniała konieczność użycia siły – możliwości miejscowego ruchu oporu, któremu przypadłoby zadanie związania w walce jak największej liczby frontowych oddziałów Saddama.

Martin słuchał uważnie, od czasu do czasu kiwając głową i zadając jakieś pytanie. W miarę upływu czasu dwaj oficerowie coraz częściej spoglądali przez okno. Laing skończył tuż po dwunastej.

– I to mniej więcej wszystko, majorze. Nie oczekuję od pana natychmiastowej odpowiedzi, niemniej jestem zmuszony podkreślić, że nie pozostało nam wiele czasu.

– Czy panowie będą mieli coś przeciwko temu, że zamienimy z naszym kolegą kilka słów na osobności? – zapytał JP.

– Oczywiście, że nie. Właściwie Simon i ja możemy już wrócić do biura. Tu jest mój numer telefonu. Proszę o informację najszybciej jak tylko to będzie możliwe, najlepiej jeszcze dziś po południu.

Sierżant odprowadził dwóch cywilów na ulicę, gdzie wsiedli do taksówki, po czym wrócił do swojego pokoiku na poddaszu.

JP otworzył lodówkę i wyjął trzy piwa. Każdy z mężczyzn ze smakiem pociągnął łyk złocistego napoju.

– Teraz już wiesz, co jest grane i czego od ciebie wymagają. Jeżeli uważasz, że to nie ma sensu, obaj cię poprzemy.

– Jasne – potwierdził Craig. – W Batalionie nie dostaje się karnych punktów za odmowę. To ich pomysł, nie nasz.

– Ale jeżeli się zgodzisz – ciągnął generał – to aż do końca akcji jesteś z nimi, nie z nami. To znaczy: my też będziemy brali w tym udział, bo wątpię, czy daliby sobie bez nas radę, ale decyzje należą do nich. Kiedy wszystko się skończy, wrócisz do nas, tak jak po urlopie.

Martin wiedział, jak załatwia się takie sprawy. Słyszał o tym od ludzi, którym kiedyś zdarzyło się pracować dla wywiadu. Na jakiś czas po prostu przestawałeś istnieć, a potem wszyscy mówili: "Hej, miło znowu cię widzieć!", ale nie wspominali o twojej nieobecności, ani nie pytali, gdzie się właściwie podziewałeś.

– Biorę to – powiedział.

Pułkownik Craig wstał z fotela. Musiał wracać do Hereford. Podał rękę podwładnemu.

– Powodzenia, Mikę.

– Aha, tak przy okazji: jesteś umówiony na lunch – poinformował majora JP. – Niedaleko stąd. Na koszt Century House. Wręczył Martinowi skrawek papieru i życzył mu powodzenia. Martin wyszedł na ulicę, gdzie zerknął na karteczkę. Z informacji wynikało, że lunch zje w niewielkiej restauracji przy sąsiedniej ulicy, zapraszającym zaś jest niejaki Wafik Al-Churi.

Oprócz MI-5 i MI-6 trzecią częścią składową brytyjskiego wywiadu jest Rządowe Centrum Informacyjne, mieszczące się w pilnie strzeżonym kompleksie budynków na obrzeżach małego miasteczka Cheltenham w hrabstwie Gloucestershire.

Centrum Informacyjne stanowi brytyjską wersję amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego, z którą zresztą bardzo ściśle współpracuje – podobnie jak ona, dysponuje możliwością wychwycenia z eteru programu każdej stacji radiowej, jaka nadaje na Ziemi, i podsłuchania niemal każdej rozmowy telefonicznej.

Dzięki tej współpracy Agencja ma sporo stacji nasłuchowych na terenie Wielkiej Brytanii – naturalnie oprócz mnóstwa innych, rozsianych dosłownie po całym świecie. Największa zagraniczna stacja Centrum Informacyjnego mieści się na suwerennym terytorium brytyjskim nieopodal miejscowości Akrotiri na Cyprze.

Stacja ta zbiera sygnały z całego Bliskiego Wschodu, po czym przekazuje je do Cheltenham, gdzie przeprowadza się analizę. Wśród zajmujących się tym specjalistów jest także wielu takich, którzy, mimo swego arabskiego pochodzenia, są dopuszczani nawet do spraw najwyższej wagi. Jednym z nich był Al-Churi, od wielu lat osiadły w Wielkiej Brytanii, gdzie założył rodzinę. Dawniej jordański dyplomata, obecnie pełnił funkcję starszego analityka w Wydziale Arabskim Rządowego Centrum Informacyjnego. Mimo że pracuje tam wielu znakomitych brytyjskich arabistów, to jednak często zdarzało się, że tylko on potrafił doszukać się ukrytego znaczenia w słowach któregoś z arabskich przywódców. Teraz, na prośbę Century House, czekał na Mike'a Martina w restauracji. Lunch trwał aż dwie godziny, mężczyźni porozumiewali się wyłącznie po arabsku. Kiedy się rozstali, Martin ruszył spacerkiem w drogę powrotną do budynku SAS. Czekało go jeszcze wiele godzin tego typu rozmów, zanim wyruszy do Rijadu z przygotowanym przez wywiad paszportem na zupełnie inne nazwisko.

Al-Churi zaczekał, aż jego rozmówca zniknie za drzwiami restauracji, po czym podszedł do automatu wiszącego na ścianie przy męskiej toalecie. :

– Bez problemu, Steve. On jest doskonały. Szczerze mówiąc, chyba w życiu nie słyszałem nikogo równie dobrego jak on. Co prawda, to nie jest literacki arabski, ale z waszego punktu widzenia to nawet lepiej. Uliczna gwara, przekleństwa, slang, naleciałości różnych żargonów... Nie, ani śladu obcego akcentu... Tak, nikt nie zauważy różnicy. Może spokojnie poruszać się po każdym mieście na Bliskim Wschodzie... Nie ma za co, przyjacielu. Cieszę się, że mogłem pomóc.

Pół godziny później Mikę Martin jechał już autostradą M4 z powrotem do Cheltenham. Jednak zanim tam dotarł, także przeprowadził rozmowę telefoniczną. Mężczyzna, który podniósł słuchawkę, właśnie kończył przeglądać notatki do popołudniowych wykładów.

– Cześć, braciszku. To ja.

Od czasów, kiedy chodzili razem do szkoły podstawowej w Bagdadzie, zawsze zwracał się w ten sposób do swego młodszego brata.

– Mikę? – wykrztusił ze zdumieniem Terry Martin. – Gdzie jesteś, u licha?

– W Londynie, w budce telefonicznej.

- Myślałem, że wysłali cię gdzieś nad Zatokę...
- Przyleciałem rano. Prawdopodobnie wrócę tam jeszcze dziś wieczorem.
- Posłuchaj, Mikę: odmów im. To wszystko moja wina! Powinienem był trzymać gębę na kłódkę. Jego starszy brat parsknął śmiechem.
- A ja zastanawiałem się, dlaczego ci dranie nagle się mną zainteresowali! Zaprosili cię na lunch, prawda?
- Tak, ale rozmawialiśmy o czymś innym. Ta sprawa wynikła zupełnie przypadkowo. Słuchaj, nie musisz tam lecieć. Powiedz im, że się pomyliłem i że...
- Za późno. Poza tym, już się zgodziłem.
- O mój Boże... - Mężczyzna siedzący przy biurku zawalonym uczonymi tomami o historii Mezopotamii był bliski łez. - Mikę, uważaj na siebie. Będę się za ciebie modlił. Mikę zastanawiał się przez chwilę. Tak, Terry zawsze był dość religijny. Widocznie mu to zostało.
- Świetnie, braciszku. Zobaczymy się, jak wrócę. Odwiesił słuchawkę. Rudowłosy uczoney, który uważał swego starszego brata za bohatera i darzył go niemal boskim uwielbieniem, ukrył twarz w dłoniach.
Kiedy o 20.45 rejsowy samolot British Airways do Arabii Saudyjskiej wystartował z lotniska Heathrow, Mikę Martin siedział wygodnie w fotelu na pokładzie, ze stuprocentowo autentycznym, owizowanym paszportem na cudze nazwisko w kieszeni. Tuż przed świtem miał spotkać się w Ambasadzie Brytyjskiej w Rijadzie z tamtejszym rezydentem wywiadu.

Rozdział czwarty

Don Walker wcisnął pedał hamulca i corvette stingray model 1963 zatrzymał się na chwilę przy głównej bramie bazy Sił Powietrznych im. Seymoura Johnsona, aby przepuścić kilka jadących powoli samochodów campingowych, a potem włączył się płynnie do ruchu.
Było bardzo gorąco. Sierpniowe słońce świeciło bezlitośnie nad miasteczkiem Goldsboro w Północnej Karolinie, tak że asfaltowa wstęga zdawała się w oddali błyszczeć i migotać, jakby pokrywała ją warstwa wody. W taką pogodę wspaniale było siedzieć za kierownicą kabrioletu ze złożonym dachem i słyszeć, jak ciepły wiatr świszczę koło uszu.
Jadąc swym ukochanym samochodem, minął podupadające miasteczko, przedostał się na szosę numer 70, a następnie skręcił na drogę numer trzynastą i skierował się na północny wschód. Tego gorącego lata 1990 roku Don Walker liczył sobie dwadzieścia dziewięć lat, był kawalerem, pilotem myśliwca i właśnie dowiedział się, że idzie na wojnę. Prawdopodobnie. Zdaje się, że zależało to od Jakiegoś szurniętego Araba nazwiskiem Saddam Husajn. Właśnie dziś rano pułkownik (później generał) Hal Hornburg oznajmił im tę nowinę. Za trzy dni, 9 sierpnia, 336. Dywizjon "Rocketeers" 9. Armii Powietrznej uda się w rejon Zatoki Perskiej. Rozkazy nadeszły prosto z Dowództwa Taktycznych Sił Powietrznych mieszczącego się w bazie USAF w Hampton w stanie Wirginia. Tak to wyglądało. Piloci powitali tę informację owacją. Jaki sens miałyby wieloletni, żmudny trening, gdyby nie nadarzyła się okazja sprawdzenia w praktyce swoich umiejętności?
W ciągu trzech dni, jakie pozostały do odlotu, miał wykonywać wręcz morderczą robotę, jako że pełnił funkcję oficera odpowiedzialnego za uzbrojenie swojej eskadry - ale udało mu się wybłągać 24-godzinną przepustkę, żeby pożegnać się ze starszuskami. Pułkownik Steve Turner, szef uzbrojenia całego dywizjonu, zapowiedział mu uroczyste, że jeśli 9 sierpnia wyjdzie na jaw choćby najmniejsze niedociągnięcie, to on, Turner, osobiście kopnie go w dupę z taką

siłą, że Walker nie będzie potrzebował samolotu, by dolecieć nad Zatokę. Zaraz potem jednak uśmiechnął się i poradził młodemu pilotowi, że powinien od razu ruszyć w drogę, jeśli chce być z powrotem przed upływem 24 godzin.

Tak więc Walker jechał tego ranka swoim znakomicie utrzymanym kabrioletem w kierunku łańcucha wysepek położonych na wschód od cieśniny Pamlico. Miał szczęście, że rodzice nie wrócili do Tulsy w stanie Oklahoma, bo tam na pewno nie zdążyłby dotrzeć. Ponieważ był to sierpień, jak co roku spędzali wakacje w letniskowym domku w pobliżu Hatteras, zaledwie pięć godzin jazdy samochodem od bazy.

Don Walker wiedział, że jest urodzonym pilotem, i rozkoszował się tą świadomością. To wspaniałe uczucie mieć dwadzieścia dziewięć lat, robić to, o czym zawsze się marzyło, a w dodatku robić to bardzo dobrze. Lubił atmosferę panującą w bazie, lubił kolegów, najbardziej jednak lubił radość i poczucie nieograniczonej siły, jakie towarzyszyły mu, kiedy siedział za sterami McDonella Douglasa F-15 eagle, szturmowej wersji znakomitego myśliwca 15C. Jego zdaniem był to absolutnie najlepszy samolot US Air Force, i do diabła z tym, co wygadują piloci falconów. Może tylko F-18 hornet wytrzymałby porównanie, ale on nigdy nie latał hornetem, eagle zaś w zupełności mu wystarczał.

W Bethel skręcił prosto na wschód, ku Columbii i Whalebone, gdzie szosa dociera do łańcucha położonych gęsto jedna przy drugiej wysp, by nagle urwać się tuż za Hatteras. Jako chłopiec zawsze spędzał tu wspaniałe wakacje, wypływając o świcie z dziadkiem na ryby. Potem dziadek zachorował i skończyły się wędkarskie wyprawy.

Teraz, kiedy ojciec przejdzie na emeryturę, może rodzice zaczną spędzać więcej czasu w letnim domku przy plaży, a jemu uda się częściej tu przyjeżdżać. Był jeszcze tak młody, że nie przyszła mu do głowy myśl, że jeżeli nad Zatoką naprawdę wybuchnie wojna, to wcale nie musi z niej wrócić.

Kiedy w wieku osiemnastu lat ukończył z dobrym wynikiem szkołę średnią w Tulsie, miał tylko jedno pragnienie: chciał latać. Jeśli dobrze pamiętał, chciał tego zawsze. Po czterech latach, w 1983, ukończył studia na Uniwersytecie Stanu Oklahoma i z dyplomem inżyniera-specjalisty od konstrukcji lotniczych zgłosił się na kurs oficerów rezerwy,, skąd trafił do Sił Powietrznych.

Podstawowe szkolenie w zawodzie pilota przeszedł w Bazie Sił Powietrznych Williams koło Phoenix w Arizonie, gdzie przez jedenaście miesięcy latał na T-33 i T-38. Podczas uroczystego przypinania skrzydełek lotniczych dowiedział się, że ukończył szkolenie z czwartym wynikiem wśród czterdziestu rekrutów. Ku jego nieopisanemu radości najlepsza piątka trafiła do Szkoły Pilotów Myśliwskich w Bazie Holloman koło Alamogordo w Nowym Meksyku. Wykazując arogancję właściwą jedynie tym młodym ludziom, którzy już od urodzenia są przeznaczeni do tego, by latać myśliwcami, z pogardą myślał o pozostałych trzydziestu pięciu kadetach.

Jednak dopiero w Homestead na Florydzie przesiadł się z T-38 na F-4 phantom. Była to ciężka, potężna maszyna - ale bez wątplenia myśliwiec.

W Homestead spędził dziewięć miesięcy, po czym jego eskadra otrzymała pierwszy przydział do Osan w Korei Południowej, gdzie służył przez cały rok. Latał bardzo dobrze i doskonale zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak jego przełożeni. Po Osan trafił do Szkoły Doskonalenia Pilotów Myśliwskich, mieszczącej się w Bazie Sił Powietrznych McConnell w Wichita w stanie Kansas.

Program nauki w tej szkole jest chyba najtrudniejszy w całych

Siłach Powietrznych Stanów Zjednoczonych. Kończą ją tylko naprawdę utalentowani piloci, zdecydowani kontynuować wspaniałą karierę i dojść bardzo wysoko. Absolwenci muszą wiedzieć, do czego służy każda śrubka i nakrętka oraz znać przeznaczenie każdego układu scalonego i mikroobwodu wypełniającego zdumiewającą różnorodność pocisków, jakie nowoczesny myśliwiec może posłać w kierunku przeciwnika znajdującego się w powietrzu lub na ziemi. Walker ponownie okazał się jednym z najlepszych uczniów, co oznaczało, że dowódca każdego dywizjonu myśliwskiego USAF powita go z otwartymi ramionami.

Latem 1987 roku zaszczyt ten spotkał 336. Dywizjon Myśliwski z Goldsboro. Przez rok latał tam na phantomach, a potem odbył czteromiesięczne szkolenie w bazie Luke w Arizonie i przesiadł się na eagle, w które był wyposażony jego dywizjon. Kiedy Saddam Husajn napadł na Kuwejt, Don Walker już od roku odbywał loty na tej maszynie.

Tuż przed południem kabriolet minął pomnik w Kitty Hawk, gdzie Orville i Wilbur Wright zdołali wznieść się na kilka metrów w powietrze na swojej przedziwnej konstrukcji z płótna, drutów i drewna, udowadniając, że możliwe jest odbywanie podróży maszynami cięższymi od powietrza i wyposażonymi we własne źródło napędu. Gdyby wiedzieli, jaką ewolucję przejdzie ich wynalazek...

Minawszy Nag's Head, włókł się przez pewien czas za kolumną wozów campingowych, ale w okolicy przylądka Hatteras jego stingray został na szosie zupełnie sam. Kilka minut później zatrzymał samochód na podjeździe przed drewnianym domkiem rodziców. Siedzieli na werandzie, zwróceniu twarzami do błękitnego, spokojnego morza.

Ray Walker pierwszy dostrzegł syna i zerwał się na nogi z głośnym okrzykiem radości, jednak najpierw w objęcia syna wpadła Maybelle. Dziadek nadal siedział nieruchomo w bujanym fotelu, wpatrując się w morze. Przywitawszy się z rodzicami Don podszedł do niego.

- Cześć, dziadku. To ja, Don.

Stary człowiek podniósł głowę, popatrzył na niego, uśmiechnął się, po czym znowu zapatrzył się na morze.

- Jest w nie najlepszej formie - powiedział Ray. - Czasem nas poznaje, ale częściej nie. No, siadaj, chłopcze i mów, co słyhać. Maybelle, czy znalazłoby się trochę piwa dla dwóch spragnionych mężczyzn?

Przy piwie Don poinformował rodziców, że za kilka dni leci nad Zatokę. Maybelle ukryła twarz w dłoniach, a Ray umilkł i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w syna.

- Cóż, chyba po to właśnie uczyłeś się tego wszystkiego - odezwał się wreszcie.

Don pociągnął łyk piwa, zastanawiając się nie po raz pierwszy, dlaczego rodzice zawsze muszą się tak bardzo martwić. Nawet w wyblakłych oczach dziadka zapłonęło coś w rodzaju iskierki zrozumienia.

- Don idzie na wojnę, dziadku! - poinformował go Ray Walker podniesionym głosem.

Oczy starca rozbliły się życiem. Przez całe swoje wojskowe życie służył w komandosach, dokąd trafił prosto po szkole przed wielu, bardzo wielu laty. W roku 1941 ucałował na pożegnanie żonę, zostawił ją, wraz z nowo narodzoną córką Maybelle, u rodziców w Tulsie, i wyruszył na Pacyfik. Był przy MacArthurze na Corregidor, kiedy generał powiedział swoje słynne "Jeszcze tu wrócę", i był przy nim wówczas, kiedy generał spełnił obietnicę.

Między tymi dwoma wydarzeniami walczył na niezliczonych atolach Marianów i przeżył piekło Iwo Jimy. Odnosił siedemnaście

ran, za co został uhonorowany Srebrną Gwiazdą, dwiema Brązowymi Gwiazdami oraz siedmioma Purpurowymi Sercami. Zawsze starannie unikał awansów i przez cały czas pozostawał starszym sierżantem, gdyż doskonale wiedział, w czyich rękach znajduje się prawdziwa władza. Wraz z innymi brnął po pas i w wodzie ku brzegowi w Inchon w Korei, a kiedy wreszcie przeniesiono go na stanowisko instruktora w obozie dla rekrutów na Paris Island, miał już tyle odznaczeń, że wszystkie nie zmieściłyby się na jego piersi. Na ostatniej defiladzie, w której brał udział przed odejściem do cywila, zjawiło się aż czterech generałów – takiego wyróżnienia bardzo rzadko dostępują nawet wysocy rangą oficerowie.

Teraz stary człowiek skinął na wnuka. Don podszedł do dziadka i pochylił się nad nim.

– Uważaj na Japońców, chłopcze, żeby nie dostali cię w swoje łapy! – szepnął starzec.

Don położył rękę na szczupłym, wykrzywionym przez reumatyzm ramieniu.

– Nie obawiaj się, dziadku. Nie uda im się nawet do mnie zbliżyć.

Stary sierżant z zadowoleniem skinął głową. Miał już osiemdziesiąt lat. Ostatecznie pokonali go nie Koreańczycy i nie Japończycy, lecz podstępny Alzheimer. Teraz prawie całe dni spędzał pogrążony w przyjemnym śnie, pozostając pod opieką córki i zięcia. Po obiedzie rodzice Dona opowiedzieli mu o wycieczce nad Zatokę Perską, z której wrócili zaledwie przed czterema dniami. Maybelle rozłożyła na stole stos zdjęć, Don zaś siedział przy matce, oglądając utrwalone na kliszy meczety, uliczki i targowiska emiratów i szejkanatów, które odwiedzili.

– Uważaj na siebie, kiedy tam będziesz – ostrzegła go po raz kolejny. – Zobacz, z jakimi ludźmi będziesz miał do czynienia. Zwróć uwagę na jego oczy!

Don Walker spojrział na fotografię, którą trzymała w ręku. Beduin stał między dwiema wydmami, za jego plecami ciągnęła się bezkresna pustynia, twarz przesłaniała mu kraciasta kufija. Widać było tylko część nosa, kawałek czoła i czarne oczy, wpatrzone podejrzliwie w aparat.

– Na pewno postaram się go unikać – zapewnił matkę. Chyba ją to trochę uspokoiło.

O piątej musiał już wyruszyć w drogę powrotną do bazy. Rodzice odprowadzili go do samochodu. Maybelle uściskała mocno syna i przykazała mu ponownie, by na siebie uważał, Ray zaś objął go mocno i powiedział, że oboje są z niego bardzo dumni. Don wsiadł do samochodu, wyprowadził go tyłem na szosę i jeszcze raz spojrział w kierunku domu.

Na ganek, podpierając się ostrożnie kulami, wyszedł dziadek. Powoli wyjął kule spod ramion, odstawił je na bok, z trudem wyprostował wykrzywione reumatyzmem ramiona i podniósł dłoń do daszka baseballowej czapki, oddając honory wnukowi, który udawał się na wojnę.

Don także zsalutował, po czym nacisnął pedał gazu i ruszył z piskiem opon. Tego dnia widział dziadka po raz ostatni. Staruszek zmarł we śnie pod koniec października.

O tej samej porze w Londynie było już ciemno. Terry Martin pracował do wieczora, bo choć studenci nie wrócili jeszcze z wakacji, to musiał przygotować się do wykładów dla doktorantów, a także do zajęć na organizowanych przez uczelnię kursach wakacyjnych, w związku z czym nawet podczas letnich miesięcy miał sporo roboty. Jednak tego dnia praca szła mu jak z kamienia, a zmuszał się do niej wyłącznie po to, by nie myśleć o gnębiącej go sprawie. Wiedział dokąd skierowano jego brata i oczami wyobraźni

ujrzał niezliczone niebezpieczeństwa, jakie będą na niego czyhać, kiedy spróbuje przedostać się w przebraniu do okupowanego przez Irakijczyków Kuwejtu.

Dokładnie w chwili, kiedy Don Walker w drodze powrotnej do bazy minął przylądek Hatteras, Terry Martin wyszedł z budynku Wydziału Orientalistyki i Afrykanistyki, życzył dobrej nocy staremu portierowi, który zamknął za nim drzwi na klucz i ruszył najpierw Gower Street, a potem St Martin's Lane w kierunku Trafalgar Square. Miał nadzieję, że kolorowe światła tej części miasta poprawią nieco jego nastrój. Wieczór był ciepły i spokojny.

Mijając kościół św. Marcina zauważył, że drzwi są lekko uchylone i usłyszał dobiegające z wnętrza dźwięki kościelnej pieśni. Wszedł do świątyni, usiadł w bocznej ławce i przysłuchiwał się próbie parafialnego chóru, ale podniosła, smutna muzyka tylko pogłębiła jego depresję. Niespodziewanie dla samego siebie wrócił myślami do dzieciństwa, które, trzydzieści lat wcześniej, jemu i Mike'owi upłynęło w Bagdadzie.

Nigel i Susan Martin mieszkali w starym, piętrowym domu w Saadun, eleganckiej dzielnicy położonej w części miasta zwanej Risafa. Najdawniejsze wspomnienie Terry'ego pochodziło z okresu, kiedy miał dwa lata i pewnego dnia zobaczył, jak jego brat ubierany jest w eleganckie krótkie spodenki, białą koszulę, skarpetki i buciki, gdyż miał po raz pierwszy pójść do przedszkola prowadzonego przez pannę Saywell. Strój ten pełnił funkcję przepisowego szkolnego mundurka angielskich chłopców, lecz Mikę wrzeszczał wniebogłosy, wściekły, że zabierają mu długi pas bawełnianego materiału, który, udrapowany wokół ciała, nie krępował ruchów, dając jednocześnie nieco ochłody.

Wówczas, w latach 50., życie społeczności brytyjskiej w Bagdadzie było łatwe, przyjemne i eleganckie. Koncentrowało się głównie w dwóch klubach, Mansur i Alwija, gdzie pływano w basenie, grano w tenisa i squasha, a urzędnicy Irackiej Kompanii Naftowej i pracownicy ambasady spędzali długie godziny przy barze, sącząc zimne drinki.

Pamiętał także Fatimę, ich tłustą nianię pochodzącą z jakiejś górskiej wioski. Przybyła do miasta po to, aby zgromadzić pieniądze na posag, który pozwoli jej po powrocie w rodzinne strony wyjść za mąż za jakiegoś zamożnego młodzieńca. Całymi przedpołudniami bawił się z nią na trawniku przed domem, potem zaś oboje szli po Mike'a do przedszkola panny Saywell.

Jeszcze przed ukończeniem trzeciego roku życia każdy z chłopców równie biegle władał angielskim jak arabskim, tego drugiego ucząc się zupełnie nieświadomie od Fatimy, ogrodnika i kucharza. Mikę miał szczególnie zdolność do języków, a ponieważ ich ojciec był wielkim znawcą i miłośnikiem kultury arabskiej, często zapraszał do domu swoich irackich przyjaciół.

Arabowie uwielbiają małe dzieci i okazują im znacznie więcej wyrozumiałości niż Europejczycy. Na widok czarnowłosego i czarnookiego Mike'a biegającego po ogrodzie w białym zawoju i terkoczącego po arabsku jak karabin maszynowy, przyjaciele ojca zaśmiewali się do rozpuku, powtarzając z zadowoleniem: "Ależ, Nigel, on wygląda jak jeden z nas!"

Podczas weekendów odbywały się zbiorowe polowania na szakale, podobne nieco do angielskiego polowania na lisa. Prowadził je Philip Hirst, naczelnik architekt miasta, a po skończonej gonitwie na wszystkich czekał obfity poczęstunek składający się z kuzi i gotowanych jarzyn. Od czasu do czasu organizowano także wspaniałe pikniki na Wyspie Świń położonej niemal dokładnie na środku toczącego dostojnie swoje wody Tygrysu, który dzielił miasto na dwie części.

Dwa lata później Terry także trafił do przedszkola panny Saywell, ale ponieważ okazał się wyjątkowo zdolny, obaj bracia jednocześnie zaczęli naukę w szkole podstawowej, której dyrektorem był pan Hartley. Kiedy zjawili się tam po raz pierwszy, on miał sześć lat, Mikę zaś osiem. Do szkoły chodzili nie tylko angielscy chłopcy, ale także dzieci najlepiej sytuowanych Irakijczyków. Na krótko przed tym miał miejsce zamach stanu. Nieletni król oraz Nurias Sa'id zostali zamordowani, a władzę objął sympatyzujący z komunistami generał Kasem. Choć dwaj mali chłopcy o niczym nie wiedzieli, zarówno ich rodzice, jak i cała angielska społeczność zaczęła się poważnie niepokoić. Faworyzując na każdym kroku Iracką Partię Komunistyczną, Kasem dokonał prawdziwego pogromu wśród członków nacjonalistycznej partii Ba's, którzy z kolei podjęli próbę zgładzenia dyktatora. Jednym z uczestników nieudanego zamachu był młody zapaleniec - Saddam Husajn. Pierwszego dnia pobytu w szkole Terry został otoczony przez grupę irackich chłopców.

- Jesteś maminsynek - poinformował go jeden z nich. Terry rozplakał się żałośnie.

- Nie jestem! - wychlipał, pociągając nosem.

- Jesteś - odparł najwyższy chłopiec. - Jesteś tłusty, biały i masz cudaczne włosy. Wyglądasz jak maminsynek. Maminsynek, maminsynek!

Zaczęli krzyczeć jeden przez drugiego. Nagle za ich plecami pojawił się Mikę. Rzecz jasna, cała rozmowa odbywała się po arabsku.

- Nie nazywajcie mojego brata maminsynkiem! - powiedział ostrzegawczo.

- Twojego brata? Nie wygląda na twojego brata, ale wygląda na maminsynka.

Walka na pięści nie jest znana w kulturze arabskiej. W gruncie rzeczy nie jest znana nigdzie poza Europą i niektórymi rejonami Dalekiego Wschodu. Nawet na południe od Sahary zaciśniętej pięści nie używa się jako broni. Czarnych przybyszów z Afryki oraz ich potomków trzeba było najpierw nauczyć zadawać ciosy, ale już wkrótce potem osiągnęli światowy prymat w tej dziedzinie. Jednak z historycznego punktu widzenia walka na pięści stanowi element kultury śródziemnomorskiej, a szczególnie anglosaskiej.

Prawy prosty Mike'a Martina wylądował na szczęce prowodyra, który zwał się jak długi na ziemię. Chłopiec nie poniósł żadnej szkody i chyba bardziej go to zaskoczyło niż przestraszyło, niemniej jednak lekcja odniosła zamierzony skutek, gdyż nikt już nie nazywał Terry'ego maminsynkiem.

Może to dziwne, ale po tym wydarzeniu Mikę i wysoki chłopiec zostali najlepszymi przyjaciółmi. Aż do ukończenia szkoły byli po prostu nierozłączni. Wysoki Irakijczyk nazywał się Hasan Rahmani. Trzecim członkiem paczki został Abd al-Karim Badri, który miał młodszego brata Usmana, rówieśnika Terry'ego. Siłą rzeczy Terry i Usman także zostali przyjaciółmi, do czego przyczynił się również fakt, że Badri senior bywał częstym gościem u państwa Martin, a jako doktor medycyny pełnił funkcję domowego lekarza rodziny. To właśnie on pomógł Mike'owi i Terry'emu przebrnąć przez związane nieodłącznie z okresem dzieciństwa odry, świnki i ospy. Starszego z braci Badri fascynowała poezja. Zawsze miał przy sobie tomik wierszy jakiegoś angielskiego poety, a deklamował je tak pięknie, że w tej dziedzinie w całej szkole nie znalazł równych sobie. Młodszy, Usman, najbardziej interesował się matematyką i twierdził, że pewnego dnia zostanie inżynierem albo architektem i będzie wznosił wspaniałe budowle. Tego ciepłego sierpniowego wieczoru w roku 1990 Terry siedział w kościelnej ławce i myślał, co też się z nimi wszystkimi stało.

W czasie, kiedy chłopcy chodzili do szkoły, w Iraku wiele się zmieniło. Cztery lata po zamachu stanu, i objęciu władzy, Kasema obalili i zamordowali wojskowi, którym przestały się podobać jego flirty z komunizmem. Przez jedenaście miesięcy, gdy krajem rządziła armia do spółki z partią Ba's, członkowie tego ugrupowania wzięli okrutny rewanż na swoich niedawnych prześladowcach, komunistach.

Potem wojsko znów odsunęło Ba's od władzy i panowało niepodzielnie w Iraku aż do roku 1968.

Jednak wcześniej, bo już w roku 1966, trzynastoletni Mikę został wysłany do Anglii, by kontynuować naukę w szkole publicznej Haileybury. Terry podążył jego śladem w 1968 roku. W czerwcu poleciał z rodzicami do Wielkiej Brytanii, żeby najpierw spędzić tam długie wakacje, a od nowego roku szkolnego dołączyć do brata. Dzięki temu ominęły ich dwa zamachy stanu, z 14 i 30 czerwca, kiedy to ster rządów przeszedł w ręce Ba's, a ściślej mówiąc prezydenta Bakra i wiceprezydenta Saddama Husajna.

Nigel Martin podejrzewał, że może zdarzyć się coś takiego, i odpowiednio się zabezpieczył. Zrezygnował z posady w Irackiej Kompanii Naftowej, podjął pracę w innej firmie, Burmah Oil, i wraz z rodziną przeniósł się do Hertford, skąd codziennie dojeżdżał do swojego biura w Londynie.

Martin senior stał się także zapalonym golfistą; podczas weekendów jego synowie często nosili za nim kije, kiedy toczył zacięte boje z kolegą z pracy, niejakim Denitem Thatcherem, którego żona żywo interesowała się polityką.

Terry znakomicie czuł się w szkole w Haileybury, kierowanej podówczas przez Billa Stewarta. Obaj bracia mieszkali w Melvill House, gdzie opiekę nad chłopcami sprawował Richard Rhodes-James. Zgodnie z przewidywaniami młodszy okazał się znakomitym materiałem na uczonego, starszy zaś na sportowca. Mikę nadal troszczył się o mniej sprawnego fizycznie brata, Terry zaś odpłacał mu coraz większym uwielbieniem.

Mikę wcześniej zrezygnował z ubiegania się o miejsce na uniwersytecie, oświadczając, że pragnie związać swoje życie z wojskiem. Pan Rhodes-James mógł tylko przyklasnąć tej decyzji.

Kiedy próba chóru dobiegła końca, Terry Martin opuścił pograżony w półmroku kościół, przeszedł na drugą stronę Trafalgar Square i wsiadł do autobusu odjeżdżającego do Bayswater, gdzie mieszkał z Hilarym. Kiedy autobus mijał Park Lane, uczony wrócił myślami do finałowego meczu rugby przeciwko Tonbridge - ostatniego, w jakim Mikę brał udział podczas pobytu w Haileybury.

Mecze z Tonbridge zawsze należały do najbardziej zaciętych, przebieg zaś tego w pełni potwierdzał tę prawdę. Na pięć minut przed końcem spotkania drużyna Tonbridge prowadziła dwoma punktami. Mikę był rozgrywającym, Terry zaś siedział za linią autową jak wierny spaniel, nie spuszczać wzroku z brata. Po młynie owalna piłka trafiła w ręce zawodnika Haileybury, który zręcznym manewrem ominął najbliższego przeciwnika, a następnie przekazał ją koledze z drużyny. W tej samej chwili Mikę zaczął nabierać prędkości za ich plecami. Terry'emu wydawało się, że jeszcze trochę, a jego brat wyprzedzi kolegów i nie będzie mógł przejąć piłki, ale Mikę w ostatniej chwili otrzymał celne podanie, przyśpieszył jeszcze bardziej, minął slalomem kilku usiłujących go rozpaczliwie zatrzymać przeciwników i wreszcie przekroczył linię końcową boiska. Terry podskakiwał jak szalony i wrzeszczał co sił w płucach. Oddałby wszystkie najlepsze oceny i pochwały nauczycieli za to, żeby móc rozegrać taką wspaniałą akcję na środku boiska, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że nie nadałyby za swoim długonogim bratem, a po pierwszym zderzeniu z którymś z rywali ani chybi rozciągnąłby się jak długi na murawie i nie wiadomo,

kiedy udałoby mu się pozbierać.

Owacje na chwilę ustały, gdyż Tonbridge ruszyło do ataku, lecz Mikę błyskawicznie odebrał piłkę napastnikowi przeciwników, zderzył się z innym rywalem, tak że tamten odbił się od niego jak od ściany, i bez przeszkód zdobył kolejne punkty.

Kiedy drużyny schodziły z boiska, szczęśliwy Terry stał przy przejściu prowadzącym do szatni. Mijając go Mikę wyciągnął rękę i zmierzył mu włosy.

- Udało nam się, braciszku.

A teraz on, zamiast trzymać głowę na kłódkę, niepotrzebnie chlapnął ozorem, i Mikę został wysłany do okupowanego Kuwejtu.

Terry czuł, jak do oczu napływają mu łzy gniewu i rozpacz.

Wysiadłszy z autobusu ruszył przez Chepstow Gardens. Hilary powinien już wrócić do domu po trzydniowej podróży służbowej.

To dobrze, gdyż Terry ogromnie potrzebował pociechy. Kiedy tylko otworzył drzwi, zawołał głośno i ku swej radości usłyszał znajomy głos, dobiegający z pokoju stołowego.

Poszedł tam i drżącym głosem wyznał, jakie niewybaczalne głupstwo popełnił, a chwilę potem znalazł się w objęciach człowieka, z którym dzielił życie.

Mikę Martin spędził dwa dni w placówce brytyjskiego wywiadu w Rijadzie -jej skład właśnie uzupełniono o dwóch ludzi z Century House.

Ponieważ Arabia Saudyjska uważana jest za najbardziej pro-brytyjski kraj w tej części świata, Firma nigdy nie przysyłała tu ani zbyt wielu ludzi, ani nie inwestowała w najnowocześniejszy sprzęt. Jednak trwający od dziesięciu dni kryzys w rejonie Zatoki Perskiej wszystko zmienił.

Nowo utworzona koalicja Zachodu z tymi państwami arabskimi, które stanowczo sprzeciwiły się zajęciu Kuwejtu przez Saddama Husajna, miała już dwóch współdowodzących. Byli nimi generał Norman Schwarzkopf ze Stanów Zjednoczonych oraz książę Chalid ibn Sułtan ibn Abd-al-Aziz, 44-letni zawodowy żołnierz, absolwent Akademii Wojskowej w Sandhurst w Anglii, bratanek króla oraz syn ministra obrony, księcia Sułtana.

Książę Chalid odniósł się z wielką życzliwością do prośby rządu Jej Królewskiej Mości i bardzo szybko oddał do dyspozycji Anglików obszerną, stojącą nieco na uboczu willę na przedmieściu. Technicy z Londynu właśnie kończyli instalować odbiorniki i nadajniki połączone z maszynami kodującymi. Na czas zagrożenia wojny willa miała się stać siedzibą wywiadu brytyjskiego w Arabii Saudyjskiej. Po drugiej stronie miasta Amerykanie szykowali podobne lokum dla CIA, która wcale nie zamierzała oddać pola bez walki. Na razie nie było jeszcze widać oznak wrogości, jaka już wkrótce pojawiła się między cywilnymi funkcjonariuszami Agencji a oficerami amerykańskiego kontyngentu wojskowego.

Tymczasem Mikę Martin zamieszkał w domu rezydenta wywiadu, Juliana Graya. Obaj mężczyźni szybko doszli do wniosku, że nie ma potrzeby, aby personel ambasady miał okazję zbyt często widywać Martina. Uroczej pani Gray, która znakomicie wywiązywała się z roli gospodyni, nawet przez myśl nie przeszło, by zapytać, kim jest jej gość i co robi w Arabii Saudyjskiej, Martin z kolei nie zdradzał swojej znajomości arabskiego, zwracając się do służby wyłącznie po angielsku.

Wieczorem drugiego dnia Gray urządził mu coś w rodzaju odprawy.

- Jutro rano polecisz pan do Zarranu samolotem wewnętrznych linii saudyjskich. Zawiesili bezpośrednie połączenia z Chafdzi. Na lotnisku będzie na pana czekał ktoś, kto zawiezie pana na północ od miasta. Zdaje się, że ten człowiek też był kiedyś w SAS. Nazywa się Sparky Low. Zna go pan?

- Znam - odparł krótko Martin.

- Ma wszystko, czego będzie pan potrzebował, a w dodatku wystraszył skądś młodego kuwejckiego pilota, z którym być może zechce pan porozmawiać. Przekażemy wam najświeższe zdjęcia pogranicza wykonane przez amerykańskie satelity szpiegowskie. - Gray rozłożył na stole duże, lśniąco odbijające światło odbitki. - A te fotografie właśnie nadeszły z Londynu. Saddam chyba jeszcze nie mianował gubernatora generalnego Kuwejtu. Cały czas próbuje zmontować jakiś marionetkowy rząd z miejscowych kolaborantów, ale jak na razie bez rezultatu. Nawet kuwejcka opozycja nie chce z nim gadać. Wygląda jednak na to, że posłał tam już swoją tajną policję. Ten człowiek został miejscowym szefem Al-Aman al-Amm. Nazywa się Sabawi i jest niezłym sukinsynem. Jego szef, który urzęduje w Bagdadzie, nazywa się Umar Chatib. To ten.

Martin przyjrzał się twarzy na fotografii. Była ponura, wykrzywiona cierpkim grymasem, w małych oczach zaś trudno było dopatrzeć się czegokolwiek poza podejrzliwością i okrucieństwem.

- Ma opinię rzeźnika, tak samo jak jego pupil Sabawi. Chatib skończył czterdzieści cztery lata, pochodzi z plemienia At-Tikriti i należy do tego samego klanu co Saddam. O Sabawim na razie wiemy niewiele, ale to się z pewnością już niedługo zmieni. - Gray wyjął inne zdjęcie. - Oprócz policji politycznej Bagdad posłał też do Kuwejtu ludzi z kontrwywiadu, prawdopodobnie po to, by zajęli się cudzoziemcami i przeciwdziałali ewentualnym aktom sabotażu. To jest ich szef. Zdobył sobie reputację niezłego spryciarza. Całkiem możliwe, że właśnie na niego trzeba będzie najbardziej uważać.

Był 8 sierpnia. Po niebie przetoczył się huk silników kolejnej galaxii podchodzącej do lądowania na pobliskim wojskowym lotnisku. Ogromna maszyna stanowiła część mostu powietrznego, którym do przerażonego, zaskoczonego i tkwiącego mocno korzeniami w przeszłości królestwa docierało coraz więcej ultranowoczesnego sprzętu.

Mike Martin spojrział na fotografię i ujrzał twarz Hasana Rahmaniego.

Dzwonił Steve Laing.

- Nie chcę z panem rozmawiać - powiedział Terry Martin.

- Wydaje mi się, że jednak pan powinien, doktorze. Z pewnością martwi się pan o swojego brata, prawda?

- I to bardzo.

- Zupełnie niepotrzebnie. To niesłychanie twardy człowiek, który potrafi zatroszczyć się o siebie w każdych okolicznościach. Bardzo chciał tam pojechać, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Mógł odmówić i nikt nie miałby do niego najmniejszych pretensji.

- Powinienem być trzymać język za zębami.

- Proszę spróbować spojrzeć na to z innej strony, doktorze. Jeśli dojdzie do najgorszego, niewykluczone, że nad Zatokę pojedzie wielu innych braci, mężów, synów i narzeczonych. Czy nie powinniśmy uczynić wszystkiego, co w naszej mocy, żeby jak najwięcej z nich wróciło cało i zdrowo do domów?

- Już dobrze, dobrze. Czego pan chce?

- Umówić się z panem na jeszcze jeden lunch. Łatwiej rozmawia się siedząc twarzą w twarz przy stoliku niż przez telefon. Zna pan hotel Montcalm? Możemy spotkać się tam o pierwszej?

- Pod względem emocjonalnym nasz uczonec z trudem dorównuje sześciotygodniowemu szczeniaku - mruknął Laing do Simona Paxmana, odkładając słuchawkę.

- Dobry Boże! - odparł Paxman tonem entomologa, który właśnie dowiedział się o odkryciu zdumiewającego, zupełnie nowego gatunku owadów żyjących pod kamieniami.

Szpieg i uczonec ponownie mieli dla siebie odosobniony stolik -

zatroszczył się o to pan Costa, kierownik sali. Kiedy kelner przyniósł półmisek z wędzonym łososiem, Laing przeszedł do rzeczy.

– Wygląda na to, że nad Zatoką jednak wybuchnie wojna.

Jeszcze nie teraz, ma się rozumieć, bo mamy tam za mało ludzi i sprzętu, ale Amerykanie zawzięli się na dobre. Chcą za wszelką cenę usunąć Saddama oraz jego zbirów z Kuwejt, i mają pełne poparcie naszej damy z Downing Street.

– A jeżeli on sam zdecyduje się wycofać?

– To znakomicie, bo wtedy obejdzie się bez wojny – odparł Laing, choć w głębi duszy podejrzewał, że nie wszyscy powitaliby takie rozwiązanie z autentycznym zadowoleniem. Od jakiegoś czasu zaczęły do niego z różnych stron docierać bardzo niepokojące plotki. W gruncie rzeczy właśnie one skłoniły go, by ponownie spotkać się ze znakomitym arabistą. – Jeśli jednak tak się nie stanie, będziemy musieli tam wejść, naturalnie za zgodą Organizacji Narodów Zjednoczonych, i dać mu kopa w tyłek.

– My?

– No, przede wszystkim Amerykanie, ale my też pošlemy wojska.

Nasze okręty już teraz są w Zatoce, a myśliwce i myśliwce bombardujące znajdują się w drodze na Bliski Wschód. Tak przedstawia się sytuacja. Pani T. bardzo zależy na tym, by nikt nie pomyślał, że choć na chwilę zostajemy w tyle. Na razie trwa operacja Pustynna Tarcza. Ma ona wybić z głowy temu kretynowi jakiegokolwiek myśli, by ruszyć na południe i napaść na Arabię Saudyjską, ale sądzę, że na tym się nie skończy. Przypuszczam, że słyszał pan o broni masowej zagłady?

– Oczywiście.

– Broń ABC: atomowa, bakteriologiczna i chemiczna. Co najmniej od kilku lat staraliśmy się zwrócić uwagę naszych władz na to niebezpieczeństwo. Nie dalej jak rok temu Szef sporządził dla rządu poufny raport "Problemy wywiadu lat 90.", w którym ostrzegał, że po zakończeniu zimnej wojny najgroźniejszym problemem pozostanie proliferacja, to znaczy zapobieganie sytuacjom, w których mniej lub bardziej niezrównoważeni dyktatorzy mogliby uzyskać dostęp do najnowszych rodzajów broni. Członkowie rządu pokiwali mądrze głowami i odesłali raport do archiwum, a teraz, ma się rozumieć, robią ze strachu w gacie.

– On ma mnóstwo broni – zauważył Terry Martin.

– Otóż to, drogi przyjacielu. Według naszych szacunków, przez minione dziesięć lat Saddam wydał pięćdziesiąt miliardów dolarów na badania nad nowymi rodzajami broni. Właśnie dlatego siedzi w długach po uszy. Tylko podczas wojny z Iranem pożyczył od Kuwejtu piętnaście miliardów, a od Arabii Saudyjskiej drugie tyle. Dokonał inwazji głównie dlatego, że Kuwejtczykcy nie zgodzili się umorzyć tamtego długu i pożyczyć mu następnych trzydziestu miliardów na wprowadzenie kraju w kryzysu gospodarczego. Sedno problemu tkwi w tym, że prawie jedna trzecia z tych pięćdziesięciu miliardów, czyli trudna do wyobrażenia kwota siedemnastu miliardów dolarów, została wykorzystana na badania nad bronią masowej zagłady.

– A teraz Zachód wreszcie przejrzał na oczy?

– I wziął się ostro do roboty. Operacja została zaplanowana na niesłychaną skalę. CIA dostała polecenie, żeby uruchomić kontakty na całym świecie, w jak najkrótszym czasie ustalić, które państwa prowadziły jakikolwiek handel z Irakiem, i sprawdzić, co do niego eksportowały. My zresztą robimy dokładnie to samo.

– Zadanie nie powinno być zbyt trudne, jeżeli wszyscy będą z wami współpracować, a przypuszczam, że tak właśnie się stanie – zauważył Martin. Kelner postawił przed nim filet z płaszczyki.

– Sprawa wcale nie jest prosta – odparł Laing. – Zdołaliśmy już ustalić, że zięć Saddama, Kamil, stworzył piekielnie sprytny system pozyskiwania towarów i technologii. Kazał założyć w całej

Europie i obu Amerykach setki "lewych" firm, które następnie podjęły działalność, pozornie każda na własną rękę, kupując trochę tego, a trochę tamtego, fałszując faktury i listy przewozowe, załatwiając nielegalny transport, przekupując urzędników, i tak dalej, i tak dalej. Jeżeli jednak ułożyć te drobne fragmenciki w całość, można się naprawdę przestraszyć.

– Wiemy, że ma gaz – powiedział Martin. – Użył go przeciwko Kurdom, a potem potraktował nim Irańczyków na bagnach Al-Fau. Fosgen i gaz musztardowy. Słyszałem jednak, że dysponuje też innymi, bezwonnymi gazami, które atakują centralny układ nerwowy. Pozbawione zapachu, niewidoczne i śmiertelnie niebezpieczne.

– Mój drogi przyjacielu, jest pan prawdziwą kopalnią informacji.

Laing znalazł się na gazach bojowych co najmniej równie dobrze jak doktor Martin, ale zdawał sobie doskonale sprawę, że małe pochlebstwo z pewnością nie zaszkodzi.

– Jeżeli chodzi o broń bakteriologiczną, to podobno eksperymentował z węglikiem i wirusowym zapaleniem płuc. Tyle tylko, że do tego nie wystarczy szkolne laboratorium i para gumowych rękawiczek. Potrzebne jest bardzo skomplikowane wyposażenie, które łatwo zidentyfikować w dokumentach eksportowych.

Laing skinął głową i jednocześnie westchnął głęboko.

– Teoretycznie ma pan rację, ale nasi ludzie napotkali dwie zasadnicze przeszkody: niechęć do współpracy wykazywaną przez niektóre firmy, szczególnie niemieckie, oraz problem możliwości dwojakiego wykorzystania zakupionych materiałów. Załóżmy, że ktoś wysłał do Iraku cały statek pestycydów – nic dziwnego, bo to przecież kraj, który za wszelką cenę stara się zwiększyć wydajność rolnictwa, a przynajmniej tak twierdzi. Jednocześnie inna firma, z innego państwa, wysłała drugi statek, też wypełniony po brzegi pestycydami, tyle tylko, że innego rodzaju. Oba statki spotykają się w Iraku, a tam jakiś sprytny chemik łączy oba środki i hokus-pokus! – jest gaz trujący. Obaj dostawcy naturalnie zaklinają się na wszystkie świętości, że nie mieli o niczym pojęcia.

– W tym wypadku najważniejszą sprawą jest wyposażenie – powiedział Martin. – To już musi być sprzęt najwyższej jakości, bo takiej produkcji nie prowadzi się w wannie. Musicie odszukać ludzi, którzy projektowali fabryki, oraz tych, którzy budowali je pod klucz. Co prawda wyprą się wszystkiego, ale z pewnością doskonale wiedzieli, co to jest i czemu ma służyć.

– Pod klucz?

– Tak. Od początku do końca projektowały je i budowały zagraniczne firmy. Nowy właściciel zjawia się, kiedy już wszystko jest gotowe, przekręca klucz i wchodzi do środka... Ale ja nadal nie wiem, czemu mam zawdzięczać tak znakomity lunch. Z pewnością znacie chemików i fizyków, którzy zawodowo zajmują się bronią masowego rażenia. Ja wiem o tym tylko ze względu na prywatne zainteresowania. Czego pan ode mnie chce?

Laing przez chwilę w milczeniu mieszał kawę. Wiedział, że musi działać bardzo ostrożnie.

– Rzeczywiście, mamy dostęp do chemików, fizyków i w ogóle specjalistów różnej maści, którzy z pewnością udzieliliby nam wyczerpujących odpowiedzi na wszelkie pytania, a my potem przetłumaczylibyśmy je na zwykły angielski. Przez cały czas pozostajemy w ścisłym kontakcie z Amerykanami – robią dokładnie to samo, więc potem wymienilibyśmy z nimi informacje.

Uzyskalibyśmy sporo wyjaśnień, ale na pewno nie wszystkie.

Pan może nam zaoferować coś więcej, dlatego ten lunch. Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że część naszych polityków w dalszym

ciągu uważa,, iż przeciętny Arab nie potrafiłby nawet zmontować dziecinnego rowerka, a co dopiero go wynaleźć?

Z pełną świadomością ugodził rozmówcę w czuły punkt. Teraz miało się okazać, czy portret psychologiczny doktora Terry'ego Martina był cokolwiek wart. Chyba tak, gdyż na twarzy uczonego wykwitł intensywny rumieniec.

- Naprawdę mnie wkurza, kiedy jestem świadkiem, jak moi rodacy traktują Arabów niczym bandę niedorozwiniętych poganiaczy wielbłądów, którzy nie wiadomo dlaczego obwiązują sobie głowy ręcznikami! - wybuchnął doktor Martin. - A już mi się zdarzyło na własne uszy słyszeć takie opinie! Tymczasem prawda wygląda w ten sposób, że wówczas, kiedy my jeszcze ganialiśmy po lasach ubrani w niewyprawione skóry dzikich zwierząt, oni budowali wielkie pałace, świątynie, porty, drogi i systemy irygacyjne, a kiedy my tkwiliśmy w mrokach średniowiecza, oni mieli zdumiewająco mądrych władców i prawodawców! - Pochylił się do przodu i wycelował łyżeczkę w funkcjonariusza wywiadu. - Powiadam panu, wśród Irakijczyków znajduje się wielu znakomitych naukowców, a jeżeli chodzi o budowniczych, to nie dorównuje im nikt w promieniu półtora tysiąca kilometrów od Bagdadu, nie wyłączając Izraela. Prawie wszyscy studiowali na zachodnich lub radzieckich uczelniach, ale nie poprzestali na zdobytej wiedzy, tylko uzupełnili ją o własne, bogate doświadczenia i... Przerwał dla nabrania oddechu. Laing wykorzystał okazję, by wpaść w słowo uczonemu.

- Doktorze Martin, całkowicie się z panem zgadzam. Dopiero od roku pracuję w Sekcji Bliskowschodniej SIS, ale zdążyłem już wyrobić sobie na tę sprawę taki sam pogląd. Irakijczycy z pewnością są bardzo utalentowanymi ludźmi. Tak się jednak składa, że ich krajem rządzi człowiek, który udowodnił już, że jest zdolny do ludobójstwa. Czy te ogromne środki finansowe i nietuzinkowe talenty mają zostać wykorzystane do zabijania dziesiątków, może nawet setek tysięcy ludzi? Czy Saddam okryje swój naród chwałą, czy też sprowadzi na niego zagładę? Martin westchnął ciężko.

- Ma pan rację, to wariat. Wzorując się na Hitlerze doprowadził do tego, że nacjonalizm dawnej partii Ba's przeistoczył się w coś w rodzaju narodowego socjalizmu. A więc, czego oczekuje pan ode mnie?

Laing zastanawiał się przez chwilę. Był już bardzo blisko celu, zbyt blisko, żeby pozwolić sobie na jakiś nieostrożny ruch.

- George Bush i pani T. postanowili powołać wspólną amerykańsko-brytyjską komisję, która analizowałaby wszelkie poczynania Saddama związane z bronią masowej zagłady. Informatorzy dostarczą danych, analitycy zaś będą je opracowywać. Co już udało mu się zdobyć? W jaki sposób? Ile? Czego potrzebujemy, żeby zapewnić ochronę naszym ludziom, jeżeli dojdzie do wybuchu wojny? Maski gazowe? Skafandry kosmiczne? Szczepionki? Na razie jeszcze niemal wszystko jest dla nas tajemnicą...

- Ale ja nie mam o tym pojęcia! - przerwał mu Martin.

- Owszem, lecz wie pan, jak myślą Arabowie, jak myśli Saddam. Czy wykorzysta każdy atut, jaki ma w ręku, czy postara się wycisnąć z Kuwejtu ile się da, czy raczej zdecyduje się wycofać? A może pójdzie na całość? Nasi ludzie po prostu nie rozumieją arabskiej koncepcji męczeństwa.

Terry Martin roześmiał się z ulgą.

•- Sprawa jest stosunkowo prosta - powiedział. - Prezydent Bush i wszyscy jego doradcy będą działać zgodnie z kodeksem moralnym, który wpajano im od dzieciństwa. U jego podstaw legła judeo-chrześcijańska filozofia moralna wsparta grecko-rzymską logiką, Saddam zaś zareaguje tak, jak każe mu jego własna wizja swojej osoby.

– A więc jak Arab i muzułmanin?

– Islam nie ma tu nic do rzeczy. Saddama nie obchodzi nauki Proroka. Modli się na pokaz, przed kamerą, kiedy uważa, że w ten sposób osiągnie jakieś korzyści. Żeby go zrozumieć, trzeba cofnąć się dalej, do Niniwy i Asyrii. Nie obchodzi go, ilu ludzi zginie, dopóki widzi dla siebie jakąkolwiek szansę na zwycięstwo.

– Ale on przecież nie pokona Ameryki! Nikomu nie udałoby się tego dokonać!

– Błąd. Pan rozumie słowo "zwyciężyć" tak jak rozumie je każdy Brytyjczyk albo Amerykanin, tak jak rozumieją je Bush i Scowcroft. Dla niego to słowo ma zupełnie inne znaczenie. Jeżeli wycofa się z Kuwejtu dlatego, że król Fahd wypłaci mu ogromny haracz, co mogłoby się zdarzyć, gdyby konferencja w Dżiddzie doszła do skutku, wówczas poczuje się jak zwycięzca. Nie ma ujmę w tym, że wycofałeś się, gdy ktoś ci za to zapłaci. Wręcz przeciwnie, ty wygrywasz... Lecz Ameryka nie zgodzi się na takie rozwiązanie.

– W żaden sposób.

– Jeśli jednak wycofa się przed groźbami, wtedy przegrał. Cały świat arabski zinterpretuje to właśnie w taki sposób. Przegra, i prawdopodobnie wkrótce potem zginie, a więc na pewno się na to nie zdecyduje.

– A co będzie, kiedy amerykańska machina wojenna weźmie go w obroty? Przecież zostanie z niego mokra plama!

– To nie ma znaczenia. Poza tym, ma swój bunkier. Zginie wielu jego ludzi, a oni się nie liczą. Jeżeli jednak zdoła choć trochę zaszkodzić Ameryce, wtedy także zwycięży. A jeśli do tego wyrządzi znaczne szkody, opromieni go nieśmiertelna chwała. Wtedy może nawet zginąć, bo i tak wygra.

– Cholera, ależ to skomplikowane... – mruknął Laing.

– Wcale nie. Po prostu przekraczając Jordan należy przygotować się na spotkanie z zupełnie innymi koncepcjami filozoficznymi. Pytam jeszcze raz: czego pan chce ode mnie?

– Formujemy komitet, który będzie służył radą naszym wo-
dzom w sprawie irackiej broni masowej zagłady. Artylerią, czołgami i samolotami zajmą się ministrowie obrony. To wszystko zwykłe żelastwo, które bez kłopotu można zniszczyć z powietrza. Właściwie tworzą się dwa komitety: jeden w Waszyngtonie, drugi tutaj, w Londynie. Nasi doradcy u nich, ich doradcy u nas. Znajdą się tam ludzie z MSZ, Aldermaston i Porton Down. Century House ma do obsadzenia dwa miejsca. Jedno zajmie Simon Paxman, na drugim zaś chętnie widziałbym pana. Czuwałby pan nad tym, by chłopcy nie przeoczyli jakiejś wskazówki tylko dlatego, że będzie im się wydawała zbyt dziwaczna. Pan się na tym zna i mógłby pan bardzo nam pomóc.

– W porządku, choć na pańskim miejscu nie robiłbym sobie zbyt wielkich nadziei. Jak się nazywa ten komitet i kiedy zbierze się na pierwsze posiedzenie?

–• Simon zawiadomi pana osobiście o dacie i miejscu. Co do nazwy... Wydaje mi się bardzo odpowiednia: Meduza.

Późnym popołudniem 10 sierpnia łagodny, ciepły zmierzch zbliżał się powoli do położonej w Karolinie Bazy Sił Powietrznych Seymoura Johnsona, niosąc ze sobą obietnicę spokojnego wieczoru, do jakiego najlepiej pasuje dobrze schłodzona butelka rumu i skwierczący na grillu stek.

Piloci 334. Dywizjonu Myśliwców, którzy jeszcze nie zakończyli okresu przejściowego po przesiadce na nowe maszyny, oraz 335. Dywizjonu – ci mieli polecieć nad Zatokę w grudniu, stali na płycie lotniska i patrzyli. Wraz z 336. Dywizjonem tworzyli 4. Skrzydło Myśliwskiego Lotnictwa Taktycznego wchodzące w skład 9. Armii Powietrznej. Dziś właśnie 336. Dywizjon ruszał w drogę. Dwa dni gorączkowych przygotowań wreszcie dobiegły końca. Dwa dni wypełnione sprawdzaniem maszyn, planowaniem trasy,

zestawianiem i kompletowaniem wyposażenia, pakowaniem części głównego komputera dywizjonu do specjalnych pojemników i szykowaniem go do transportu. Translokacja dywizjonu myśliwców w niczym nie przypomina przeprowadzki, która nieraz potrafi dobrze dać się we znaki. Jeżeli można ją do czegoś porównać, to raczej do ewakuacji małego miasteczka.

Dwadzieścia cztery maszyny stały w ciszy na betonowej płycie lotniska, czekając aż drobne, kruche istoty należące do tego samego gatunku, który je zaprojektował i zbudował, zajmą miejsca w kabinach i dotknięciami słabych palców wyzwolą ogromną moc drzeмиącą w silnikach.

Samoloty przygotowano do długiego lotu bez międzylądowań. Jego celem był, znajdujący się po drugiej stronie kuli ziemskiej, Półwysep Arabski. Każdy eagle miał w wewnętrznych zbiornikach 6000 kilogramów paliwa lotniczego, zaś w dwóch podłużnych, lekko wystających z obu boków maszyny, dodatkowe 4500. Pod każdym kadłubem umocowano po trzy przypominające torpedy, zbiorniki zewnętrzne. Każdy z nich zawierał 1500 kilogramów wysokooktanowej benzyny lotniczej. Samo paliwo ważyło w sumie 15 ton, czyli tyle, ile wynosił udźwig pięciu średnich bombowców z okresu drugiej wojny światowej - a przecież F-15 eagle nie jest bombowcem, tylko myśliwcem.

Osobiste rzeczy pilotów zostały zapakowane do metalowych pojemników - kiedyś służyły do transportu napalmu, teraz zaś znalazły bardziej humanitarne zastosowanie - i podwieszono pod skrzydłami. Oprócz paliwa i broni potężne maszyny wiozły więc także ładunek koszul, skarpetek, krótkich gaci, mydła, pianki do golenia, mundurów, maskotek i pism ze zdjęciami roznegliżowanych dziewcząt. Z tego, co piloci usłyszeli na odprawie, wynikało jasno, że do najbliższego baru z rozrywkami dla samotnych mężczyzn będzie bardzo, ale to bardzo daleko.

Wielkie samoloty-cysterny KC-10, które miały czuwać nad stadkiem myśliwców przez całą drogę nad Atlantykiem, znajdowały się już w powietrzu. Każda z czterech ogromnych maszyn niosła w swoich zbiornikach paliwo dla sześciu F-15.

Nieco później powietrzna karawana transportowców starlifter i galaxy miała dostarczyć na miejsce całą resztę, to znaczy małą armię mechaników i speców od elektroniki, a także niezliczone skrzynie z częściami zamiennymi, narzędziami, ruchomymi warsztatami polowymi i składanymi płóciennymi krzeselkami. W punkcie docelowym była tylko pustynia; wszystko, co niezbędne dla prawidłowego funkcjonowania dwudziestu czterech najnowocześniejszych myśliwców bombardujących na świecie oraz do utrzymania przy życiu ich załóg i personelu pomocniczego, musiało odbyć powietrzną podróż na drugą stronę kuli ziemskiej.

Tego wieczoru każdy eagle przedstawiał sobą wartość czterdziestu czterech milionów dolarów zamrożonych w specjalnie hartowanym aluminium, kompozytach węglowych, komputerach i hydraulice, nie wspominając już o samym projekcie. Co prawda F-15 liczył sobie już prawie trzydzieści lat, lecz mimo to był zupełnie nowym samolotem - tyle czasu zajmuje opracowanie nowego modelu samolotu bojowego.

Na czele pożegnalnej delegacji, która przybyła z pobliskiego Goldsboro, stał burmistrz tego miasteczka, Hal K. Plonk. Dwadzieścia tysięcy wdzięcznych współmieszkańców nadało mu przydomek "Słoń", a to ze względu na niezrównany wdzięk, z jakim starał się rozbawić poważnych oficjeli z Waszyngtonu, zasypując ich gradem żarcików i dykteryjek. Jeżeli wierzyć plotkom, to niektórzy goście ze stolicy po godzinie spędzonej w towarzystwie krotochwilnego burmistrza wsiadali czym prędzej do samolotu i wracali do domu, by tam natychmiast udać się do psycho-

analityka. Nietrudno się domyślić, że burmistrz Plonk bez trudu zwycięża w kolejnych wyborach, za każdym razem zyskując coraz więcej głosów.

Przedstawiciele społeczności Goldsboro stali teraz obok dowódcy 4. Skrzydła, generała Hala Hornburga, i z dumą przyglądali się, jak ciągniki wytaczają z hangarów kolejne maszyny, a załogi szybko i sprawnie zajmują miejsca w dwuosobowych kabinach – pilot z przodu, nawigator z tyłu. Wokół każdego samolotu uwijała się gromadka mechaników, dokonując ostatniej przedstartowej kontroli.

– Czy opowiadałem już panu dowcip o generale i kurwie? – zagadnął uprzejmie burmistrz stojącego obok niego, bardzo wysokiego rangą oficera Sił Powietrznych.

Na szczęście właśnie w tej chwili Don Walker włączył silniki i ryk dwóch turbin F100-PW-220 firmy Pratt & Whitney zagłuszył szczegóły przygód upadłej kobiety, których zaznała u boku generała. Każdy F100 potrafi zamienić wysokooktanowe paliwo w mnóstwo hałasu, gorącego powietrza i ponad 5 ton ciągu. I właśnie to robił. Dwadzieścia cztery F-15 eagle 336. Dywizjonu Myśliwskiego zaczęły kolejno toczyć się ku oddalonemu o półtora kilometra końcowi pasa startowego. Pod skrzydłami trzepotały małe czerwone chorągiewki, wskazując miejsca, w których tkwiły zatyczki zabezpieczające przed przypadkowym odpaleniem rakiety typu stinger i sidewinder. Zatyczki miały zostać usunięte dopiero tuż przed startem. Nikt nie oczekiwał żadnych nieprzyjemnych niespodzianek podczas podróży, ale nikomu nie przyszło też do głowy, że potężne myśliwce mogłyby wyruszyć w drogę nie uzbrojone.

Wzdłuż drogi kołowania ustawiły się grupki wartowników i żandarmów. Niektórzy machali rękami, inni salutowali. Przed samym pasem maszyny zatrzymały się ponownie, by poddać się ostatniej kontroli służb naziemnych. Mechanicy zablokowali klinami koła, po czym sprawdzili silniki, szukając śladów ewentualnego wycieku paliwa, obłuzowanych śrub lub elementów konstrukcji – krótko mówiąc, wszystkiego, co mogłoby spowodować nieszczęście podczas startu lub lotu. Stwierdziwszy, że wszystko jest w porządku, wyjęli zatyczki z mocowań pocisków.

Myśliwce czekały cierpliwie na końcu pasa. Każdy miał 19 metrów długości, 5,5 wysokości i skrzydła o rozpiętości 12 metrów. Masa własna F-15 wynosiła 18 ton, natomiast jego maksymalna masa startowa 36 ton, czyli niemal dokładnie tyle, ile maszyny ważyły teraz. Czekał je długi rozbieg.

Wreszcie silniki ryknęły ze zdwojoną mocą i samoloty potoczyły się po asfalcie. Po chwili piloci włączyli dopalacze i z dysz wystrzeliły długie na 10 metrów płomienie. Mechanicy, w specjalnych hełmach i ze słuchawkami na uszach, podnieśli ręce w pożegnalnym geście. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu mieli zostać oddzieleni od swoich ukochanych maszyn, by zobaczyć je ponownie dopiero nad Zatoką.

Po półtorakilometrowym rozbiegu, przy prędkości 350 kilometrów na godzinę, koła samolotów oderwały się od asfaltu i myśliwce wzbily się w powietrze. Podwozia niemal natychmiast zniknęły w kadłubach, klapy zamknęły się, a piloci wyłączyli dopalacze, skierowali dzioby maszyn w niebo i dwadzieścia cztery myśliwce zaczęły piąć się w górę w tempie 1500 metrów na minutę, by szybko zniknąć z oczu ludziom, którzy zgromadzili się na lotnisku.

Na wysokości 7 500 metrów piloci wyrównali lot, a godzinę później ujrzeli światła pozycyjne pierwszej powietrznej cysterny. Nadszedł czas, by uzupełnić paliwo. F100 mają ogromny apetyt – z włączonymi dopalaczami każdy z nich pożera 18 ton paliwa na godzinę i właśnie z tego powodu dopalacze używa się wyłącznie podczas startu, walki lub w awaryjnych sytuacjach wymagających

uzyskania maksymalnej prędkości. Jednak nawet w normalnym locie samoloty muszą uzupełniać paliwo mniej więcej co półtorej godziny. Bez KC-10 podróż non-stop do Arabii Saudyjskiej byłaby po prostu niemożliwa.

Osiem kluczy myśliwców ustawiło się w luźnej formacji – poszczególne trójki dzieliła odległość około półtora kilometra. Ponieważ zaraz po starcie skierowali się na wschód, znajdowali się teraz w całkowitej ciemności, ale piloci bez trudu mogli zorientować się w położeniu innych maszyn dzięki radarom oraz światłom pozycyjnym na końcach usterzenia pionowego i poziomego.

W okienku małej kabiny usytuowanej w ogonie KC-10 pojawiła się twarz operatora, a w chwilę potem z kadłuba cysterny wysunął się długi wysięgnik. Latająca stacja benzynowa była gotowa do przyjęcia pierwszego klienta.

F-15 podzieliły się na grupy po sześć samolotów, z których każda zgromadziła się w pobliżu jednego KC-10. Pierwszy zaczął uzupełniać paliwo Don Walker. Jego eagle łagodnie ustawił się nieco za cysterną, zaś usadowiony w ogonie większego samolotu operator sprawnie wprowadził wysięgnik do zaworu umieszczonego na lewym skrzydle myśliwca. Kiedy połączenie zostało uszczelnione, do zbiorników F-15 zaczęło płynąć paliwo. Eagle pił jak spragniony wielbłąd.

Kiedy tankowanie dobiegło końca, Walker ustąpił miejsca kolejnej maszynie. Przy pozostałych latających cysternach odbywał się podobny rytuał.

Noc okazała się dla nich bardzo krótka, gdyż pędzili na wschód z prędkością około 800 kilometrów na godzinę. Po sześciu godzinach mogli podziwiać wschód słońca, w chwilę potem zaś znaleźli się nad Hiszpanią i wzięli kurs nad Morze Śródziemne, aby ominąć z daleka granice Libii: Dopiero w pobliżu Egiptu 336. Dywizjon skręcił na południowy wschód, przemknął nad Morzem Czerwonym, a wkrótce potem piloci po raz pierwszy ujrzeli ogromną, żółtawobrazową połąć piasku zwaną Pustynią Arabską.

Po piętnastu godzinach lotu czterdziestu ośmiu młodych Amerykanów wylądowało w Zahranie w Arabii Saudyjskiej, a kilka godzin później znaleźli się w miejscu przeznaczenia, czyli w bazie powietrznej Thumrait w Omanie.

Tam właśnie przez cztery miesiące, aż do połowy grudnia, mieli mieszkać w warunkach, które później wspominali z narastającą nostalgią. Od Iraku dzieliła ich bezpieczna odległość ponad 1100 kilometrów, mogli spokojnie wykonywać loty ćwiczebne nad pustynią, kąpać się w błękitnych wodach Oceanu Indyjskiego i czekać na to, co wymyślą dla nich dobry Pan Bóg oraz generał Norman Schwarzkopf.

W grudniu przeniesiono ich do Arabii Saudyjskiej, a nieco później jeden z nich – choć nigdy się o tym nie dowiedział – zrobił coś, co stało się punktem zwrotnym w tej wojnie.

Rozdział piąty

Port lotniczy w Zahranie był kompletnie zakorkowany. Kiedy Mikę Martin przyleciał z Rijadu, odniósł wrażenie, że większość niearabskich mieszkańców wschodniego wybrzeża kraju postanowiła wyruszyć w drogę. Zahran, położony wśród rozległych pól naftowych, które dały Arabii Saudyjskiej jej legendarne bogactwo, w przeciwieństwie do Rijadu, Taifu, Janbu oraz innych miast królestwa odwiedzało bardzo często wielu Amerykanów i Europejczyków. Ale nawet tu chyba jeszcze nigdy nie widziano na ulicach tylu białych twarzy. W tamtych dniach, to znaczy w połowie sierpnia 1990 roku, Zahran szykował się do ewakuacji przed inwazją. Niektórzy już wyjechali w drogę, inni udali się do sąsiedniego Bahrajnu, a jeszcze inni stawili się na lotnisku wraz z żonami i dziećmi, usiłując dostać się

najpierw do stolicy, a stamtąd dalej, do domu.

Jednocześnie trwał intensywny ruch w przeciwną stronę. Samolot, którym leciał Martin, z trudem wcisnął się między dwie pękate C-5 galaxy, stanowiące część gigantycznego powietrznego konwoju, jaki docierał na Bliski Wschód z Wielkiej Brytanii, Niemiec i Stanów Zjednoczonych, wioząc sprzęt, ludzi i uzbrojenie. Dzięki nim cała północno-wschodnia Arabia Saudyjska miała już wkrótce zamienić się w wielki obóz wojskowy.

Nie była to jeszcze operacja Pustynna Burza, która miała oswoić Kuwejt, lecz Pustynna Tarcza, przeprowadzana z myślą o tym, by odstraszyć iracką armię, w sile czternastu dywizji zajmującą pozycje wzdłuż południowej granicy Kuwejtu. Postronny obserwator, znalazłszy się w porcie lotniczym w Zahranie, z pewnością poczułby się zagubiony, widząc tę demonstrację militarnej potęgi, ale bliższa analiza wykazałaby, że budowana w takim pośpiechu ochronna tarcza jest na razie niewiele grubsza od papieru. Nie przybyła jeszcze ani broń pancerna, ani artyleria – pierwsze okręty dopiero odbijały od nadbrzeży amerykańskich portów – a nawet największe samoloty transportowe mogły zabrać na pokład jedynie drobny ułamek tego, co mieści się w okrętowych ładowniach.

Stacjonujące w Zahranie F-15, hornety z Bahrajnu i brytyjskie tornada, których silniki nie zdążyły jeszcze dobrze ostygnąć po podróży z Niemiec, mogły wykonać co najwyżej po kilka lotów bojowych – potem zabrakłoby części, paliwa i amunicji.

Do tego, by powstrzymać zmasowany atak świetnie wyposażonej armii, trzeba czegoś więcej. Tymczasem, mimo ogromnego ruchu panującego na kilku lotniskach, północno-wschodnia część Arabii Saudyjskiej w dalszym ciągu była prawie zupełnie bezbronna. Martin, z torbą podróżną na ramieniu, przedarł się przez tłum wypełniający szczelnie halę dworca lotniczego i dostrzegł przed sobą znajomą twarz.

Podczas pierwszego kursu selekcyjnego przed przyjęciem do SAS, kiedy powiedziano mu, że nie chodzi o to, by kandydatów przeszkolić, tylko o to, żeby ich wykończyć, niewiele brakowało, a rzeczywiście straciłby życie. Pewnego dnia pokonał na piechotę 50 kilometrów na Wzgórzach Brecon, chyba najbardziej nieprzyjemnej człowiekowi okolicy w całej Wielkiej Brytanii, w marznącym deszczu, z 50-kilogramowym plecakiem na grzbiecie. Tak jak wszyscy był skrajnie wyczerpany; nie odbierał już prawie żadnych bodźców, tylko zamknął się we własnym świecie, w którym przestały istnieć nawet ból i zmęczenie, a pozostała jedynie wola przetrwania.

A potem zobaczył ciężarówkę: wspaniałą, wygodną, czekającą na nich ciężarówkę. Ten widok oznaczał koniec marszu i koniec nieludzkiej cierpienia. Jeszcze 100 metrów... 80... 50... Zataczając się jak pijany i chwiejąc na nogach zbliżał się powoli do miejsca, w którym wreszcie będzie mógł zaznać upragnionego odpoczynku. Z tyłu ciężarówki siedział człowiek, beznamietnie przyglądając się wykrzywionym grymasem bólu, mokrym od deszczu i potu twarzom. Kiedy Martin wyciągał już rękę, by chwycić się krawędzi skrzyni ładunkowej, mężczyzna zastukał w ściankę kabiny i wóz odjechał, zatrzymując się dopiero 15 kilometrów dalej. W ciężarówce siedział wówczas Sparky Low.

– Cześć, Mike. Miło cię widzieć.

Takie numery niełatwo się wybacza.

– Cześć, Sparky. Co słychać?

– Nic dobrego, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Sparky zaprowadził Mike'a do stojącego na parkingu niepozornego jeepa z napędem na obie osie, a pół godziny później mieli już Zahran za sobą i pędzili prosto na północ. 300 kilometrów, jakie dzieli Chafdżę od Zahranu, można pokonać w trzy godziny.

Kiedy minęli port Dżubajl, droga zupełnie opustoszała; nikt nie miał ochoty odwiedzać Chafdży, niewielkiej naftowej osady położonej tuż przy granicy z Kuwejtem, teraz niemal zupełnie opustoszałej.

– Wciąż jeszcze napływają uchodźcy? – zapytał Martin.

Sparky skinął głową.

– Tak, ale jest ich znacznie mniej niż przedtem. Głównie kobiety i dzieci. Mają przepustki, a Irakijczycy przepuszczają je bez problemu, żeby tylko ich się pozbyć. Całkiem słusznie, ja też bym tak zrobił. Przedostało się też trochę Hindusów. Irakijczycy nie zwracają na nich uwagi, a to już nie jest takie mądre, bo Hindusi sporo wiedzą. Udało mi się kilku namówić, żeby wrócili do Kuwejt z informacjami dla naszych ludzi.

– Masz to wszystko, o co prosiłem?

– Aha. Gray chyba pociągnął za parę sznurków. Towar przyjechał wczoraj ciężarówką na saudyjskich numerach. Władowałem wszystko do pokoju. Dziś wieczorem zjemy kolację z tym młodym kuwejckim pilotem. Twierdzi, że zna ludzi, którzy na pewno ci się przydadzą.

– Lepiej, żeby nie widział mojej twarzy. Mogą go zestrzelić.

– Masz rację – odparł Sparky po krótkim namyśle.

Sparky Low ulokował się w całkiem niezłej willi, należącej do miejscowego przedstawiciela Aramco, który zaraz po inwazji ewakuował się pośpiesznie do Zahranu.

Martin wiedział, że nie ma sensu pytać, co Sparky porabia w tym zakątku świata. Nie ulegało wątpliwości, że on także został "pożyczony" przez Century House. Jego zadanie polegało najprawdopodobniej na przechwytywaniu uciekinierów z terytorium Kuwejt i wydobywaniu od nich użytecznych informacji.

Chafdża była właściwie pusta, jeśli nie liczyć oddziały saudyjskiej Gwardii Narodowej, zajmującego pozycje wokół miasteczka. Jedynie na targu pozostało kilku najbardziej wytrwałych sprzedawców, a od jednego z nich, który chyba nie mógł uwierzyć, że jednak trafił mu się klient, Martin kupił niezbędne ubranie.

W połowie sierpnia do Chafdży wciąż jeszcze docierała energia elektryczna, co oznaczało, że działała klimatyzacja, hydrofony i bojler. Mikę mógł więc wziąć kąpiel, ale wiedział, że będzie lepiej, jeśli tego nie zrobi.

Nie mył się i nie golił już od trzech dni. Nawet jeżeli pani Gray zwróciła uwagę na niezbyt przyjemny zapach, jaki bił od niego – a musiałyby być pozbawiona wężu, żeby nie poczuć – to jako dobrze wychowana dama nawet nie zająknęła się na ten temat. Martin zrezygnował także z mycia zębów, zadowolając się wykałaczką. Sparky Low również nic nie powiedział, ale on znał przyczynę takiego postępowania kolegi po fachu.

Kuwejcki pilot okazał się przystojnym 26-letnim mężczyzną, który kipiał wściekłością na samą myśl o tym, co stało się z jego krajem, i ponad wszelką wątpliwość był zwolennikiem wygnanego emira As-Sabaha, obecnie przebywającego w luksusowym hotelu w Taifie w charakterze gościa króla Arabii Saudyjskiej Fahda.

Nawet nie starał się ukryć zdziwienia, kiedy przekonał się, że choć jego gospodarz jest brytyjskim oficerem, tyle tylko, że w cywilnym ubraniu, to trzecim uczestnikiem spotkania ma być Arab w kraciastej kufiji na głowie i tak zasłoniętą twarzą, że widać było tylko oczy. Low dokonał prezentacji.

– Naprawdę jest pan Anglikiem? – zapytał ze zdumieniem

młody człowiek. Kiedy wyjaśniono mu, dlaczego Martin jest ubrany w taki sposób i zasłania twarz, kapitan Al-Chalifa skinął głową. –

Przepraszam, majorze. Teraz wszystko rozumiem.

Historia, którą opowiedział, była krótka i prosta. Wieczorem 1 sierpnia polecono mu zameldować się w bazie lotniczej Ahmadi, gdzie stacjonowała jego eskadra. Przez całą noc wraz z innymi oficerami słuchał radiowych komunikatów o inwazji, a tuż przed świtem tworzące eskadrę myśliwce skyray zostały zatankowane, uzbrojone i przygotowane do startu. Amerykański skyray, choć z całą pewnością nie zasługuje już na miano nowoczesnej maszyny, może okazać się bardzo skuteczny w ataku na cele naziemne, natomiast nie miałby żadnych szans w spotkaniu z irackimi MiGami 23, 25 lub 29, albo dostarczonymi przez Francuzów mirage'ami. Na szczęście podczas swego jedyne go lotu bojowego kapitan Al-Chalifa nie natknął się na żadną z tych maszyn.

Krótko po wschodzie słońca na północnych obrzeżach miasta znalazł cel dla swoich pocisków.

- Trafiłem rakietą jeden czołg! - opowiadał z podnieceniem. - Wiem, bo widziałem, jak się zapalił. Potem zostało mi już tylko działko, więc zająłem się ciężarówkami. Dostało się pierwszej, bo zjechała do rowu i przewróciła się na bok. Zaraz potem skończyła mi się amunicja, więc zawróciłem do bazy, ale kontroler powiedział nam przez radio, żeby lecieć za południową granicę. Paliwa starczyło mi akurat do Zahranu.

Udało nam się ocalić ponad sześćdziesiąt samolotów. Skyhawki, mirage i szkolne hawki. Do tego jeszcze śmigłowce, głównie pumy, gazy i superpumy. Będziemy dalej walczyć, a pewnego dnia wrócimy do kraju. Jak myślicie, kiedy zaczniesz się kontruderzenie?

Sparky Low nie mógł powstrzymać uśmiechu. Ten chłopak wręcz kipiał entuzjazmem.

- Obawiam się, że nieprędko. Musi pan uzbroić się w cierpliwość. Wszystko trzeba starannie przygotować. Tymczasem proszę opowiedzieć nam o pańskim ojcu.

Okazało się, że ojciec młodego pilota jest niezwykle zamożnym kupcem, przyjacielem rodziny królewskiej i bardzo ważną osobistością w swoim kraju.

- Czy może stanąć po stronie agresora? - zapytał Low.

- Nigdy! - zaprzeczył kategorycznie kapitan. - Zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby przyczynić się do wyzwolenia Kuwejt. - Młody człowiek spojrział na tajemniczego Anglika w kufiji na głowie. - Może pan ufać mojemu ojcu. Spotka się pan z nim?

- Być może - odparł Martin.

- Przekáže mu pan wiadomość ode mnie?

Oficer skreślił pośpiesznie kilka zdań i wręczył list Martinowi. W drodze powrotnej do Zahranu Mike spalił kartkę w popielniczkę jeepa. Kiedy znajdzie się w Kuwejcie, nie powinien mieć przy sobie niczego, co mogłoby ujawnić jego prawdziwą tożsamość.

Nazajutrz rano przy pomocy Lowa zapakował do jeepa sprzęt, którego dostarczenia zażądał. Pojechali na południe aż do Manify, a następnie skręcili na zachód, posuwając się szosą, biegnącą wzdłuż jednego z najważniejszych saudyjskich rurociągów. Niebawem szosa ta miała stać się główną arterią komunikacyjną dla największej lądowej armii, jaką kiedykolwiek zgromadzono na tak małym obszarze. 400 000 Amerykanów, 70 000 Brytyjczyków, 10000 Francuzów oraz 200 000 Saudyjczyków i przedstawiciele kilku innych państw arabskich podążało tędy w kierunku okupowanego Kuwejt. Tymczasem jednak droga była zupełnie pusta. Po kilku kilometrach jeep ponownie skręcił na północ, ku granicy saudyjsko-kuwejckiej. W tym miejscu, w pobliżu opustoszałej wioski Hamadija, zaczyna się najkrótsza droga prowadząca do Al-Kuwajt. Co więcej, ze zdjęć wykonanych przez amerykański zwiad lotniczy wynikało jednoznacznie, że irackie wojska zgrupowały się w pobliżu

wybrzeża; im dalej w głąb ładu, tym mniejsza była szansa napotkania posterunku lub patrolu.

Wioska Hamadija leży 160 kilometrów od brzegu Zatoki Perskiej, w miejscu, gdzie granica kuwejcko-saudyjska przebiega najbliżej Al-Kuwajt.

Wielbłądy czekały na nich na niewielkiej farmie w pobliżu wioski: dziarska samica w kwiecie wieku oraz jej potomek koloru kawy z mlekiem, o aksamitnym, miękkim pysku. W przyszłości miał nabrać paskudnych cech charakteru typowych dla swego gatunku, ale na razie był łagodny i przyjaźnie nastawiony do świata.

– Po co ten maluch? – zapytał Low, przyglądając się zwierzętom z jeepa.

– Zasłona dymna. Jeśli ktoś mnie zapyta, powiem, że prowadzę je na sprzedaż do Sulajbijji. Ceny są tam wyższe.

Martin wyskoczył z samochodu i szurając sandałami po piasku poszedł obudzić poganiacza, który zdrzemnął się w cieniu chaty. Przez pół godziny dwaj mężczyźni siedzieli w kucki i targowali się zawzięcie. Poganiaczowi nawet nie przyszło do głowy, że ten, równie brudny jak on człowiek o zaniedbanych zębach i kilkunastu dniowym zarostem na twarzy, może być kimś innym niż Beduinem, który postanowił kupić dwa dobre wielbłądy.

Kiedy wreszcie osiągnięto porozumienie, Martin uregulował należność saudyjskimi dinarami – ich gruby zwitek dostał od Lowa. Przez całą drogę do wioski trzymał je pod pachą, żeby wyglądały na bardziej zniszczone. Potem ruszył w pustynię prowadząc za sobą oba wielbłądy, ale stanął dopiero po przejściu około kilometra, kiedy nabrał pewności, że wydmy zasłaniają go przed wzrokiem ciekawskiego poganiacza. Wkrótce potem zatrzymał się przy nim jeep z Lowem za kierownicą.

Sparky obserwował z daleka scenę targu i był pełen podziwu.

Martin nie tylko udawał Araba, ale po prostu stawał się nim pod każdym względem.

Low nic o tym nie wiedział, ale poprzedniego dnia w Al-Kuwajt dwaj angielscy inżynierowie podjęli próbę ucieczki przebrani w arabskie stroje. Nie dotarli jeszcze nawet do samochodu, który stał w odległości 20 metrów od domu, kiedy jakieś dziecko zawołało za nimi z ryszotką:

– Hej, ubraliście się jak Arabowie, ale chodźcie jak Anglicy! Obaj inżynierowie pośpiesznie zawrócili i pozostali w domu. Pocąc się obficie w gorących promieniach słońca, za to pewni, że nie zobaczy ich nikt niepowołany, dwaj oficerowie SAS przenieśli sprzęt do juków zwisających po obu stronach grzbietu wielbłądzicy. Co prawda przyklękła na wszystkie cztery kolana, niemniej jednak przez cały czas protestowała przeciwko dodatkowemu obciążeniu, prychnając i plując na uwijających się wokół niej mężczyzn.

Jedna sakwa pomieściła 100 kilogramów semteksu w 5-kilogramowych paczuszkach. Każda została starannie zawinięta w kawałek bawełnianego materiału, na wierzchu zaś ułożono kilka torebek z kawą, na wypadek, gdyby jakiś ciekawski żołnierz zajrzał do środka. Do drugiej sakwy trafiły pistolety maszynowe, amunicja, detonatory, długopisy-zapalniki z mechanizmem zegarowym oraz granaty, a także niewielki, ale dysponujący dużą mocą nadajnik wraz ze składaną anteną satelitarną i zapasowymi bateriami niklowo-kadmowymi. Ten ładunek także przykryli torebkami z kawą.

– Mogę ci jeszcze jakoś pomóc? – zapytał Low, kiedy uporali się z pakowaniem.

– Nie, dzięki. Zostanę tu do zachodu słońca, ale nie ma sensu, żebyś ty też czekał.

Low wyciągnął rękę.

– Przepraszam za Wzgórza Brecon.

Martin uściskał ją mocno.

– Nie ma sprawy. Jakoś dałem sobie radę.

Sparky roześmiał się chrapliwie.

– Tak jest, to właśnie nasza pieprzona specjalność: dawać sobie radę. Powodzenia, Mikę.

Wskoczył do jeepa i odjechał. Wielbłądzica przewróciła oczami, po czym zajęła się ponownym przeżuwaniem pokarmu. Małe przez jakiś czas próbowało dostać się do wymienia, ale wreszcie zrezygnowało i ułożyło się obok matki.

Oparty o siodło Martin, z twarzą przesłoniętą skrajem kufiji, rozmyślał o tym, co czeka go w ciągu najbliższych dni. Z pustynia poradzi sobie bez problemu, gorzej będzie w okupowanej stolicy. Jak gęsto są rozstawione posterunki, jakie rozkazy otrzymali żołnierze pełniący tam służbę? Ludzie z Century House chcieli dostarczyć mu podrobione dokumenty, ale on odrzucił ich propozycję; kto wie, czy okupanci nie wpadli na pomysł wymiany wszystkich dowodów tożsamości.

Mikę wiedział, że w tym rejonie świata żaden kamuflaż nie mógł mu posłużyć lepiej niż ten, który wybrał. Beduini wędrują tam, gdzie mają ochotę. Nie walczą z maszerującymi przez pustynię armiami, gdyż widzieli ich już zbyt wiele: saraceńskie, tureckie, krzyżowców i templariuszy, niemieckie, francuskie, brytyjskie, egipskie, izraelskie, wreszcie irackie. Po armiach nie został żaden ślad, oni zaś nadal trwali, gdyż nie mieszczyli się w żadne konflikty polityczne czy wojskowe.

Wiele reżimów usiłowało ich sobie podporządkować, ale bez powodzenia. Król Arabii Saudyjskiej Fahd nakazał kiedyś specjalnym dekretem, że każdy obywatel jego kraju ma posiadać dom, po czym wybudował piękną osadę Escan, wyposażoną we wszelkie możliwe wygody, takie jak basen, toalety, łazienki, z bieżącą ciepłą i zimną wodą. Następnie sprowadzono tam siłą kilka beduińskich rodzin.

Koczownicy napili się wody z basenu (wyglądał jak studnia w oazie), załatwili się na brukowane patio, pobawili się kurkami przy umywalkach, po czym wyjaśnili uprzejmie władcy, że jednak wolą spać pod gwiazdami. Wioskę dokładnie wysprzątało, a podczas wojny nad Zatoką zakwaterowano w niej Amerykanów.

Martin zdawał sobie sprawę, że zdradzić go może tylko wzrost. Mierzył sobie ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, a większość Beduinów, którzy od pokoleń cierpią niedostatek, nierzadko zaś wręcz głód, jest znacznie niższa. Poza tym jego wyglądowni – i zapachowi – niczego nie można było zarzucić. Woda na pustyni służy wyłącznie do picia, dlatego też od kilku dni tak skrupulatnie unikał kąpieli.

Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, ale to akurat nie miało znaczenia. Kilka rządów próbowało już wyposażać Beduinów w dowody tożsamości; koczownicy przyjmowali je z wdzięcznością, ponieważ znakomicie nadawały się do wykorzystania jako papier toaletowy, pełniąc tę funkcję znacznie lepiej od garści żwiru. Policjant albo żołnierz traciłby tylko czas, domagając się od Beduina okazania jakiegoś dowodu tożsamości, i wszyscy doskonale zdają sobie z tego sprawę. Z punktu widzenia władz okupacyjnych najważniejsze jest to, że Beduini nigdy nie stwarzają problemów, a już na pewno nie przyłączyliby się do żadnego ruchu oporu.

Zdrzemnął się, obudził o zachodzie słońca, dosiadł wielbłąda i nakazał mu podnieść się z ziemi. Mały skorzystał z okazji, by nieco się posilić, a kiedy przestał ssać, wielbłądzica ruszyła przed siebie tym pozornie flegmatycznym, powolnym krokiem, którym

jednak pokonuje się odległości w zdumiewająco szybkim tempie. Była dobrze wykarmiona, w zagrodzie zaś napiła się do syta, więc Martin miał pewność, że starczy jej sił na wiele dni. Tuż przed ósmą przekroczył granicę sporo na północny zachód od posterunku w Rukaifa. Noc była ciemna, na niebie słabo migotały gwiazdy, po prawej zaś stronie zauważył poświatę unoszącą się nad polem naftowym Manakisz. Z pewnością roiło się tam od irackich patroli, ale okolica, w której Martin teraz się znajdował, wydawała się zupełnie pusta.

Według mapy od Sulajbijji, wielkiego ośrodka hodowli wielbłądów, położonego niedaleko Al-Kuwajt, dzieliło go jeszcze około 50 kilometrów. Miał zamiar zostawić tam zwierzęta na przechowanie, wcześniej jednak musiał zakopać sprzęt na pustyni i oznaczyć miejsce. Jeżeli nie wydarzy się nic nieprzewidzianego, zrobi to tuż przed wschodem słońca, a więc mniej więcej za dziewięć godzin, pozostawiając sobie jeszcze godzinę na dotarcie do farm. Kiedy poblask ogni płonących nad szybami naftowymi Manakisz zniknął za horyzontem, Martin ustalił kierunek za pomocą ręcznego kompasu i ruszył przed siebie. Irakijczycy mogli patrolować drogi, a nawet trakty, ale było bardzo mało prawdopodobne, żeby zapuszczali się na pustynię. Nikt nie próbowałby tędy uciekać, nikt też nie odważyłby się wybrać tej trasy, aby prześlizgnąć się niepostrzeżenie do Kuwejtu.

Kiedy dotrze do ferm hodowlanych, z pewnością uda mu się znaleźć miejsce na jakiejś ciężarówce, która zawiezie go do odległej o 30 kilometrów metropolii.

Wysoko nad jego głową po ciemnym niebie przesuwiał się satelita KH-11 należący do Narodowego Biura Rekonesansu Powietrznego. Wiele lat temu, amerykańskie satelity szpiegowskie dawnych generacji co jakiś czas wysyłały na Ziemię naświetlone filmy w specjalnych kapsułach, które następnie odszukiwano, otwierano, a ich zawartość poddawano obróbce chemicznej. Satelity serii KH-11, długie na 20 metrów i ważące ponad 13 ton, potrafią znacznie więcej: rejestrują obraz za pomocą kamer, a następnie zamieniają go w serię zakodowanych impulsów elektronicznych i posyłają w górę, do innego satelity, wchodzącego w skład całej sieci sputników umieszczonych na orbicie geostacjonarnej - oznacza to, że cały czas wiszą nad tym samym punktem na powierzchni planety.

Zależnie od swego położenia, satelita taki albo przesyła sygnał bezpośrednio do Stanów Zjednoczonych, albo przekazuje go "koledze", który wykona tę czynność za niego. Dzięki temu Biuro Rekonesansu Powietrznego uzyskuje informacje niemal natychmiast, zaledwie kilka sekund po tym, jak zostały zdobyte.

Podczas wojny daje to ogromne korzyści, gdyż KH-11 może dostrzec nieprzyjacielski konwój na tyle wcześnie, by zaalarmowani dowódcy wysłali eskadrę myśliwców bombardujących, które rozbijają nieprzyjaciela w proch. Nieszczęśni żołnierze przewożeni ciężarówkami nigdy nie dowiedzą się, w jaki sposób piloci zdołali ich odszukać. KH-11 są równie skuteczne w dzień, jak i w nocy, przy pięknej pogodzie, jak i w deszczu i mgłę.

Mówi się o nich "wszystkowidzące", choć jest w tym sporo przesady. KH-11, przemykający właśnie nad granicą Kuwejtu i Arabii Saudyjskiej, z pewnością nie zarejestrował samotnego Beduina podążającego przez pustkowia. Wkrótce potem znalazł się nad Irakiem, gdzie sfotografował mnóstwo budynków tworzących całe przemysłowe miasteczka takie jak Al-Hilla, Tarmija, Al-Asir i Tuwajsa, ale nie był w stanie dojrzeć, co znajduje się pod ich dachami. Nie przekazał obrazu ani ogromnych zbiorników z trującymi gazami, ani pojemników z sześćciufluorkiem uranu, który miał trafić do dyfuzyjnych wirówek w instalacjach wyodrębniających

izotopy.

Satelita pędził na północ, nad lotniskami, autostradami i mostami. Sfilmował złomowisko samochodów w Al-Kubaj, lecz nie dostrzegł tam niczego podejrzanego. Zrobił zdjęcia ośrodków przemysłowych Dżazira, Al-Guwair i Asz-Szarkat położonych na północ od Bagdadu, ale nie zauważył broni masowej zagłady, która w nich wytwarzano. Przeleciał nawet nad Dżabel Al-Hamrin, lecz analitycy w Stanach Zjednoczonych nie wypatrzyli Fortecy zbudowanej przez inżyniera Usmana Badriego. Zobaczyli tylko górę, taką samą jak wszystkie dokoła, i wioskę, taką samą jakich wiele w okolicy. A zaraz potem satelita znalazł się nad Kurdystanem i Turcją.

Mikę Martin podążył przez noc w kierunku Al-Kuwajt, nie dostrzeżony przez nikogo, w stroju, jaki poprzednio miał na sobie ponad dwa tygodnie temu. Uśmiechnął się na wspomnienie o spotkaniu z pulchną amerykańską damulką, która wycelowała w niego aparat fotograficzny i wołała "klik, klik!", niepewna, czy może zrobić mu zdjęcie.

§

Uzgodniono, że inauguracyjne posiedzenie Komitetu Meduza odbędzie się w pokoju położonym bezpośrednio pod salą posiedzeń rządu w Whitehall – przede wszystkim dlatego, że istniała niemal całkowita pewność, iż nie będzie tam żadnych urządzeń podsłuchowych, cały budynek bowiem regularnie przetrzasano w poszukiwaniu takich niespodzianek.

Pomieszczenie, do którego zaprowadzono ośmiu gości, znajdowało się dwie kondygnacje pod poziomem gruntu. Terry Martin słyszał już wcześniej plotki o tych całkowicie odizolowanych od świata zewnętrznych salach i pokojach, ukrytych pod niepozornym budynkiem naprzeciwko Pomnika Ofiar I Wojny Światowej.

Pierwszy zabrał głos sir Paul Spruce, elegancki i uprzejmy urzędnik w randze sekretarza gabinetu. Najpierw się przedstawił, potem zaś dokonał ogólnej prezentacji. Ambasadę Amerykańską, a tym samym Stany Zjednoczone, reprezentowali wiceattaché wojskowy oraz Harry Sinclair, bystry i doświadczony oficer z Langley, już od trzech lat pełniący obowiązki szefa placówki CIA w Londynie. Był wysokim mężczyzną o kanciastej sylwetce, z upodobaniem nosił tweedowe marynarki, uwielbiał operę i potrafił znakomicie ułożyć sobie współpracę z brytyjskimi kolegami. Teraz skinął głową i posłał porozumiewawcze mrugnięcie Simonowi Paxmanowi, którego jakiś czas temu poznał przy okazji posiedzenia Komitetu Połączonych Sił Wywiadu.

Zadanie Sinclaira polegało na przekazywaniu do Stanów ewentualnych ustaleń poczynionych przez brytyjskich uczonych. W Waszyngtonie znajdowała się siedziba amerykańskiej, znacznie większej części Komitetu Meduza, której członkowie mieli porównywać wyniki badań prowadzonych po obu stronach oceanu, naturalnie przez cały czas pozostając w bliskim kontakcie z kolegami z Londynu.

Przy stole zasiedli także dwaj eksperci z Aldermaston, Ośrodka Badań nad Bronią położonego w hrabstwie Berkshire. Pełna nazwa tej instytucji powinna właściwie brzmieć: Ośrodek Badań nad Bronią Atomową. Opierając się na informacjach napływających z Ameryki, Europy oraz innych części świata, jak również lotniczych zdjęciach irackich instalacji nuklearnych, mieli ustalić, jak bardzo zaawansowane są prowadzone przez Bagdad prace nad skonstruowaniem bomby atomowej.

Obok nich siedzieli dwaj naukowcy z Porton Down; jeden był chemikiem, drugi biologiem specjalizującym się w bakteriologii. Lewicująca/prasa często oskarża ludzi z Porton Down o to, że

tworzą i doskonałą nowe rodzaje broni bakteriologicznej i chemicznej. Tymczasem prawda wygląda w ten sposób, że uczeni ci już od wielu lat skoncentrowali się na opracowywaniu sposobów obrony przed tą właśnie bronią, która mogłaby zostać użyta przeciwko brytyjskim żołnierzom. Tak się jednak składa, że odtrutkę da się stworzyć dopiero wtedy, kiedy doskonale pozna się truciznę, w związku z czym ludzie z Porton rzeczywiście mieli do czynienia z wieloma paskudnymi substancjami, podobnie zresztą jak Saddam Husajn. Różnica polega jedynie na tym, że Wielka Brytania nie chciała wykorzystać ich na polu walki, co zaś tyczy się Saddama, to istniały podstawy do podejrzeń, że iracki dyktator nie będzie taki wstrzemięźliwy.

Zadanie specjalistów z Porton Down sprowadzało się do tego, by dokładnie zapoznać się z listą środków chemicznych zakupionych przez Irak w ciągu kilku minionych lat i na tej podstawie wysnuć wnioski, ile i jak bardzo szkodliwych paskudztw zdażył wyprodukować Husajn. Mieli także przeanalizować zdjęcia lotnicze wielu zakładów przemysłowych, aby stwierdzić, czy nie ma tam jakichś instalacji, które świadczyłyby o tym, że w rzeczywistości są to wytwórnie śmiertelnych gazów bojowych.

- Panowie, ciężar odpowiedzialności spoczywa przede wszystkim na waszych barkach - powiedział sir Paul, zwracając się do czterech naukowców. - My możemy tylko służyć wam radą i pomocą wszędzie tam, gdzie to będzie możliwe.

Mam przed sobą dwa tomy raportów, jakie do tej pory otrzymaliśmy od naszych zagranicznych wysłanników, personelu ambasad, pracowników misji handlowych oraz... hm... tajnych współpracowników. Ma się rozumieć, to dopiero początek. Dokumenty te obejmują minione dziesięć lat, dotyczą zaś licencji eksportowych, jakie w tym okresie uzyskiwały różne firmy prowadzące wymianę handlową z Irakiem. Nie muszę chyba zaznaczać, że udało nam się je zdobyć dzięki pomocy zaprzyjaźnionych rządów. Staraliśmy się zarzucić sieć tak szeroko, jak to tylko możliwe. Braliśmy pod uwagę środki chemiczne, materiały budowlane, sprzęt laboratoryjny, specjalistyczne narzędzia - krótko mówiąc prawie wszystko, z wyjątkiem parasoli, włóczki moherowej i zabawek dla dzieci w wieku przedszkolnym.

Większość z transakcji, które przyjdzie nam zbadać, okaże się zupełnie niewinna. Będą to całkiem zwyczajne zakupy dokonywane przez rozwijający się kraj, wykorzystane wyłącznie w celach pokojowych. Z góry przepraszam, jeśli analizując je będziecie mieli poczucie straconego czasu. Proszę jednak, zwracajcie uwagę nie tylko na technologie lub narzędzia związane w oczywisty sposób z produkcją zbrojeniową, ale także na te, których można użyć w dwojaki sposób, albo niewielkim nakładem kosztów przerobić tak, by służyły zupełnie innemu celowi niż ten, do jakiego były pierwotnie przeznaczone.

Przypuszczam, że nasi amerykańscy koledzy także zdążyli już zgromadzić pewną liczbę informacji.

Sir Paul wręczył jeden opasły tom ludziom z Porton Down, drugi zaś tym z Aldermaston. Przedstawiciel CIA wydobył z teczki dwa wcale nie cieńsze tomiska i rozdzielił je w taki sam sposób. Zaskoczeni naukowcy siedzieli bez ruchu, wpatrując się w piętrzące się przed nimi góry papieru.

Sir Paul odchrząknął niepewnie.

- Staraliśmy się uniknąć powtarzania tych samych informacji, ale niektóre dane mogą pojawić się w obu zestawach. Dlatego z góry proszę panów o wyrozumiałość.

W przeciwieństwie do Anglika, który o mało nie uśpił wszystkich okrągłymi, starannie sformułowanymi zdaniami, szef placówki CIA w Londynie wyrażał się znacznie konkretniej.

- Chodzi o to, panowie, żebyśmy załatwili tych drani, zanim będzie za późno.

Czterej eksperci natychmiast oprzytomnieli i spojrzeli z zainteresowaniem na Amerykanina.

- Jeżeli dojdzie do wojny, najpierw uderzymy na nich z powietrza. Nam też zależy na tym, żeby ograniczyć straty do minimum, więc będziemy chcieli rozwalić im wszystkie działa, czołgi, samoloty, wyrzutnie rakiet, stacje radarowe i ośrodki dowodzenia. Jeśli jednak Saddam zastosuje broń masowej zagłady, i wy, i my dostaniemy zdrowo po dupie. Dlatego przede wszystkim musimy ustalić dwie rzeczy.

Po pierwsze: czym on dysponuje? Jak już się w tym połąpimy, będziemy kombinowali, w jaki sposób mamy się przygotować. Po drugie: gdzie to ukrył, do wszystkich diabłów? Jak i to odkrywamy, zbombardujemy mu fabryki, magazyny, czy co tam jeszcze, i wytrącimy mu broń z ręki. Dlatego przyglądajcie się dobrze zdjęciom i szukajcie wszystkiego, co może się wydać choć trochę podejrzanym, a my w tym czasie zajmiemy się firmami, które budowały mu te fabryki, i uczonymi uruchamiającymi produkcję. Myślę, że będą mieli do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy. Jednak Irakijczycy mogli wprowadzić sporo zmian na własną rękę, więc piłeczka i tak wróci do was, panowie. Stoi przed wami szansa ocalenia życia wielu żołnierzy, więc przyłóżcie się zdrowo do roboty. Pokażcie nam, co wam się nie podoba, a my wyślemy tam bombowce i zrównamy to z ziemią. Czterej eksperci wyraźnie się ożywili; otrzymali konkretne zadanie, wiedzieli, czego się od nich oczekuje i co mogą osiągnąć. Tylko sir Paul sprawiał wrażenie lekko zaszokowanego.

- Tak... eee... Myślę, że wyrażę opinię wszystkich zebranych, jeśli podziękuję panu Sinclairowi za jego... eee... wyjaśnienia. Proponuję, żebyśmy zebrali się ponownie, kiedy panowie z Aldermaston lub Porton Down będą mogli przekazać nam pierwsze konkretne informacje.

Po wyjściu z budynku Simon Paxman i Terry Martin skierowali się spacerkiem w stronę placu Parlamentu. Był ciepły sierpniowy dzień i na placu jak zwykle tłoczyły się turystyczne autokary. Mężczyznom udało się znaleźć wolną ławkę u podnóża pomnika Churchilla, spoglądającego wyniośle z góry na kłębiące się rzesze zwykłych śmiertelników.

- Zna pan najnowsze doniesienia z Bagdadu? - zapytał Paxman.

- Oczywiście.

Saddam Husajn ogłosił, że wycofa się z Kuwejtu, jeżeli Izrael opuści Zachodni Brzeg Jordanu, a Syria wycofa swoje wojska z Libanu. Organizacja Narodów Zjednoczonych natychmiast odrzuciła tę ofertę transakcji wiązanej. Rada Bezpieczeństwa podejmuje kolejne uchwały, odcinając Irakowi dostęp do ulokowanych za granicą środków finansowych, wprowadzając zakaz importu ropy naftowej z tego kraju oraz zawieszając komunikację lotniczą z Bagdadem, w Kuwejcie zaś armia okupacyjna prowadzi dalej dzieło zniszczenia.

- Myśli pan, że ta propozycja może mieć jakieś znaczenie?

- Nie. To tylko ruchy pozorne, zresztą łatwe do przewidzenia.

Organizacja Wyzwolenia Palestyny jest zachwycona, ale nikt inny nie ma zamiaru brać tego poważnie pod uwagę.

- Czy Saddam w ogóle ma jakiś sensowny plan? - zastanawiał się głośno Paxman. - Jeśli tak, to chyba bardzo głęboko ukryty. Amerykanie uważają go za wariata.

- Wiem. Widziałem wystąpienie Busha w telewizji.

- Pan też uważa Saddama za wariata?

- I to niebezpiecznego.

- Dlaczego nie poszedł dalej na południe, żeby zająć saudyjskie pola naftowe? Druga taka okazja na pewno mu się nie trafi. Amerykanie dopiero zaczęli przerzucać sprzęt i ludzi, zresztą tak samo jak my. W rejonie Zatoki jest już trochę myśliwców i kilka lotniskowców, ale żadnych wojsk lądowych. Samo lotnictwo z pewnością nie zdołałoby go powstrzymać. Ten generał, którego Amerykanie mianowali głównodowodzącym...

- Schwarzkopf. Norman Schwarzkopf.

- Właśnie. Powiedział, że potrzebuje co najmniej dwóch miesięcy na skompletowanie sił, aby przeciwstawić się inwazji. Dlaczego Saddam nie skorzystał z okazji?

- Ponieważ musiałby zaatakować arabskie państwo, z którym nie ma żadnych konfliktów, a to okryłoby go niesławą i nastawiło przeciwko niemu wszystkich Arabów. Postąpiłby wbrew tradycji. On chce rządzić całym światem arabskim i być obiektem uwielbienia, a nie pogardy.

- Jednak dokonał inwazji na Kuwejt - zauważył Paxman.

- To zupełnie inna sprawa. W tym przypadku mógł twierdzić, że chce tylko zadośćuczynić krzywdom, jakie jego narodowi wyrządzili imperialiści, ponieważ historycznie Kuwejt zawsze stanowił część Iraku. Tak samo postąpił Nehru, kiedy przyłączył do Indii portugalskie Goa.

- Daj spokój, Terry. Saddam zagarnął Kuwejt, ponieważ jest bankrutem. Wszyscy o tym wiemy.

- Rzeczywiście, to był prawdziwy powód, ale jego propaganda twierdzi, że tylko odzyskał to, co prawnie i tak należało do Iraku. Takie rzeczy zdarzają się na całym świecie. Indie zajęły Goa, Chiny zaatakowały Tybet, Indonezja upomniała się o Timor Wschodni, Argentyna spróbowała tego samego z Falklandami. Wszyscy twierdzili, że biorą to, co im się należy. W ten sposób można łatwo zyskać poparcie we własnym kraju.

- W takim razie, dlaczego nie poparli go wszyscy Arabowie? - zapytał oficer SIS.

- Ponieważ uznali, że tym razem nie ujdzie mu to na sucho.

- I nie ujdzie. Mają rację.

- Ale tylko dzięki Ameryce, a nie krajom arabskim. Jeżeli zależy mu na poparciu świata arabskiego, musi upokorzyć właśnie Amerykę, nie któregoś ze swoich sąsiadów. Byłeś kiedyś w Bagdadzie?

- Dawno temu.

- Pełno tam portretów Saddama przedstawiających go jako wojownika na białym koniu, z podniesionym mieczem. Naturalnie to całkowita bzdura, bo ten człowiek ma mentalność rzezimieszka z ciemnej ulicy, ale on chce, by go tak postrzegano. Paxman wstał z ławki.

- To wszystko tylko teoretyczne rozważania, Terry, ale dziękuję, że zechciałeś podzielić się ze mną swoimi przemyśleniami. Problem polega jednak na tym, że ja muszę zajmować się sprawdzonymi faktami. Tak czy inaczej, nie bardzo sobie wyobrażam, w jaki sposób mogłby upokorzyć Amerykę. Jankesi mają pieniądze i technologię; kiedy będą gotowi, po prostu pstrykną palcami i z całej tej jego armii nie zostanie nawet jedna kuchnia polowa. Terry Martin spojrział w górę, mrużąc oczy oślepione blaskiem słońca.

- To kwestia ofiar, Simon. Ameryka może zgodzić się na wiele rzeczy, ale nie na wielkie straty własne. Saddamowi jest wszystko jedno. Nie obchodzi go los jego ludzi.

- Cóż z tego, jeśli nie ma w zasięgu ręki wystarczającej liczby Amerykanów.

- Tylko na razie, Simon. Tylko na razie.

Rolls-royce wiozący Ahmada al-Chalifa zatrzymał się bezszeles-

tnie przed wejściem do budynku. Obok przeszklonych drzwi znajdowała się tablica z dwujęzycznym napisem, informującym po angielsku i arabsku, że tu właśnie mieści się siedziba Al-Chalifa Trading Corporation.

Barczysty szofer, pełniący jednocześnie funkcję ochroniarza, wysiadł z za kierownicy, obszedł samochód i otworzył prawe tylne drzwi.

Być może nie należało korzystać z rolls-royce'a, zważywszy na okoliczności, ale kuwejcki milioner kategorycznie sprzeciwił się sugestiom kierowcy, który proponował, żeby wziąć znacznie skromniejsze i mniej rzucające się w oczy volvo.

- Niech wszyscy zgniją w piekle! - warknął przy śniadaniu, kiedy zdesperowany szofer wspominał o irackich żołnierzach pełniących służbę na posterunkach, które rozstawiono przy wszystkich ważniejszych drogach. Jednak podróż z urzędzonego z prze-
pychem domu na luksusowym przedmieściu Andalus do biura położonego w dzielnicy Szamija przebiegła bez żadnych prze-
szkód.

Dziesięć dni po inwazji zdyscyplinowani zawodowi żołnierze Gwardii Republikańskiej zniknęli z miasta, ich miejsce zaś zajęła byle jak wyszkolona zbieranina wieśniaków tworzących Armię Ludową. Al-Chalifa nienawidził pierwszych, a dla drugich miał tylko bezbrzeżną pogardę.

Natychmiast po zajęciu Al-Kuwajt Gwardia Republikańska przystąpiła do systematycznego plądrowania miasta. Ahmad al-Chalifa widział na własne oczy żołnierzy wynoszących z Banku Narodowego złote monety i sztabki tworzące 5-miliardowe rezerwy finansowe Kuwejtu. Nie była to jednak grabież na własną rękę, gdyż złoto zostało zapakowane do skrzyń i odesłane pod eskortą do Bagdadu. Los rezerw narodowych podzieliły wyroby jubilerskie wartości co najmniej miliarda dolarów, które zagarnięto na Złotym Bazarze.

Gwardziści, których można było łatwo rozpoznać po czarnych beretach i schludnym wyglądzie, wykonywali swoje obowiązki sprawnie, i ściśle według rozkazów. Dotyczyło to także kontroli na drogach. Potem jednak okazało się, że są potrzebni na południu podbitego kraju, gdzie obsadzono nimi pozycje położone najbliżej granicy z Arabią Saudyjską.

Zastąpili ich obszarpani, zarośnięci i niezdiscyplinowani żołnierze Armii Ludowej. Trudno było przewidzieć ich reakcje, toteż wydawali się niebezpieczni - bardzo szybko potwierdziła to seria zabójstw Kuwejtczyków, którzy podczas kontroli odmówili oddania pieniędzy, zegarka albo samochodu.

W połowie sierpnia żar lał się z nieba jak roztopiona surówka z pieca hutniczego. W poszukiwaniu cienia iraccy żołnierze pozrywali płyty chodnikowe i wybudowali z nich coś w rodzaju małych kamiennych szałasów. Spędzali tam całe dni, pojawiając się na ulicach głównie wczesnym rankiem i o zmierzchu, kiedy to pod pozorem przeszukiwania samochodów napastowali cywilną ludność oraz kradli żywność i kosztowności.

Ahmad al-Chalifa zazwyczaj zjawiał się w biurze już o siódmej rano, ale dziś zaczekał do dziesiątej, kiedy słońce stało wysoko na niebie, i dzięki temu nie niepokojony przejechał przez miasto. Dwaj żołnierze w brudnych mundurach niezgrabnie zasalutowali mijającej ich limuzynie, przypuszczając zapewne, że wiezie ona jakiegoś irackiego dostojnika.

Oczywiście nie mogło to trwać wiecznie; prędzej czy później jakiś bandzior wyceluje pistolet w głowę kierowcy i zabierze rolls-royce'a. Nic nie szkodzi. Kiedy agresorzy zostaną wygnani z Kuwejtu - Al-Chalifa był pewien, że to nastąpi, choć nie wiedział dokładnie, kiedy - kupi sobie nowego.

Wyszedł na rozpalony chodnik w olśniewająco białej sobie i ghutrze z cienkiej bawełnianej tkaniny, którą przytrzymały na głowie dwa czarne sznury. Kierowca zatrzasnął drzwi i wrócił na swoje miejsce, by odprowadzić samochód na parking.

- Wspomóż biednego człowieka, sajjidi. Od trzech dni nie miałem nic w ustach.

Mężczyzna w obszarpanym stroju, prawdopodobnie Beduin, jeszcze przed chwilą siedział w kucki na chodniku w pobliżu wejścia do budynku, teraz zaś stał przed kupcem, wyciągając błagalnie rękę.

Kierowca wyskoczył z samochodu, by odegnać natręta, -lecz Ahmad al-Chalifa powstrzymał go gestem. Był praktykującym muzułmaninem, który starał się kierować w życiu naukami Koranu, jedna z nich zaś głosiła, że należy dawać jałmużnę tak często, jak tylko jest to możliwe.

- Odstaw samochód - polecił szoferowi, po czym sięgnął do kieszeni, wydobyl z niej portfel i wyjął z niego 10-dinarowy banknot. Beduin wziął datek w obie ręce, co miało oznaczać, że dar jest tak szczodry, iż trzeba dwóch rąk, aby go utrzymać.

- Dziękuję, sajjidi, dziękuję! - A potem, tym samym tonem, dodał: - Kiedy znajdziesz się już w swoim gabinecie, poślij po mnie. Mam dla ciebie wieści od twojego syna, który jest na południu. W pierwszej chwili kupiec pomyślał, że się przesłyszał. Kiedy otrząsnął się ze zdumienia, Beduin był już kilka kroków od niego i pieczołowicie chował banknot w fałdach ubrania. Al-Chalifa wszedł do budynku, skinął głową zgiętemu w głębokim ukłonie portierowi, po czym, wciąż jeszcze lekko oszołomiony, udał się do swojego gabinetu na ostatnim piętrze. Zasiadłszy w fotelu za biurkiem zastanawiał się przez chwilę, po czym wcisnął guzik interkomu.

- Przed drzwiami kręci się jakiś Beduin. Chcę z nim porozmawiać. Przyślijcie go na górę.

Jeśli nawet sekretarka pomyślała, że jej pracodawca oszalał, to nie dała tego po sobie poznać. Kiedy pięć minut później wprowadziła Beduina do gabinetu, tylko jej zmarszczony nos świadczył o tym, co myśli o woni, jaką roztacza wokół siebie niezwykle gość szefa.

Zaraz potem wyszła, a wówczas kupiec wskazał żebrakowi krzesło.

- Powiedziałaś, że masz wiadomości od mojego syna? - zapytał szorstko, przypuszczając, że Beduin ma nadzieję otrzymać banknot o jeszcze wyższym nominale.

- Tak, panie. Dwa dni temu widziałem go w Chafdży. Serce biznesmena zabiło gwałtowniej. Od dwóch tygodni nie miał pojęcia, co dzieje się z jego synem. Nieoficjalnie dowiedział się, że rankiem w dniu inwazji kapitan Al-Chalifa wystartował z bazy powietrznej Ahmadi, a potem wszelki ślad po nim zaginął. Żaden z jego przyjaciół nie wiedział, co się z nim stało.

- Masz od niego list?

- Tak, sajjidi.

Kupiec wyciągnął rękę.

- Daj mi go. Szczodrze cię wynagrodzę.

- List jest w mojej głowie. Nie mogłem wziąć go ze sobą, więc nauczyłem się go na pamięć.

- Znakomicie. W takim razie powiedz mi, co napisał mój syn. Mikę Martin powtórzył słowo w słowo treść krótkiego listu, który napisał młody pilot skyhawk.

- "Drogi ojcze, pomimo swego wyglądu, człowiek, którego widzisz przed sobą, jest angielskim oficerem..."

Al-Chalifa podskoczył w fotelu i wytrzeszczył oczy na Martina.

- "...który przedostał się potajemnie do Kuwejtu. Teraz, kiedy

o tym wiesz, jego życie jest w twoich rękach. Proszę cię, abyś mu zaufała, tak jak on tobie, gdyż będzie potrzebował twojej pomocy. Jestem cały i zdrow. Przydzielono mnie do bazy Saudyjskich Sił Powietrznych w Zahranie. Wykonałem jeden lot bojowy przeciwko Irakijczykom, niszcząc im czołg i ciężarówkę. Teraz będę walczył u boku Saudyjczyków aż do wyzwolenia naszego kraju.

Codziennie modlę się do Allaha, aby przybliżył chwilę, kiedy znów będę mógł paść ci w ramiona. Twój kochający syn, Chalid". Martin umilkł, kuwejcki biznesmen zaś wstał z fotela, podszedł do okna i przez chwilę oddychał głęboko. Kiedy udało mu się zapanować nad emocjami, wrócił za biurko.

– Dziękuję ci. Bardzo dziękuję. Czego ode mnie oczekujesz?

– Okupacja Kuwejtu nie potrwa kilku dni ani nawet kilku tygodni. Trzeba będzie przetrwać parę miesięcy, chyba że Saddam zdecyduje się wcześniej wycofać...

– Amerykanie nie przyjdą nam z pomocą?

– Amerykanie, Brytyjczycy, Francuzi i cała reszta koalicji potrzebuje czasu na zgromadzenie odpowiednich sił. Saddam dysponuje czwartą co do wielkości armią na świecie, liczącą ponad milion ludzi. Niektórzy do niczego się nie nadają, ale wielu zostało znakomicie wyszkolonych. Garstka żołnierzy to za mało, żeby zmusić wojska okupacyjne do odwrotu.

– Rozumiem.

– Tymczasem chodzi o to, żeby zatrzymać w Kuwejcie jak najwięcej żołnierzy, czołgów i ciężarówek, dzięki czemu Bagdad nie będzie mógł przerzucić ich nad granicę, gdzie...

– Ma pan na myśli zbrojny opór – przerwał mu Al-Chalifa. – Kilku chłopców już tego spróbowało: ostrzelali iracki patrol, a zaraz potem zostali rozniesieni na strzępy ogniem z pistoletów maszynowych.

– Wiem o tym. Byli bardzo dzielni, ale głupi. Takie rzeczy robi się w inny sposób. Celem nie jest to, żeby wybić do nogi wszystkich Irakijczyków, albo samemu zginąć śmiercią bohatera. Chodzi o zmuszenie żołnierzy armii okupacyjnej do ciągłego zachowywania czujności. Muszą wiedzieć, że nigdy nie są zupełnie bezpieczni, ani w dzień, ani w nocy.

– Posłuchaj mnie, panie Angliku. Wiem, że masz rację, ale podejrzewam też, że masz doświadczenie w takich sprawach, a może nawet zostałeś specjalnie przeszkolony. Ja, niestety, nie. Irakijczycy to okrutni i mściwi ludzie. Znamy ich od dawna. Jeżeli zrobimy to, o czym mówisz, spotkamy się z natychmiastowym odwetem.

– To jest jak gwałt, panie Al-Chalifa.

– Gwałt?

– Kobieta może albo walczyć, albo zaniechać wszelkiego oporu. Jeśli jest posłuszna, zostanie na pewno zgwałcona, prawdopodobnie z maltretowana, być może zabita. Jeśli walczy, zostanie być może zgwałcona, na pewno maltretowana, być może zabita.

– Domyślam się, że Kuwejt jest kobietą, Irak zaś gwałcicielem. W takim razie, po co walczyć?

– Ponieważ kiedy nadejdzie jutrzejszy dzień, każdy Kuwejtczyk spojrzy w lustro. Pański syn ujrzy w nim twarz wojownika.

Ahmad al-Chalifa przez długą chwilę wpatrywał się bez słowa w zarośniętą twarz Anglika, po czym odparł:

– Jego ojciec" także. Niech Allah ma litość nad mym narodem.

Czego pan chce? Pieniędzy?

– Dziękuję, tych mi nie brakuje.

Martin miał przy sobie 10 000 kuwejckich dinarów, które ambasador tego kraju w Londynie podjął z konta w Bank of Kuwait na rogu Baker i George Street.

– Potrzebuję domu, a właściwie aż sześciu...

– Nie ma sprawy. W mieście są setki, jeśli nie tysiące opuszczonych mieszkań.

– To nie mają być mieszkania, tylko wolno stojące domy.

W wielopiętrowych budynkach mieszkalnych zawsze można wpaść na ciekawskiego sąsiada, a nikogo nie zdziwi widok ubogiego człowieka, którego właściciel wynajął do sprawowania opieki nad swoją willą.

– Załatwię to.

– I dokumenty. Prawdziwe, nie fałszowane. Trzy zestawy.

Jeden dla lekarza, Kuwejtczyka, drugi dla hinduskiego księgowego, trzeci dla ogrodnika spoza miasta.

– W porządku. Znam paru ludzi w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Myślę, że mają jeszcze dostęp do czystych blankietów. A co ze zdjęciami?

– Jeżeli chodzi o ogrodnika, to proszę wziąć z ulicy jakiegoś starszego człowieka i zapłacić mu za pozowanie do fotografii. Lekarzem i księgowym może zostać jakiś młody mężczyzna z pańskiej firmy, który jest do mnie choć trochę podobny. Musi być koniecznie ogolony. Nikt nie dopatrzy się różnicy, bo te fotografie zawsze są marnej jakości.

Oprócz tego muszę mieć trzy samochody. Białe kombi, jeepa z napędem na cztery koła i starą, obdrapaną furgonetkę. Dla każdego garaż i nowe numery rejestracyjne.

– To też da się załatwić. W jaki sposób odbierze pan dokumenty, klucze od domów i kluczyki do samochodów?

– Wie pan, gdzie jest chrześcijański cmentarz?

Al-Chalifa zmarszczył brwi.

– Słyszałem o nim, ale nigdy tam nie byłem. Dlaczego pan pyta?

– Znajduje się przy ulicy Dżahry w Sulajbichat, tuż obok głównego cmentarza muzułmańskiego. Wchodzi się – tam przez boczną furtkę, przy której jest mała tabliczka z napisem "Dla chrześcijan". Leżą tam głównie Libańczycy i Syryjczycy, ale są też Filipińczycy i Chińczycy. W kącie po prawej stronie znajdzie pan marmurowy nagrobek kupca, niejakiego Sheptona. Jedna z płytek jest obłuzowana, a pod nią wygrzebałem niewielkie zagłębienie. Proszę tam wszystko zostawić, podobnie jak ewentualną wiadomość. Byłoby dobrze, żeby zaglądał pan tam raz na tydzień, bo w ten sam sposób ja będę się kontaktował z panem.

Oszołomiony Al-Chalifa potrząsnął głową.

– Nigdy w życiu nie robiłem czegoś takiego.

Mikę Martin zniknął w ludzkim rojowisku wypełniającym wąskie uliczki i zaułki. Pięć dni później pod obłuzowaną marmurową płytką w nagrobnym pomniku Able'a Sheptona znalazł trzy dowody tożsamości, trzy zestawy kluczyków samochodowych łącznie z kluczami do garaży i ich adresami, oraz pięć kluczy z adresami domów na przywieszkach.

Nie minęły nawet dwa dni, jak iracka ciężarówka wracająca do miasta najechała na coś i wyleciała z hukiem w powietrze.

Chip Barber, szef Wydziału Bliskowschodniego CIA, przebywał w Tel-Awii już od dwóch dni, kiedy w biurze, które przydzielono mu w budynku ambasady, rozległ się brzęczyk telefonu. Dzwonił miejscowy rezydent Agencji.

– Wszystko w porządku, Chip. Facet wrócił już do miasta.

Umówiłem nas na spotkanie o czwartej po południu, więc potem powinieneś jeszcze zdążyć na ostatni samolot do Stanów. Chłopcy powiedzieli, że przyjadą po nas do biura.

Rezydent dzwonił spoza terenu ambasady, w związku z czym posługiwał się ogólnikami na wypadek, gdyby założono podsłuch. Rzeczywiście, miał rację, ale podsłuch zamontowali Izraelczycy,

którzy i tak o wszystkim wiedzieli.

"Facetem" był generał Jaakow "Kobi" Dror, dyrektor Mosadu, "biuro" oznaczało ambasadę, "chłopcy" zaś okazali się dwoma członkami osobistej ochrony Drora, którzy dziesięć po trzeciej zajechali pod bramę samochodem z prywatnymi tablicami rejestracyjnymi.

Barber pomyślał, że pięćdziesiąt minut zapasu to sporo, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że kwatera główna Mosadu mieści się niezbyt daleko od ambasady USA, bo w budynku Hadar Dafna przy bulwarze Króla Saula. Okazało się jednak, że spotkanie odbędzie się gdzie indziej, gdyż samochód wyjechał z miasta kierując się na północ, minął lotnisko wojskowe Sade Dow, potem zaś skręcił na szosę prowadzącą do Hajfy.

Właśnie przy tej trasie, tuż za Herclija, znajduje się duży zespół hotelowo-wypoczynkowy o niewyszukanej nazwie Country Club. Przyjeżdżają tam głównie zamożni Żydzi z różnych krajów świata, aby wypocząć w luksusowych warunkach, korzystając z rozlicznych atrakcji proponowanych przez gościnnych gospodarzy. Mało kto z nich spogląda na dominujące nad okolicą wzgórze.

Gdyby to jednak zrobili, dostrzegliby na jego szczycie okazały budynek, z którego z pewnością roztacza się wspaniały widok na sąsiednie wzniesienia, a także na morze. Gdyby zaś zapytali, co to za budowla, usłyszeli, że jest to letnia rezydencja premiera. Rzeczywiście, premier Izraela zjawia się tam od czasu do czasu jako jeden z nielicznych, którym wolno to uczynić, gdyż w rzeczywistości w budynku na szczycie wzgórza mieści się szkoła agentów Mosadu, znana wśród funkcjonariuszy izraelskiego wywiadu jako Midrasza.

Jaakow Dror przyjął dwóch Amerykanów w swoim gabinecie na ostatnim piętrze, w jasnym i obszernym pokoju, z klimatyzacją, która działała na pełnych obrotach. Sam Dror był niskim, krępy męczyzną w przepisowej koszuli z krótkim rękawem, przepisowo rozpiętej na piersi, palił też przepisowe sześćdziesiąt papierosów dziennie.

Barber spojrział z nadzieją na klimatyzator; dym papierosowy zdecydowanie nie służył jego zatokom.

Szef izraelskich szpiegów wstał zza biurka i lekko utykając wyszedł gościom na spotkanie.

- Chip, stary przyjacielu, jak się miewasz?

Serdecznie uściskał znacznie od siebie wyższego Amerykanina. Uwielbiał przemawiać jak aktor dramatyczny i odgrywać rolę dobrodusznego niedźwiedzia, co nie miało nic wspólnego z rzeczywistością. W wielu misjach, w których uczestniczył jako katsa, czyli oficer dowodzący operacją, udowodnił, że jest niezwykle inteligentnym i niebezpiecznym człowiekiem.

Chip Barber nie pozostał dłużny, jeśli chodzi o serdeczności.

Obaj mężczyźni znali się od dawna, obaj też mieli co wspominać.

W przypadku Barbera jednym z najświeższych wspomnień była sprawa Jonathana Pollarda z wywiadu Marynarki Wojennej, skazanego przez sąd wojskowy za dostarczanie poufnych informacji Izraelowi. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, iż Pollarda "prowadził" osobiście Kobi Dror.

Po dziesięciu minutach rozmowa zeszała na zasadniczy temat: Irak.

- Powiem ci coś, Chip: moim zdaniem rozgrywacie to dokładnie nie tak, jak należy.

Dror nalał gościowi kolejną filiżankę kawy tak mocnej, że Amerykanin zaczął się już poważnie obawiać, czy uda mu się zasnąć przez kilka najbliższych dni, po czym zdusił w wielkiej kryształowej popielniczce trzeciego papierosa. Barber przez chwilę

usiłował nie oddychać, ale wreszcie się poddał.

– Jeżeli Saddam nie wycofa się i będziemy musieli wkroczyć do akcji, zaczniemy od zmasowanego uderzenia powietrznego.

– Naturalnie.

– Najważniejsze, żeby udało się zniszczyć jego broń masowej zagłady. Was także powinno to interesować, Kobi. Przydałaby nam się wasza pomoc.

-- Chip, my chodzimy koło tej sprawy od lat. Do licha, nawet ostrzegaliśmy was, co może z tego wyniknąć. Jak myślisz, dla kogo są przeznaczone te gazy i bakterie? Dla nas. Alarmowaliśmy kogo się dało, ale nikt się nie przejmował, a jak rozpieprzyliśmy mu reaktory w Osirak, dzięki czemu cofnął się o dziesięć lat w pracach nad bombą atomową, cały świat nas potępił. Stany Zjednoczone także.

– Obaj wiemy, że to były tylko pozory.

– W porządku, Chip. Ale teraz, kiedy chodzi o życie Amerykanów, to już nie jest na pokaz, prawda? Teraz, kiedy mogą zginąć wasi żołnierze...

– Kobi, wolałbym, żebyś wyzbył się paranoicznego spojrzenia na świat.

– Pieprzysz, Chip. Posłuchaj: nie mamy nic przeciwko temu, żebyście rozwalili mu jego fabryki gazów bojowych, laboratoria przygotowujące broń biologiczną i reaktory atomowe. Wręcz przeciwnie, bardzo nam to pasuje. Ze względu na arabskich sojuszników wuja Sama nie możemy wtrącać się do awantury. Tak więc, jeżeli ktoś ma tu jakieś pretensje, to na pewno nie Izrael. Przekazaliśmy wam wszystko co wiedzieliśmy o jego próbach skonstruowania tajnej broni. Wszystko co do słowa.

– Ale my potrzebujemy czegoś więcej, Kobi. Zgoda, przez ostatnie lata trochę za mało uwagi poświęciliśmy Irakowi, ale przecież mieliśmy na głowie zimną wojnę. Teraz, kiedy na tapecie pojawił się Irak, okazało się, że za mało wiemy. Potrzebujemy informacji, ale nie bazarowych plotek, tylko konkretnych, stu-procentowo pewnych danych ze szczytów władzy. Dlatego pytam cię wprost: czy macie jakiegoś człowieka w najwęższym kręgu wtajemniczenia w Bagdadzie? Musimy uzyskać odpowiedzi na wiele pytań i jesteśmy gotowi za nie zapłacić. Znamy zasady.

Kobi Dror przez dłuższą chwilę przyglądał się w zamyśleniu dymowi unoszącemu się z papierosa. Dwaj pozostali oficerowie wbili spojrzenia w blat biurka.

– Możesz mi wierzyć, Chip – powiedział wreszcie cicho dyrektor Mosadu. – Gdybyśmy w tej chwili mieli jakiegoś agenta w irackim rządzie, na pewno byśmy go wam przekazali. Daję ci na to moje słowo.

Generał Dror wyjaśnił później rozgniewanemu premierowi Izraela, że wówczas, kiedy wypowiedział te słowa, były one całkowita prawdą.

Mimo wszystko powinien był jednak wspomnieć o Jerychu.

Rozdział szósty

Gdyby Mikę nie zauważył go pierwszy, chłopak z pewnością musiałby zginąć. Martin jechał obdrapaną, przerdzewiałą furgonetką załadowaną arbuzami, które kupił na jednej z farm w pobliżu Dżahry, kiedy nagle dostrzegł głowę w białym zawoju wychylającą się co jakiś czas zza ciągnącej się wzdłuż szosy przyzmy żwiru, obok niej zaś lśniąca w słońcu lufę karabinu.

Furgonetka znakomicie spełniała swoje zadanie. Chciał, żeby wyglądała jak najgorzej, gdyż przypuszczał – całkiem słusznie, jak się miało okazać – że prędzej czy później Irakijczycy zaczną rekwirować prezentujące się jako tako samochody.

Błyskawicznie zerknął we wsteczne lusterko, zahamował i zjechał

na pobocze. Szosą od strony Dżahry nadjeżdżała ciężarówka załadowana żołnierzami Armii Ludowej.

Młody Kuwejczyk złożył się już do strzału, kiedy nagle jakaś silna ręka zasłoniła mu usta i ktoś wyszarpnął karabin ze spoconych z emocji dłoni.

- Nie wydaje mi się, żebyś naprawdę chciał dzisiaj umrzeć - usłyszał czyjś stłumiony głos. Ciężarówka minęła jego kryjówkę i po chwili zniknęła w oddali. Chłopak, i tak już zdenerwowany tym, co miał zamiar zrobić, teraz był wręcz przerażony.

Kiedy żelazny uchwyt zelżał, odwrócił się gwałtownie na plecy i spojrział na napastnika. Obok niego klęczał wysoki Beduin o przeszywającym spojrzeniu czarnych oczu i okolonej brodą twarzy.

- Kim... kim jesteś? - wyjąkał chłopiec.

- Kimś, kto wie, że nie należy zabijać jednego Irakijczyka, jeżeli w tej samej ciężarówce siedzi ich jeszcze dwudziestu. Przyszedłeś na piechotę?

- Nie.

Chłopak miał jakieś dwadzieścia lat i usilnie starał się zapuścić pierwszą brodę. Pojazdem okazał się skuter zaparkowany w cieniu drzew, 20 metrów od szosy. Beduin westchnął ciężko, po czym zaprowadził chłopca do furgonetki. Minutę później samochód podjechał do sterty żwiru, karabin - zabytkowy lee enfield 303, który chłopiec wyszperał chyba w sklepie ze starociami - trafił pod arbuzy, skuter zaś wylądował na owocach. Kilka z nich pękło.

- Wsiadaj - polecił krótko Beduin.

Furgonetka zatrzymała się ponownie dopiero w cichym zakątku niedaleko portu.

- A teraz powiedz mi, co właściwie chciałeś zrobić - zażądał kierowca.

Chłopiec wbił wzrok w upstrzoną muchami przednią szybę.

Oczy zaszyły mu łzami, usta zaś zaczęły drżeć jak w febrze.

- Oni... zgwałcili moją siostrę - wyszeptał. - Jest pielęgniarką. Szpital Al-Adan. Było ich czterech...

Beduin poważnie skinął głową.

- Domyślam się, że postanowiłeś zabijać Irakijczyków?

- Tak! Chcę zabić tylu, ilu będę mógł. Zanim umrę.

- Dowcip polega właśnie na tym, żeby nie umrzeć. Jeżeli zgodzisz się ze mną, być może spróbuję cię trochę podszkolić.

W przeciwnym razie załatwią cię w ciągu jednego dnia.

- Beduini nie walczą! - parsknął pogardliwie chłopak.

- Słyszałeś kiedyś o Legionie Arabskim? - Młodzieniec milczał. - A o księciu Fajsalu i powstaniu arabskim? To wszystko byli Beduini. Jesteś sam, czy znasz jeszcze kogoś, kto myśli podobnie jak ty?

Okazało się, że chłopak studiuje prawo na Uniwersytecie Kuwejckim.

- Jest nas pięciu. Wszyscy marzymy o tym samym. Ja postanowiłem spróbować pierwszy.

- Zapamiętaj ten adres. - Beduin podał chłopcu adres willi przy bocznej uliczce w dzielnicy Jarmuk. Młody zapaleniak dopiero za trzecim razem powtórzył go bez pomyłki. Na wszelki wypadek Martin kazał mu wyrecytować adres głośno jeszcze dwadzieścia razy. - Dzisiaj wieczorem o siódmej. Będzie już ciemno, ale do godziny policyjnej zostaną jeszcze trzy godziny. Przyjeżdżajcie pojedynczo. Pojazdy zostawcie w odległości co najmniej 200 metrów od domu. Do willi też wchodźcie pojedynczo, co dwie minuty. Furtka i drzwi będą otwarte.

W chwilę potem odprowadził wzrokiem chłopca na skuterze i ponownie westchnął. Bardzo surowy materiał, ale na razie nie mógł liczyć na nic więcej.

Młodzi ludzie zjawili się na czas. Martin obserwował ich z płaskiego dachu po przeciwnej stronie ulicy. Zachowywali się nerwowo i niepewnie, co chwila oglądając się za siebie i przemykając chyłkiem tuż przy parkanach. Chyba naoglądali się zbyt wiele filmów z Bogartem. Kiedy jeden za drugim zniknęli we wnętrzu willi, czekał jeszcze dziesięć minut, ale nigdzie nie dostrzegł niczego podejrzanego. Bezszelestnie ześlizgnął się z dachu, i wszedł do willi tylnymi drzwiami. Cała piątka siedziała w salonie przy zapalonym świetle i odsuniętych zasłonach. Czterech młodych mężczyzn i dziewczyna, wszyscy bardzo spięci.

Spoglądali na drzwi prowadzące do hallu, podczas gdy on pojawił się od kuchni. Zrobił to tak cicho, że nie zdążyli odwrócić się w jego stronę, zaraz potem zaś zgasił światło.

- Zasuńcie zasłony - poleciał półgłosem. Zrobiła to dziewczyna. Dopiero kiedy wróciła na miejsce, ponownie włączył światło.

- Nigdy nie siedzicie przy włączonym świetle i odsłoniętych oknach - upomniał ich. - Nikt nie powinien was widzieć razem.

Domy, do których otrzymał klucze od Al-Chalify, podzielił na dwie grupy: mieszkał na zmianę w czterech willach, przenosząc się z jednej do drugiej bez żadnego ustalonego z góry porządku, za każdym razem zostawiając znane tylko sobie znaki - na przykład liść wetknięty w zamek albo nitkę rozciągniętą na dywanie. Gdyby po powrocie nie znalazł jakiegoś z nich, albo przekonał się, że został poruszony, miałby pewność, że ktoś złożył tu wizytę.

W pozostałych dwóch willach zostawił połowę sprzętu, przeniesionego z kryjówek na pustyni. Dom, w którym postanowił spotkać się z młodymi ludźmi, był najmniej przydatną z jego rezydencji, teraz zaś Martin miał zamiar zupełnie przestać z niego korzystać. Prawie wszyscy studiowali, z wyjątkiem jednego, pracownika banku. Mikę poprosił, żeby się przedstawili.

- Teraz potrzebujecie nowych imion. - Nadał każdemu pseudonim. - Nikt inny nie może ich znać, nawet rodzice albo rodzeństwo. Dzięki temu zawsze będziecie mieć pewność, czy wiadomość albo przesyłka pochodzi od kogoś z nas.

- A jak ty będziesz się nazywał? - zapytała dziewczyna, która przed chwilą otrzymała imię Rana.

- "Beduin" w zupełności wystarczy. Możesz mi powtórzyć ten adres? - zwrócił się do chłopca spotkanego przy drodze. Ten wyjął z kieszeni zmiętą kartkę, którą Martin natychmiast mu odebrał. - Żadnych notatek. Wszystko musi być w pamięci. Żołnierze Armii Ludowej to przygłupy, ale w tajnej policji służą bardzo inteligentni ludzie. Jakbyś się wytłumaczył, gdyby przyłapało cię z czymś takim?

Okazało się, że troje konspiratorów zapisało sobie adres willi. Martin kazał im natychmiast spalić notatki.

- Jak dobrze znacie miasto?

- Myślę, że całkiem nieźle - odparł najstarszy, 25-letni urzędnik bankowy.

- To nie wystarczy. Jutro niech każdy z was kupi sobie dokładny plan i nauczy się go na pamięć. Musicie znać każdą uliczkę i alejkę, każdy plac i ogród, każdy przesmyk i zaułek, każdy ważny budynek. Chyba zauważyliście już, że tabliczki z nazwami ulic giną jak zaczarowane?

Skinęli głowami. Piętnaście dni po inwazji Kuwejtczyzy zdążyli już dojść do siebie po pierwszym wstrząsie i podjęli próbę biernego oporu. Była to całkowicie spontaniczna i nieskoordynowana akcja, która zaczęła się od zrywania tabliczek z nazwami ulic. Al-Kuwajt i tak jest miastem o dość skomplikowanej topografii, natomiast bez oznaczeń ulic zamienił się w prawdziwy

labirynt.

Wojskowe patrole miały ogromne kłopoty z powrotem do koszar, tajna policja zaś musiała nieźle się napocić, aby odnaleźć podejrzanego pod wskazanym lub zdobytym adresem. Także drogowskazy umieszczone na głównych skrzyżowaniach znikwały nocą w niewytłumaczalny sposób albo zmieniały położenie, przyczyniając się do powiększenia i tak już całkiem sporego bałaganu.

Podczas pierwszego spotkania Martin wygłosił dwugodzinny wykład na temat podstawowych zasad konspiracji: Za każdym razem, kiedy udajesz się w podróż lub na spotkanie, przygotuj sobie jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Nigdy nie noś przy sobie dokumentów ani notatek, które mogłyby posłużyć jako dowód przeciwko tobie. Zawsze okazuj szacunek żołnierzom nieprzyjaciela i nie ufaj nikomu obcemu.

– Od tej pory w ciele każdego z was zamieszkuje dwóch ludzi. Jeden, którego wszyscy znali do tej pory: student, urzędnik, ktokolwiek. Jest uprzejmy, uczynny, niewinny, nieszkodliwy, zawsze przestrzega prawa. Irakijczycy zostawiają go w spokoju, ponieważ nie stanowi dla nich żadnego zagrożenia. Nie wypowiada się obraźliwie o ich kraju, nie bezczęści ich flagi ani portretu przywódcy. Al-Aman al-Amm nie ma żadnego powodu, żeby wziąć go pod lupę. Drugi człowiek pojawia się tylko przy specjalnych okazjach, podczas realizacji zadania. Jest dobrze wyszkolony, niebezpieczny, i stara się uniknąć śmierci.

Mówił im, w jaki sposób zapewnić sobie bezpieczeństwo udając się na tajne spotkanie. Należy zjawić się sporo wcześniej i zostawić pojazd w pewnej odległości, a następnie przez co najmniej dwadzieścia minut obserwować z ukrycia okolice, najwięcej uwagi poświęcając dachom pobliskich budynków. Trzeba także wytężyć słuch, gdyż w każdej chwili może rozleć się szurgot żołnierskich butów.

Zakończył wykład na tyle wcześnie, żeby bez problemów zdążyli dotrzeć do domów przed godziną policyjną. Młodzi konspiratorzy nie kryli rozczarowania.

– A co z nieprzyjaciółmi? Kiedy zaczniemy ich zabijać?

– Wtedy, kiedy się tego nauczą.

– Czy nie ma nic, co moglibyśmy robić już teraz?

– Hm... W jaki sposób Irakijczycy poruszają się po mieście?

Na piechotę?

– Nie. Ciężarówkami, jeepami oraz – coraz częściej – kradzionymi samochodami osobowymi.

– Wszystkie one mają korki wlewu paliwa, w większości nie zamykane na kluczyki. Wystarczy, jeżeli do baku wrzucicie dwa-dzieścia kostek cukru. Cukier rozpuści się w benzynie, dotrze wraz z nią do gaźnika, a tam pod wpływem wysokiej temperatury zakrzepnie, unieruchamiając silnik. Uważajcie jednak, żeby was nie schwytano. Pracujcie parami, najlepiej po zapadnięciu zmroku. Jeden się rozgląda, drugi wrzuca kostki do baku. Nie zapomnijcie zakręcić korka. Cała operacja nie powinna trwać dłużej niż dziesięć sekund.

Weźcie drewniany klocek o bokach długości mniej więcej dziesięciu centymetrów, przebijcie go czterema długimi, stalowymi gwoździami i wepchnijcie pod oponę nieruchomego pojazdu.

W Kuwejcie jest dużo szcurów, a więc są też sklepy, w których można dostać trutkę. Kupcie białą, na bazie strychniny, domieszajcie do surowego ciasta, które dostaniecie u piekarza, i upieczcie chleb. Pamiętajcie, żeby robić to w gumowych rękawiczkach, które zaraz potem spalicie, i tylko wówczas, kiedy będziecie sami w domu.

Młodzi ludzie wpatrywali się w Martina z szeroko otwartymi ustami.

– Mamy rozdawać chleb Irakijczykom?

– Skądże znowu. Po prostu nieście go w koszyku albo wrzucicie do bagażnika. Sami go zabiorą, kiedy będą was kontrolować. Zobaczymy się za sześć dni.

Już cztery dni później irackim samochodom zaczęły zdarzać się niewyjaśnione awarie. Większość pojazdów odholowano do koszar, ale sześć ciężarówek i cztery jeepy zostały tam, gdzie odmówiły posłuszeństwa. Mechanicy wkrótce odkryli przyczynę awarii, lecz nikt nie potrafił ustalić, kto był ich sprawcą. Nastąpiła plaga porzebijanych opon; tajnej policji przekazano kilka drewnianych klocków ze stalowymi gwoździami, a jej kipiący bezsilną wściekłością funkcjonariusze pobili na ulicach kilku przypadkowych przechodniów.

Potem szpitale zapełniły się chorymi żołnierzami. Wszyscy mieli gwałtowne torsje i skarżyli się na bóle żołądka. Ponieważ armia nie troszczyła się o ich wyżywienie, jedli to, co udało im się zdobyć podczas patrolowania miasta, uznano więc, że przyczyną zatrucia jest nie przegotowana woda.

Jednak kiedy w szpitalu Amin pewien laborant przeprowadził analizę próbki treści żołądkowej jednego z Irakijczyków, podrapał się z zakłopotaniem po głowie i zastukał do drzwi gabinetu swego bezpośredniego zwierzchnika.

– Wygląda na to, panie profesorze, że zżarł trutkę na szczury, choć on sam twierdzi, że od trzech dni jadł tylko chleb i owoce.

Profesor nie ukrywał zdziwienia.

– Iracki chleb?

– Nie, bo już od tygodnia nie mieli żadnych dostaw. Zabrał go jakiemuś przechodniowi.

– Gdzie są te próbki?

– Na stole w laboratorium. Pomyślałem sobie, że najpierw powiem o tym panu.

– I dobrze zrobiłeś. A teraz zniszcz je i zapomnij, że kiedykolwiek istniały, rozumiesz?

Kiedy laborant wyszedł, profesor przez dłuższą chwilę siedział za biurkiem, kręcąc ze zdumieniem głową. Trutka na szczury! Do licha, kto mógł wpaść na taki pomysł?

Komitet Meduza zebrał się ponownie 30 sierpnia, ponieważ doktor bakteriologii z Porton Down doszedł do wniosku, że rozeznał się już we wszystkim, co w obecnej chwili wywiad wiedział o irackim programie produkcji broni bakteriologicznej.

– Obawiam się, że nie jest to nic pewnego – zaczął doktor Bryant. – Przede wszystkim dlatego, że badania te da się prowadzić właściwie w każdym przyzwoicie wyposażonym laboratorium, w dodatku bez użycia substancji albo sprzętu, które trzeba by sprowadzać z zagranicy.

Dziedzina nauki, jaką mam przyjemność reprezentować, działa przede wszystkim ku pożytkowi ludzkości, zajmując się poszukiwaniem sposobów leczenia różnych chorób. Nie ma więc nic niezwykłego w tym, że rozwijający się kraj prowadzi badania nad beri-beri, żółtą febrą, malarią, cholera, tyfusem albo żółtaczką. Wymieniłem tylko choroby gnębiące ludzi, ale jest jeszcze mnóstwo zwierzęcych, stanowiących przedmiot zainteresowania weterynarzy.

– A więc właściwie nie można jednoznacznie stwierdzić, czy Irak dysponuje obecnie bronią bakteriologiczną? – zapytał Sinclair z CIA.

– Właściwie nie – odparł Bryant. – Udało nam się natomiast ustalić, że w roku 1974, kiedy Saddam Husajn, że tak powiem, nie zasiadał jeszcze na tronie...

– Był wtedy wiceprezydentem, ale odgrywał już ważną rolę w państwie – wtrącił Terry Martin.

– Tak, oczywiście... A więc, Irak zawarł wówczas kontrakt z Instytutem Metrieux w Paryżu na dostawę nowoczesnego, w pełni wyposażonego laboratorium, w którym miały być prowadzone badania nad chorobami zwierzęcymi.

– A co z tymi historiami o możliwościach wykorzystania węgla przeciwko ludziom? – zapytał Amerykanin.

– To także jest całkiem możliwe. Węgiel atakuje przede wszystkim bydło oraz inne zwierzęta domowe, ale może też przenieść się na człowieka, jeżeli ten spożyje zarażoną żywność. Nie wiem, czy panowie pamiętacie, ale podczas drugiej wojny światowej Wielka Brytania prowadziła eksperymenty z węglikiem na małej wyspce Grinard należącej do archipelagu Hebryd. Otóż wyspka ta nadal objęta jest kwarantanną.

– Aż takie to niebezpieczne? Gdzie Husajn mógłby zdobyć tę zarazę?

– Właśnie na tym polega cały problem, panie Sinclair. Na pewno nie zgłosił się do żadnego renomowanego laboratorium w Europie ani w Ameryce i nie powiedział: "Dajcie no mi parę przywoitych kultur węgla, bo chcę wykorzystać je przeciwko ludziom". Zresztą wcale nie musiałby tego robić. W całym Trzecim Świecie jest mnóstwo zarażonego bydła. Wystarczy kupić kilka chorych sztuk, a po takiej transakcji nie zostanie żaden ślad w dokumentach.

– Tak więc jest całkiem możliwe, że Saddam byłby w stanie wykorzystać tę chorobę przeciwko naszym wojskom, ale nie mamy na to żadnego dowodu? – zapytał sir Paul Spruce trzymając złoty długopis zawieszony nad czystą kartką.

– Tak jest – potwierdził Bryant. – Ale to była zła wiadomość. Dobra wygląda w ten sposób, że mam poważne wątpliwości, czy akurat węgiel stanowiłby najlepszą broń przeciwko zbliżającej się armii. Wydaje mi się, że kiedy nieprzyjaciel atakuje, pierwszym zadaniem strony przeciwnej jest powstrzymanie jego impetu, prawda?

– Mniej więcej – potwierdził Sinclair.

– Otóż węgiel na pewno by tego nie dokonał. Co prawda jego przetrwalniki bakteryjne, rozrzucone przez samoloty albo wybuchające pociski stałyby się źródłem zakażenia, pamiętajmy jednak, że warunki panujące na pustyni wyjątkowo nie sprzyjają rozmnażaniu się tych bakterii. Poza tym, człowiek musiałby zjeść mięso zarażonego zwierzęcia albo napić się mleka, a z tego, co wiem, nasi żołnierze będą jeść wyłącznie szczelnie pakowaną żywność i pić butelkowaną wodę?

– Już teraz to robią.

– W takim razie pozostaje tylko jeden możliwy sposób zarażenia: poprzez drogi oddechowe. Bakterie muszą wnikać do ludzkiego organizmu przez przewód pokarmowy albo trafić do płuc. Podejrzewam jednak, że ze względu na niebezpieczeństwo ataku chemicznego każdy amerykański żołnierz zostanie wyposażony w maskę przeciwgazową?

– Tak jest.

– Nasi też – dodał pośpiesznie sir Paul.

– Skoro tak, to węgiel możemy ostatecznie wykreślić – stwierdził Bryant. – W przeciwieństwie do gazów bojowych nie powstrzymałby atakującej armii, a ci, którzy jednak by się zarazili, zostaliby wyleczeni silnymi antybiotykami. Poza tym, jest jeszcze coś takiego jak okres wylęgania. Żołnierze mogliby wygrać wojnę i dopiero wtedy zachorować. Wydaje mi się, że należy traktować go raczej jako potencjalną broń terrorystów niż środek przydatny na polu walki. Co innego, gdyby zakazić węglikiem ujęcie wody jakiegoś dużego miasta; w takim wypadku doszłoby do wybuchu epidemii, wobec której służby medyczne mogłyby

okazać się bezradne. Jeżeli jednak miałbym spryskiwać czymś wojsko na pustyni, to wybrałbym jakiś gaz paraliżujący działanie systemu nerwowego. Jest niewidoczny, a na efekty nie trzeba długo czekać.

– Zakładając jednak, że Saddam dysponuje centralnym laboratorium zajmującym się badaniami nad bronią bakteriologiczną, czy istnieje jakiś sposób, aby ustalić, gdzie ono się znajduje? – zapytał sir Paul Spruce.

– Przede wszystkim skontaktowałbym się z zachodnimi instytutami weterynaryjnymi oraz ze współpracującymi z nimi naukowcami. Trzeba sprawdzić, czy w ciągu minionych dziesięciu lat Bagdad proponował im jakieś atrakcyjne stypendia, a jeżeli tak, to należy dotrzeć do tych, którzy z nich skorzystali, i dowiedzieć się, czy podczas pobytu w Iraku zdarzyło się, żeby kategorycznie zakazano im wstępu do jakiegoś instytutu albo laboratorium. Jeśli tak, to mamy obiekt, którego szukamy.

Sinclair i Paxman pilnie wszystko notowali. Zanosilo się na sporą robotę.

– Jeżeli jednak nie – ciągnął Bryant – to warto spróbować z drugiej strony, na przykład u jakiegoś irackiego specjalisty w tej dziedzinie, który wyemigrował na Zachód. Nas, bakteriologów, nie ma zbyt wielu i zazwyczaj dość dobrze wiemy, jakie badania prowadzą koledzy w kraju, nawet jeśli w grę wchodzi państwo, gdzie panuje ustrój totalitarny. Takiemu człowiekowi mogło co nieco obić się o uszy.

– Jesteśmy panu ogromnie wdzięczni za wyjaśnienia, doktorze Bryant – powiedział sir Paul i uczestnicy zebrania zaczęli podnosić się z foteli. – Mnóstwo dodatkowej pracy dla naszych detektywów, co, panie Sinclair? Podobno doktor Reinhart z Porton Down najdalej za dwa tygodnie będzie mógł przedstawić nam swoje ustalenia dotyczące irackich gazów bojowych. Rzecz jasna, zostaniecie panowie poinformowani o terminie naszego kolejnego spotkania, a tymczasem dziękuję za uczestnictwo w dzisiejszym.

Leżeli nieruchomo na piasku, obserwując, jak nad pustynią powoli wstaje nowy dzień. Kiedy minionego wieczoru młodzi ludzie stawili się w domu Beduina, żaden z nich nie przypuszczał, że spotkanie potrwa tak długo. Byli pewni, że czeka ich kolejny wykład.

Nie wzięli ciepłych ubrań, a noce na pustyni są bardzo chłodne, nawet pod koniec sierpnia. Drżeli teraz z zimna, zastanawiając się, co powinni powiedzieć zdenerwowanym rodzicom. Że zasiedzieli się u kolegów i nie chcieli ryzykować powrotu po godzinie policyjnej? W takim razie, dlaczego nie zatelefonowali? Bo nie mogli się dodzwonić... To będzie musiało wystarczyć.

Troje spośród pięciorga zastanawiało się także, czy podjęli właściwą decyzję, ale teraz było już za późno, żeby się wycofać. Beduin powiedział im tylko tyle, że nadeszła pora, by wzięli udział w prawdziwej akcji, po czym zaprowadził ich do poobijanego jeepa, zaparkowanego dwie przecznice od domu. Jeszcze przed godziną policyjną znaleźli się za miastem, na płaskiej, pokrytej ubitym piaskiem pustyni. Choć wytężali wzrok, nie dostrzegli na niej żywego ducha.

Po mniej więcej 30-kilometrowej podróży wśród łagodnych wydm dotarli do wąskiej drogi łączącej – tak im się przynajmniej wydawało – leżące na wschodzie pole naftowe Manakisz z biegnącą na zachód od nich szosą. Wszystkie pola naftowe zostały już obsadzone przez Irakijczyków, na głównych drogach zaś roiło się od patroli. Na południe od miejsca, w którym się znaleźli, okopało się szesnaście dywizji Armii i Gwardii Republikańskiej, zwróconych frontem ku Arabii Saudyjskiej i napływającej w coraz

szybszym tempie rzece Amerykanów. Młodzi ludzie nie czuli się zbyt pewnie.

Troje z nich leżało na piasku obok Beduina, przypatrując się drodze w poprzedzającej nadejście świtu szarówce. Droga była tak wąska, że dwa samochody mogły się na niej minąć tylko wtedy, jeśli oba zjechałyby na pobocze.

Do połowy szerokości traktu sięgała deska ze sterczącymi ostrymi końcami w górę gwoździami. Beduin wyjął ją z jeepa i położył na drodze, następnie przykrył rzuconym byle jak workiem, który, po częściowym przysypaniu piaskiem, niczym nie różnił się od niezliczonych miniaturowych wydmy, jakie wiatr utworzył na twardej, gruntowej nawierzchni.

Pozostała dwójka, urzędnik bankowy i student prawa, pełniła funkcję czujek. Każdy z nich leżał na szczycie wydmy 100 metrów na wschód i na zachód od głównego stanowiska, wypatrując nadjeżdżających pojazdów. Wcześniej Beduin wytłumaczył im, w jaki sposób mają sygnalizować rodzaj i liczbę maszyn.

Tuż po szóstej rano student prawa dał ręką znak: "Za dużo dla nas". Beduin pociągnął za cienką linkę, którą przez cały czas trzymał, i deska zsunęła się z drogi. Pół minuty później obok kryjówek przejechały dwie ciężarówki wypełnione irackimi żołnierzami. Kiedy oddaliły się na bezpieczną odległość, Beduin wybiegł na drogę, by znowu ułożyć deskę.

Dziesięć minut później zamachał ręką urzędnik bankowy. Ten sygnał oznaczał samochód osobowy. I rzeczywiście, w chwili potem na drodze pojawiła się jadąca od strony głównej szosy limuzyna.

Kierowcy nawet nie przyszło do głowy, żeby ominąć jeden z niezliczonych, miniaturowych piaszczystych pagórków. Co prawda gwoździe przebiły dętkę tylko w jednym przednim kole, ale okazało się to całkowicie wystarczające. Guma strzeliła głośno, worek owinął się wokół koła, samochód zaś zszedł raptownie z drogi. Kierowca zapanował jednak nad maszyną, która zatrzymała się kilkanaście metrów dalej, przechylona dość mocno w jedną stronę.

Szofer natychmiast wyskoczył zza kierownicy, z tylnego siedzenia wygramolili się zaś dwaj oficerowie, major i porucznik, i zaczęli wrzeszczeć na niefortunnego kierowcę, który usprawiedliwiał się płaczkliwie, wskazując co chwila na sflaczała oponę. Samochód, zsunawszy się na pobocze, był tak bardzo przechylony, że wszelkie próby użycia podnośnika musiały spełznąć na niczym.

– Zostańcie tutaj – mruknął Beduin do zdumionych studentów, po czym wstał z piasku i ruszył w kierunku drogi. Przez prawe ramię miał przerzucony mocno już sfatygowany koc. Uśmiechnawszy się szeroko pozdrowił majora.

– Salam alajkum, sajjid major. Widzę, że macie kłopoty. Może będę mógł pomóc? Moi ludzie są niedaleko stąd.

Major, który na widok nieznanego w pierwszej chwili sięgnął po pistolet, teraz wyraźnie się odprężył.

– Alajkum as-salam, Beduinie. Ten wielbłądzi pomiot prawie władował nas do rowu.

– Ja i moi bracia wypchniemy twój samochód, sajjidi. Jest nas bardzo wielu.

Kiedy odległość od oficera zmalała do dwóch i pół metra, Beduin wykonał gwałtowny ruch pod kocem. Kompletując sprzęt zażyczył sobie pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP5 lub mini-uzi. W Arabii Saudyjskiej o tych ostatnich nie było nawet co marzyć, a że HK też chwilowo nie dało się zdobyć, zdecydował się ostatecznie na AK-47 w wersji MS ze składaną kolbą, wyprodukowane w Czechosłowacji przez Omnipol. Kolby od razu zdemontował na stałe, oprócz tego zaś zaokrąglił pilnikiem czubki wszystkich

pocisków kalibru 7,62. Uważał, że dziurawienie ludzi na wylot mija się z celem.

Strzelał tak, jak nauczono go w SAS: krótka seria, przerwa, krótka seria, przerwa... Pierwsza seria pocisków trafiła majora w pierś. Następna skosiła porucznika, który runął bezwładnie na kierowcę pochylonego nad przednim kołem. Przerażony szeregowiec wyprostował się raptownie, tylko po to jednak, by zginać od trzeciej, ostatniej serii z kałasznikowa.

Wydawało się, że odgłos strzałów powrócił znad wydmy zwielokrotnionym echem, ale ani na pustyni, ani na drodze nikt się nie pojawił. Beduin przywołał do siebie troje przerażonych młodych ludzi.

- Włóżcie ciała do samochodu - polecił chłopcom. - Kierowcę z przodu, tamtych dwóch z tyłu. - Dziewczynie wręczył śrubokręt o tak zeszlifowanej końcówce, że raczej przypominał ostry jak igła przebijak. - Zrób trzy otwory w zbiorniku z paliwem. Droga nie nadjeżdżały żadne pojazdy, więc Martin polecił dziewczynie, żeby zawiązała chusteczkę wokół kamienia i zamoczyła ją w paliwie. Kiedy trzy ciała znalazły się już w samochodzie, podpalił przesiąknięty benzyną skrawek materiału, po czym wrzucił go do powiększającej się kałuży.

- Szybko!

Nie potrzebowali zachęty, gdyż wszyscy już biegli ku zaparkowanemu za wydmy jeepowi. Tylko Beduin pamiętał o tym, żeby zabrać nabijaną gwoździami deskę. Kiedy on także znalazł się przy jeepie, rozległa się donośna eksplozja i przechylona na bok limuzyna stanęła w płomieniach.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Dwoje młodych ludzi siedziało z przodu, troje zaś z tyłu.

- Widzieliście? - zapytał wreszcie Martin. - Przyglądaliście się uważnie?

- Tak.

- I co myślicie?

*- To stało się tak... szybko - odezwała się Rana.

- A ja miałem wrażenie, że trwa okropnie długo - powiedział urzędnik.

- Wydawało ci się. Jak sądzicie, ile czasu spędziliśmy na drodze?

- Pół godziny?...

- Sześć minut. Czy byliście wstrząśnięci?

- Tak.

- To dobrze. Tylko na psychopatach nie robi to żadnego

wrażenia. Był kiedyś taki amerykański generał, Patton... Słyszeliście o nim?

- Nie.

- Powiedział, że jego zadanie nie polega na tym, żeby pomagać naszym żołnierzom ginać za ojczyznę, tylko na dopilnowaniu, żeby tamci zginęli za swoją. Rozumiecie?

Filozoficzne sentencje George'a Pattona nie dają się łatwo przełożyć na arabski, ale młodzi Kuwejtczycy chyba pojęli, co generał miał na myśli.

- Kiedy idziecie na wojnę, do pewnego momentu możecie siedzieć w ukryciu i nic nie robić, ale prędzej czy później następuje chwila, kiedy trzeba podjąć decyzję. Ktoś musi zginać: albo wy, albo oni. Chciałbym, żebyście podjęli tę decyzję już teraz. Możecie walczyć, ale możecie też spokojnie wrócić na studia i do pracy. Zastanawiali się przez kilka minut. Tym razem milczenie przerwała Rana.

- Będę walczyć, jeżeli pokażesz mi, jak mam to robić.

Chłopcom nie pozostało nic innego, jak pójść w ślady dziewczyny.

- Bardzo dobrze. Przynajmniej nauczę was, jak niszczyć

i zabijając, a jednocześnie samemu pozostać przy życiu. Za dwa dni spotkamy się o świcie w moim domu, gdy tylko skończy się godzina policyjna. Przynieście podręczniki – ty też, bankierze. Jeżeli was zatrzymają, zachowujcie się naturalnie. Jesteście studentami, którzy idą się uczyć. To zresztą jest prawda. Teraz się rozstaniemy. Wracajcie do miasta pojedynczo.

Kiedy dojechali do asfaltowej szosy, Martin przystanął przy stacji benzynowej w pobliżu skrzyżowania z obwodnicą, gdzie często zatrzymywały się ciężarówki, a kierowcy chętnie zabierali pasażerów. Następnie wrócił na pustynię, wydobył z ukrycia nadajnik, oddalił się na pięć kilometrów od kryjówki, rozłożył antenę satelitarną i nadał zaszyfrowaną wiadomość do Rijadu. Godzinę później wojskowy patrol natrafił na wypalony wrak limuzyny. Ciała zostały przewiezione do najbliższego szpitala, Al-Adan koło Fintas na wybrzeżu.

Anatomopatolog, przeprowadzający autopsję pod okiem sapiacego z wściekłości pułkownika Al-Aman al-Amm, bez trudu dostrzegł na zwęglonych zwłokach niewielkie otworki, które mogły być tylko śladami po kulach. Ponieważ jednak dobrze znał pielęgniarkę, zgwałconą przez irackich żołnierzy, a sam miał dwie córki mniej więcej w wieku tej dziewczyny, nakrył ciała prześcieradłami i zaczął ściągać gumowe rękawiczki.

– Obawiam się, że umarli z powodu braku tlenu, kiedy samochód po wypadku stanął w płomieniach – powiedział. – Niech Allah zlituje się nad ich duszami.

Pułkownik burknął coś pod nosem i wyszedł.

Podczas trzeciego spotkania z grupką ochotników Beduin wywiózł ich daleko na pustynię, na zachód od Al-Kuwajt i na południe od Dżahry, wiedział bowiem, że tu nikt im nie będzie przeszkadzał. Usadawiwszy się wygodnie niczym na pikniku, pięcioro młodych ludzi obserwowało, jak ich nauczyciel wyjmuje z worka i kładzie na kocu z wielbłądziej wełny mnóstwo tajemniczych przedmiotów. Zaraz potem zaczął im wyjaśniać, do czego służą.

– To jest semtex, rodzaj plastiku, materiał wybuchowy. Bardzo bezpieczny i łatwy w obsłudze.

Wszyscy nieco zbledli, kiedy zaczął ugniatać w rękach substancję przypominającą nieco plastelinę. Jeden z chłopców, którego ojciec prowadził sklep z tytoniem, na polecenie Beduina przywiózł sporo pustych pudełek po cygarach.

– To z kolei – ciągnął Martin – jest detonator połączony z zapalnikiem czasowym w kształcie długopisu. Po przekręceniu tej motylkowej śrubki, we wnętrzu długopisu zostaje zmiażdżona fiolka z kwasem, który zaczyna przeżerać cienką miedzianą osłonę. Trwa to dokładnie sześćdziesiąt sekund. Po upływie tego czasu piorunian rtęciowy powoduje eksplozję ładunku. Patrzcie.

Nic nie mogłoby odwrócić ich uwagi. Martin oderwał kęs semteksu wielkości paczki papierosów, umieścił go w pudełku po cygarach i wetknął w niego detonator.

– Teraz przekręcam tę śrubkę... o, tak... zamykam pudełko... i owijam je taśmą klejącą, żeby się nie otworzyło. Pamiętajcie jednak, żeby zabrać się do tego w ostatniej chwili. – Położył pudełko na piasku pośrodku składającego się z sześciu osób kręgu. – Sześćdziesiąt sekund to znacznie więcej, niż wam się wydaje. Aż nadto czasu, żeby podejść do irackiej ciężarówki albo transportera, wrzucić pudełko i spokojnie odejść. Odejść, nie uciekać. Biegający człowiek natychmiast zwraca na siebie uwagę. Gwarantuję wam, że zdążycie skręcić za najbliższy róg. Nie biegnijcie nawet wtedy, kiedy już usłyszycie eksplozję.

Kątem oka przez cały czas obserwował tarczę zegarka. Minęło trzydzieści sekund.

- Beduinie... - odezwał się niepewnie urzędnik bankowy.

- Tak?

- Ona chyba nie jest prawdziwa?

- Co?

- Bomba, którą właśnie zrobiłeś. To tylko atrapa, prawda? Czterdzieści pięć sekund. Mikę wziął do ręki pudełko po cygarach.

- Skądże znowu. Jest jak najbardziej prawdziwa. Po prostu chciałem wam pokazać, ile to naprawdę jest sześćdziesiąt sekund. Pamiętajcie, żeby nigdy nie dać się ogarnąć panice, bo wtedy czeka was pewna śmierć. Najważniejsze, żeby zawsze zachować spokój.

Cisnął pudełko za najbliższą wydmy. W chwilę później rozległ się wybuch, od którego zadrżała ziemia, a wiatr sypnął na siedzących drobnym piaskiem.

Krażący wysoko nad Zatoką amerykański samolot AWACS dostrzegł wybuch dzięki jednemu ze swych detektorów podczerwieni. Operator natychmiast zawiadomił o tym dowódcę misji, który nachylił się nad ekranem. Obłok ciepła po eksplozji zdażył się już prawie całkowicie rozproszyć.

- Jaka siła?

- Mniej więcej pocisku czołgowego, proszę pana.

- W porządku. Zanotujcie to. Nie podejmujemy żadnej akcji.

- Jeszcze dzisiaj nauczę was samodzielnie robić takie bomby - powiedział Beduin. - Teraz pokażę wam, w jaki sposób należy przenosić detonatory.

Otworzył aluminiowy pojemnik na cygaro, owinał detonator watą i wsadził go do tuby, po czym zakręcił ją starannie.

- A tak będziecie postępować z plastikiem.

Oderwał kawałek semteksu, ugniatał go przez chwilę, nadając mu kształt spłaszczonej kostki, następnie zawinał w opakowanie po mydle, zaklejając je po obu stronach taśmą samoprzylepną.

- Pudełka po cygarach musicie zdobyć na własną rękę. Nie te wielkie, po hawanach, tylko trochę mniejsze, od cheerotsów. W pudełku zawsze miejcie co najmniej dwa cygara na wypadek, gdyby was zatrzymano i przeszukano. Jeżeli żołnierze będą chcieli zabrać wam cygara, pudełko, pojemnik z detonatorem albo "mydło", nigdy się im nie sprzeciwiajcie.

Ćwiczyli w blasku słońca tak długo, aż wreszcie każde z nich potrafiło w ciągu niespełna trzydziestu sekund rozpakować "mydło", wyjąć cygara z pudełka, wepchnąć tam materiał wybuchowy, wetknąć detonator, przekręcić śrubę i owinać pudełko taśmą.

- Możecie to robić na tylnym siedzeniu samochodu, w publicznej toalecie, w bramie, anocą nawet za drzewem. Najpierw trzeba wybrać cel i upewnić się, czy gdzieś w pobliżu nie ma żołnierzy, którzy znajdą się poza zasięgiem eksplozji. Potem sprawa jest prosta: semtex do pudełka, detonator, śruba, taśma, spokojnie podejść, wrzucić albo wsunąć bombę i się oddalić. W chwili, kiedy uruchomicie detonator, zacznijcie powoli liczyć do pięćdziesięciu. Jeżeli przed upływem pięćdziesięciu sekund nie uda wam się pozbyć bomby, w pięćdziesiątej pierwszej rzućcie ją tak daleko od siebie, jak potraficie. Najczęściej będziecie działać w ciemnościach, więc teraz to właśnie przeci-

czymy. Wszyscy zawiązali sobie opaski na oczach, po czym zaczęli po omacku przygotowywać bomby. Początkowo radzili sobie nie-szczególnie, ale późnym popołudniem doszli już do sporej wprawy. Beduin rozdzielił wówczas między młodych ludzi pozostałą część zawartości plecaka; każdy otrzymał sześć detonatorów i tyle materiału wybuchowego, żeby zrobić z niego sześć "mydełek". Syn

właściciela sklepu tytoniowego obiecał dostarczyć wszystkim puste pudełka i aluminiowe pojemniki na cygara. Watę, papier do pakowania i taśmę samoprzylepną mieli zdobyć na własną rękę. Kiedy słońce schowało się za horyzontem, mała grupka wróciła do -miasta.

We wrześniu do kwatery głównej Al-Aman al-Amm w hotelu Hilton zaczęły napływać raporty o powtarzających się coraz częściej atakach na irackich żołnierzy i sprzęt wojskowy. I choć wściekłość pułkownika Sabawiego z dnia na dzień przybierała na sile, nie zmieniało to faktu, że był całkowicie bezradny.

Działo się coś dziwnego. Przecież mówiono mu, że Kuwejtczycy to tchórze, którzy nie stanowią żadnego zagrożenia. Wystarczy dać im posmakować starych, wypróbowanych metod, a będą cisi i pokorni jak baranki. Niestety, te przepowiednie jakoś nie chciały się sprawdzać.

Ruch oporu zaczął dawać znać o sobie niemal od razu po inwazji, choć w większości przypadków było to działanie chaotyczne i nieskoordynowane. W szyickiej dzielnicy Rumajsija iraccy żołnierze po prostu niktli bez wieści. Szyici z Kuwejtli mieli szczególnie dużo powodów, żeby nienawidzić Irakijczyków, gdyż podczas wojny iracko-irańskiej ich braci, szyitów z Iranu, masowo mordowano na wyraźny rozkaz Saddama Husajna. Żołnierze, którzy nierozważnie zapuścili się w labirynt wąskich uliczek Rumajsiji, ładowali w rysztołu z poderżniętymi gardłami, a potem ich ciała przepadały bez śladu.

Z kolei w dzielnicach sunnickich opór koncentrował się w meczetach, do których Irakijczycy zaglądali rzadko i niechętnie. Tam właśnie wymieniano informacje, gromadzono broń oraz planowano operacje.

Najlepiej zorganizowani byli kuwejtccy notable, ludzie wykształceni i bardzo zamożni. Al-Chalifa stał się głównym bankierem ruchu oporu, dostarczając żywność najbardziej potrzebującym, a broń tym, którzy wiedzieli, jaki zrobić z niej użytek. Ludziom, zdecydowanym podjąć działania przeciwko okupantom, przyświecało sześć głównych celów; realizacja pięciu z nich przybierała formę mniej lub bardziej zorganizowanego, biernego oporu. Po pierwsze: fałszowano dowody tożsamości; każdy członek ruchu oporu dysponował doskonale podrobionymi dokumentami na fałszywe nazwiska, dostarczonymi przez ludzi z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Po drugie: stale przekazywano do Kwatery Głównej sił koalicyjnych w Rijadzie wyczerpujące informacje na temat ruchów wojsk agresora, a szczególnie jego uzbrojenia, stanu osobowego oddziałów oraz fortyfikacji, które jak grzyby po deszczu zaczęły rosnać wzdłuż południowej granicy Kuwejtli. Po trzecie: zapewniano ciągłość działania wodociągów, elektrowni, służby zdrowia i straży pożarnej, oraz śledzono poczynania Irakijczyków w zajętych przez nich obiektach przemysłowych. Później, kiedy wycofujący się okupanci w ostatnim akcie bezsilnej zemsty podpalili szyby naftowe i zaczęli wylewać do Zatoki tysiące ton ropy, kuwejtccy inżynierowie byli w stanie powiedzieć Amerykanom, które stacje pomp należy zniszczyć z powietrza, aby nie dopuścić do zwiększenia się rozmiarów katastrofy.

Po czwarte: Komitety Solidarności Obywatelskiej zapewniały niezbędną opiekę Europejczykom oraz innym obywatelom Zachodu, którzy pozostali w ukryciu, dostarczając im żywność i wodę oraz troszcząc się, aby nie wpadli w ręce tajnej policji.

Wreszcie po piąte: z Arabii Saudyjskiej udało się przesznułować nadajnik łączności satelitarnej. Nie kodował on automatycznie wiadomości, ale dzięki temu, że znajdował się ciągle w ruchu, Kuwejtccy unikali namierzenia przez radionamierniki i kontaktowali się z Rijadem zawsze, kiedy istniała taka potrzeba. Przez

cały okres okupacji wysłano tą drogą ponad 7 000 depech. Działaniami ofensywnymi kierował pułkownik armii kuwejckiej, jeden z tych, którym pierwszego dnia inwazji udało się wydostać z budynku Ministerstwa Obrony Narodowej. Ponieważ miał syna Fu'ada, przybrał pseudonim Abu Fu'ad, czyli ojciec Fu'ada.

Saddam Husajn zrezygnował wreszcie z prób utworzenia mario-netkowego rządu i powołał na stanowisko gubernatora generalnego swego przyrodniego brata Ali Hasana Madżida.

Walka z okupantem nie ograniczała się do zabawy w kota i myszkę - to była brutalna wojna, prowadzona na niewielką skalę i bez rozgłosu, ale jednak wojna. Al-Aman al-Amm utworzył dwa obozy śledcze, jeden w Ośrodku Sportowym Kathma, drugi na stadionie Kadisijja. Stosowano w nich te same metody, którymi szef Al-Aman al-Amm Umar Chatib posługiwał się w więzieniu Abu Gharib na przedmieściach Bagdadu. Podczas okupacji w obu obozach straciło życie ponad 500 Kuwejtczyków, 250 z nich zostało rozstrzelanych, często po okrutnych torturach.

Hasan Rahmani, szef irackiego kontrwywiadu, siedział za biurkiem w hotelu Hilton i czytał raporty przygotowane przez miejscowy personel. Dzisiaj, 15 września, udało mu się na chwilę oderwać od obowiązków w Bagdadzie i przybyć na krótką inspekcję do Kuwejt. Treść dokumentów, które miał przed sobą, nie wprawiła go w zbyt dobry nastrój.

Notowano coraz częstsze ataki na irackie patrole, posterunki i samotne pojazdy. Właściwie była to działka Al-Aman al-Amm; tajna policja miała neutralizować miejscowy ruch oporu, ale ten brutalny debil Chatib spieprzył sprawę. Rahmani przewidywał, że może zdarzyć się coś takiego.

W przeciwieństwie do swego rywala z policji politycznej, szef kontrwywiadu nie uważał tortur za najlepszą metodę zdobywania informacji. Cenił cierpliwą pracę detektywistyczną, dedukcję i przebiegłość, ale nawet on zdawał sobie sprawę, że Saddam Husajn utrzymuje się przy władzy wyłącznie dzięki terrorowi. Musiał także przyznać, że ten szczywany psychopata z rysztołów Tikritu po prostu go przeraża.

Próbował przekonać prezydenta, aby przekazał mu zwierzchnictwo nad działalnością służb specjalnych w Kuwejcie, ale usłyszał w odpowiedzi stanowcze "nie". Chodziło o zasadę, jak wyjaśnił mu później minister spraw zagranicznych Tarik Aziz. On, Rahmani, miał chronić kraj przed szpiegostwem i sabotażem kierowanymi z zagranicy, a rais nigdy nie zgodziłby się przyznać, że Kuwejt jest "zagranicą". Kuwejt był, jest i już na zawsze pozostanie dziewiętnastą prowincją Iraku i dlatego porządku musiał tu pilnować Umar Chatib.

Siedząc tego ranka za biurkiem w hotelu Hilton i przeglądając stos raportów, Rahmani odczuwał nawet coś w rodzaju zadowolenia, ale ta wątpliwa przyjemność nie stała się jego udziałem. Cała operacja zaanektowania Kuwejtu zaczynała coraz bardziej przypominać koszmar, Saddam zaś rozgrywał partię w najgorszy z możliwych sposobów.

Użycie zachodnich zakładników jako żywych tarcz, które miały chronić przed atakami z powietrza, okazało się wielkim niewypałem. Prezydent nie wykorzystał też niepowtarzalnej szansy i nie zajął saudyjskich pól naftowych, co zmusiłoby króla Fahda do natychmiastowego podjęcia rokowań, a teraz do Arabii Saudyjskiej z każdym dniem przybywało coraz więcej Amerykanów.

Wysiłki zmierzające do pełnego zasymilowania Kuwejtu nie przynosiły żadnych rezultatów, a tymczasem należało się spodziewać, że najdalej za miesiąc, tuż za jego południową granicą robi się aż czarno od amerykańskich czołgów, transporterów opancerzonych

i działał samobieżnych.

Saddam znalazł się w pułapce: nie mógł wycofać się z Kuwejtu (gdyż w ten sposób ściągnąłby na siebie niesławę) ani też w nim pozostać, jeżeli zostanie zaatakowany, bo wtedy upokorzenie będzie jeszcze większe. Mimo to sprawiał wrażenie niezmiernie pewnego siebie, jakby wiedział, że zdarzy się coś, co odwróci niekorzystny bieg wydarzeń. Na co on liczy, do licha? Na to, że sam Attah podniesie rękę i zmiażdży niewiernych jednym uderzeniem pięści? Rahmani wstał zza biurka i podszedł do okna. Lubił się przechadzać, kiedy nad czymś rozmyślał, gdyż wówczas łatwiej mógł uporządkować myśli. Spojrzał w dół, na rozległy port; niegdyś zatłoczony i tętniący życiem, teraz przypominał opustoszałe złomowisko.

W raportach było coś, co nie dawało mu spokoju. Wrócił do biurka i ponownie przejrzał zadrukowane kartki. Tak, to właśnie to. Niektórych ataków dokonywano za pomocą krótkiej i długiej broni palnej, podczas innych używano przemysłowego trotylu, ale znaczną (i szybko rosnącą) część ponad wszelką wątpliwość przeprowadzono przy użyciu semteksu. W Kuwejcie do tej pory nie było ani grama tej substancji. W takim razie, kto z niej teraz korzysta i w jaki sposób ją zdobył? Oprócz tego ludzie z nasłuchu radiowego donosili o nadajniku, który wysyłał z pustyni zakodowane depesze. Nadajnik włączał się o różnych porach, zawsze w innym miejscu, przez dziesięć lub piętnaście minut emitował bezsensowny bełkot, po czym milkł, by następnym razem odezwać się na zupełnie innej częstotliwości.

Na biurku leżały także doniesienia o tajemniczym Beduinie, wędrującym po pustyni, który pojawiał się niespodziewanie w różnych miejscach, a następnie nikł bez śladu, pozostawiając po sobie śmierć i zniszczenie. Dwaj ciężko ranni żołnierze powiedzieli przed śmiercią, że jest wyjątkowo wysoki, porusza się pewnym krokiem, na głowie zaś ma czerwono-białą kufiję, która częściowo zasłania mu twarz.

Dwaj torturowani Kuwejtczykcy także wiedzieli o nieuchwytnym Beduinie, ale zaklinali się, że nigdy w życiu go nie spotkali. Ludzie Sabawiego właśnie w tej chwili starali się wydobyć z nich bardziej precyzyjne zeznania. Głupcy. Więźniowie będą wymyślać niestworzone rzeczy, żeby tylko przestano ich męczyć.

Im dłużej Hasan Rahmani zastanawiał się nad tą sprawą, tym większego nabierał przekonania, że ma do czynienia z obcym agentem. Trudno było mu uwierzyć w istnienie Beduina obeznanego z nowoczesnymi materiałami wybuchowymi i łącznością satelitarą - oczywiście zakładając, że i jednym, i drugim zajmował się ten sam człowiek. Naturalnie mógł wyszkolić kilku zamachowców, ale z raportów jednoznacznie wynikało, że wiele ataków przeprowadzał osobiście.

Wsadzenie do więzienia wszystkich Beduinów, jakich spotka się w mieście i na pustyni, miało się z celem; to znaczy, tajna policja zapewne postąpiłaby właśnie w ten sposób, po czym przez najbliższe sto lat wyrwaliby im paznokcie i przypiekali rozpalonym żelazem, nie uzyskując żadnych rezultatów.

Według Rahmaniego należało spróbować jednego z trzech sposobów: złapać Beduina podczas akcji, co było jednak ryzykowne, a przede wszystkim mało realne; wysledzić któregoś z jego współpracowników i nie spuszczać z oka, czekając, aż skontaktuje się z mózgiem przedsięwzięcia; zgarnąć Beduina wtedy, kiedy zacznie nadawać wiadomość z pustyni. "*"

Rahmani zdecydował się na to trzecie rozwiązanie. Sprowadzi z Iraku trzy najlepsze zespoły z radionamiernikami, ustawi je w odpowiednich miejscach i spróbuje zlokalizować usytuowanie nadajnika. Musi także mieć śmigłowiec, który będzie w każdej

chwili gotów do startu z oddziałem Sił Specjalnych na pokładzie. Tak, zaraz po powrocie do Bagdadu zajmie się przygotowaniem szczegółów operacji.

Hasan Rahmani nie był jedynym człowiekiem w Kuwejcie, który tego ranka myślał o tajemniczym Beduinie. W podmiejskiej willi wiele kilometrów od Hiltona przystojny, młody Kuwejczyk z czarnymi wąsami, ubrany w białą, powłóczystą szatę, siedział w fotelu i słuchał przyjaciela, który opowiadał mu o niezwykłym wydarzeniu.

- Zatrzymałem samochód na czerwonym świetle i gapiłem się przed siebie, kiedy nagle zauważyłem po drugiej stronie skrzyżowania iracką ciężarówkę. Stało przy niej kilku żołnierzy - niektórzy jedli, inni palili. W chwilę potem z kawiarni na rogu wyszedł młody chłopak. Trzymał w ręku coś, co z daleka wyglądało jak nieduże pudełko cygar. Pewnie nie zwróciłbym na niego uwagi, gdyby nie to, że nagle wrzucił to pudełko pod ciężarówkę, a następnie nie spiesząc się skręcił w najbliższą ulicę i zniknął mi z oczu.

Zapaliło się zielone światło, ale zanim zdążyłem ruszyć, ciężarówka wyleciała w powietrze. Powiadam ci, rozwaliło ją na kawałki. Z żołnierzy nawet nie było co zbierać. Nigdy bym nie przypuszczał, że taka mała paczuszka może narobić takich wielkich zniszczeń. Ma się rozumieć, czym prędzej zawróciłem i uciekłem stamtąd, zanim zjawili się ludzie z policji.

- Plastik - mruknął gospodarz, pułkownik kuwejckiej armii. - Cóż bym dał za choćby kilogram czegoś takiego! To był zapewne jeden z ludzi Beduina. Kim jest ten drań, do licha? Chciałbym go poznać.

- Abu Fu'ad, ja znam tego chłopaka.

- Co takiego?

Młody pułkownik wyprostował się w fotelu, wpatrując się z ożywieniem w twarz przyjaciela.

- Nie jechałbym taki kawał do ciebie tylko po to, żeby opowiedzieć ci o czymś, o czym i tak byś się dowiedział. Znam tego chłopca, bo od dziesięciu lat kupuję papierosy w sklepie jego ojca. Kiedy trzy dni później doktor Reinhart wystąpił w Londynie przed członkami Komitetu Meduza, sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Mimo że po powrocie do Porton Down odłożył na później wszystkie inne obowiązki, to przekopanie się przez dokumentację, którą otrzymał podczas pierwszego spotkania, a także przez napływające niemal bez chwili przerwy informacje uzupełniające, wymagało nie lada wysiłku.

- Obraz, jaki uzyskaliśmy, z pewnością nie jest jeszcze kompletny, ale bez większego trudu można dostrzec jego najistotniejsze zarysy - rozpoczął. - Przede wszystkim nie ulega żadnej wątpliwości, że Irak dysponuje potencjałem przemysłowym pozwalającym produkować znaczne ilości gazów bojowych. Zdolności wytwórcze oceniam na ponad tysiąc ton rocznie.

Podczas wojny iracko-irańskiej kilku irańskich żołnierzy, którzy ucierpieli w wyniku zastosowania gazów bojowych, trafiło na leczenie do Wielkiej Brytanii. Miałem okazję ich widzieć i bez trudu rozpoznałem ślady działania fosgenu oraz gazu musztardowego.

Co gorsza, nie ulega dla mnie żadnej wątpliwości, że Irak zdołał zgromadzić spore zapasy dwóch znacznie bardziej niebezpiecznych gazów, wynalezionych w Niemczech i działających paraliżująco na system nerwowy. Nazywają się sarin i tabun. Jeżeli ich także użyto podczas wojny z Iranem - a moim zdaniem tak właśnie się stało - to przyczyna, dla której żadna z ofiar nie trafiła do nas na leczenie jest taka, że wszystkie nie żyły.

- Jaką dawkę tych dwóch... eee... specyfików należy uznać

za śmiertelną? - zapytał sir Paul Spruce.

- Czy ma pan żonę, sir?

Elokwentny dygnitarz nie ukrywał zaskoczenia.

- Proszę? Owszem, tak. się składa, że mam.

- A czy lady Spruce posługuje się perfumami w aerozolu?

- Wydaje mi się, że tak.

- Czy zwrócił pan kiedyś uwagę, z jak drobnych kropelek składa się mgiełka, która wydobywa się z pojemnika z perfumami?

- Istotnie, a biorąc pod uwagę, ile one kosztowały, byłem z tego nawet zadowolony.

Był to dobry żart; w każdym razie, zdaniem jego autora.

- Otóż wystarczy, żeby z pańską skórą zetknęły się dwie takie kropelki sarinu albo tabunu, i jest pan martwy.

Tym razem nikt się nie uśmiechnął.

- Irak rozpoczął badania nad gazami paraliżującymi już w roku 1976. Wtedy właśnie rząd w Bagdadzie zaproponował brytyjskiej firmie ICI kontrakt na zbudowanie fabryki chemicznych środków ochrony roślin. Jednak po zapoznaniu się z projektem obiektu ICI odrzuciła ofertę, ponieważ dla zatrudnionych w firmie inżynierów było oczywiste, że w rzeczywistości w fabryce nie będą produkowane pestycydy, lecz gazy bojowe. Do podpisania kontraktu nie doszło.

- Dzięki Bogu - mruknął sir Paul, odnotowując tę informację.

- Niestety, nie wszyscy okazali się tacy dociekliwi - ciągnął były wiedeńczyk. - Znaleźli się tacy, którzy bezkrytycznie przyjęli wyjaśnienia, że po to, by rozwijać produkcję rolną, Irak musi produkować znaczne ilości herbicydów i pestycydów.

- A może naprawdę nie chodziło o nic więcej? - odezwał się Paxman.

- Niemożliwe - odparł Reinhart. - Doświadczony chemik bez trudu oceni to na podstawie rodzaju poszczególnych instalacji oraz ich planowanej zdolności produkcyjnej. W roku 1981 pewna niemiecka firma zbudowała i wyposażyła dość niezwykle laboratorium. Miało ono wytwarzać pięciochlorek fosforu, jedną z substancji używanych do produkcji gazów działających paraliżująco na system nerwowy. Żaden normalny instytut badawczy nie potrzebowałby tak ogromnych ilości śmiertelnie niebezpiecznej substancji. Specjaliści, którzy wyposażali to laboratorium, z pewnością zdawali sobie z tego sprawę.

Wśród wystawianych później zezwoleń eksportowych natrafiliśmy również na takie, które opiewały na tiodwuglikol. Po zmieszaniu z kwasem solnym uzyskujecie z niego gaz musztardowy, choć w mniejszych ilościach tiodwuglikolu używa się także do produkcji tuszu do wkładów długopisowych.

- Ile go kupili? - zapytał Sinclair.

- Pięćset ton.

- Widocznie wypisały im się naraz wszystkie długopisy - mruknął Paxman.

- Było to na początku roku 1983 - ciągnął Reinhart. - Latem tego samego roku uruchomili wielką fabrykę w Samarze, produkującą iperyt, czyli gaz musztardowy. W grudniu po raz pierwszy użyli go przeciwko Irańczykom.

Ponieważ jednak nadal cofali się przed naporem nieprzyjaciela, zaczęli stosować mieszkę składającą się z fosforu, iperytu i tabunu, w 1985 zaś przerzucili się na nową, w której skład wchodziły cyjanowodór, gaz musztardowy, tabun i sarin. Śmiertelność wśród zaatakowanych tą miksturą oddziałów irańskiej piechoty dochodziła do 60 procent.

- Czy możemy jednak skoncentrować się na gazach oddziałujących na system nerwowy? - wtrącił Sinclair. - Wydaje mi się,

że one właśnie są najbardziej niebezpieczne.

- I słusznie - odparł doktor Reinhart. - Od roku 1984 na liście najbardziej poszukiwanych przez Irak substancji chemicznych znajdują się tlenochlorek fosforu - niezbędny przy wytwarzaniu tabunu - oraz dwa związki używane w procesie produkcyjnym sarinu: fosforyn trójmetylu i fluorek potasu. 250 ton pierwszego z nich próbowali kupić od pewnej holenderskiej firmy. Gdyby z tej ilości wyprodukowano pestycydy, wystarczyłoby ich do zniszczenia wszystkich roślin, z trawą włącznie, na całym Bliskim Wschodzie. Holendrzy, podobnie jak ICI, odmówili podpisania kontraktu, ale Bagdad i tak zdołał w tym samym czasie nabyć dwie inne substancje, nie objęte żadną kontrolą: dwumetyloaminę do produkcji tabunu oraz izopropanol do wytwarzania sarinu.

- Może istotnie zostały wykorzystane do produkowania pestycydów? - zapytał sir Paul.

- Byłoby to nawet prawdopodobne, gdyby nie ilość tych substancji, a także specjalne wyposażenie, które znalazło się w fabrykach. Każdy średnio doświadczony chemik musiał mieć pełną świadomość, co będzie z nich wytwarzane.

- Czy wie pan, doktorze, kto został głównym kontrahentem Iraku w okresie, który objęły pańskie badania?

- Oczywiście. Początkowo Bagdad otrzymywał fachową pomoc ze Związku Radzieckiego i NRD, dostawy zaś napływały w sumie z ośmiu państw, ale co najmniej 80 procent planów, sprzętu, środków chemicznych i technologii pochodziło z Niemiec Zachodnich.

- Od lat wysyłamy do Bonn protesty, a oni robią sobie z nich papier toaletowy! - warknął Sinclair. - Doktorze, czy na tych zdjęciach, które pan od nas dostał, jest pan w stanie zidentyfikować fabryki gazów bojowych?

- Naturalnie. Niektóre z nich są wymienione w dokumentach, innym wystarczy przyjrzeć się przez szkło powiększające. - Chemik położył na stole pięć dużych zdjęć lotniczych. - Nie znam arabskich nazw, ale przypuszczam, że wystarczą panom te numery, które znajdują się na odbitkach?

- Jasne. Pan ma tylko wskazać fabryki - odparł Sinclair.

- Tutaj, ten kompleks składający się z siedemnastu budynków... Ta duża budowla - widzicie panowie płuczkę gazową?... Ten zespół ośmiu hal... I jeszcze to.

Sinclair sprawdzał każdą pozycję na liście, którą wyjął z teczki. Kiedy Reinhart skończył, Amerykanin skinął ponuro głową.

- Tak jak myśleliśmy. Al-Guwajr, Falludża, Al-Hilla, Salman Pak i Samarra. Doktorze, odwalił pan kawał dobrej roboty. Nasi chłopcy w Stanach wytypowali te same cele. Wszystkie zostaną zniszczone w pierwszej kolejności.

Po spotkaniu Sinclair, Simon Paxman i Terry Martin przeszli spacerkiem na Piccadilly i wstąpili na kawę do Richoux.

- Nie wiem, jak tam jest z wami, ale my najbardziej obawiamy się ataku gazowego - powiedział Sinclair, mieszając cappuccino. - Generał Schwarzkopf polecił dowódcom przygotować oddziały do tego, co nazwał koszmarnym scenariuszem. Wszyscy żołnierze będą wyposażeni w maski i specjalne kombinezony chroniące całe ciało. Na szczęście gazy bojowe po zetknięciu z powietrzem szybko tracą aktywność... Masz jakąś dziwną minę, Terry.

- Bo zastanawiam się, w jaki sposób Saddam chce przeprowadzić atak gazowy - odparł arabista.

Sinclair wzruszył ramionami.

- Przypuszczam, że za pomocą artylerii, tak jak to robił podczas wojny z Iranem.

- Ale przecież najlepsze działa mają zasięg do 30 kilometrów,

a wy na pewno postaracie się zniszczyć je podczas pierwszej fali nalotów.

- Zgadza się - odparł Amerykanin. - Satelity pozwalają wykryć każdy czołg i każdą armatę, bez względu na to, jak będą zakamuflowane.

- W takim razie, jeśli zostanie bez artylerii, to co zrobi?

- Użyje myśliwców bombardujących.

- Ale je też zniszczycie w pierwszej fazie działań wojennych - przypomniał mu Martin. - Ani jedna maszyna nie będzie zdolna wzbić się w powietrze.

- Więc pewnie spróbuje scudów, albo czegoś w tym rodzaju, ale te również zniszczymy jeden po drugim. Przykro mi, chłopcy, muszę już pędzić.

- Do czego zmierzasz, Terry? - zapytał Paxman, kiedy funkcjonariusz CIA wyszedł z lokalu.

Terry Martin westchnął głęboko.

- Szczerze mówiąc, nie wiem. Chodzi mi tylko o to, że Saddam i jego generałowie doskonale zdają sobie sprawę z tego, o czym mówiłem. Na pewno nie łudzą się, że zdołają wygrać z Amerykanami w powietrzu. Simon, czy możesz dostarczyć mi wszystkie przemówienia Saddama, jakie wygłosił w ciągu ostatnich sześciu miesięcy? Koniecznie w oryginale.

- Nie powinno być z tym żadnego problemu. Na pewno mają je w Cheltenham, a jeśli nie, to sprawdzimy w Sekcji Arabskiej BBC. Taśmy, czy stenogramy?

- Taśmy, jeśli możliwe.

Przez trzy dni Terry Martin wsłuchiwał się w buńczuczne, nadęte przemówienia dyktatora z Bagdadu. Przez cały czas nie mógł uwolnić się od niepokojącego wrażenia, że iracki despota wcale nie zachowuje się jak człowiek, który wpadł w poważne tarapaty. Mogły istnieć dwa wytłumaczenia tego faktu: albo nie zdawał sobie sprawy, w jak beznadziejnym znalazł się położeniu, albo w zanadrzu miał coś, o czym nie wiedzieli jego wrogowie.

21 września wygłosił kolejną mowę, a raczej oświadczenie.

Stwierdził w nim stanowczo, że Irak w żadnym wypadku nie wycofa się z Kuwejtu, a wszelkie próby zmuszenia go do tego siłą doprowadzą do "Matki Wszystkich Bitew".

W każdym razie, tak właśnie zostało to przetłumaczone. Prasa, radio i telewizja natychmiast podchwyciły to określenie i powtarzały je w nieskończoność.

Doktor Martin jeszcze raz uważnie przesłuchał taśmę, po czym zadzwonił do Simona Paxmana.

- Kiedyś badałem dialekty plemion zamieszkujących górna część doliny Tygrysu - zaczął.

- Mój Boże, co za hobby! - odparł Paxman.

- Chodzi o to wyrażenie, którego użył: "Matka Wszystkich Bitew".

- Co z nim?

- Słowo, które przetłumaczono jako "bitwa", oznacza też "krwawą łaźnię" albo "pogrom".

Na drugim końcu linii zapadła cisza.

- Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym aż tak bardzo - powiedział wreszcie Paxman.

Terry Martin nie potrafił jednak zastosować się do tej rady.

Rozdział siódmy

Właściciel sklepu z tytoniem był równie przerażony jak jego syn.

- Na litość boską, powiedz im wszystko, co wiesz! - błagał rozpaczliwie.

Dwaj ludzie z kuwejckiego ruchu oporu bardzo uprzejmie,

niemniej jednak stanowczo zażądali, aby chłopak podzielił się z nimi tym co wiedział, niczego nie przemilczając ani nie pomijając. Mimo że sklepikarz zdawał sobie doskonale sprawę, iż żaden z gości nie przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem, to jednak nie ulegało wątpliwości, że są blisko powiązani z potężnymi i wpływowymi osobami. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że jego syn wplątał się w bardzo ryzykowną i niebezpieczną grę. Najbardziej przerażająca w tym wszystkim była jednak świadomość, że jego potomek nie współpracował z dzielnymi rodakami, walczącymi o wolność ojczyzny, lecz wrzucał bomby pod ciężarówkę na rozkaz jakiegoś zagranicznego bandyty, o którym nikt wcześniej nie słyszał. Zwalilo się na niego tyle przykrości jednocześnie, że każdy kochający ojciec miał święte prawo dostać ataku serca.

Siedzieli we czwórce w salonie wygodnie urządzonego domu sklepikarza. Jeden z gości cierpliwie wyjaśniał po raz kolejny, że ruch oporu nie ma nic przeciwko tajemniczemu Beduinowi, lecz chciałby skontaktować się z nim, by nawiązać współpracę. Chłopiec wreszcie ugiął się i opowiedział o wszystkim, co zdarzyło się po brzemiennej w skutki chwili, kiedy jego przyjaciel został obezwładniony za przymą żwiru, gdzie zaczął się po to, by ostrzelać iracką ciężarówkę. Mężczyźni słuchali go w milczeniu, tylko jeden z nich od czasu do czasu rzucał jakieś pytanie. Tym, który nie odezwał się ani słowem, wpatrując się w chłopca zza ciemnych okularów, był Abu Fu'ad.

Okazało się, że gości najbardziej interesuje dom, gdzie grupa młodych ludzi spotykała się z Beduinem. Chłopiec podał dokładny adres, po czym dorzucił:

- Nie wydaje mi się, żebyście mieli po co tam iść. On jest nieprawdopodobnie czujny. Jeden z nas zajrzał tam kiedyś, żeby z nim porozmawiać, ale zastał drzwi zamknięte. Na pewno tam nie mieszka, a mimo to wiedział, że przyszedliśmy, i strasznie się rozzłościł. Powiedział, że jeżeli coś takiego zdarzy się raz jeszcze, zerwie z nami kontakt i nigdy już się nie pojawi.

Abu Fu'ad z aprobatą skinął głową. W tym gronie tylko on był zawodowym żołnierzem i bez trudu zorientował się, że ma do czynienia z doskonale wyszkolonym fachowcem.

- Kiedy macie teraz się z nim spotkać? - zapytał cicho, przerywając milczenie.

Chłopiec mógł odegrać rolę posłańca i przekazać Beduinowi zaproszenie do negocjacji.

- Kiedy uzna za stosowne, kontaktuje się z jednym z nas, a ten zawiadamia pozostałych. Nie wiem, kiedy teraz to może nastąpić.

Członkowie ruchu oporu uzyskali jedynie numery rejestracyjne i dokładne opisy dwóch pojazdów: poobijanej furgonetki, takiej samej jakich setki przywoziły codziennie na targ owoce i warzywa z podmiejskich plantacji, oraz terenowego samochodu z napędem na cztery koła, służącego do wypraw na pustynię.

Abu Fu'ad poprosił pracującego w Ministerstwie Transportu przyjaciela o sprawdzenie numerów, ale bez rezultatu; oba numery były fałszywe. Pozostała jeszcze tylko jedna szansa na zidentyfikowanie nieuchwytnego Beduina: poprzez dokumenty, które musiał zdobyć, aby nie mieć kłopotów podczas ustawicznych kontroli drogowych na rogatkach i posterunkach rozstawionych na ulicach miasta.

Tym razem Abu Fu'adowi dopisało szczęście. Jeden z jego ludzi* zatrudniony w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, przypomniał sobie, że przed sześciu tygodniami wystawiał fałszywy dowód tożsamości jakiemuś ogrodnikowi z Dżahry. O tę przysługę poprosił go Ahmad al-Chalifa.

Abu Fu'ad był zarazem uradowany i zaintrygowany. Zamożny kupiec cieszył się wielkim poważaniem w ruchu oporu, ale wszyscy przypuszczali, że zajmuje się wyłącznie finansami, nie uczestnicząc bezpośrednio w przygotowywaniu operacji zbrojnych. Jak więc mogło dojść do tego, że współdziałał z tajemniczym i śmiertelnie niebezpiecznym Beduinem?

Na południe od granicy Kuwejtu z Arabią Saudyjską amerykańskie wojska ekspedycyjne z każdym dniem nabierały coraz większej wartości bojowej. Generał Norman Schwarzkopf, urzędujący w tajnych pomieszczeniach dwa piętra pod budynkiem saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa przy Old Airport Road w Rijadzie, u schyłku września mógł wreszcie odetchnąć z ulgą, gdyż wiedział, że dysponuje już wystarczającą siłą, aby obronić Saudyjczyków przed ewentualnym irackim atakiem.

Generał Charles "Chuck" Horner rozpiął w powietrzu stalowy parasol, na który składały się przemierzające niestrudzenie niebo znakomite myśliwce i myśliwce bombardujące, latające cysterny, ciężkie bombowce oraz skonstruowane specjalnie z myślą o niszczeniu czołgów thunderbolty. Było tego dosyć, żeby odeprzeć atak Irakijczyków zarówno na ziemi, jak i w powietrzu.

Najnowsze radary obejmowały swym zasięgiem całe terytorium Iraku, zdolne wykryć najmniejszy kawałek metalu poruszający się po drogach, przemierzający pustynię lub usiłujący wzbić się w powietrze. Inne, równie zaawansowane technicznie urządzenia, dawały możliwość przechwycenia każdej prowadzonej drogą radiową rozmowy oraz zlokalizowania nawet niewielkiego źródła promieniowania cieplnego.

Jeżeli chodzi o siły lądowe, to Norman Schwarzkopf miał teraz pewność, że będzie w stanie powstrzymać każdy atak.

W tym samym czasie, to znaczy u schyłku września, w ścisłej tajemnicy – nie poinformowano o tym nawet najbliższych sprzymierzeńców – Amerykanie zaczęli przygotowywać plany operacji ofensywnej. Szykowali się do ataku na Irak, mimo iż obowiązujące wówczas uchwały Organizacji Narodów Zjednoczonych uprawniały ich jedynie do zapewnienia ochrony Arabii Saudyjskiej oraz pozostałym państwom położonym nad Zatoką Perską, i do niczego więcej.

Jednak generał Schwarzkopf miał także problemy. Jednym z nich był fakt, że w ciągu sześciu tygodni Irakijczykom udało się podwoić liczebność wojsk zgromadzonych w pobliżu granicy Kuwejtu z Arabią Saudyjską, drugim zaś, że po to, by wyzwolić Kuwejt, on sam potrzebował dwukrotnie większych sił niż te, jakie wystarczyły do zapewnienia bezpieczeństwa Arabii Saudyjskiej. Norman Schwarzkopf wziął sobie mocno do serca sentencję George'a Pattona: za wszelką cenę należało unikać strat wśród żołnierzy koalicji. Zanim wyda rozkaz do ataku, musi podwoić liczebność oddziałów, którymi dowodzi, oraz dostać gwarancję, że zmasowane uderzenie powietrzne zmniejszy co najmniej o 50 procent wartość bojową wojsk irackich, które zgromadziły się na północ od granicy.

Oznaczało to, że potrzeba więcej czasu, sprzętu, wyposażenia, dział, czołgów, samolotów, paliwa, żywności, a przede wszystkim – więcej pieniędzy. Nie omieszkał poinformować o tym osłupiałych Napoleonów z Kongresu, a następnie powiedział im, za pośrednictwem Colina Powella, że jeśli chcą zwycięstwa, to muszą mu to wszystko dać.

Politycy uwielbiają bawić się w żołnierzy, ale natychmiast obrażają się, jeśli ktoś przemówi do nich żołnierskim językiem, toteż przewodniczący Kolegium Szefów Sztabów, generał Colin Powell, przekazał im tę wiadomość w znacznie delikatniejszy sposób. Tak więc plany, które przygotowywano pod koniec września,

były otoczone ścisłą tajemnicą. Całe szczęście, że prace nad nimi zaczęto tak wcześnie, gdyż Organizacja Narodów Zjednoczonych, o mało co nie udusiwszy się pod stertą przygotowywanych z niesłychaną gorliwością planów pokojowych, dopiero 29 listopada wyraziła zgodę na użycie sił zbrojnych w celu wyparcia Iraku z Kuwejtu, wyznaczając termin upływu ultimatum na 16 stycznia. Gdyby operacja Pustynna Burza zaczęła rodzić się pod koniec listopada, z pewnością nie udałooby się zdażyć z nią na czas. Ahmad al-Chalifa był ogromnie zakłopotany. Naturalnie wiedział, kim jest Abu Fu'ad i jaką pełni funkcję w ruchu oporu, a w dodatku uważał jego żądanie za jak najbardziej uzasadnione, ale wcześniej dał słowo i nie mógł teraz go odwołać. Nie wyjawiał więc rodakowi, iż rzekomy Beduin jest w rzeczywistości brytyjskim oficerem, ale zgodził się zostawić mu wiadomość w miejscu, które zostało wyznaczone jako skrzynka kontaktowa.

Następnego ranka udał się na cmentarz chrześcijański z napisanym własnoręcznie listem, w którym namawiał Beduina, aby zgodził się spotkać z Abu Fu'adem, i włożył go pod obłuzowaną marmurową płytę w nagrobku Able'a Sheptona.

Oddział składał się z pięciu szeregowców i dowodzącego nimi sierżanta. Beduin zauważył ich dopiero wtedy, kiedy wyszedł z za rogu. Spotkanie było równie zaskakujące dla obu stron.

Mikę Martin wstawił furgonetkę do garażu i właśnie zmierzał na piechotę do willi, w której miał zamiar spędzić tę noc. Czuł się wyjątkowo zmęczony, toteż pozwolił sobie na chwilę dekoncentracji. Kiedy zobaczył Irakijczyków i zorientował się, że oni też go zauważyli, było już za późno. W myślach obrzucał się najgorszymi wyzwiskami; w tym fachu nawet sekunda nieuwagi może czasem kosztować życie.

Godzina policyjna zaczęła się już dawno temu. Do tej pory Martin niewiele sobie z niej robił, gdyż opanował metodę, która pozwalała mu bez najmniejszych problemów wracać do domu z coraz częstszych nocnych eskapad. Po prostu zawsze starał się poruszać słabo oświetlonymi, bocznymi uliczkami i zaułkami, wiedząc, że prawie na pewno nie spotka tam irackich patroli, które – szczególnie nocą – nie opuszczały głównych arterii komunikacyjnych i największych skrzyżowań.

Jednak po tym, jak Hasan Rahmani wrócił do Bagdadu i złożył raport o nieudolności Armii Ludowej, zaszły pewne zmiany. Na ulicach pojawiły się zielone berety Sił Specjalnych.

Choć nie dorównywali pod żadnym względem elitarnym oddziałom Gwardii Republikańskiej, ludzie z Zielonych Beretów byli podobnie znacznie bardziej zdyscyplinowani od zbieraniny poborowych zwanej Armią Ludową. Właśnie sześciu żołnierzy tej formacji stało obok wojskowej ciężarówki na skrzyżowaniu, gdzie nie powinien pojawić się żaden Irakijczyk.

Martin miał tylko tyle czasu, żeby oprzeć się mocno na kiju, który niósł w rękę, i przybrać postawę starego człowieka. Był to dobry kamuflaż, gdyż Arabowie niemal zawsze okazują starcom szacunek, a przynajmniej współczucie.

– Ej, ty! – zawołał sierżant. – Chodź no tutaj!

Lufy czterech karabinów skierowały się na samotną, zgarbioną postać w kraciastej kufiji. Starzec przystanął na chwilę, a potem podreptał ku żołnierzom.

– Co tu robisz o tej porze, Beduinie?

– Jestem starym człowiekiem, sajjidi, który stara się ze wszystkich sił zdażyć do domu przed godziną policyjną! – odparł Martin płaczącym tonem.

– No to spóźniłeś się już o dwie godziny, głupcze!

Staruszek potrząsnął bezradnie głową.

- Nie wiedziałem o tym, sajjidi. Nie mam zegarka.

Na Bliskim Wschodzie zegarki nie są przedmiotami codziennego użytku, stanowiąc raczej symbol zamożności. Iraccy żołnierze mieli zegarki, ale tylko dlatego, że zaraz po przybyciu do Kuwejtu zarekwirowali je lub po prostu ukradli. Martin podał całkiem prawdopodobną wymówkę, gdyż Beduini znani są z ubóstwa.

- Dokumenty! - warknął sierżant.

Starzec zaczął grzebać wolną ręką w fałdach brudnego ubrania.

- Chyba je zgubiłem... - zajęczał.

- Przeszukać go - polecił sierżant.

Jeden z żołnierzy postąpił krok naprzód. Martin nagle odniósł wrażenie, że ręczny granat, który zawiesił pod ubraniem od wewnętrznej strony uda, waży tyle co jeden z arbuzów wypełniających skrzynie ładunkową jego furgonetki.

- Nie waż się dotykać moich jąder! - powiedział piskliwym głosem. Żołnierz zatrzymał się, a jego koledzy parsknęli śmiechem. Tylko sierżant zdołał zachować powagę.

- Dalej, Zuhajr! Przeszukaj go - powtórzył.

Zuhajr zawahał się, zdając sobie sprawę, że łatwo może wyjść na durnia.

- Tylko mojej żonie wolno dotykać moich jąder - oświadczył stanowczo starzec.

Dwaj żołnierze opuścili karabiny, a-w chwilę po tym uczyniło to także dwóch pozostałych. Zuhajr nadal nie wiedział, co robić.

- Co prawda niewielki ma z tego pożytek, bo jestem za stary na te rzeczy - dodał Beduin. "

Tego było już za wiele; cały patrol, łącznie z sierżantem, ryknął śmiechem.

- Dobra, staruszk. Zmykaj stąd. Tylko pamiętaj, żebyś więcej nie szwendał się po nocy.

Beduin dokuśtykał do przecznicy, po czym odwrócił się w stronę żołnierzy. W chwilę potem rozległ się odgłos, jakby jakiś metalowy przedmiot toczył się po jezdni, i nagle obok czubka prawego buta Zuhajra znieruchomiał odbezpieczony granat. Cała szóstka wybałuszyła na niego oczy; zanim ktokolwiek zdążył wykonać jakiś ruch, granat eksplodował z donośnym hukiem.

W ten sposób zakończył się ostatni dzień września 1990 roku.

Tej samej nocy, daleko od Kuwejtu, bo aż w Tel-Awiwie, generał Jaakow "Kobi" Dror siedział w swoim gabinecie w budynku Hadar Dafna, racząc się piwem w towarzystwie starego przyjaciela i kolegi, Szlomo Gerszona, zwanego przez wszystkich po prostu Sami.

Sami Gerszon był szefem Wydziału Operacyjnego, czyli komórki Mosadu odpowiedzialnej za prowadzenie "nielegalnych" agentów. Jest to najbardziej niebezpieczna dziedzina działalności szpiegowskiej. Sami uczestniczył w rozmowie Drora z dwoma Amerykanami, podczas której dyrektor izraelskiego wywiadu okłamał Chipa Barbera.

- Naprawdę nie wydaje ci się, że jednak powinienes powiedzieć im prawdę? - zapytał ponownie, gdyż rozmowa po raz kolejny zбочyła na ten temat.

Dror pociągnął spory łyk z butelki.

- Pieprzę ich! - warknął. - Niech sami rekrutują sobie agentów.

Wiosną 1967 roku jako kilkunastoletni żołnierz kulił się na pustyni w cieniu czołgu, podczas gdy cztery arabskie państwa szykowały się do decydującej rozprawy z Izraelem. Do dziś nie mógł zapomnieć, że reakcja świata ograniczyła się do ostrożnego grożenia palcem.

Jego dowodzony przez dwudziestolatka czołg był jednym z tych,

które przedarły się przez Przełęcz Mitla i zmusiły armię egipską do ucieczki za Kanał Sueski. Kiedy w trwającej sześć dni wojnie Izrael rozprawił się z czterema armiami, te same zachodnie środki masowego przekazu, które w maju przewidywały, że jego kraj lada chwila zniknie z mapy Bliskiego Wschodu, zaczęły oskarżać Izrael o hegemonistyczne zapędy.

Wtedy właśnie ukształtowała się filozofia życiowa Kobi Drora: pieprzyć ich wszystkich. Był sabrą, urodzonym i wychowanym w Izraelu, i z pewnością nie dysponował umiejętnością spoglądania na wydarzenia z szerszej perspektywy, charakterystyczną dla ludzi w rodzaju Elawida Ben Guriona. Związał się z prawicową partią Likud, do której należeli także Menachem Begin oraz Icchak Szamir.

Kiedyś, wizytując zajęcia zorganizowane dla rekrutów, usłyszał, jak wykładowca użył wyrażenia "zaprzyjaźnione agencje wywiadowcze". Wstał wówczas z miejsca, przeszedł na przód sali, i powiedział:

– Izrael nie ma przyjaciół, może z wyjątkiem Żydów rozproszonych po wszystkich kontynentach. Świat dzieli się na naszych wrogów oraz ludzi nam obojętnych. Macie brać od nich wszystko, niczego nie dając w zamian. Uśmiechajcie się, poklepujcie po plecach, pijcie z nimi, prawcie im komplementy, dziękujcie za rady, ale niczego im nie mówcie.

– Miejmy nadzieję, że nigdy się o tym nie dowiedzą – powiedział Gerszon.

– A w jaki sposób mieliby się dowiedzieć? Przecież do tajemnicy jest dopuszczonych tylko ośmiu ludzi, a wszyscy są tu, w Biurze. Prawdopodobnie stało się to za sprawą wypitego piwa, ale generał Dror zapomniał o kimś.

Wiosną 1988 roku brytyjski biznesmen Stuart Harris uczestniczył w targach przemysłowych w Bagdadzie. Pełnił wówczas funkcję szefa działu sprzedaży pewnej firmy z Nottingham, zajmującej się produkcją maszyn drogowych. Targi odbywały się pod patronatem irackiego Ministerstwa Transportu. Jak większość gości z Zachodu, Harris został zakwaterowany w hotelu Raszid przy ulicy Jafy, zbudowanym głównie z myślą o cudzoziemcach i znajdującym się pod ścisłym nadzorem.

Trzeciego dnia targów po powrocie do pokoju Harris zastał na podłodze kopertę, którą ktoś musiał wepchnąć przez szparę pod drzwiami. Zamiast adresu znajdował się na niej numer pokoju. Numer się zgadzał.

Koperta zawierała pojedynczą kartkę oraz jeszcze jedną kopertę, tym razem lotniczą. Na kartce ktoś napisał po angielsku drukowanymi literami: PO PRZYJEŹDZIE DO LONDYNU PROSZĘ PRZEKAZAĆ NIE ROZPIECZĘTOWANĄ KOPERTE AMBASADZIE IZRAELA W WIELKIEJ BRYTANII.

I nic więcej. Stuart Harris był śmiertelnie przerażony, gdyż doskonale wiedział, jaką reputacją cieszy się iracka tajna policja. Zawartość lotniczej koperty mogła sprowadzić na niego aresztowanie, tortury, a nawet śmierć.

Na jego korzyść przemawia fakt, że nie wpadł w panikę, tylko zaczął poszukiwać najlepszego sposobu wyjścia z sytuacji. Przede wszystkim, dlaczego wybrano właśnie jego? Przecież w Bagdadzie aż roiło się od angielskich inżynierów. Dlaczego właśnie Stuart Harris? Przecież nikt nie mógł wiedzieć, że miał żydowskie pochodzenie i że jego ojciec w 1935 roku przybył z Niemiec do Wielkiej Brytanii jako Samuel Horowitz.

Choć on sam nigdy się o tym nie dowiedział, dwa dni wcześniej w stołówce na terenach wystawienniczych spotkali się dwaj urzędnicy irackiego Ministerstwa Transportu. Jeden z nich opowiadał koledze o swojej ubiegłorocznej wizycie w Nottingham

i o tym, że Harris był jego przewodnikiem przez dwa dni, by niespodziewanie zniknąć na trzeci i ponownie zjawić się czwartego. Gość z Iraku zapytał wówczas organizatorów, czy pan Harris rozchorował się, na co otrzymał odpowiedź, że nie, tylko otrzymał jednodniowe zwolnienie, by uczestniczyć w obchodach święta Jom Kipur.

Dwaj Irakijczycy roześmiali się i zaraz potem zapomnieli o sprawie, w przeciwieństwie do człowieka, siedzącego przy sąsiednim stoliku i słyszającego ich rozmowę. Człowiek ów powtórzył jej treść swemu zwierzchnikowi, ten zaś pozornie nie wykazał większego zainteresowania, potem jednak dyskretnie sprawdził, w którym pokoju w hotelu Rashid zatrzymał się pan Stuart Harris z Nottingham.

Harris siedział na łóżku i zastanawiał się, co robić. Nawet jeżeli anonimowy nadawca listu odkrył jego żydowskie pochodzenie, to z pewnością nie wiedział o innej sprawie: o tym, że przedziwnym zbiegiem okoliczności Stuart Harris był sayanem.

Izraelski Instytut Wywiadu i Operacji Specjalnych, założony w roku 1951 na osobiste polecenie Ben Guriona, znany jest powszechnie jako Mosad, co po hebrajsku znaczy właśnie "instytut". W jego murach jednak używa się wyłącznie nazwy "Biuro". Z całą pewnością jest to najmniejsza, ale za to jedna z najlepszych agencji wywiadowczych na świecie. Tylko w kwaterze głównej CIA w Langley pracuje 25000 ludzi, zaś Pierwszy Dyrektoriat KGB, zajmujący się (podobnie jak CIA i Mosad) działalnością wywiadowczą, u szczytu swej potęgi zatrudniał 15000 oficerów, z czego 3000 na stałe przebywało w jego siedzibie w Jażeniewie.

W Mosadzie pracuje od 1200 do 1500 ludzi, w tym zaledwie około czterdziestu oficerów operacyjnych, zwanych katsami. To, że mimo niewielkiego budżetu i nielicznego personelu Mosad prowadzi skuteczną działalność, wynika z dwóch czynników: pierwszym jest niczym nie ograniczona możliwość infiltrowania izraelskiej społeczności, zadziwiająco kosmopolitycznej i różnorodnej, drugim zaś korzystanie z międzynarodowej sieci pomocników, zwanych po hebrajsku sayanami. Są to rozproszeni po całym świecie Żydzi (Żydami musieli być oboje rodzice), którzy, choć lojalni wobec kraju zamieszkania, sympatyzują z państwem Izrael.

W samym Londynie jest ich około 2000, kolejnych 5000 w całej Wielkiej Brytanii, .dziesięć razy więcej w USA. Nigdy nie wciąga ich się do akcji, tylko prosi o przysługę, gwarantując przy tym, że pomoc, jakiej udziela, w żaden sposób nie zaszkodzi ich przybranej ojczyźnie. Nie może być mowy o jakichkolwiek konfliktach sumienia. Dzięki tym ludziom koszty operacyjne maleją nieraz nawet dziesięciokrotnie.

Oto przykład: agenci Mosadu przybywają do Londynu, aby przeprowadzić operację przeciwko grupie palestyńskich terrorystów. Potrzebują samochodu. Proszą więc sayana handlującego używanymi pojazdami o pozostawienie w umówionym miejscu niczym nie wyróżniającego się samochodu z kluczykami pod dywanikiem. Natychmiast po akcji samochód wraca do handlarza, który nawet nie wie, jakiemu celowi służyło jego auto, a w razie śledztwa w dokumentach widnieje zapis, że pojazd znajdował się u potencjalnego klienta, który chciał go wypróbować.

Załóżmy, że ten sam oddział musi zakamuflować się na dłużej, tak, by nie wzbudzić niczyich podejrzeń. Sayan zajmujący się handlem nieruchomościami udostępnia agentom pusty sklep, inny sayan, pracujący w branży spożywczej, dostarcza towary, agenci zaś udają sprzedawców, prowadząc fikcyjny interes tak długo, jak

tego potrzebują.

Podczas wakacyjnego pobytu w izraelskim kurorcie Eilat, Stuart Harris poznał w barze "Pod Czerwoną Skałą" bardzo sympatycznego, młodego Izraelczyka, mówiącego znakomicie po angielsku. Nieco później do rozmowy przyłączył się przyjaciel młodzieńca, siwiejący już mężczyzna, który, pozornie od niechcenia, zadał Harrisowi kilka pytań dotyczących jego stosunku do państwa Izrael. Później spotkali się jeszcze kilkakrotnie, a pod koniec wakacji Harris obiecał, że jeżeli kiedykolwiek mógłby okazać się przydatny, to...

Po powrocie do domu żył tak jak do tej pory. Przez dwa lata czekał na wezwanie, lecz ono nie nadchodziło. Od czasu do czasu zjawiał się natomiast jakiś bardzo uprzejmy nieznajomy - jednym z najbardziej nudnych zadań oficerów operacyjnych przebywających za granicą jest kontrolowanie gotowości sayanów na danym terenie.

A teraz przerażony Stuart Harris siedział w pokoju hotelowym w Bagdadzie i zastanawiał się, co począć. Istniało duże prawdopodobieństwo, że list jest prowokacją; wówczas Harrisowi groziło aresztowanie na lotnisku. Co robić? Wsunąć go komuś do torby? Nie wydawało mu się, żeby był do tego zdolny. Poza tym, w jaki sposób miałyby potem odzyskać list w Londynie?

Wreszcie udało mu się jednak obmyślić plan, który następnie, nie zwlekając, wprowadził w życie. Spalił w popielniczce zewnętrzna kopertę i kartkę, po czym wrzucił popiół do ustępu i spuścił wodę. Drugą, zaklejoną kopertę wytarł starannie i położył w szafie na najwyższej, pustej półce. W razie rewizji mógłby twierdzić, że nie korzystał z tej półki, kopertę zaś prawdopodobnie zostawił tam poprzedni mieszkaniec.

Następnie kupił w kiosku dużą, szarą kopertę oraz taśmę klejącą, na poczcie zaś zaopatrzył się w tyle znaczków, ile trzeba, żeby przesłać z Bagdadu do Londynu jedno czasopismo. Była to właściwie propagandowa broszura zachwalająca sukcesy Iraku we wszystkich możliwych dziedzinach, którą wziął ze stelaża na terenie targów. Udało mu się także uzyskać specjalną, okolicznościową pieczętkę na kopercie.

Ostatniego dnia pobytu, tuż przed wyruszeniem na lotnisko, włożył list do broszury, a tę z kolei wsunął do koperty i starannie zakleił. Przesyłkę zaadresował do wuja mieszkającego w Long Eaton. W głównym holu stała skrzynka pocztowa. Pracownik poczty wybierze z niej listy dopiero za cztery godziny, a nawet gdyby komuś przyszło do głowy otworzyć kopertę, to on będzie już wtedy daleko stąd, na pokładzie brytyjskiego samolotu.

Mówi się, że szczęście sprzyja odważnym, ale według innego powiedzenia, niektórzy miewają więcej szczęścia niż rozumu. Główny hol znajdował się pod obserwacją funkcjonariuszy tajnej policji, którzy mieli za zadanie pilnować, czy jakiś Irakijczyk nie będzie próbował przekazać wiadomości lub przesyłki któremuś z wyjeżdżających cudzoziemców. Harris niósł kopertę pod marynarką, nie zdając sobie sprawy, że jest uważnie obserwowany przez mężczyznę ukrytego za kioskiem z gazetami. W chwili, kiedy podszedł do skrzynki, między nim a obserwatorem zatrzymał się wózek załadowany wysoko walizami; kiedy odjechał, agent Al-Aman al-Amm ujrzał Harrisa oddającego klucz w recepcji.

Tydzień później przesyłka dotarła do wuja, który akurat przebywał na wakacjach, ale ponieważ Harris miał klucze na wypadek jakiegoś nieszczęścia, bez trudu odzyskał kopertę, z którą niezwłocznie udał się do Ambasady Izraela w Londynie i zapytał, czy może widzieć się z Normanem. (Taki pseudonim nosił człowiek odpowiedzialny za kontakty z sayanami). Zaprowadzono go do małego pokoju, posadzono na krześle i poproszono żeby zechciał

poczekać.

Po pewnym czasie w pokoju zjawił się mężczyzna w średnim wieku. Najpierw zapytał go, jak się nazywa, następnie zaś, dlaczego chce spotkać się z "Normanem". Harris wyjaśnił, o co chodzi, wyjął z kieszeni kopertę i położył ją na stole. Izraelski dyplomata wyraźnie pobladł, poprosił go, aby jeszcze trochę zaczekał, po czym szybko wyszedł.

Budynek ambasady przy Palace Green, wzniesiony w stylu klasycznym, cieszy oczy przechodniów swoim wyglądem; spoglądając nań nie sposób domyślić się, jak skomplikowane zabezpieczenia i technologie znajdują się w piwnicach, gdzie mieści się londyńska siedziba Mosadu. Właśnie z tej podziemnej fortecy wezwano pośpiesznie jeszcze jednego człowieka. Tymczasem Harris czekał i czekał.

Choć nic o tym nie wiedział, był uważnie obserwowany przez szybę z jednostronnie przezroczystego szkła. Zrobiono mu także kilka zdjęć oraz dokładnie sprawdzono, czy na pewno jest sayanem, za którego się podał, nie zaś palestyńskim terrorystą. Kiedy potwierdzono jego tożsamość, drzwi otworzyły się ponownie i do pokoju wszedł młody katsa.

Przedstawił się z uśmiechem jako Rafi, a następnie poprosił Harrisa, by ten zechciał zacząć opowieść od samego początku, to znaczy od kurortu Eilat. Naturalnie Rafi doskonale wiedział, co się tam zdarzyło (przed chwilą sprawdził to w aktach), ale uznał, że ostrożności nigdy za wiele. Naprawdę zainteresował się dopiero wtedy, kiedy Harris dotarł do wydarzeń, które rozegrały się w Bagdadzie. Początkowo prawie mu nie przerywał, a dopiero później pospyłały się pytania. Rafi nie robił notatek, ponieważ rozmowa była nagrywana. Kiedy wreszcie zaspokoił swoją ciekawość, podszedł do wiszącego na ścianie wewnętrznego telefonu i zamienił po hebrajsku kilka zdań ze starszym kolegą, który przez cały czas siedział w pokoju obok.

Odwiesiwszy słuchawkę podziękował wylewnie Harrisowi, pogratulował mu odwagi i opanowania, zobowiązał do zachowania całkowitej tajemnicy i życzył bezpiecznego powrotu do domu. Następnie Stuarta Harrisa odprowadzono do wyjścia.

Kopertę zabrał ze stołu człowiek w pancernym hełmie, kuloodpornym kombinezonie i specjalnych rękawicach. List został sfotografowany i prześwietlony. W ambasadzie wybuchł już kiedyś list-pułapka, zabijając jednego z pracowników, więc Izraelczycy woleli dmuchać na zimne.

Dopiero potem otwarto kopertę. Zawierała dwie kartki cienkiego, bibułkowego papieru, gęsto pokrytego arabskim pismem. Rafi nie znał arabskiego, a w londyńskiej placówce Mosadu nie było nikogo, kto posługiwałby się tym językiem na tyle dobrze, żeby odczytać niewyraźne, ręczne pismo. W związku z tym katsa nadał zaszyfrowaną depeszę do Tel-Awiwu, a następnie sporządził znacznie bardziej szczegółowy raport, który trafił do dyplomatycznej poczty i jeszcze tego samego wieczoru został wysłany do Izraela. Na lotnisku Ben Guriona na kuriera czekał już motocyklista z uzbrojoną eskortą. Zawiózł przesyłkę do budynku mieszczącego się przy bulwarze Króla Saula, gdzie natychmiast trafiła na biurko szefa Wydziału Irackiego, młodego i bardzo zdolnego katsy Dawida Szarona.

Szaron władał arabskim zarówno w mowie, jak i piśmie.

Zapoznawszy się z treścią listu poczuł się nagle tak samo jak wtedy, kiedy po raz pierwszy wyskoczył ze spadochronem z samolotu nad pustynią Negew.

Samodzielnie, na maszynie do pisania - wolał nie korzystać ani z usług sekretarki, ani z komputera - sporządził dosłowne tłumaczenie listu na hebrajski, po czym zaniósł je, łącznie z orygina-

nałem oraz raportem Rafiego z Londynu, do gabinetu swego bezpośredniego zwierzchnika, dyrektora Sekcji Bliskowschodniej Mosadu.

List informował o tym, że jego nadawca należy do najwyższych kręgów władzy w irackim reżimie i że jest gotów pracować dla Izraela. Za pieniądze.

Był tam jeszcze numer skrytki na głównej poczcie w Bagdadzie. I na tym właśnie polegał problem.

Wieczorem w prywatnym gabinecie Kobi Drora odbyło się spotkanie na wysokim szczeblu. Oprócz gospodarza uczestniczyli w nim: Sami Gerszon, szef Wydziału Operacyjnego, Eltan Hadar z Sekcji Bliskowschodniej oraz Dawid Szaron.

Gerszon od początku miał wyrobione zdanie na temat tajemniczej oferty.

– To pułapka – stwierdził stanowczo. – Prymitywna, oczywiście pułapka. Nie poślę tam żadnego z moich ludzi, bo skazałbym go na pewną śmierć. Nie poślę nawet otera, żeby spróbował nawiązać kontakt.

Oter to Arab, wykorzystywany przez Mosad w celu nawiązania wstępnych rozmów z innym Arabem. Pełni – jedynie funkcję nie wtajemniczonego pośrednika i jego ewentualna wpadka nie jest tak groźna ani bolesna jak utrata kadrowego oficera wywiadu.

Większość zebranych zdawała się podzielać pogląd Gerszona.

List najwyraźniej stanowił próbę zwabienia do Bagdadu doświadczonego kasy, który zostałby natychmiast aresztowany, poddany torturom, osądzony i publicznie zgładzony. Wreszcie Dror zwrócił się do milczącego do tej pory Szarona.

– Cóż to, mowę ci odjęło, Dawidzie? Co o tym myślisz? Szaron niechętnie skinął głową.

– Myślę, że Sami prawie na pewno ma rację. Popełnilibyśmy szaleństwo, posyłając tam wartościowego człowieka.

Eltan Hadar spojrział ostrzegawczo. Między poszczególnymi wydziałami Mosadu trwała ostra rywalizacja; nie było najmniejszego powodu, żeby od razu wywieszać białą flagę.

– Na 99 procent mogę sądzić, że to rzeczywiście pułapka – dodał Szaron.

– Tylko na 99? – zapytał kpiąco Dror. – A co z tym jednym procentem, mój młody przyjacielu?

– Och, to tylko taki głupi pomysł... Otóż przyszło mi do głowy, że kto wie, czy oto zupełnie niespodziewanie nie spadł nam z nieba nowy Pienkowski.

W pokoju zapadła głucha cisza. Ostatnie słowo zawisło w powietrzu niczym otwarte wyzwanie. Gerszon wypuścił powietrze przez zęby, Kobi Dror wpatrywał się bez słowa w szefa Sekcji Irackiej, Szaron natomiast z zainteresowaniem oglądał swoje paznokcie.

**

Są cztery sposoby umieszczenia agenta w najwyższych kręgach władzy obcego kraju.

Pierwszy, zarazem najtrudniejszy: tak znakomicie wyszkolić jednego z swoich, żeby mógł uchodzić za obywatela innego państwa, a nawet objąć jakieś z najważniejszych stanowisk. Zadanie jest prawie niemożliwe do wykonania, chyba że agent urodził się i wychował w kraju, w którym ma pracować, a potem wrócił do niego z wiarygodną historią wyjaśniającą dotychczasową nieobecność. Nawet wówczas jednak trzeba długo czekać, zanim uda mu się wspiąć na odpowiednio wysoki szczebel kariery, gdzie uzyska dostęp do istotnych informacji. Czasem może to trwać nawet dziesiątki lat.

Mimo to w swoim czasie izraelski wywiad opanował tę metodę do perfekcji. Było to możliwe przede wszystkim dlatego, że w początkowym okresie istnienia państwa Izrael ściągali do niego Żydzi

z całego świata, w tym również tacy, którzy bez najmniejszego problemu mogli uchodzić za Marokańczyków, Algierczyków, Libijczyków, Egipcjan, Stryjczyków oraz Irakijczyków, nie wspominając już o ludziach przybywających z Rosji, Polski, Europy Zachodniej oraz obu Ameryk.

Spośród tych agentów największe sukcesy odniósł Elie Cohen, urodzony i wychowany w Syrii. Przerzucono go do Damaszku. Udawał Stryjczyka, który po wielu latach wrócił do kraju. Bardzo szybko zaprzyjaźnił się z wieloma liczącymi się politykami, urzędnikami i oficerami, zapraszając ich na huczne, suto zakrapiane przyjęcia. Wszystko, co mówili – a mówili dużo i chętnie – trafiało natychmiast do Izraela. Dotarły tam także plany agresji na Izrael, która przerodziła się później w Wojnę Sześciodniową. Wkrótce potem Cohen został zdemaskowany, poddany torturom, a wreszcie powieszony na Placu Rewolucji w Damaszku. Tego rodzaju agenci mogą oddać ogromne usługi, ale jest o nich nadzwyczaj trudno.

Mijały lata, imigranci starzeli się, ich dzieci zaś nie uczyły się arabskiego i nawet gdyby chciały, nie mogłyby powtórzyć wyczynu Cohena. Między innymi z tego powodu w roku 1990 Mosad miał bardzo niewielu specjalistów od krajów arabskich, a w dodatku nie prezentowali oni najwyższego poziomu.

Ponadto arabskie tajemnice najlepiej rozpracowywało się w Europie albo Ameryce. Na przykład: jeżeli Arabowie kupowali najnowszy amerykański myśliwiec, o szczegółach transakcji znacznie łatwiej i bezpieczniej było się dowiedzieć na miejscu, w Ameryce. Jeżeli istniało podejrzenie, że jakiś Arab chciałby podjąć współpracę z Mosadem, nawiązanie z nim kontaktu w którymś z państw europejskich nie wchodziło w grę, co werbowanie na terytorium wroga. Dlatego właśnie większość operacji Mosad przeprowadzał na znacznie bezpieczniejszym, amerykańskim lub europejskim gruncie. Królem wszystkich agentów działających według przedstawionych zasad był jednak Marcus Wolf, który przez wiele lat kierował wschodnioniemieckim wywiadem. Miał do dyspozycji jeden, niezaprzeczalny atut: każdy Niemiec z NRD mógł bez trudu uchodzić za Niemca z RFN.

"Misza" Wolf przerzucił do Niemiec Zachodnich dziesiątki swoich ludzi, w tym także kobietę, która została osobistą sekretarką kanclerza Brandta. Specjalnością Wolfa stały się energiczne, niezamężne sekretarki, tak dobre w swoim fachu, że po pewnym czasie ich ministerialni szefowie z RFN po prostu nie mogli się bez nich obejść, one zaś bez najmniejszego trudu fotografowały wszystkie dokumenty, jakie trafiały na ich biurka, i przekazywały zdjęcia do wschodniego Berlina.

Kolejna metoda zdobywania informacji polega na wykorzystaniu rodaka, który, po odpowiednim przeszkoleniu, może podawać się za obywatela innego państwa. Władze kraju, na którego terenie działa, wiedzą, że jest cudzoziemcem, ale uważają go za przyjaciela, a w pewnych wypadkach wręcz za sojusznika.

W tej dziedzinie największym sukcesem w działaniu dla Mosadu mógł się poszczycić Zeew Gur Arieh. Urodził się w 1921 roku w Mannheim, w Niemczech, jako Wolfgang Lotz. Wolfgang miał metr osiemdziesiąt wzrostu, błękitne oczy, jasne włosy, nie obrzezano go, choć był Żydem. We wczesnej młodości wyemigrował do Izraela, przybrał nowe nazwisko, walczył w szeregach Haganah, wstąpił do armii i doszedł do stopnia majora. Wówczas zainteresował się nim Mosad.

Wolfgang na dwa lata wrócił do Niemiec, aby pozbyć się wszystkich naleciałości językowych i za pieniądze Mosadu założyć dobrze prosperujący interes. Ożenił się z rodowitą Niemką, po czym wyjechał do Kairu i otworzył tam szkołę jeździecką.

W krótkim czasie szkółka zyskała ogromną popularność. Chętnie odwiedzali ją przede wszystkim egipscy oficerowie, którzy mogli pojeździć konno i pogawędzić na różne tematy z nie żałującym szampa Niemcem o zdecydowanie prawicowych, antysemitycznych poglądach. Wzbudzał ich zaufanie, więc często dzielili się z nim najbardziej poufnymi informacjami, które, rzecz jasna, natychmiast trafiały do Tel-Awiwu. Lotza ostatecznie schwytano, ale szczęśliwie uniknął powieszenia, a po Wojnie Sześciodniowej został wymieniony za egipskich jeńców wojennych.

Jednak jeszcze większe sukcesy odnosił przed drugą wojną światową inny Niemiec, Richard Sorge - korespondent akredytowany w Tokio. Mówił płynnie po japońsku i miał wielu znajomych wśród członków rządu Hideki Tojo. Japończycy gorąco popierali Hitlera i byli pewni, że Sorge jest lojalnym nazistą, on zaś, rzecz jasna, utrzymywał ich w tym przekonaniu.

Nikomui nawet nie przyszło do głowy, że Sorge w rzeczywistości jest niemieckim komunistą na usługach Moskwy. Przez wiele lat informował Kreml o najtajniejszych planach rządu Tojo. Jego największy wyczyn okazał się jednocześnie ostatnim. W roku 1941 wojska Hitlera dotarły pod Moskwę. Stalin koniecznie musiał wiedzieć, czy Japonia dokona inwazji na Związek Sowiecki z baz w Mandżurii. Sorge sprawdził, że odpowiedź brzmi "nie". Stalin natychmiast przerzucił z Dalekiego Wschodu 40 000 żołnierzy, którzy przez kilka tygodni stawiali zacięty opór Niemcom, a potem nadeszła zima i Moskwa została ocalona. W przeciwieństwie do Sorigo, który zawisł na szubienicy. Jednak ostatnia informacja, jaką przekazał, prawdopodobnie zmieniła bieg historii.

Najczęściej stosuje się trzecią metodę pozyskiwania informatorów: należy zaangażować człowieka wtedy, kiedy jest już tam, gdzie powinien. Rekrutacja może trwać bardzo długo, ale może okazać się zaskakująco szybka. Właśnie w tym celu "poławiacze talentów" niestrudzenie penetrują dyplomatyczny świat w poszukiwaniu osobników rozczarowanych, zgorzkniałych lub noszących w sercu zadawnione urazy.

Zagraniczne delegacje są także brane pod lupę, po to, by stwierdzić, czy któregoś z ich uczestników nie da się wziąć na stronę, zapewnić mu kilka godzin szampańskiej zabawy, a następnie złożyć ofertę współpracy. Jeżeli "poławiacz" znajdzie potencjalnego kandydata, przekazuje go w ręce specjalisty od rekrutacji. Zazwyczaj zaczyna się od przelotnej znajomości, która wkrótce przeradza się w przyjaźń, aż wreszcie funkcjonariusz wywiadu prosi niczego nie podejrzewającą ofiarę o drobną przysługę. Prawie zawsze chodzi o jakąś mało istotną, wręcz trzeciorzędą informację. Kiedy jednak pułapka się zatrzaśnie, nie ma już z niej wyjścia, a im bardziej okrutnemu reżimowi służy zwabiony w potrzask nieszczęśnik, tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że wycofa się i ujawni wszystko swoim zwierzchnikom, licząc na ich wielkoduszność.

Różne są przyczyny, dla których ludzie decydują się podjąć współpracę z obcym wywiadem. Niektórzy toną w długach, innym nie ułożyło się życie osobiste, jeszcze inni mają żal o to, że nie są dość szybko awansowani, nienawidzą reżimu, jaki wspierają, albo po prostu zależy im na pieniądzu. Często szantażuje się ludzi, wykorzystując wiedzę o ich seksualnych skłonnościach. Zdarzają się też tacy, którym wystarczą słodkie słowa i pochlebstwa. Kilku Rosjan, między innymi Pienkowski i Gordijewski, przeszło na drugą stronę z autentycznej potrzeby sumienia, zdecydowana większość jednak uczyniła to powodowana niesamowitą próżnością, która kazała im wierzyć, że mogą odegrać epokową rolę w dziejach świata.

Najbardziej niezwykły sposób pozyskania nowego współpracownika to "przyjście z ulicy". Jak sama nazwa wskazuje, delikwent po

prostu zjawia się pewnego dnia, przez nikogo nie nakłaniany, i ofiarowuje swoje usługi.

Ten, komu została złożona ta propozycja, zazwyczaj odnosi się do niej z ogromnym sceptycyzmem, podejrzewając, iż jest to próba infiltracji podjęta przez nieprzyjaciela. Dlatego też, kiedy w 1960 roku pewien Rosjanin podszedł do grupy Amerykanów przebywających w Moskwie z oficjalną wizytą, powiedział im, że jest pułkownikiem GRU, czyli sowieckiego wywiadu wojskowego, i zaproponował, że będzie szpiegował dla Zachodu, został zignorowany.

Zdziwiony, ale nie zrażony, zgłosił się do Anglików, którzy postanowili go wypróbować. Oleg Pienkowski okazał się najbardziej niezwykłym agentem w dziejach światowych służb wywiadowczych. W czasie swej krótkiej, bo tylko 30-miesięcznej kariery, przekazał za Żelazną Kurtynę ponad pięć i pół tysiąca dokumentów oznaczonych nagłówkiem: TAJNE lub ŚCIŚLE TAJNE. Świat nigdy się nie dowiedział, że podczas kryzysu kubańskiego prezydent Kennedy znał wszystkie karty Chruszczowa, tak jakby dwaj mężowie stanu grali w pokera, a on widział je w lustrze ustawionym za plecami sowieckiego przywódcy. Lustrem tym był właśnie Pienkowski. Rosjanin nie zważał na ryzyko i odmówił ucieczki na Zachód, kiedy jeszcze można było ją zorganizować. Krótko po kubańskiej aferze został zdemaskowany przez radziecki kontrwywiad, postawiony przed sądem i skazany na śmierć przez rozstrzelanie. Izraelczycy, którzy tego wieczoru zebrali się w gabinecie Kobi Drora, doskonale znali historię Pienkowskiego. W świecie, w którym żyli, stanowią już legendę. Kiedy Szaron wymienił to nazwisko, wszystkim trzem przemknęła ta sama myśl: czyżby mieli do czynienia z autentyczną, bezcenną wtyczką usadowioną blisko szczytu drabiny władzy w Bagdadzie? Czy to możliwe?

Kobi Dror zmierzył Szarona długim, przenikliwym spojrzeniem.

– Chciałbyś nam coś zaproponować, młody człowieku?

– Pomyślałem, że może jednak warto by wysłać mu list – odparł Szaron z udawaną obojętnością. – List, nic więcej. Zero ryzyka. W liście byłoby kilka pytań... trudnych pytań, na które chcielibyśmy poznać odpowiedzi. Albo ich dostarczy, albo nie.

Dror zerknął na Gerszona. Oficer odpowiedzialny za "nielegalnych" agentów wzruszył ramionami. Ten gest miał chyba oznaczać: "Ja zajmuję się ludźmi, co mnie obchodzą jakieś listy?"

– W porządku, Dawidzie – podjął decyzję generał Dror. – Napiżemy do niego list i zadamy kilka pytań. Zobaczymy, co robi. Eltan, zajmiesz się tym wraz z Dawidem. Chcę zobaczyć ten list, zanim go wyślecie.

Eltan Hadar i Dawid Szaron natychmiast wyszli z gabinetu.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mruknął szef Sekcji Bliskowschodniej do swego podwładnego.

List został przygotowany z najwyższą starannością. Nad jego hebrajską wersją pracowało liczne grono ekspertów. Tłumaczeniem mieli zająć się na samym końcu.

Dawid Szaron przedstawił się tylko imieniem, podziękował autorowi poprzedniego listu za trud, jaki ten sobie zadał, oraz poinformował go, że przesyłka dotarła na miejsce w nienaruszonym stanie.

Następnie wyraził nadzieję, iż jej nadawca zrozumie chyba, że jego propozycje wywołały ogromne zaskoczenie oraz wcale nie mniejsze podejrzewania. Naturalnie nikt nie uważa tajemniczego korespondenta za głupca, dlatego on, Dawid, pozwala sobie przypuszczać, iż człowiek w Bagdadzie zrozumie, że przed ewentualnym podjęciem współpracy muszą uzyskać całkowitą pewność co do jego intencji. Zaraz potem Dawid pośpieszył z zapewnieniem, że w przypadku, jeśli taka współpraca zostanie nawiązana, wynagrodzenie nie będzie

stanowiło najmniejszego problemu, z jednym tylko zastrzeżeniem: cena nie może przekraczać wartości dostarczanego materiału. W związku z tym, prosi człowieka w Bagdadzie o udzielenie odpowiedzi na pytania załączone na oddzielnej kartce. List był znacznie dłuższy i bardziej skomplikowany, ale tak właśnie można by oddać jego treść. Na koniec Szaron podał rzymski adres, pod który należy skierować przesyłkę. Pod adresem tym znajdował się dom wykorzystywany niegdyś przez włoską delegaturę Mosadu, chwilowo wyłączony z użytkowania. Przebywający w Rzymie agenci mieli wziąć go pod ścisłą obserwację: gdyby pojawili się tam funkcjonariusze irackich służb specjalnych, sprawa byłaby wyjaśniona. Lista pytań liczyła dwadzieścia pozycji, skompletowano zaś ją bardzo starannie i po długim namyśle. Na osiem pytań Mosad znał już odpowiedzi, w związku z czym każda próba oszustwa zostałaaby natychmiast wychwycona. Osiem kolejnych pytań sformułowano w taki sposób, żeby łatwo dało się sprawdzić wiarygodność odpowiedzi, natomiast cztery pytania dotyczyły spraw, na których wyjaśnieniu Izraelowi naprawdę zależało. Jedną z nich były prawdziwe intencje Saddama Husajna.

- Zobaczmy, ile ten drań naprawdę może - mruknął Kobi Dror, zapoznawszy się z listą.

Kiedy wszystko było gotowe, poproszono profesora arabistyki z Uniwersytetu w Tel-Awiwie, aby zechciał przełożyć list. Szaron podpisał się arabską wersją swego imienia - Daoud.

W liście poruszył jeszcze jedną sprawę: chciałby nadać swemu korespondentowi jakieś imię, może Jerycho?

List został wysłany z jedyne arabskiego państwa, w którym Izrael ma ambasadę, to znaczy z Egiptu.

Potem Dawid Szaron wrócił do swoich zwykłych zajęć. Im dłużej myślał o tej sprawie, tym bardziej wydawała mu się szalona. Porozumiewanie się za pomocą skrytki pocztowej w kraju, gdzie szefem kontrwywiadu był tak sprytny człowiek jak Hasan Rahmani, wiązało się z ogromnymi niebezpieczeństwami. Tak samo jak * przekazywanie "wprost" rozmaitych tajnych informacji, a nic nie wskazywało na to, żeby Jerycho miał jakiegokolwiek pojęcie o najprostszych choćby szyfrach. Jeśli dojdzie do nawiązania współpracy, trzeba koniecznie wymyślić coś innego... Jednak miał prawie pewność, że nic z tego nie wyjdzie.

Mylił się. Cztery tygodnie później do Rzymu dotarła odpowiedź od Jerycha. Została wsadzona do pancernego pudła i niezwłocznie przewieziona do Tel-Awiwu, gdzie podjęto nadzwyczajne środki ostrożności. W kopercie mógł znajdować się materiał wybuchowy, lub papier nasączony śmiertelną trucizną... List otwarto dopiero wówczas, kiedy specjaliści stwierdzili z całą pewnością, że jest "czysty".

Ku zdumieniu wszystkich, którzy mieli związek ze sprawą, Jerycho dostarczył pierwszorzędny materiał. Odpowiedzi na osiem pytań dotyczących spraw znanych już Mosadowi zgadzały się co do joty ze stanem faktycznym. Odpowiedzi na osiem kolejnych, związanych z przemieszczeniami oddziałów, planowanymi awansami i degradacjami oraz zagranicznymi podróżami wysokich funkcjonariuszy reżimu, musiały dopiero zostać zweryfikowane. Wyjaśnienia czterech problemów, które najbardziej gnębiły Tel-Awiw, zweryfikowane być nie mogły, ale sprawiały wrażenie całkowicie wiarygodnych.

Dawid Szaron natychmiast wysłał do Bagdadu list sformułowany w taki sposób, żeby nawet w razie przechwycenia przez irackie służby specjalne nie wzbudził niczyich podejrzeń: "Drogi wuju, serdecznie dziękuję za twój list, który właśnie do mnie dotarł. Ogromnie się cieszę, że miewasz się dobrze i że zdrowie ci dopisuje.

Załatwienie części spraw będzie wymagało sporo czasu, ale jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, już niedługo ponownie do Ciebie napiszę. Twój kochający bratanek Daoud".

Pojawiła się nadzieja, że Jerycho naprawdę ma do zaoferowania, towar najwyższej jakości. Należało więc podjąć natychmiastowe działania. Wymiana dwóch listów to jedna sprawa, natomiast prowadzenie głęboko zakamuflowanego agenta, dysponującego dostępem do najpilniej strzeżonych tajemnic bezwzględного reżimu, to coś zupełnie innego. W takiej sytuacji szpieg i katsa nie powinni porozumiewać się za pomocą niekodowanych listów wysyłanych normalną drogą i trafiających do skrytek pocztowych, gdyż prędzej czy później musiałyby to skończyć się katastrofą. Do Bagdadu trzeba skierować oficera operacyjnego, który zamieszka tam i będzie prowadził Jerycha zgodnie z najlepszymi zasadami sztuki szpiegowskiej, po to, by uzyskane informacje w jak najkrótszym czasie i niezafałszowanej postaci docierały do Izraela.

- Nie zgadzam się - powtórzył Gerszon. - Nie poślę tam doświadczonego katsy, żeby działał zupełnie na czarno, bez żadnego zabezpieczenia. Musi mieć immunitet dyplomatyczny, bo inaczej nic z tego.

- W porządku, Sami - odparł Dror. - Dostanie immunitet. Przyjrzyjmy się temu, czym dysponujemy.

Agenta pracującego na czarno mogą aresztować, poddać torturom, nawet powiesić lub rozstrzelać, natomiast akredytowany dyplomata - nawet w Bagdadzie - ma ogromne szansę uniknięcia tych nieprzyjemności, gdyż, schwytany na gorącym uczynku, zostaje zazwyczaj jedynie uznany za persona non grata i wydalony z kraju. Niemal wszystkie główne wydziały Mosadu, a szczególnie Sekcja Rozpoznania, wzięły się ostro* do roboty. Gerszon na samym początku poinformował ich, że nie ma ani jednego swojego człowieka wśród personelu placówek dyplomatycznych mieszczących się w Bagdadzie, w związku z czym od razu skoncentrowali się na poszukiwaniu kogoś, kto mógłby nim zostać.

Sporządzono listę wszystkich dyplomatów akredytowanych w Bagdadzie, ale nie było wśród nich takiego, który wcześniej pracowałby dla Mosadu i teraz mógłby zostać ponownie uruchomiony. Na liście nie znalazł się nawet choćby jeden sayan. A potem ktoś wpadł na znakomity pomysł: Organizacja Narodów Zjednoczonych. W Bagdadzie mieściła się siedziba wyspecjalizowanej agencji ONZ, Komisji Ekonomicznej ds. Azji Zachodniej.

Mosad bardzo często korzystał z usług pracowników Organizacji. Na liście tych, którzy zostali oddelegowani do Bagdadu, znajdował się także chilijski dyplomata pochodzenia żydowskiego, niejaki Alfonso Benz Moncada. Co prawda nie był wyszkolonym agentem, ale za to był sayanem, a więc powinien wyrazić zgodę na nawiązanie współpracy.

Tymczasem jedna za drugą potwierdzały się nie sprawdzone do tej pory informacje, jakich udzielił Jerycho. Zgodnie z jego zapowiedziami dokonano przemieszczeń wojsk, awanse zaś otrzymywali ci oficerowie, których nazwiska wymienił w liście.

- Albo w tym wszystkim macza palce Saddam, albo Jerycho jest największym zdrajcą, jakiego widziała historia - ocenił sytuację Kobi Dror.

Dawid Szaron wysłał trzeci list, także niewinnie sformułowany. Donosił w nim, że zamówiona przez bagdadzkiego kupca dostawa szkła i porcelany nieco się opóźni, gdyż trzeba trochę czasu na przygotowanie transportu w taki sposób, aby żaden z cennych przedmiotów nie uległ przypadkowemu uszkodzeniu.

Mówiący po hiszpańsku katsa przebywający w Ameryce Połu-

dniowej otrzymał rozkaz, aby natychmiast udać się do Santiago i przekonać senora Benza, żeby ten wezwał syna do przyjazdu do domu w związku z poważną chorobą matki. Ojciec niezwłocznie zatelefonował do Bagdadu, a zatroskany syn poprosił o trzytygodniowy urlop, otrzymał go i wsiadł w samolot lecący do Chile. Jednak w domu nie czekała na niego chora matka, tylko grupa oficerów Mosadu, którzy zaczęli go namawiać, aby zgodził się wziąć udział w bliżej nie sprecyzowanej operacji. Młody człowiek poradził się rodziców, po czym wyraził zgodę. Emocjonalny związek z państwem Izrael, którego żadne z nich nie widziało na oczy, był bardzo silny.

Inny sayan mieszkający w Santiago został poproszony o udostępnienie na pewien czas swojej letniej rezydencji położonej niedaleko od miasta, nad samym morzem, i tam, w obszernej willi, ukrytej w otoczonym wysokim murem ogrodzie, rozpoczęło się intensywne szkolenie.

Pełne przygotowanie agenta do prowadzenia działalności na terytorium nieprzyjaciela trwa zwykle co najmniej dwa lata. Tym razem to samo trzeba było osiągnąć w trzy tygodnie. Praca trwała szesnaście godzin na dobę. Oficerowie uczyli 30-letniego Chilijczyka mikrofotografii, posługiwania się najprostszymi szyframi, zabierali go na ulice, gdzie pokazywali, w jaki sposób można sprawdzić, czy jest się śledzonym. Jednocześnie przypominali w nieskończoność, że nigdy nie powinien próbować pozbyć się "ogona", chyba że akurat ma przy sobie jakieś kompromitujące materiały. Najlepszym rozwiązaniem było zrezygnowanie ze spotkania lub odebrania wiadomości i ponowienie próby nieco później.

Pokazali mu też, w jaki sposób można w ciągu kilku sekund zniszczyć zdjęcia lub dokumenty za pomocą łatwopalnego środka chemicznego ukrytego w specjalnie spreparowanym długopisie. Wozili go bez końca samochodami, demonstrując metody identyfikacji pojazdów nieprzyjaciela. Ćwiczenia trwały tak długo, że nieszczęśnikowi zaczynało już dzwonić w uszach, bolała go głowa, i błagał, żeby pozwolono mu wrócić do willi i położyć się spać.

Wyjaśnili także, co to są skrzynki kontaktowe - ukryte miejsca, gdzie pozostawia się i odbiera wiadomości. Pokazali, jak przygotować taką skrzynkę za obluzowaną ścianą w murze, pod płytą grobowca, w szczelinie drzewa lub pod płytą chodnikową. , Po trzech tygodniach Alfonso Benz Moncada pożegnał się z zatroskanymi rodzicami i odleciał przez Londyn do Bagdadu. Kierujący grupą szkoleniową oficer padł bez sił na fotel w wynajętej willi, otarł czoło drżącą ręką, po czym powiedział do współpracowników:

- Jeśli ten palant wróci z Bagdadu w jednym kawałku i do tego żywy, to pójdę na pielgrzymkę do Mekki.

Żaden z członków grupy nie wiedział, jakie zadanie ma spełnić Moncada, gdyż taka informacja nie była im do niczego potrzebna. Nie wiedział tego również Chilijczyk.

Dopiero kiedy wysiadł z samolotu w Londynie, został zawieziony do hotelu Penta, gdzie czekali już na niego Sami Gerszon i Dawid Szaron, by przedstawić mu szczegóły operacji.

- Tylko nie próbuj go zidentyfikować! - ostrzegł Gerszon młodego człowieka. - Zostaw to nam. Twoje zadanie polega przede wszystkim na zorganizowaniu skrzynek i przekazywaniu korespondencji. Prześlemy ci listę pytań do niego. Nic z tego nie zrozumiesz, bo będą po arabsku. Wygląda na to, że Jerycho bardzo słabo zna angielski, albo nawet wcale. Broń Boże nie staraj się przetłumaczyć tego, co od nas dostaniesz. Po prostu podrzuć to do którejś ze skrzynek i zrób w umówionym miejscu znak kredą, żeby wiedział, że czeka na niego jakaś przesyłka. Kiedy zobaczysz jego

znak, odbierz odpowiedź i natychmiast przekaż ją nam.

W sąsiednim pokoju Alfonso Benz Moncada otrzymał nowy bagaż. W jego skład wchodził aparat fotograficzny na pierwszy rzut oka przypominający do złudzenia zwykłego turystycznego pentaxa, ale zawierający kasetę ze specjalnym, ponad 100-klatkowym filmem, oraz wyposażony w niepozornie wyglądający statyw, który pozwalał umieścić go na takiej wysokości nad kartą papieru, by mógł wykonać najbardziej wyraźne zdjęcia.

Wśród przyborów toaletowych znajdowały się pojemniki z łatwopalnymi i żrącymi materiałami udające kosmetyki oraz atramenty sympatyczne, papeteria zaś zawierała specjalny papier, z którego miał korzystać przesyłając wiadomości. Powiedzieli mu także, w jaki sposób powinien je przekazywać; metodę tę wymyślono w czasie, kiedy on przechodził w Chile intensywne szkolenie.

Otóż będzie pisywał listy na tematy szachowe - był wielkim miłośnikiem tej gry - do swojego przyjaciela Justina Bokomo z Ugandy, pracującego w Sekretariacie Generalnym ONZ w Nowym Jorku. Listy owe miały opuszczać Bagdad w workach z pocztą dyplomatyczną do Nowego Jorku, odpowiedzi zaś należało się spodziewać także z tego miasta.

Benz Moncada nic o tym nie wiedział, ale w nowojorskiej siedzibie ONZ naprawdę pracował Ugandyjczyk nazwiskiem Bokomo. W tej samej instytucji, tyle tylko, że w dziale zajmującym się rozprawianiem korespondencji, był także zatrudniony pewien katsa, który miał przechwytywać listy.

Na odwrocie każdego listu od Bokomo będzie znajdowała się lista pytań sporządzona za pomocą atramentu sympatycznego.

Moncada "wywoła" ją, zrobi fotokopię, następnie zaś włoży do jednej ze skrzynek kontaktowych. Odpowiedź Jerycha - zapewne kilka stron pokrytych niewyraźnym arabskim pismem - należy dla pewności kilkakrotnie sfotografować, po czym wysłać pod adresem Bokomo do Nowego Jorku.

Po powrocie do Bagdadu młody Chilijczyk, czując jak żołądek podchodzi mu do gardła, przygotował sześć skrzynek kontaktowych. Mieściły się za obłuzowanymi cegłami w starych murach, pod płytami chodnikowymi w bocznych, nieuczęszczanych zaułkach, jedna zaś pod okiennym parapetem opuszczonego sklepu.

Za każdym razem wydawało mu się, że jest otoczony przez agentów tajnej policji, ale nigdy nie spotkało go nic złego. Mieszkańcy Bagdadu, jak zwykle niezmiernie uprzejmi i dyskretni, nie zwracali uwagi na ciekawskiego turystę włóczącego się bocznymi uliczkami Starej Dzielnicy, Dzielnicy Ormiańskiej, targu warzywnego w Kasra, i wokół starych cmentarzy. Wszędzie tam, bez najmniejszego trudu, znajdował miejsca znakomicie nadające się do jego celów.

Zapisał położenie wszystkich sześciu skrzynek - trzy miały służyć przekazywaniu wiadomości od niego, trzy pozostałe zrobił dla Jerycha - po czym znalazł sześć miejsc, w których zarówno on, jak i Jerycho, bez większego trudu mogli zrobić kredą znak, informując się wzajemnie, że w jednej ze skrytek czeka na odebranie przesyłka.

Każda z nich miała swój symbol. Pisemne instrukcje Moncady były tak precyzyjne, że Jerycho powinien odnaleźć bez kłopotów zarówno skrytki, jak i pozostałe sześć miejsc.

Młody Chilijczyk przez cały czas sprawdzał, czy nie jest śledzony, zarówno wtedy, kiedy jeździł samochodem, jak i wówczas, gdy poruszał się pieszo. Pewnego dnia przekonał się, że znajduje się pod obserwacją, ale prowadzono ją tak nieudolnie, że nie ulegało wątpliwości, iż jest to rutynowe działanie Al-Aman al-Amm, który okazjnie szpiegował wybranych na chybił-trafił dyplomatów.

Nazajutrz "ogon" zniknął, więc Moncada znowu wziął się do pracy.

Kiedy już wszystko było gotowe, sporządził na maszynie do pisania szczegółowy raport, zniszczył taśmę, sfotografował zapisane kartki, które także zniszczył, film zaś wysłał panu Bokomo. Mała paczuszka najpierw trafiła do działu korespondencji w siedzibie ONZ przy East River, stamtąd natomiast do Dawida Szarona w Tel-Awiiwie.

Teraz należało przekazać te informacje Jerychowi, z tym zaś wiązało się ogromne ryzyko, gdyż trzeba było po raz ostatni wykorzystać tę przeklętą skrytkę pocztową w Bagdadzie. Szaron napisał w liście, że czasopisma, o które prosił jego "przyjaciel", dotrą na miejsce dokładnie w południe za czternaście dni, czyli 18 sierpnia 1988, i powinny zostać odebrane najwyżej godzinę później. Szczegółowe instrukcje, przetłumaczone na arabski, trafiły w ręce Moncady 16 sierpnia. Za pięć dwunasta 18 sierpnia chilijski dyplomata wszedł do budynku Poczty Głównej w Bagdadzie i włożył przesyłkę do skrytki. Nikt go nie aresztował. Godzinę później Jerycho bez przeszkód odebrał instrukcje.

Teraz, kiedy już ustalono bezpieczny sposób wymiany korespondencji, kontakty znacznie się ożywiły. Jerycho zażądał, aby procedura wyglądała następująco: po otrzymaniu listy pytań on sam wyceni wartość każdej odpowiedzi, a kiedy pieniądze wpłyną na jego konto, natychmiast przekaże Tel-Awiiwowi żądane informacje. Podał także numer konta w wiedeńskim Banku Winklera przy Ballgasse, w pobliżu Franziskanerplatz.

Tel-Awiiw zaakceptował warunki i natychmiast sprawdził ten bank. Była to niewielka instytucja, ściśle przestrzegająca zasad dyskrecji, a szansę na wydobycie stamtąd jakichkolwiek informacji na temat Jerycha praktycznie równały się zeru. Izraelczykom nie pozostało więc nic innego, jak przekazać na konto pierwszą wpłatę w wysokości 20 000 dolarów.

Mosad zasugerował, aby Jerycho ujawnił swoją tożsamość "dla jego własnego dobra, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak jak należy i potrzebna by mu była pomoc przyjaciół z Zachodu". Jednak Irakijczyk stanowczo odmówił, a nawet zagroził, że jeśli stwierdzi, iż ktoś próbuje go zidentyfikować, albo jeśli nastąpią jakiegokolwiek opóźnienia w przekazywaniu pieniędzy, natychmiast zerwie wszelkie kontakty.

Mosad zgodził się na te warunki, ale spróbował innych sposobów. Specjaliści tworzyli portret psychologiczny człowieka z Bagdadu, grafolodzy analizowali jego pismo, jeszcze inni fachowcy studiowali listę irackich notabli, usiłując wyłowić spośród nich tego, który mógłby być tajemniczym Jerychem. Wszyscy zgadzali się, że jest on człowiekiem w średnim wieku, o wojskowym lub quasi-wojskowym przygotowaniu, niezbyt wykształconym, że prawie nie zna angielskiego.

- Ten opis pasuje co najmniej do połowy generałów z irackiego Naczelnego Dowództwa, pięćdziesięciu czołowych działaczy partii Ba's i co najmniej stu tysięcy innych ludzi! - warknął Kobi Dror. Alfonso Benz Moncada prowadził Jerycha przez dwa lata, uzyskując produkt wartości 24-karatowego złota. Informacje dotyczyły polityki, broni konwencjonalnej, planów strategicznych, zmian na stanowiskach dowódczych, produkcji rakiet, gazów bojowych i broni bakteriologicznej, a także dwóch prób dokonania zamachu na Saddama Husajna. Jedynie w sprawie broni jądrowej Jerycho nie potrafił przekazać szczegółowych danych. Za każdym razem, kiedy go o to pytano, odpowiadał, że wszystko, co dotyczy tego tematu, jest otoczone ścisłą tajemnicą, szczegóły zaś zna jedynie doktor Dżafar al-Dżafar, iracki odpowiednik Roberta Oppenheimera. Wszelkie próby szybkiego zdobycia tych informacji musiałyby doprowadzić do natychmiastowej wpadki.

Jesienią 1989 roku Jerycho doniósł Mosadowi, że Irakijczycy

wysłali do Brukseli specjalny oddział, który ma śledzić doktora Gerry'ego Bulla. Mosad, wykorzystujący wówczas Bulla jako dodatkowe źródło informacji dotyczących irackiego programu raketowego, próbował dyskretnie ostrzec uczonego, choć, rzecz jasna, nie mógł powiedzieć mu wprost o grożącym niebezpieczeństwie. Dlatego też stacjonujący w Brukseli katsa wraz ze swymi ludźmi kilkakrotnie odwiedził mieszkanie Bulla podczas jego nieobecności, pozostawiając wyraźne ślady, takie jak poprzestawiane naczynia, przewinięta i wyjęta z magnetowidu kasety czy otwarte okno balkonowe. Uczony istotnie mocno się zaniepokoił, ale nie odczytał przesłania. Kiedy z Bagdadu dotarła do Tel-Awiwu informacja, że podjęto decyzję o zlikwidowaniu Bulla, było już za późno; wyrok właśnie został wykonany.

Wiadomości, które Jerycho przekazywał Mosadowi, pozwoliły Izraelczykom śledzić niemal krok po kroku przygotowania Iraku do inwazji na Kuwejt. To, co miał do powiedzenia na temat broni masowej zagłady, potwierdzało prawdziwość fotografii dostarczonych przez Jonathana Pollarda, odsiadującego dożywotni wyrok. Rząd w Tel-Awii czekał na reakcję Waszyngtonu, przypuszczając, że Amerykanie dysponują zbliżonymi informacjami. Ponieważ jednak Zachód nie reagował, pozwalając, by Saddam spokojnie wzmacniał siłę bojową armii, Izrael zachowywał milczenie. Do sierpnia 1990 roku na konto w wiedeńskim banku przekazano ponad dwa miliony dolarów. Jerycho był drogi, ale niezastąpiony i Tel-Awii uznał, że interes jednak się opłaca. A potem doszło do inwazji na Kuwejt i zdarzyło się coś, czego nikt nie mógł przewidzieć: ONZ uchwaliła 2 sierpnia rezolucję wzywającą Irak do natychmiastowego wycofania się ze wszystkich zagarniętych terenów, po czym doszła do wniosku, że utrzymując swoje przedstawicielstwo w Bagdadzie pośrednio popiera agresora. W związku z tym 7 sierpnia biuro Komisji Ekonomicznej ds. Azji Zachodniej zostało zamknięte, dyplomaci zaś odwołani do Nowego Jorku. Benz Moncada zdażył zrobić już tylko jedno: zostawił w skrytce wiadomość dla Jerycha o tym, że musi wyjechać, i kontakt ulegnie chwilowemu zerwaniu. Jednak na wypadek, gdyby wrócił, Jerycho powinien od czasu do czasu sprawdzać, czy w którymś z umówionych miejsc nie pojawi się wykonany kredą znak. Następnie młody Chilijczyk odleciał do Nowego Jorku przez Londyn, gdzie został dokładnie przesłuchany przez Dawida Szarona.

Dlatego właśnie Kobi Dror uważał, że nie okłamał Chipa Barbera. Przecież zgodnie z prawdą stwierdził tylko, że obecnie nie ma w Bagdadzie żadnego czynnego agenta. Przyznając się do tego, że nie zdołał ustalić tożsamości Jerycha, a teraz utracił z nim kontakt, naraziłby się na wielkie upokorzenie. Kto wie, czy jednak nie należało powiedzieć Amerykanom całej prawdy?

Rozdział ósmy

Kiedy 1 października Mikę Martin odwiedził grób Able'a Sheptona na cmentarzu w Sulajbichat, znalazł tam list z prośbą Ahmada al-Chalify.

Nawet nie był zbytnio zaskoczony. Abu Fu'ad wiedział o nim, on zaś wiedział o kuwejckim ruchu oporu, w którego szeregi wstępowało coraz więcej ludzi. Należało się spodziewać, że prędzej czy później dojdzie do spotkania.

W ciągu sześciu tygodni, jakie minęły od agresji, położenie wojsk agresora uległo drastycznej zmianie. Sama inwazja przypominała manewry, a niemal całkowity brak oporu w pierwszych dniach okupacji przekonał Irakijczyków, że w Kuwejcie nie spotkają ich już żadne przykre niespodzianki. Plądrowanie odbywało się bez przeszkód, niszczenie dostarczało rozrywki, kobiety zaś brali jak chcieli. Tak postępowali zdobywcy już w czasach

Babilonu.

Kuwejt przypominał tłustego gołębia, którego łatwo będzie oskubać. Tymczasem, po sześciu tygodniach letargu, gołąb zaczął dziobać. Już ponad stu żołnierzy i ośmiu oficerów zostało zabitych lub zaginęło bez wieści, a nie wszystkie zaginięcia dało się wytłumaczyć dezercjami. W szeregi sił okupacyjnych powoli wkradał się strach.

Oficerowie nie chcieli podróżować samotnie sztabowymi limuzynami, domagając się eskorty w postaci co najmniej jednej ciężarówki pełnej żołnierzy. Budynków dowództwa oraz koszar strzeżono w dzień i w nocy, a by to osiągnąć, oficerowie dyżurni musieli nieraz strzelać nad głowami śpiących wartowników.

Skończyły się nocne eskapady - jedynie silne oddziały mogły czuć się w miarę bezpieczne w ciemnościach. Żołnierze, pełniący służbę na posterunkach drogowych, kulili się we wnętrzu prowizorycznych szałasów, a mimo podwojenia liczebności patroli, wciąż wybuchały miny. Pojazdy stawały w płomieniach lub zatrzymywały się na środku ulicy z uszkodzonymi silnikami, nie wiadomo skąd spadały granaty, a w rynsztokach i na śmietnikach znajdowano ciała żołnierzy z poderżniętymi gardłami.

Sytuacja stała się w końcu tak groźna, że Naczelne Dowództwo musiało zastąpić Armię Ludową oddziałami Sił Specjalnych. Tworzyli je dobrzy, doświadczeni żołnierze, którzy właściwie powinni czuwać na pierwszej linii frontu na wypadek, gdyby Amerykanie zdecydowali się ruszyć do ataku. Parafrazując powiedzenie Churchill'a, pierwsze dni października były dla Kuwejtu może jeszcze nie początkiem końca, ale na pewno końcem początku.

Martin nie miał przy sobie papieru ani przyborów do pisania, więc nie mógł natychmiast udzielić odpowiedzi na list Al-Chalify. Umieścił ją w skrytce dopiero rankiem następnego dnia.

Poinformował, że przyjmuje propozycję, ale na ustalonych przez siebie warunkach. Po to, by wykorzystać przewagę, jaką dawała mu ciemność, a jednocześnie uniknąć zaczynającej się o 22 godziny policyjnej, wyznaczył spotkanie na wpół do ósmej wieczorem. Udzielił dokładnych wskazówek dotyczących miejsca, gdzie Abu Fu'ad powinien zostawić samochód, a następnie opisał kępę drzew, przy której będzie na niego czekał. Miejsce to znajdowało się w pobliżu szosy prowadzącej z centrum miasta do zniszczonego, opustoszałego portu lotniczego.

Martin wiedział, że w tamtej okolicy wznosi się wiele zbudowanych z kamienia domów o płaskich dachach. Zamierzał usadzić się na jednym z nich już dwie godziny przed spotkaniem, aby sprawdzić, czy Kuwejtczyk będzie śledzony, a jeżeli tak, to przez kogo: przez swoich ochroniarzy, czy przez iracką tajną policję. Oficer SAS doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko maksymalna ostrożność daje szansę przetrwania na obcym terenie, gdzie aż roi się od nieprzyjaciół.

Poza tym, nie wiedział, jakie metody stosuje Abu Fu'ad w celu zapewnienia sobie bezpieczeństwa, ale miał podstawy, by przypuszczać, że nie należą one do najbardziej niezawodnych. Wyznaczywszy termin spotkania na 7 października, wsunął kartkę pod obluzowaną marmurową płytę. Ahmad al-Chalifa znalazł ją tam 4 października.

Doktor John Hipwell, który zjawił się ponownie na posiedzeniu Komitetu Meduza, z całą pewnością nie wyglądał na fizyka jądrowego, a już na pewno w niczym nie przypominał uczonych, którzy spędzali całe dni w pilnie strzeżonych budynkach Ośrodka Badań nad Bronią Atomową w Aldermaston, przygotowując głowice nuklearne dla pocisków trident.

Średnio uważny obserwator z pewnością uznałby go za jowialnego farmera, rubasznego chłopca, który znacznie lepiej prezen-

towałby się na targu jagniąt niż w sterylnym laboratorium, gdzie nadzorował powlekanie czystym złotem śmiertelnie groźnych dysków plutonu.

Choć było jeszcze całkiem ciepło, miał na sobie grubą kraciatą koszulę, wełniany krawat i tweedową marynarkę. Nie pytając nikogo o pozwolenie wyjął z wewnętrznej kieszeni fajkę z korzenia wrzosu i zaczął nabijać ją tanim tytoniem. Sir Paul Spruce zmarszczył z odrazą ostro zakończony nos, po czym dał dyskretnie znak, aby uruchomiono klimatyzację.

- Mam dla panów dobrą wiadomość - oznajmił Hipwell, kiedy już niemal zupełnie zniknął w kłębach bladoniebieskiego dymu. - Saddam nie ma broni jądrowej i nic nie wskazuje na to, żeby mógł zdobyć ją w najbliższym czasie.

Po tym wstępie umilkł i na dłuższą chwilę skoncentrował się na swojej fajce. Cóż, dla kogoś, kto codziennie ryzykuje napromienowanie śmiertelną dawką, taka porcja nikotyny nie ma chyba większego znaczenia, pomyślał Terry Martin.

/ - Irakijczycy rozpoczęli prace nad własną bombą atomową w połowie lat 70., kiedy Saddam Husajn zdobył pełnię władzy. Można odnieść wrażenie, że ma obsesję na tym punkcie. Właśnie wtedy Bagdad kupił od Francji pierwszy kompletny reaktor jądrowy, nie objęty embargiem wynikającym z podpisanego w 1968 roku Układu o Zakazie Rozprzestrzeniania Broni Jądrowej. "

Umilkł ponownie i zaczął z zadowoleniem pykać z niesamowicie cuchnącej fajki. Na leżące przed nim notatki spadały rozżarzone drobinki popiołu.

- Czy z tego wynika, że ten reaktor był przeznaczony tylko do wytwarzania energii elektrycznej? - zapytał sir Paul. Hipwell skinął głową.

- Teoretycznie. Praktycznie nic nie trzymało się kupy, z czego Francuzi doskonale zdawali sobie sprawę. Irak dysponuje trzecimi co do wielkości złożami ropy naftowej na świecie i naprawdę za niewielkie pieniądze mógł wybudować sobie tyle elektrowni na mazut, ile dusza zapragnie. W rzeczywistości chłopcom Saddama chodziło o to, żeby mieć reaktor, do którego będą mogli kupować koncentrat rudy uranu niskiej jakości zwany karmelem. Po wykorzystaniu tego koncentratu w reaktorze uzyskuje się pluton.

Zebrani skinęli głowami. Wszyscy wiedzieli, że brytyjski reaktor jądrowy w Sellafield wytwarza nie tylko prąd, który trafia do krajowej sieci energetycznej, ale także pluton używany przez doktora Hipwella do produkcji głowic jądrowych.

- Ma się rozumieć, do dzieła natychmiast przystąpili Izraelczycy - ciągnął Hipwell. - Najpierw oddział komandosów wysadził w powietrze turbinę, zanim jeszcze została załadowana na statek w Tulonie. W ten sposób, już na samym początku, w realizacji projektu powstało dwuletnie opóźnienie. Następnie, w roku 1981, izraelskie myśliwce bombardujące zmiotły z powierzchni ziemi instalacje nuklearne Osirak Jeden i Dwa. Od tamtej pory Saddamowi nie udało się nigdzie kupić nowego reaktora. Zresztą, po pewnym czasie przestał nawet próbować.

- Dlaczego, u licha? - zapytał Harry Sinclair.

- Ponieważ zmienił kierunek poszukiwań - odparł Hipwell z radosnym uśmiechem człowieka, który w ciągu pół godziny rozwiązał krzyżówkę w Timesie. - Początkowo, że tak się wyrażę, chciał dojść do bomby atomowej drogą plutonową, potem natomiast przerzucił się na uran. Odniósł nawet pewne sukcesy, jednak nie było ich tak wiele, żeby...

- Nic nie rozumiem - przerwał uczonemu sir Paul Spruce. - Na czym polega różnica między bombą atomową zawierającą pluton, a taką samą bombą z uranem?

- Ta z uranem jest znacznie prostsza - wyjaśnił fizyk. - Istnieje dużo radioaktywnych substancji, które można wykorzystać do zapoczątkowania reakcji łańcuchowej, ale do tego, żeby skonstruować prostą, efektywną bombę najlepiej nadaje się właśnie uran. I do tego też od 1982 roku dąży Saddam. Nie osiągnął celu, ale cały czas próbuje, i pewnego dnia mu się to uda. Doktor Hipwell z rozpromienioną miną rozparł się w fotelu, jakby właśnie odkrył tajemnicę Stworzenia. Sir Paul Spruce, podobnie jak niemal wszyscy uczestnicy zebrania, nadal miał mnóstwo wątpliwości.

- Jeżeli Saddam może bez większych problemów kupować uran do tego swojego zniszczonego reaktora, to dlaczego nie potrafi zbudować z niego bomby? - zapytał.

Hipwell tylko czekał na to pytanie.

- Ponieważ do tego potrzeba zupełnie innego rodzaju uranu, moi drodzy. W ogóle ten uran to zabawny pierwiastek. Niezmiernie rzadki. Z tysiąca ton rudy uzyskuje się kostkę wielkości pudełka papierosów. To tak zwany uran naturalny, w którym dziewięćdziesiąt kilka procent stanowi izotop 238. Znakomicie nadaje się do napędzania reaktora, ale nie do zrobienia bomby. Po to, żeby skonstruować bombę, trzeba lżejszego izotopu, uranu 235.

- Skąd się go bierze? - zapytał Paxman.

- On też znajduje się w tej kostce, tyle tylko, że w mikroskopijnych ilościach. Największy problem polega na oddzieleniu tych dwóch rodzajów uranu. Nazywa się to rozdzielaniem izotopów. To bardzo skomplikowany proces, niezmiernie kosztowny, wymagający zaawansowanej technologii, a także bardzo powolny.

- Jednak powiedział pan, że Irak zmierza w tym kierunku - zauważył Sinclair.

- Owszem, ale jest jeszcze daleko od celu. Istnieje tylko jeden sensowny sposób uzyskiwania uranu 235. Wiele lat temu, podczas realizacji Projektu Manhattan, wasi chłopcy próbowali kilku metod, ale wówczas to wszystko były eksperymenty. Ernest Lawrence poszedł w jednym kierunku, Robert Oppenheimer w drugim, aż wreszcie w sumie udało im się wyprodukować tyle uranu 235, że wystarczyło go do zrobienia "Little Boy" *.

* Tak nazywała się bomba, która 6 sierpnia 1945 roku została zrzucona na Hiroszimę (przyp. tłum.).

Po wojnie wymyślono metodę wirówkową, która od tej pory bezustannie udoskonalano. Obecnie wykorzystuje się tylko tę metodę. Mówiąc w największym skrócie, polega ona na tym, że wkłada się paliwo uranowe do dużej wirówki, która obraca się z tak ogromną prędkością, że cała operacja musi odbywać się w próżni, gdyż w przeciwnym razie roztopiłyby się łożyska.

Cieęższe izotopy - a więc te, których nie potrzebujemy - przemieszczają się stopniowo w kierunku zewnętrznej ściany wirówki i uciekają. To, co zostaje, jest odrobinę bardziej czyste od tego, co mieliśmy na początku. Ale tylko odrobinę. Cały proces trzeba powtarzać niemal w nieskończoność. Dopiero po kilku tysiącach godzin uzyskuje się cieniutki opłatek uranu 235 wielkości znaczka pocztowego.

- Ale Saddam jednak to robi? - nie dawał za wygraną sir Paul.

- Owszem. Mniej więcej od roku. Te wirówki... Po to, by zaoszczędzić czas, łączy się je w zespoły zwane kaskadami. Trzeba tysięcy wirówek, żeby stworzyć jedną kaskadę.

- Dlaczego zajęło im to aż tak dużo czasu, skoro zdecydowali się na tę drogę już w 1982 roku? - zapytał Terry Martin.

- Wirówek dyfuzyjnych nie kupuje się w sklepie z artykułami metalowymi - zwrócił mu uwagę Hipwell. - Początkowo próbowali sprowadzić je w całości, ale wszędzie spotykali się z odmową, więc w 1985 zaczęli ściągać poszczególne części, żeby poskładać je

na miejscu. Zgromadzili też około 500 ton wzbogaconego paliwa jądrowego -- większość pochodziła z Portugalii. Plany wirówek zdobyli w Niemczech Zachodnich...

- Przecież Niemcy podpisali wszystkie międzynarodowe umowy ograniczające rozprzestrzenianie technologii jądrowych! - zaprotestował Paxman.

- Może i podpisali - odparł uczonec. - Nie znam się na polityce. Fakty są jednak takie, że niemal cała technologia oraz znaczna część wyposażenia przybyły z Niemiec. Superwytrzymały metal, pojemniki z nierdzewnej stali, specjalne zawory, piece "czaszkowe", zwane tak dlatego, że wyglądają właśnie jak czaszki - wszystko to są wytwory bardzo wysoko rozwiniętego przemysłu.

- Chciałbym, żeby wyjaśnił nam pan jedną sprawę - odezwał się Harry Sinclair. - Czy Saddam zdołał już uruchomić wirówki służące rozdzielaniu izotopów?

- Tak, jedną kaskadę. Działa mniej więcej od roku. Wkrótce rozpocznie się rozruch technologiczny drugiej.

- Wie pan może, gdzie to wszystko się mieści?

- Zakład budujący kaskadę znajduje się w pobliżu miejscowości Tadżji, o, tutaj. - Uczony podał Amerykaninowi duże zdjęcie lotnicze z zaznaczonym czerwonym kółkiem skupiskiem budynków. - Funkcjonująca już kaskada jest prawdopodobnie ukryta pod ziemią niedaleko zniszczonego francuskiego reaktora Osirak w Tuwajisie. Nie wiem, czy uda się wypatrzeć ją z powietrza, bo na pewno jest starannie zamaskowana.

- A ta nowa?

- Nie mam pojęcia - odparł fizyk. - Może być gdziekolwiek.

- A najprawdopodobniej jeszcze gdzieś indziej - wtrącił się Terry Martin. - Od tamtego izraelskiego ataku Irakijczycy przywiązują ogromną wagę do rozproszenia i kamuflażu. Nie ma co liczyć na to, że znowu popełnią ten sam błąd i wsadzą wszystkie jaja do jednego koszyka.

Sinclair mruknął coś pod nosem.

- Skąd ta pewność, że Saddam Husajn nie ma jeszcze gotowej bomby? - zwrócił się sir Paul do Hipwella.

- Bo to głównie kwestia czasu, którego on po prostu nie miał. Po to, żeby skonstruować najprostszą bombę, trzeba od 30 do 35 kilogramów w miarę czystego uranu 235. Jeden cykl wirowania trwa dwanaście godzin, a po to, by uzyskać wymagane 93 procent czystości surowca, trzeba około tysiąca cykli. Nawet jeśli założymy, że wirówki będą działać bez przerwy przez 24 godziny na dobę - co jest niemożliwe - to otrzymujemy minimum 500 dni. Do tego należy dodać zapas na czyszczenie, obsługę i ewentualne awarie. Żeby wyprodukować ponad trzydzieści kilogramów uranu, kaskada składająca się z tysiąca wirówek musiałaby działać bez przerwy przez pięć lat, a jeżeli w przyszłym roku będą już dwie, to trzy lata.

- A więc może uzyskać swoje 35 kilogramów najwcześniej w 1993 roku?

- Zgadza się.

- W takim razie, jeszcze jedno pytanie: gdy będzie już dysponował uranem, jak dużo czasu zajmie mu zbudowanie bomby?

- Nie więcej niż kilka tygodni. Kraj przygotowujący się do produkcji broni nuklearnej musi prowadzić jednocześnie badania w wielu dziedzinach. Samo skonstruowanie bomby jest stosunkowo proste, naturalnie dla kogoś, kto ma pojęcie o tym, co robi. A doktor Al-Dżafar z pewnością ma pojęcie - przecież sami nauczyliśmy go wszystkiego w Harwell! Najważniejsze jest jednak to, że w tej chwili Saddam nie ma wystarczającej ilości uranu. Wątpię, żeby uzbierał więcej niż jakieś 10 kilogramów. Zgromadze-

nie reszty pochłonie minimum trzy lata.

Przewodniczący podziękował doktorowi Hipwellowi za wysiłek, jaki ten włożył w przygotowanie analizy, po czym zakończył zebranie.

Po powrocie do ambasady Sinclair bezzwłocznie sporządził szczegółowy raport, który zaraz potem został zaszyfrowany i przesłany do Stanów, gdzie czekali już na niego amerykańscy analitycy z Sandii, Los Alamos, a przede wszystkim z laboratorium Lawrence'a Livermore'a w Kalifornii, gdzie od wielu lat ściśle tajny wydział, oznaczony kryptonimem "Departament Z" śledził na użytek Pentagonu i Departamentu Stanu rozprzestrzenianie technologii nuklearnej. Rzecz jasna Sinclair nie miał o tym pojęcia, ale ustalenia Amerykanów i Brytyjczyków były zaskakująco zbieżne. Terry Martin i Simon Paxman szli spacerkiem przez Whitehall, rozkoszując się ciepłymi promieniami październikowego słońca. - Co za ulga - stwierdził Paxman. - Stary Hipwell wie co mówi, a nasi przyjaciele zza oceanu chyba całkowicie się z nim zgadzają. Saddam nie ma jeszcze bomby. Przynajmniej jedno zmartwienie z głowy.

Rozstali się na rogu. Paxman ruszył na drugą stronę Tamizy, w kierunku Century House, Martin zaś przeszedł przez Trafalgar Square i pomaszerował St Martin's Lane ku Gower Street. Ustalenie, czym dokładnie dysponuje Irak, stanowiło zaledwie pierwszy krok w pożądanym kierunku, gdyż należało jeszcze to wszystko odnaleźć. Satelity KH-11 i KH-12 niestrudzenie przemierzały niebo nad iracką ziemią, fotografując wszystko, co znalazło się w zasięgu ich obiektywów.

W październiku otrzymały wzmocnienie w postaci nowego samolotu zwiadowczego, którego istnienie było okryte tak ścisłą tajemnicą, że nie wiedzieli o nim nawet politycy z Kapitolu. Maszyna ochrzczona kryptonimem "Aurora" docierała niemal do wrót kosmosu, przemykając wielokrotnie prędszej od dźwięku, daleko poza zasięgiem irackich rakiet przeciwlotniczych. Ten supernowoczesny twór zaawansowanej techniki, następcą legendarnego SR-71 blackbird, był nieuchwytny nawet dla stacji namiarowych rozmieszczonych na terenie dogorywającego ZSRR.

Na ironię zakrawa fakt, że choć blackbird został już wycofany ze służby, to jego następcą wywodził się w prostej linii od jeszcze starszego samolotu, liczącego sobie już niemal czterdzieści lat U-2. To właśnie tą maszyną leciał w 1960 roku Gary Po wers, kiedy został zestrzelony w okolicach Swierdłowska, i to te maszyny dostrzegły latem 1962 roku pierwsze radzieckie rakiety instalowane na Kubie, choć dopiero Oleg Pienkowski ujawnił, że jest to broń ofensywna, demaskując zamiary Chruszczowa i jednocześnie wydając na siebie wyrok śmierci.

U-2, w wersji z lat 90. przemianowany na TR-1, stał się raczej "podsłuchiwcem" niż "podglądaczem", choć, ma się rozumieć, wykonywał także zdjęcia.

Informacje napływające jesienią 1990 roku od naukowców, analityków i tłumaczy, z satelitów i samolotów, tworzyły coraz bardziej wyraźny i zarazem niepokojący obraz.

Pochodzące z tysiąca źródeł sygnały trafiały ostatecznie do tajnego pomieszczenia na drugim poziomie podziemi budynku saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa przy Old Airport Road. Pokój ten, mieszczący się przy tej samej ulicy co sala konferencyjna, w której wysocy dowódcy dyskutowali nad - nie zatwierdzonymi jeszcze przez ONZ - planami ataku na Irak, nazywano po prostu Czarną Dziurą.

Właśnie w Czarnej Dziurze brytyjscy i amerykańscy specjaliści, od szeregowca do generała, ustalali kolejność niszczenia najważniejszych celów. Ich praca zaowocowała powstaniem specjalnej

mapy przeznaczonej dla generała Chucka Homera, na której zaznaczono 700 obiektów. Sześćset z nich było typowymi obiektami wojskowymi – ośrodki dowodzenia, mosty, lotniska, arsenały, stanowiska rakiet przeciwlotniczych, obszary koncentracji oddziałów nieprzyjaciela – sto zaś miało jakiś związek z produkcją broni masowego rażenia. Do tych ostatnich zaliczały się między innymi ośrodki badawcze, laboratoria chemiczne, fabryki i magazyny. Zaznaczono także montownię wirówek w Tadźji oraz przypuszczalne usytuowanie ukrytej pod ziemią kaskady w kompleksie przemysłowym Tuwajsa. Nie było natomiast na tej mapie fabryki w Tarmijji oraz Al-Kubaj. Nikt nie wiedział o ich istnieniu. Kopia obszernego raportu nadesłanego z Londynu przez Harry'ego Sinclaira dołączyła do wielu innych, napływających z terenu Stanów Zjednoczonych i z zagranicy. Streszczenie tych wszystkich doniesień trafiło wreszcie do komórki Departamentu Stanu, znanej nielicznym wtajemniczonym jako Grupa Analiz Wydarzeń Politycznych i Informacji Wywiadu. Grupa ta opracowuje raporty przeznaczone wyłącznie dla osób zajmujących najwyższe stanowiska w państwie i podlega bezpośrednio sekretarzowi stanu, którym w tamtym czasie był James Baker.

Dwa dni później Mikę Martin leżał na dachu budynku, z którego rozciągał się widok na tę część Abrak Hisan, gdzie umówił się na spotkanie z Abu Fu'adem.

Niemal dokładnie o umówionej godzinie z prowadzącej na lotnisko autostrady króla Fajsala zjechał samochód, skręcił w boczną ulicę, przetoczył się powoli kilkadziesiąt metrów i wreszcie znieruchomiał w miejscu, gdzie nie docierało już jaskrawe światło latarni stojących przy autostradzie.

Z pojazdu wysiadło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Rozejrzeli się dokoła, a kiedy nabrali pewności, że nie są śledzeni, ruszyli powoli w kierunku placu, przy którym rosła kępa wysokich drzew.

Martin kazał im czekać przez pół godziny. Gdyby w tym czasie Beduin nie przybył na spotkanie, mieli wrócić do domu. Minęło jednak czterdzieści minut, zanim ruszyli w drogę powrotną do samochodu. Oboje byli bardzo zdenerwowani.

– Na pewno zatrzymało go coś niespodziewanego – powiedział Abu Fu'ad do swojej towarzyszki, kiedy wsiedli do pojazdu. – Może natknął się na patrol? Niech to cholera! Będę musiał zacząć wszystko od początku.

– Nie rozumiem, dlaczego mu ufasz – odparła kobieta. – Przecież nic o nim nie wiesz!

Rozmawiali po cichu, penetrując wzrokiem pogrążoną w ciemności ulicę.

– Jest przebiegły, odnosi sukcesy i zachowuje się jak profesjonalista. To wszystko, co muszę wiedzieć. Chciałbym z nim współpracować, naturalnie jeżeli on nie będzie miał nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie mam.

Oboje aż podskoczyli na fotelach, a kobieta wydała zduszony okrzyk.

– Nie odwracajcie się. Porozmawiajmy przez chwilę – powiedział głos z tylnego siedzenia.

Abu Fu'ad spojrział we wsteczne lustro, ale dostrzegł tylko niewyraźny zarys głowy owiniętej beduińską kufiją. W chwilę potem poczuł woń ciała człowieka, który prowadzi surowe życie.

– Poruszasz się wyjątkowo cicho, Beduinie.

– Nie widzę potrzeby robienia hałasu. Hałas przyciąga Irakijczyków, a to nie jest mi potrzebne – chyba że wtedy, kiedy jestem przygotowany na spotkanie z nimi.

Kuwejtczyk obnażył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– Wreszcie się spotkaliśmy. Bardzo dobrze, porozmawiajmy...

Ale właściwie dlaczego ukryłeś się w samochodzie?

– Gdybyście próbowali zastawić na mnie pułapkę, dowiedziałbym się tego z waszych pierwszych słów.

– Sami byśmy się zdemaskowali...

– Oczywiście.

– I co wtedy?

– Zabiłbym was.

– Rozumiem.

– Kim jest ta kobieta? Umówiłem się tylko z tobą.

– Ty wyznaczyłeś miejsce i termin spotkania, więc musiałem się jakoś zabezpieczyć. To moja dobra znajoma, Asrar Kabandi.

– Witam, panno Kabandi. O czym chcesz rozmawiać, Abu Fu'ad?

– O broni, Beduinie. O kałasznikowach, granatach i semteksie. Gdyby moi ludzie dysponowali takim wyposażeniem, z pewnością byłoby im znacznie łatwiej.

– Twoi ludzie giną i dostają się do niewoli. Ostatnio dziesięciu zostało okrażonych przez oddział wojska dowodzony przez oficerów tajnej policji. Wszyscy zginęli. Byli bardzo młodzi.

Abu Fu'ad milczał. On także miał świeżo w pamięci tę klęskę.

– Dziesięciu – odezwał się wreszcie. – Dziesiąty tylko udawał martwego. Potem udało mu się odczołgać. Znaleźliśmy go i zaopiekowaliśmy się nim. To on nam powiedział.

– O czym?

– Że ktoś ich zdradził. Gdyby nie on, nie dowiedzielibyśmy się o tym.

– Ach, zdrada... Cóż, zawsze należy liczyć się z tym niebezpieczeństwem. A co ze zdrajcą?

– Wiemy, kto nim jest. Do tej pory wydawało nam się, że możemy mu zaufać.

– Ale jest winien?

– Na to wygląda.

– Tylko wygląda?

Abu Fu'ad westchnął bezradnie.

– Ten, który przeżył, zaklina się, że o terminie i miejscu spotkania wiedział jeszcze tylko jeden człowiek. Nie można jednak wykluczyć, że przeciek nastąpił gdzieś indziej, albo że ktoś z nich był śledzony.

– W takim razie trzeba poddać próbie tego, którego podejrzewacie, i ukarać, jeżeli okaże się, że to on. Panno Kabandi, czy mogłaby pani opuścić nas na chwilę?

Młoda kobieta spojrzała pytająco na Abu Fu'ada, który skinął głową. Wsiadła z samochodu i ukryła się w mroku pod kępą drzew. Beduin przedstawił Abu Fu'adowi szczegóły swojego planu.

– Na pewno nie wyjdę z domu przed siódmą wieczorem, więc pod żadnym pozorem nie wolno ci zadzwonić wcześniej niż wpół do ósmej – zakończył. – Rozumiesz?

Beduin wyślizgnął się z samochodu i natychmiast zniknął w ciemnych alejkach biegnących między otoczonymi ogrodami willami. Kuwejtczyk uruchomił silnik, podjechał po pannę Kabandi i odwiózł ją do domu.

Beduin nigdy więcej nie spotkał młodej kobiety. Na krótko przed wyzwoleniem Kuwejtu Asrar Kabandi została schwytana przez tajną policję, poddana okrutnym torturom, wielokrotnie zgwałcona, a wreszcie zastrzelona. Trupowi ucięto głowę. Mimo potwornych męczarni wytrwała do końca i nie powiedziała ani słowa.

Simon Paxman nie był zanadto zachwycony, kiedy dowiedział się, że dzwoni Terry Martin. Miał mnóstwo roboty, lecz mimo to

zgodził się odebrać telefon, ponieważ zdążył już polubić przewrażliwionego naukowca.

– Przepraszam, że zawracam panu głowę, ale czy może zna pan kogoś w Rządowym Centrum Informacyjnym?

– Tak, oczywiście – odparł Paxman. – Głównie w sekcji arabskiej, ma się rozumieć. Nawet samego kierownika.

– Mógłby pan może zadzwonić do niego i poprosić, by zechciał się ze mną spotkać?

– Myślę, że nie powinno być z tym żadnego problemu. Wpadł pan na jakiś pomysł?

– Chodzi mi o to, co przechwytyują z Iraku. Ma się rozumieć, słuchałem wszystkich przemówień Husajna, czytałem komunikaty o zakładnikach i żywych tarczach, a także oglądałem te ich upiorne programy propagandowe w telewizji, ale chciałbym wiedzieć, czy nie można dobrać się do czegoś, co nie zostało oficjalnie zaakceptowane przez ich Ministerstwo Propagandy?

– No, tym właśnie zajmuje się Centrum – odparł Paxman. – Na pewno panu pomogą. Jako członek Komitetu Meduza ma pan prawo żądać od nich wszelkich potrzebnych informacji. Zaraz tam zadzwonię.

Jeszcze tego samego popołudnia Terry Martin pojechał do Gloucestershire i zameldował się przy bramie, strzegącej dostępu do porośniętych lasem anten budynków mieszczących trzeci z najważniejszych działów brytyjskiego wywiadu.

Kierownikiem sekcji arabskiej był Sean Plummer, zaś jednym z jego pracowników niejaki Al-Churi, który przed jedenastu tygodniami sprawdził w restauracji w Chelsea stopień opanowania przez Mike'a Martina niuansów języka arabskiego. Naturalnie ani Terry Martin, ani Sean Plummer nie mieli o tym najmniejszego pojęcia.

Mimo nawału zajęć kierownik zgodził się natychmiast przyjąć doktora Martina, ponieważ znał jego dokonania naukowe, a najbardziej cenił sobie prace dotyczące kalifatu abbasydzkiego.

– Co mogę dla pana zrobić? – zapytał, kiedy w pokoju rozszedł się przyjemny zapach herbaty miętowej. Herbata miętowa była jedynym luksusem, na jaki Plummer pozwalał sobie w pracy, a i to tylko dlatego, żeby uniknąć cierpień, jakie niosła ze sobą służbowa kawa. Martin wyjaśnił, że nieco dziwi go mizerna liczba rozmów przechwytywanych przez stacje nasłuchowe rozmieszczone wokół Iraku.

Oczy Plummera natychmiast rozbliły.

– Oczywiście, ma pan rację! Jak pan doskonale wie, nasi arabscy przyjaciele zawsze mieli zwyczaj gadać jak najęci, ale od kilku lat obserwujemy stały spadek liczby połączeń radiowych. Zjawisko to może mieć tylko dwie przyczyny: albo diabli wzięli jedną z najbardziej charakterystycznych cech narodowych, albo...

– Łączność przewodowa – domyślił się Martin.

– Otóż to. Chłopcy Saddama zdołali zakopać w ziemi ponad 70 000 kilometrów światłowodów i pomału przestają korzystać z radia. Dla mnie to ordynarne świństwo. Niech pan sam powie, w jaki sposób mam teraz zdobywać dla tych palantów z Londynu najświeższe irackie prognozy pogody albo listę rzeczy, które oddała do magła mamuśka naszego przyjaciela Saddama?

Martin doskonale zdawał sobie sprawę, że Centrum dostarczało znacznie poważniejszych informacji.

– To znaczy, nadal gadają przez radio, i to prawie wszyscy, od ministrów i generałów poczynając, na załogach czołgów okopanych w pobliżu granicy z Arabią Saudyjską kończąc, ale te naprawdę ważne, ściśle tajne rozmowy zniknęły z eteru. Chce pan zobaczyć to, co mamy? Przez następne cztery godziny Terry Martin przeglądał stosy stenogramów. To, czego szukał, mogło okazać się pozornie błahą

rozmową telefoniczną, trudną do wyjaśnienia pomyłką, może jakimś zagadkowym przejęzyczeniem. Wreszcie zrezygnował i ponownie zastukał do drzwi gabinetu kierownika sekcji arabskiej.

- Czy mógłby pan zawiadomić mnie, gdybyście trafili na coś naprawdę dziwnego, co na pierwszy rzut oka nie ma najmniejszego sensu?

Mikę Martin doszedł do wniosku, że pewnego dnia musi napisać przewodnik turystyczny po dachach Al-Kuwajt. Coraz więcej czasu spędzał leżąc na którymś z nich i przypatrując się uważnie okolicy. Z drugiej strony, nie powinien narzekać, gdyż znakomicie spełniały swoje zadanie.

Na tym dachu przebywał już niemal dwa dni, obserwując dom, którego adres podał Abu Fu'adowi. Była to jedna z sześciu willi, oddanych mu do dyspozycji przez Al-Chalifę; teraz korzystał z niej po raz ostatni.

Choć do dzisiejszego dnia, czyli do 9 października, nie powinno nic się wydarzyć, jednak nie spuszczał willi z oczu w dzień i w nocy, żywiąc się owocami i chlebem, które zabrał ze sobą.

Gdyby iraccy żołnierze zjawili się przed wpół do ósmej wieczorem 9 października, wówczas byłoby jasne, że zdrajcą jest sam Abu Fu'ad. Mikę zerknął na zegarek: dokładnie siódma trzydzieści. Zgodnie z instrukcją Kuwejtczyk powinien właśnie przystąpić do realizacji najważniejszej części planu.

Rzeczywiście, w drugim końcu miasta Abu Fu'ad podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po trzecim sygnale ktoś odebrał telefon.

- Salah?

- Tak, kto mówi?

- Nigdy się nie spotkaliśmy, ale słyszałem o tobie wiele dobrych rzeczy. Podobno jesteś dzielny i lojalny. Nazywają mnie Abu Fu'ad.

Człowiek na drugim końcu linii wstrzymał oddech.

- Potrzebuję twojej pomocy. Czy mogę na ciebie liczyć?

- O, tak, Abu Fu'ad! Powiedz tylko, czego ode mnie chcesz!

- Nie chodzi o mnie, tylko o przyjaciela. Został ranny. Wiem, że jesteś aptekarzem. Zabierz ze sobą bandażę, antybiotyki i środki przeciwbólowe. Czy słyszałeś o człowieku zwanym Beduinem?

•** Tak, oczywiście. Chcesz powiedzieć, że to o niego chodzi?

- Współpracujemy już od wielu tygodni. Jest dla nas bezcenny.

- Zaraz zejdę do apteki i wezmę wszystko, czego potrzeba.

Gdzie mogę go znaleźć?

- Ukryliśmy go w willi w Szuwajch. Na pewno nie zdoła ruszyć się stamtąd o własnych siłach. Weź coś do pisania.

Abu Fu'ad podyktował adres otrzymany od Beduina.

- Natychmiast tam pojadę, Abu Fu'ad. Możesz mi ufać - powiedział Salah.

- Jesteś dobrym człowiekiem. Zostaniesz sownie wynagrodzony. .>

Abu Fu'ad odłożył słuchawkę. Teraz nie pozostało mu nic innego, jak tylko czekać. Beduin obiecał, że jeśli okaże się, iż aptekarz jest "czysty", zadzwoni z tą informacją następnego dnia rano.

Pierwszą ciężarówkę Mikę Martin usłyszał - bo nie zobaczył - tuż po wpół do dziewiątej. Toczyła się rozpędem z wyłączonym silnikiem, minęła skrzyżowanie, po czym zatrzymała się kilkanaście metrów dalej, w najgłębszej ciemności. Martin z uznaniem skinął głową.

W chwilę potem to samo uczyniła druga ciężarówka. Z każdego z pojazdów wyskoczyło bezszelestnie dwudziestu żołnierzy: Zielone Berety, nieźli fachowcy. Dowodził nimi oficer prowadzący przed sobą ubranego na białą, i przez to doskonale widocznego w ciem-

ności, cywila. Przypuszczalnie pełnił funkcję przewodnika, bo choć przy furtkach wisiały szyldy z numerami domów, po tabliczkach z nazwami ulic nie pozostał nawet ślad.

Cywil zatrzymał się przy ogrodzeniu i wyciągnął rękę. To tutaj. Kapitan wydał szeptem polecenie sierżantowi, który zabrał piętnastu ludzi i zniknął z nimi w bocznej alejce.

Kapitan pchnął metalową furtkę prowadzącą do niewielkiego ogrodu. Otworzyła się z cichym skrzypnięciem, a oficer wraz ze swymi ludźmi wkroczył na teren posesji.

Z ogrodu wyraźnie widać było przyćmione światło w pokoju na piętrze. Niemal cały parter zajmowały puste garaże. Kiedy oddział dotarł do drzwi frontowych, oficer zrezygnował ze środków ostrożności; przekonawszy się, że drzwi są zamknięte, posłał w zamek krótką serię z pistoletu maszynowego.

Zielone Berety wpadły do środka. Część żołnierzy zajęła się przeszukiwaniem parteru, pozostali zaś pobiegli za kapitanem na piętro, do sypialni.

Już ze schodów kapitan ujrzał wewnątrz oświetlonego słabym blaskiem lampki pokoju, odwrócony tyłem do drzwi fotel i wystający zza górnej krawędzi oparcia fragment krzasiastej kufiji. Mimo to nie otworzył ognia, gdyż rozkazy, jakie otrzymał od pułkownika Sabawiego, były jasne: Al-Aman al-Amm musi dostać tego człowieka żywcem. Młody oficer wpadł do sypialni, nie poczuwszy, że zerwał nogą żyłkę rozpiętą tuż nad podłogą.

Zaraz za nim wbiegli jego ludzie. Kiedy kapitan zbliżył się ostrożnie do fotela, zobaczył kukłę zrobioną z poduszek, Jaśków i starych ubrań, z głową wykonaną z arbuza owiniętego krzasiastą kufiją. Ogarnięty wściekłością odwrócił się w stronę drżącego ze strachu aptekarza i otworzył usta, żeby obsypać go stekiem wyzwisk.

Mogłoby się wydawać, że dwa kilogramy semteksu to niezbyt duża ilość, tym bardziej że taka porcja rzeczywiście nie wygląda nazbyt imponująco. Okoliczne wille zostały zbudowane z solidnej cegły i kamienia, co uchroniło je przed poważniejszymi zniszczeniami, ale dom, do którego wtargnęli iraccy żołnierze, po prostu przestał istnieć. Fragmenty dachówek znajdowano później w odległości kilkuset metrów od miejsca eksplozji.

Beduin nie czekał, żeby podziwiać efekt swojej pracy. W chwili, kiedy nastąpił wybuch, był już dwie przecznice dalej; niemłody, ubogi człowiek, powłóczący nieco nogami, najwyraźniej pogrążony głęboko w myślach.

Następnego dnia, już po zmroku, wydarzyły się trzy rzeczy. Najpierw Beduin ponownie spotkał się z Abu Fu'adem. Tym razem Kuwejtczyk przyszedł sam na spotkanie, które zostało wyznaczone w cieniu łukowato sklepionej bramy zaledwie 200 metrów od hotelu Sheraton, gdzie zamieszkali iraccy oficerowie.

– Słyszałeś już, Abu Fu'ad?

– Oczywiście. Całe miasto aż huczy od plotek. Zginęło ponad dwudziestu żołnierzy, a wielu jest rannych. •*- Westchnął ciężko. – Znowu będą represje.

– Chcesz się wycofać?

– Nie. Nie możemy tego zrobić. Ale jak długo jeszcze będziemy cierpieć?

– Pewnego dnia Amerykanie i Brytyjczycy przyjdą i was wyzwolą.

– Niech Allah sprawi, żeby stało się to jak najprędzej... Czy Salah przyjechał z żołnierzami?

– Przeprowadził ich. Zauważyłem tylko jednego cywila, więc to na pewno był on. Nie mówiłeś nikomu więcej?

– Nie, tylko jemu. Miał na sumieniu życie dziewięciu młodych ludzi. Na pewno nie ujrzy raj.

– Też tak uważam. Czego jeszcze chcesz ode mnie?

– Nie pytam, kim jesteś ani skąd przybywasz. Jako oficer domyślałam się jednak, że nie możesz być zwykłym Beduinem z pustyni. Masz zapasy materiałów wybuchowych, broń, amunicję, granaty... Moim ludziom bardzo by się to wszystko przydało.

– Jak brzmi twoja propozycja?

– Przyłącz się do nas i udostępniij nam swoje zapasy, albo działaj dalej na własną rękę, ale wspomóż nas sprzętem. Nie przyszedłem tu po to, żeby grozić, tylko żeby prosić. Powinieneś się zgodzić, jeżeli naprawdę chcesz nam pomóc.

Mikę Martin zastanawiał się przez chwilę. Po ośmiu tygodniach działalności została mu jeszcze połowa tego, co przywiózł z Arabii Saudyjskiej. Większość leżała zakopana na pustyni, część zaś ukrył w dwóch willach, które wykorzystywał jako magazyny. Z pozostałych czterech domów jeden uległ zniszczeniu, drugi zaś – ten, w którym spotykał się ze studentami – został wyłączony z użytkowania. Mógłby przekazać sprzęt ruchowi oporu, a następnie poprosić o dostarczenie drogą lotniczą kolejnej porcji broni i amunicji. Nocny zrzut na pustyni był dosyć ryzykownym przedsięwzięciem, ale z pewnością dałoby się to zorganizować – naturalnie pod warunkiem, że Irakijczycy nie przechwytyją jego komunikatów wysyłanych do Bagdadu. Mógłby też odbyć jeszcze jedną podróż na grzbiecie wielbłąda i wrócić z nowym ładunkiem, ale z tym także wiązało się spore ryzyko, gdyż Irak zgromadził nad granicą szesnaście dywizji, a więc trzykrotnie więcej niż osiem tygodni temu.

Najwyższa pora, żeby ponownie skontaktować się z Rijadem i poprosić o instrukcje. Tymczasem odda Abu Fu'adowi prawie wszystko co ma. Na południe od granicy czekało mnóstwo tego towaru; należało tylko wymyślić jakiś sposób, żeby go tu ściągnąć.

– Gdzie chcesz to odebrać? – zapytał.

– Korzystamy z magazynu rybnego w porcie. To bezpieczne miejsce. Właściciel jest jednym z nas.

– Za sześć dni – powiedział Martin.

Ustalili czas i miejsce, w którym zaufany współpracownik Abu Fu'ada będzie czekał na Beduina, żeby zaprowadzić go do magazynu. Martin opisał dokładnie swój pojazd oraz uprzedził, jak się ubierze.

Tego samego wieczoru, tyle tylko, że dwie godziny później, Terry Martin siedział w niewielkiej restauracji w pobliżu swojego mieszkania i obracał w dłoni kieliszek z winem. Człowiek, na którego czekał, zjawił się po kilku minutach; był to starszy już mężczyzna o siwych włosach, w okularach i muszce.

– Tutaj, Mosze!

Izraelczyk podszedł szybkim krokiem do stolika i serdecznie przywitał się z Martinem.

– Terry, mój drogi chłopcze, jak się miewasz?

– Znacznie lepiej, kiedy cię widzę, Mosze. Nie mogłem pozwolić, żebyś będąc w Londynie nie zjadł ze mną kolacji i choć chwilę nie pogadał.

Siwowłosa mężczyzna mógłby być ojcem doktora Martina, ale przyjaźń tych dwóch ludzi opierała się na mocnych podstawach, którymi były wspólne zainteresowania. Obaj uczeni specjalizowali się w historii, kulturze i językach arabskich cywilizacji, jakie na przestrzeni dziejów rozkwiatały i upadały na Bliskim Wschodzie. Profesor Mosze Hadari przeżył długą drogę życiową. Jako młody człowiek uczestniczył w pracach wykopaliskowych prowadzonych w Ziemi Świętej przez Jigaela Jadena, uczonego i generała. Ogromnie żałował, że jako Izraelczyk nie ma dostępu do wielu interesujących

miejsc na Bliskim Wschodzie, ale mimo tych przeszkód zdobył sobie mocną pozycję w świecie nauki, a ponieważ dziedzina, w której się specjalizował, była dość wąska, nie należało się dziwić, że przed dziesięciu laty, przy okazji jednego z seminariów, Hadari poznał młodego, świetnie się zapowiadającego brytyjskiego naukowca. Teraz, podczas smacznego posiłku, rozmawiali o swoich najnowszych badaniach, dotyczących codziennego życia w bliskowschodnich królestwach przed dziesięcioma stuleciami. Terry Martin doskonale zdawał sobie sprawę, że nie wolno mu wspomnieć ani słowem o jego trwającej od niedawna współpracy z Century House, ale przy kawie rozmowa w całkiem naturalny sposób zeszała na temat kryzysu nad Zatoką Perską i ewentualnej wojny.

- Myślisz, Terry, że on wycofa się z Kuwejtu? - zapytał profesor.

Martin pokręcił głową.

- Na pewno nie, chyba że stworzy mu się szansę, obiecując ustępstwa, które iracka propaganda przedstawi jako jego zwycięstwo. W przeciwnym razie byłby skończony.

Hadari westchnął głęboko.

- Cóż za szkoda, cóż za okropna szkoda! Te pieniądze, dzięki którym można by zamienić Bliski Wschód w raj na ziemi, ci nieszczęśliwi młodzi ludzie... I po co to wszystko? Terry, jeżeli dojdzie do wojny, czy Brytyjczycy staną u boku Amerykanów?

- Oczywiście. Już posłaliśmy tam 7. Brygadę Pancerną, a zdaje się, że 4. Pancerna też szykuje się do wyjazdu. W sumie to już cała dywizja, nie licząc samolotów i okrętów. Ale ty nie masz się czego obawiać, Mosze. To chyba jedyna wojna na Bliskim Wschodzie, w której Izrael pod żadnym pozorem nie może wziąć udziału.

- Wiem, wiem... - odparł ponuro starszy mężczyzna. - Ale i tak zginie wielu młodych ludzi.

Martin pochylił się nad stołem i poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Tego szaleńca trzeba w jakiś sposób powstrzymać. Przypuszczam, że tylko wy wiecie, do jakich rozmiarów udało mu się rozbudować arsenał broni masowej zagłady. My dopiero teraz zaczęliśmy odkrywać prawdę.

- Ale przecież nasi ludzie z pewnością wam pomagają! Nie trzeba wielkiej wyobraźni, żeby domyślić się, że będziemy stanowić jeden z jego głównych celów.

- Owszem, pomagają - odparł Martin. - W ustalaniu priorytetowych celów, z czym sami dalibyśmy sobie radę. Problem polega na czym innym: ani Londyn, ani Waszyngton, ani nawet Tel-Awiv nie dysponują wiarygodnymi, aktualnymi informacjami z najwyższych kręgów władzy Iraku. Nie mamy swojego człowieka w Bagdadzie, i to nas bardzo martwi.

Dwadzieścia minut później obaj mężczyźni wyszli z restauracji i profesor Hadari wsiadł do taksówki, która odwiozła go do hotelu. Koło północy, na rozkaz urzędującego w Bagdadzie Hasana Rahmaniego, w Kuwejcie zostały zainstalowane trzy radionamierniki. Miały one przechwycić sygnały tajemniczej radiostacji nadającej z pustyni i ustalić jej położenie. Jeden z nich ulokowano na dachu wysokiego budynku w dzielnicy Ardijja, na południowych przedmieściach Al-Kuwajt. Jego antena była stale skierowana w stronę pustyni. Dwa pozostałe mieściły się w ogromnych ciężarówkach z antenami na dachach, zaopatrzonych w potężne generatory wytwarzające prąd elektryczny. W zaciemnionym wnętrzu operatorzy siedzieli przy jarzących się słabym blaskiem ekranach w oczekiwaniu na sygnał, który, jak powiedzieli im zwierzchnicy, powinien nadejść z obszaru rozciągającego się między południowym skrajem miasta a granicą z Arabią Saudyjską.

Jedna ciężarówka stała na szosie pod Dżahrą, sporo na zachód od stacjonarnego radionamiernika w Ardijji, drugą zaś zaparkowano na terenie szpitala Al-Adan, gdzie na samym początku inwazji Irakijczycy zgwałcili jedną z pielęgniarek. Dzięki zamiarom przeprowadzanym jednocześnie przez wszystkie trzy stacje można było zlokalizować źródło sygnałów z dokładnością do kilkudziesięciu metrów.

W bazie lotniczej Al-Ahmadi, skąd Chalid al-Chalifa wystartował swoim skyhawkiem do jedynego lotu bojowego w obronie ojczyzny, stał gotowy w każdej chwili do startu radziecki śmigłowiec bojowy "Łania" z uzbrojonymi po zęby ludźmi na pokładzie. Po to, by uzyskać na to zgodę dowódcy Irackich Sił Powietrznych, Rahmani musiał użyć bardzo poważnych argumentów. Z obśadzeniem radionamierników miał znacznie mniej problemów, gdyż użył do tego własnych ludzi/ najlepszych, jakimi dysponował w Bagdadzie.

Profesor Hadari spędził bezsenną noc. Nie dawało mu spokoju to, co usłyszał od swego angielskiego przyjaciela. Uważał się za całkowicie lojalnego Izraelczyka, urodzonego w starej żydowskiej rodzinie, która wyemigrowała do Palestyny na przełomie wieków wraz z takimi ludźmi jak Ben Jehuda i Dawid Ben Gurion. On sam urodził się na przedmieściach Jafy, kiedy był to jeszcze kipiący życiem port zamieszkały niemal wyłącznie przez Palestyńczyków, i już jako dziecko nauczył się mówić po arabsku.

Wychował dwóch synów, z których jeden zginął w zasadzce w Południowym Libanie. Miał pięcioro wnucząt. Nikt nie będzie mógł im powiedzieć, że dziadek nie kocha swojego kraju.

A jednak Mosze Hadari uważał, że stało się wielkie zło. Jeżeli wybuchnie wojna, zginie wielu młodych ludzi, takich jak jego Zeew. I co z tego, że to będą Brytyjczycy, Amerykanie i Francuzi? Czy akurat teraz Kobi Dror powinien dawać pokaz mściwego, małosstkowego szowinizmu?

Wstał wcześniej, uregulował rachunek, spakował się i zamówił taksówkę na lotnisko. Przed opuszczeniem hotelu kręcił się przez chwilę w pobliżu zainstalowanych w głównym holu automatów telefonicznych, ale w końcu zmienił zamiar.

Dopiero mniej więcej w połowie drogi na lotnisko poleciał kierowcy, żeby ten zjechał z autostrady M4 i poszukał budki telefonicznej. Taksówkarz spełnił jego życzenie, mamrocząc coś pod nosem o stracie czasu i zawracaniu głowy. Hadari miał szczęście.

- Złapał go pan już w drzwiach - powiedział Hilary z mieszkania w Bayswater.

W chwilę potem do telefonu podszedł Terry Martin.

- Terry, mówi Mosze. Muszę się streszczać. Powiedz swoim ludziom, że Mosad ma kogoś bardzo wysoko w Bagdadzie. Powiedz im, żeby zapytali, co się stało z Jerychem. Do zobaczenia, przyjacielu.

- Zaraz, chwileczkę! Mosze, jesteś tego pewien? I skąd to właściwie wiesz?

- Nieważne. Ja nic ci nie powiedziałem. Do widzenia.

Profesor odwiesił słuchawkę, wsiadł do taksówki i ruszył w dalszą drogę na Heathrow. Kiedy uświadomił sobie, co naprawdę zrobił, zaczął trząść się jak w febrze. Czy mógł jeszcze wyjaśnić Terry'emu, że to właśnie on, profesor arabistyki z uniwersytetu w Tel-Awii, tłumaczył pierwszy list, którego adresatem był tajemniczy Jerycho?

Tuż po dziesiątej Terry Martin złapał telefonicznie Simona Paxmana.

- Lunch? Przykro mi, ale nic z tego. Mam od cholery roboty. Może jutro.

- Za późno. To bardzo ważne, Simon.

Paxman westchnął ciężko. Ani chybi znakomity uczony znalazł nowe wyjaśnienie fragmentu jakiegoś irackiego komunikatu i uważa, że to zmieni losy świata.

– O lunchu naprawdę nie ma mowy, bo urządzili nam jakieś zebranie. Możemy się umówić najwyżej na szybkiego drinka. Hole-in-the-Wall, to taki pub pod mostem Waterloo, o dwunastej. Będę miał dla ciebie najwyżej pół godziny, Terry.

– W zupełności wystarczy. Do zobaczenia.

Kilka minut po dwunastej siedzieli przy piwie w niewielkim lokalu, nad którym co chwila przejeżdżały pociągi do Kentu, Sussex i Hampshire. Martin powtórzył wiadomość, którą otrzymał rano, nie ujawniając jednak jej źródła.

– A niech mnie cholera! – szepnął Paxman. – Od kogo to masz?

– Nie mogę powiedzieć.

– Musisz.

– Posłuchaj, on sam z tym do mnie przyszedł. Dałem mu słowo. To bardzo poważny człowiek, uczony. Tyle musi ci wystarczyć.

Paxman zastanawiał się głęboko. Uczony, znajomy Terry'ego Martina... Z pewnością także arabista. Kto wie, może wykonywał jakieś zlecenia dla Mosadu? Tak czy owak, należało jak najprędzej zawiadomić Century House. Podziękował Martinowi, zostawił ledwo napoczęte piwo i szybkim krokiem wrócił do niepozornej siedziby brytyjskiego wywiadu.

Na szczęście Steve Laing był w budynku, gdyż brał udział w wyznaczonym w porze lunchu zebraniu. Paxman poprosił go na bok i przekazał mu wiadomość, Laing zaś bezzwłocznie udał się do samego Szefa.

Sir Golin, który nigdy nie dawał ponieść się nerwom, oznajmił, że Uważa generała Kobi Drora za "wyjątkowo nieciekawego osobnika", zrezygnował z lunchu w restauracji, kazał sobie przynieść parę kanapek do gabinetu na ostatnim piętrze i podniósł słuchawkę zabezpieczonego przed podsłuchem telefonu, by połączyć się z sędzią Williamem Websterem, dyrektorem CIA.

W Waszyngtonie było dopiero wpół do dziewiątej, ale sędzia należał do ludzi, którzy wstają z kurami, więc siedział już przy biurku. Wysłuchał uważnie tego, co miał do powiedzenia jego brytyjski kolega, zadał mu kilka pytań dotyczących źródła informacji, mruknął coś niechętnie, kiedy nie uzyskał satysfakcjonującej odpowiedzi, niemniej jednak zgodził się z opinią, że sprawie należy nadać bieg możliwie jak najszybciej.

Zaraz potem poinformował o wszystkim Billa Stewarta, swojego zastępcę ds. operacyjnych, który najpierw zareagował wybuchem wściekłości, następnie zaś odbył prawie półgodzinny rozmowę z Chipem Barberem, szefem Wydziału Bliskowschodniego Agencji. Gniew Barbera był jeszcze większy, gdyż to on właśnie siedział w fotelu naprzeciwko generała Drora w przestronnym pokoju na szczycie wzgórza w pobliżu Hercliji i wysłuchiwał tego, co okazało się stekiem kłamstw.

We dwóch ustalili, jak należy postąpić, po czym poinformowali dyrektora o swoim planie.

Wczesnym popołudniem William Webster spotkał się z Brentem Scowcroftem, przewodniczącym Rady Bezpieczeństwa Narodowego, który następnie przedstawił sprawę prezydentowi Bushowi. Webster otrzymał zgodę na natychmiastowe przystąpienie do działania.

Potrzebna była jeszcze pomoc sekretarza stanu, a James Baker udzielił jej bez najmniejszego wahania. Jeszcze tej samej nocy Departament Stanu wysłał do Tel-Awihu pilną depeszę, która co prawda trafiła do rąk adresata dopiero rano, ale za to tylko trzy

godziny po jej nadaniu, a to dzięki różnicy czasu między dwiema stolicami.

W tamtym okresie wiceministrem spraw zagranicznych Izraela był Benijamin Natanjahu, przystojny, elegancki, szpakowaty dyplomata, brat Jonatana Natanjahu, jedynego Izraelczyka zabitego podczas ataku na port lotniczy w Entebe, kiedy to przysłani z Tel-Awiwu komandosi odbili francuski samolot porwany przez palestyńskich i niemieckich terrorystów.

Benijamin Natanjahu był sabrą w trzecim pokoleniu i część wykształcenia zdobył w Ameryce. Do utworzonego przez partię Likud rządu Icchaka Szamira trafił dzięki politycznej giętkości połączonej z gorącym nacjonalizmem i bardzo często prezentował zachodnim dziennikarzom poglądy państwa Izrael na zagadnienia związane z aktualną sytuacją międzynarodową.

Dwa dni później, 14 października, wysiadł z samolotu na waszyngtońskim lotnisku Dullesa, cokolwiek zaskoczony nagłym zaproszeniem wystosowanym przez Departament Stanu do odwiedzenia USA w celu omówienia spraw o dużym znaczeniu.

Zdumienie jego znacznie wzrosło, kiedy w trakcie trwających dwie godziny rozmów z zastępcą sekretarza stanu Lawrence'em Eagleburgerem okazało się, iż Amerykanie chcieli jedynie dokonać kompleksowego przeglądu wydarzeń, jakie miały miejsce na Bliskim Wschodzie po 2 sierpnia. Z trudem ukrywając irytację dotrwał jakoś do końca spotkania, przez cały czas myśląc o czekającym go, całonocnym locie powrotnym do Tel-Awiwu.

Kiedy wychodził już z budynku Departamentu Stanu, doręczono mu zaadresowaną do niego kopertę. Wewnątrz znajdowała się kartka kosztownego czerpanego papieru z kilkoma zdaniami skreślonymi eleganckim, ozdobnym pismem. Autor listu prosił, żeby przed odlotem z Waszyngtonu minister Natanjahu zechciał odwiedzić go w jego domu w celu "omówienia kilku kwestii niezwykle ważnych dla obu naszych krajów i narodów".

Minister wielokrotnie widział ten podpis, znał człowieka, który go złożył, i wiedział, jak wielkim dysponuje on bogactwem. Przed drzwiami czekała już limuzyna. Izraelski dyplomata szybko podjął decyzję: polecił sekretarzowi odebrać z ambasady bagaże i za dwie godziny przyjechać po niego pod wskazany adres w Georgetown. Stamtąd udadzą się prosto na lotnisko.

Nigdy wcześniej nie gościł w tym domu, a to, co zobaczył, przechodziło najśmielsze wyobrażenia. Był to okazały budynek po lepszej stronie M Street, zaledwie 300 metrów od Uniwersytetu Georgetown. Służący wprowadził ministra do biblioteki o ścianach wykładanych szlachetnymi gatunkami drewna, zawieszonych obrazami niezwyklej urody. Chwilę później do pokoju wszedł gospodarz i z wyciągniętą ręką ruszył na spotkanie gościa.

- Mój drogi Bibi, jak to miło z twojej strony, że znalazłeś dla mnie trochę czasu!

Saul Nathanson był bankierem i finansistą. Zdobył ogromną fortunę, nie uciekając się jednak do oszustw i matactw, które spowszedniały na Wall Street za panowania Boesky'ego i Milkena. Nigdy nie chełpił się swoim bogactwem, ale XVI- i XVII-wieczne obrazy na ścianach jego rezydencji nie były kopiami, zaś szczodre datki na rzecz instytucji dobroczynnych, w tym także tych, które działały w Izraelu, stały się już legendą.

Wskazał gościowi dwa głębokie skórzane fotele stojące przy kominku, w którym płonął prawdziwy ogień. Do pokoju bezszelestnie wszedł ubrany w liberię kamerdyner, niosąc na srebrnej tacy butelkę i dwa kieliszki.

- Pomyślałem sobie, przyjacielu, że szlachetny trunek uprzyje-

mni nam nieco pogawędkę.

Kamerdyner podał Izraelczykowi kieliszek. Minister zanurzył usta w krwistoczerwonym płynie, a Nathanson uniósł pytająco brwi.

- Wyśmienite - powiedział Natanjahu. Chdteau Mouton Rothschild rocznik 61 nie kupuje się w supermarkecie i nie przełyka jednym haustem. Służący postawił tacę z butelką na stoliku w zasięgu ręki i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Saul Nathanson był zbyt subtelnym człowiekiem, żeby od razu przejść do rzeczy. Zaczął od drobnych uprzejmości, a następnie skierował rozmowę na problemy Bliskiego Wschodu.

- Wygląda na to, że będziemy mieli wojnę - stwierdził ze smutkiem.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości - odparł Natanjahu.

- Zanim dobiegnie końca, zginie mnóstwo Amerykanów, wspaniałych młodych ludzi, którzy niczym nie zasłużyli sobie na śmierć. Musimy dołożyć wszelkich starań, aby oszczędzić ich tylu, ilu się tylko da.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

O co może mu chodzić, do wszystkich diabłów? Wiceminister spraw zagranicznych Izraela naprawdę nie miał pojęcia.

- Saddam to groźny człowiek - ciągnął Nathanson, wpatrując się w ogień. - Koniecznie trzeba go powstrzymać. Wydaje mi się, że dla Izraela stanowi większe zagrożenie niż dla jakiegokolwiek innego państwa w tym rejonie świata.

- Powtarzamy to od lat, ale kiedy zbombardowaliśmy jego reaktor jądrowy, Ameryka nas potępiła.

Nathanson machnął pogardliwie ręką.

- Ludzie Cartera. To oczywista bzdura, czcza gadanina. Po prostu chcieli wyjść z twarzą. Obaj doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Mój syn służy teraz nad Zatoką.

- Nie wiedziałem o tym. Oby szczęśliwie wrócił do domu.

Nathanson nie starał się ukryć wzruszenia.

- Dziękuję ci, Bibi. Bardzo dziękuję. Codziennie modlę się o to. Mój pierworodny, jedyny syn... Pomyślałem sobie, że w obliczu tej groźnej sytuacji współpraca między nami powinna układać się bez zakłóceń.

- Bez wątpienia.

Izraelczyk nie mógł uwolnić się od niemiłego przeczucia, że za chwilę wybuchnie bomba.

- Chodzi o to, żeby ograniczyć do minimum liczbę ofiar. Dlatego właśnie proszę cię o pomoc, Benijaminie. Przecież znajdujemy się po tej samej stronie barykady, nieprawdaż? Nigdy nie zapominam, że jestem nie tylko Amerykaninem, ale także Żydem.

Kolejność, w jakiej wymienił te dwie narodowości, nie była przypadkowa.

- A ja jestem Izraelczykiem i Żydem - odparł Natanjahu, dając w ten sposób do zrozumienia, że on także kieruje się w swoim postępowaniu pewną hierarchią wartości.

- Naturalnie - zgodził się chętnie finansista, ani trochę nie zbity z tropu. - Jednak dzięki wykształceniu, jakie tu zdobyłeś, z pewnością potrafisz bez trudu sobie wyobrazić, jak bardzo emocjonalnie reagują czasem Amerykanie. Czy mogę być z tobą zupełnie szczery?

Nareszcie, pomyślał z ulgą izraelski dyplomata.

- Gdyby komuś, choć w niewielki sposób, udało się przyczynić do zmniejszenia liczby ofiar, wdzięczność Ameryki dla tego kogoś nie miałaby granic.

Druga część stwierdzenia pozostała nie wypowiedziana, ale dla tak doświadczonego dyplomaty jak Natanjahu była aż nadto

oczywista. Gdyby ktoś mógł przyczynić się do zmniejszenia liczby ofiar, a jednak nie uczynił tego, gniew Ameryki okaże się straszny, a zemsta okrutna.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał gospodarza. Saul Nathanson podniósł kieliszek do ust i przez chwilę wpatrywał się w ogień.

- Wszystko wskazuje na to, że w Bagdadzie jest pewien człowiek o pseudonimie Jerycho...

Jakiś czas później zastępca ministra spraw zagranicznych Izraela wyszedł z eleganckiej rezydencji i wszedł do czekającej na niego limuzyny. Wyglądało na to, że będzie miał o czym myśleć podczas długiego lotu do Tel-Awiwu.

Rozdział dziewiąty

Kiedy Mikę Martin dostrzegł posterunek na skrzyżowaniu ulicy Muhammada Ibn Kasima z Czwartą Obwodnicą, w pierwszym odruchu chciał wcisnąć hamulec, wykonać skręt o 180 stopni i ruszyć z powrotem tam, skąd przybył. W porę jednak dostrzegł żołnierzy rozstawionych po obu stronach ulicy; ich zadanie polegało właśnie na zatrzymywaniu pojazdów, których kierowcy starali się uniknąć kontroli. Zakręcając z niewielką prędkością stanowiłby łatwy cel, więc rad nie rad zdecydował się zająć miejsce na końcu kolejki aut czekających na sprawdzenie.

Jak zwykle, kiedy jeździł po mieście, starał się unikać ważniejszych ciągów komunikacyjnych, gdzie najczęściej wystawiano posterunki, ale po to, by przekroczyć którąkolwiek z sześciu obwodnic otaczających Al-Kuwajt koncentrycznymi kręgami, musiał zdecydować się na jedną z głównych ulic. Miał nadzieję, że późnym przedpołudniem zdoła wtopić się bez śladu w gęstniejący ruch, albo że iraccy żołnierze schronią się przed upałem do swoich prowizorycznych bud. Jednak była już połowa października, upał znacznie zelżał, a żołnierze Sił Specjalnych okazali się znacznie bardziej zdyscyplinowani od zbieraniny obdartusów tworzących Armię Ludową. Nie pozostało mu więc nic innego, jak spokojnie siedzieć za kierownicą białego volvo kombi i czekać.

Ciemną nocą pojechał jeepem daleko na pustynię i wydobył z ukrycia pozostałą część ekwipunku, którą obiecał przekazać Abu Fu'adowi. Jeszcze przed świtem dotarł do garażu przy jednej z bocznych uliczek dzielnicy Firdas, gdzie przerzucił broń i amunicję do volvo. Kiedy uporał się z tym zadaniem, zdołał jeszcze zdrzemnąć się trochę za kierownicą, a w południe wyprowadził volvo z garażu, na jego miejsce zaś wstawił jeepa i starannie zamknął drzwi. Gdyby zostawił go na ulicy, samochód z pewnością bardzo szybko zostałby skonfiskowany.

Potem przebrał się, zastępując brudny, cuchnący strój Beduina czystym, białym ubraniem kuwejckiego lekarza.

Samochody zbliżały się powoli do grupy żołnierzy zgromadzonych przy zagradzających drogę beczkach ze skamieniałym cementem. Niektórzy kierowcy byli przepuszczani zaraz po okazaniu dokumentów, inni musieli zjeżdżać na bok, gdzie samochody dokładnie przeszukiwano. Zazwyczaj dotyczyło to tych pojazdów, które wiozły jakiś ładunek.

Dwie skrzynie zajmujące niemal całą przestrzeń bagażową dużego kombi zawierały taki towar, że w razie jego odkrycia Martin zostałby natychmiast aresztowany i oddany w ręce policji politycznej.

Wreszcie przyszła jego kolej. Na widok skrzyń z tyłu samochodu dowodzący żołnierzami sierżant nawet nie pofatygował się, żeby zażądać dokumentów, tylko od razu kazał kierowcy podjechać do krawężnika i krzyknął coś do czekających tam podwładnych.

Martin opuścił szybę. Ubrany w oliwkowy mundur żołnierz,

który do niego podszedł, miał na twarzy kilkudniowy szpeciniasty zarost.

- Wysiadać.

Martin posłusznie wysiadł, zatrzasnął drzwi i uśmiechnął się uprzejmie. Od strony barykadki zbliżał się sierżant o ponurej, pokrytej śladami po ospie, twarzy.

- Dokumenty - warknął.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w dowód tożsamości, przenosząc spojrzenie z niewyraźnego zdjęcia na stojącego przed nim człowieka i z powrotem. Nawet jeżeli dostrzegł różnicę między brytyjskim oficerem a podobizną jednego z urzędników z firmy Ahmada al-Chalify, to nie dał niczego po sobie poznać. Z daty umieszczonej na dowodzie wynikało, że został wydany przed rokiem, a przez rok każdy może zapuścić krótką czarną brodę.

- Jesteś lekarzem?

- Tak, sierżancie. Pracuję w szpitalu.

- Gdzie?

- Przy ulicy Dżahry.

- Dokąd jedziesz?

- Do szpitala Amiri w Dasmanie.

Sierżant z pewnością nie był człowiekiem wykształconym, wśród Arabów zaś zawód lekarza cieszy się dużym poważaniem. Irakijczyk mruknął coś pod nosem i podszedł do samochodu.

- Otwierać - polecił, wskazując tylną klapę.

Martin posłusznie otworzył klapę, której krawędź uniosła się wysoko nad ich głowy. Sierżant przez chwilę przyglądał się skrzyniom.

- Co to jest?

- Próbki, sierżancie. Wiozę je do laboratorium w szpitalu Amiri.

- Otwierać!

Martin powoli wyjął z kieszeni pęk kluczy. Każda skrzynia, przypominająca kształtem staromodny kufer podróżny, była zamknięta na dwie kłódki.

- Wie pan, że one są termoizolowane? - zagadnął od niechcienia.

- Termo... co?

- W środku panuje niska temperatura, w której wirusy są nieaktywne. Obawiam się, że kiedy podniosę wieka, zimne powietrze ucieknie, a wirusy natychmiast się uaktywnią. Lepiej niech pan się odsunie.

Sierżant zmarszczył groźnie brwi, szybkim ruchem ściągnął z ramienia pistolet maszynowy i wycelował go w Martina.

- Co to ma znaczyć? - warknął.

Martin bezradnie wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Wirusy po prostu ulecą w powietrze.

- Jakie wirusy?

Sierżant stawał się coraz bardziej nerwowy, gdyż irytowała go zarówno własna ignorancja, jak i zachowanie lekarza.

- Nie powiedziałem panu, gdzie pracuję? - zdziwił się Martin.

- W szpitalu!

- W szpitalu zakaźnym. W tych skrzyniach są wirusy ospy i bakterie cholery, które wiozę do analizy.

Sierżant odskoczył jak oparzony. Ślady na jego twarzy nie kłamały; jako dziecko o mało nie umarł na ospę.

- Zabieraj się z tym, szybko!

Martin jeszcze raz grzecznie przeprosił, zamknął klapę, usiadł za kierownicą i odjechał. Godzinę później wprowadził samochód do wnętrza magazynu rybnego w porcie i przekazał ładunek Abu Fu'adowi.

Departament Stanu USA

Waszyngton, DC 20520

MEMORANDUM

DLA: James Baker, sekretarz stanu

OD: Grupa Analiz Wydarzeń Politycznych i Informacji Wywiadu

DOTYCZY: zniszczenia irackiej maszyny wojennej

DATA: 16 października 1990

KLASYFIKACJA: ściśle tajne

W ciągu dziesięciu tygodni, jakie minęły od inwazji Iraku na Emirat Kuwejtu, zarówno my, jak i nasi brytyjscy sojusznicy, podjęliśmy intensywne działania mające na celu ustalenie ilości, stanu przygotowania oraz rodzaju uzbrojenia, jakim dysponuje prezydent Saddam Husajn.

Nasi krytycy, mądrzejsi o doświadczenia tych tygodni, mogą stwierdzić, że taką analizę należało przeprowadzić znacznie wcześniej. Trzeba jednak pogodzić się z faktem, że tak się nie stało, i uważnie przeanalizować obraz, który dopiero teraz zaczął się wyłaniać w całej okazałości. Nie da się ukryć, iż stan rzeczy jest bardzo niepokojący. Same siły konwencjonalne Iraku, składające się z armii liczącej milion dwieście pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, wojsk pancernych, artylerii, wojsk rakietowych oraz nowoczesnego lotnictwa, czynią ten kraj największą potęgą militarną na Bliskim Wschodzie.

Dwa lata temu uważano, że w wyniku krwawej wojny irańskie siły zbrojne zostały zredukowane do takich rozmiarów, iż przestały stanowić dla kogokolwiek realne zagrożenie. Przeważał pogląd, jakoby identyczny los spotkał iracką maszynę wojenną. Teraz jednak stało się jasne: o ile w przypadku Iranu nałożone z naszej inicjatywy embargo odniosło zamierzony skutek, uniemożliwiając odbudowę sił zbrojnych tego kraju, o tyle Irak wykorzystał minione dwa lata na intensywne dozbrojenie i powiększenie swojej armii.

Jak pan doskonale wie, panie sekretarzu, zachodnia polityka wobec rejonu Zatoki Perskiej, a także całego Bliskiego Wschodu, opiera się na zasadzie równowagi. U jej podstaw legło przekonanie, że pokój w tym zakątku świata można utrzymać jedynie wówczas, jeśli żadna ze stron nie stanie się na tyle potężna, by próbować podporządkować sobie sąsiadów, dążąc do dominacji w tym ważnym strategicznie rejonie.

Biorąc pod uwagę jedynie konwencjonalne siły zbrojne, trzeba wyraźnie stwierdzić, że Irak stał się już taką potęgą i wyraźnie dąży do dominacji.

Jednak największy niepokój autorów tego raportu wzbudził inny aspekt wojennych przygotowań Iraku, to znaczy nagromadzenie wielkich zapasów broni masowej zagłady, a także realizacja zakrojonych na szeroką skalę planów produkcji środków ich przenoszenia o ogromnym, kto wie, czy nawet nie międzykontynentalnym zasięgu. Krótko mówiąc, jeżeli nie uda się znaleźć sposobu całkowitego zniszczenia tej broni oraz środków jej przenoszenia, najbliższa przyszłość rysuje się w dość ponurych barwach.

Wyniki badań przedstawione Komitetowi Meduza -potwierdzone w całej rozciągłości rezultatami prac naszych brytyjskich kolegów - wskazują jednoznacznie, że najdalej za trzy lata Irak będzie dysponował własną bombą jądrową oraz możliwością dokonania uderzenia atomowego w dowolnym miejscu położonym w promieniu 2000 kilometrów od Bagdadu. Do tego należy dodać stuprocentowo pewne informacje o liczących tysiące ton zapasach śmiertelnych gazów bojowych oraz znacznych ilościach broni bakteriologicznej, w skład której wchodzi między innymi bakteria węglikowa, tularemii, a przypuszczalnie także dżuma dymieniczej i zapalenia płuc.

Fakty te musiałyby wzbudzić niepokój nawet wówczas, gdyby Irakiem rządili ludzie o pokojowych zamiarach. Tymczasem niepodzielnym władcą tego kraju jest prezydent Saddam Husajn, ponad wszelką wątpliwość dotknięty dwoma schorzeniami psychicznymi:

megalomanią i paranoją.

Jeżeli w ciągu trzech najbliższych lat nie zostanie podjęta żadna akcja prewencyjna, Irak stanie się realnym zagrożeniem dla obszarów rozciągających się od północnej granicy Turcji do Zatoki Adeńskiej, oraz od portu Hajfa na zachodzie do Gór Kandahar na wschodzie. Ze spostrzeżeń tych można wysnuć tylko jeden wniosek: polityka Zachodu musi ulec drastycznej i natychmiastowej zmianie, a jej głównym celem powinno stać się całkowite unicestwienie irackiej potęgi wojskowej, a szczególnie broni masowej zagłady. Wyzwolenie Kuwejtu nie ma w tej chwili najmniejszego znaczenia i może służyć jedynie jako pretekst do rozpoczęcia działań na znacznie większą skalę. Realizację tego planu uniemożliwiłoby tylko jednostronne wycofanie się Iraku z zajętych terenów. Dlatego też trzeba uczynić wszystko, żeby tak się nie stało.

Od tej pory polityka Stanów Zjednoczonych oraz naszych brytyjskich sojuszników powinna służyć realizacji czterech głównych celów:

- a) prowokowaniu Saddama Husajna i ograniczaniu jego pola manewru, tak by uniemożliwić mu podporządkowanie się rezolucjom ONZ i wycofanie się z Kuwejtu;
 - b) odrzucaniu wszelkich kompromisowych propozycji, jakie mógłby zgłaszać, gdyż w wypadku ich przyjęcia stracilibyśmy pretekst do przeprowadzenia inwazji i zniszczenia jego potęgi wojskowej;
 - c) wywieraniu silnego nacisku na Radę Bezpieczeństwa ONZ, aby w krótkim terminie zatwierdziła, bez żadnych poprawek, tekst rezolucji numer 678, uprawniającej siły koalicyjne do rozpoczęcia wojny powietrznej natychmiast, gdy tylko osiągną pełną gotowość;
 - d) tworzeniu pozorów, że witamy z radością każdy plan pokojowy, który pozwoliłby Husajnowi wycofać się z twarzą z obecnej sytuacji, przy jednoczesnym torpedowaniu go na wszystkie możliwe sposoby.
- Pod tym względem największe niebezpieczeństwo przedstawiają sekretarz generalny ONZ, Paryż oraz Moskwa. Ma się rozumieć, opinia publiczna powinna być przekonana, że jesteśmy zwolennikami każdego, nawet najbardziej naiwnego pomysłu, który miałby zapobiec temu, czego nie da się uniknąć.

Z wyrazami szacunku

GAWPiIW

- Wydaje mi się, Icchak, że w tej sprawie powinniśmy jednak pójść na pełną współpracę.

Na wielkim obrotowym fotelu za potężnym biurkiem w ufortyfikowanym gabinecie pod gmachem Knessetu w Jerozolimie, premier Izraela wydawał się jeszcze mniejszy niż w rzeczywistości. Dwaj uzbrojeni w pistolety maszynowe uzi spadochroniarze, pełniący wartę za pancernymi drzwiami, nie słyszeli ani słowa z prowadzonej w pokoju rozmowy.

Icchak Szamir wymachiwał z wściekłością krótkimi nogami, mimo że przed fotelem stał specjalny podnóżek. Poorana niezliczonymi zmarszczkami, zachmurzona twarz premiera bardziej niż kiedykolwiek przypominała oblicze swarliwego trolla. Wiceminister spraw zagranicznych różnił się od niego pod każdym względem: wysoki, elegancki i opanowany, w niczym nie przypominał niskiego, cholerycznego i chodzącego w wiecznym wymiętych ubraniach Szamira. Mimo to współpraca między nimi zawsze układała się znakomicie, gdyż obaj mieli te same, bezkompromisowe poglądy na kwestię stosunków Izraela z Palestyńczykami. Urodzony w Polsce premier bez wahania wspierał karierę kosmopolitycznego dyplomaty.

Benjamin Natanjahu przedstawił sprawę z właściwej strony. Izrael potrzebuje Ameryki: jej poparcia (niegdyś udzielanego niejako automatycznie dzięki wpływom żydowskiego lobby, obecnie już nie tak oczywistego w związku z krytycznymi głosami w Kongresie i środkach masowego przekazu), jej pomocy finansowej, jej broni,

wreszcie jej weta w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Wszystko to mogło zawisnąć na włosku za sprawą jednego agenta, o którego istnieniu Kobi Dror nie chciał powiedzieć swoim amerykańskim kolegom.

- Niech sobie przejmą tego Jerycha, kimkolwiek on jest - atakował Natanjahu. - Jeżeli pomoże im zniszczyć Saddama, tym lepiej dla nas.

Premier mruknął coś niewyraźnie, skinął głową i wcisnął guzik interkomu.

- Proszę znaleźć generała Drora i powiedzieć mu, żeby się u mnie zjawił - polecił sekretarce. - Nie, nie wtedy, kiedy będzie miał czas, tylko zaraz!

Cztery godziny później potwornie wściekły Kobi Dror opuścił gabinet premiera. Siedząc w limuzynie pędzącej z powrotem do Tel-Awiwu doszedł do wniosku, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie był tak zdenerwowany.

Usłyszeć od premiera, że popełniło się błąd, to nic przyjemnego, ale usłyszeć, że jest się skretyniałą dupą wołową, to już zupełnie inna historia.

Zazwyczaj z przyjemnością spoglądał przez okno samochodu na sosnowe lasy, które w czasach, kiedy zamiast nowoczesnej szosy wiódł przez nie gruntowy trakt, stanowiły miejsce zaciętych walk o dokonanie wyłomu w pierścieniu palestyńskich wojsk otaczających Jerozolimę. Dzisiaj w ogóle nie zwrócił na nie uwagi.

Zasiadłszy za biurkiem w swoim gabinecie wezwał Samiego Gerszona i podzielił się z nim nowiną.

- Skąd jankesi się o tym dowiedzieli?! - wykrzyknął szef Wydziału Operacyjnego Mosadu.

- Ktoś puścił farbę. Ale kto?

- Na pewno nikt od nas - stwierdził stanowczo Gerszon. - Może ten profesor? Dopiero co wrócił z Londynu.

- Przeklęty zdrajca! - warknął Dror. - Kości mu połamię!

- Angole pewnie spili go do nieprzytomności - domyślił się Gerszon. - Wychwalali jego osiągnięcia, i tak dalej... Daj mu spokój, Kobi. Co się stało, już się nie odstanie. Co teraz zrobimy?

- Powiemy im wszystko na temat Jerycha - odparł Dror, zgrzytając zębami z wściekłości. - Ale ja na pewno się tego nie podejmę. Poślij Szarona. Ma się spotkać z nimi w Londynie, tam, gdzie nastąpił przeciek.

Gerszon przez chwilę zastanawiał się nad czymś, a potem uśmiechnął się szeroko.

- Co w tym takiego zabawnego? - zapytał groźnym tonem Dror.

- Och, nic specjalnego. Tylko tyle: straciliśmy kontakt z Jerychem, więc teraz niech oni go nawiążą. Nie wiemy, kim jest ten drań, więc niech oni to sprawdzą. Przy odrobinie szczęścia dadzą dupy, że aż miło.

Na twarz Drora powoli wypełził złośliwy uśmiech.

- Niech Szaron jeszcze dzisiaj poleci do Londynu, a my rozpoczniemy nową operację. Myśl o niej chodziła mi po głowie już od dłuższego czasu. Nazwiemy ją Operacją Jozue.

- Dlaczego? - zapytał niezbyt pewnie Sami Gerszon.

- Nie pamiętasz, co Jozue zrobił z Jerychem?

Bili Stewart, zastępca dyrektora Centralnej Agencji Wywiadowczej ds. operacyjnych, uznał, że londyńskie spotkanie jest na tyle ważne, by osobiście pofatygować się na drugą stronę Atlantyku w towarzystwie Chipa Barbera, szefa Wydziału Bliskowschodniego. Zatrzymali się w jednym z "bezpiecznych" mieszkań Agencji - był to apartament położony niedaleko budynku ambasady przy Gros-

venor Square. Zaraz potem zjedli kolację z zastępcą dyrektora SIS i Steve'em Laingem, który pełnił jedynie funkcje protokolarne, jako równy rangą Stewartowi; podczas rozmów z Dawidem Szaronem na jego miejscu miał zasiąść Simon Paxman, który zajmował się sprawami Iraku.

Dawid Szaron przyleciał z Tel-Awiwu z paszportem opiewającym na inne nazwisko. Na lotnisku czekał na niego katsa z ambasady izraelskiej. Ponieważ jednak brytyjski kontrwywiad, czyli MI-5, bardzo nie lubi, kiedy obcy agenci - nawet ci "zaprzyjaźnieni" - prowadzą jakieś gry na terenie Królestwa, skwapliwie skorzystał z informacji przekazanej przez SIS i wziął Izraelczyka pod dyskretną, ale czujną opiekę. Zaraz po tym, jak katsa powitał "pana Elijahu" z Tel-Awiwu, brytyjscy agenci wkroczyli do akcji, życząc panu Szaronowi miłego pobytu w Londynie i proponując swoją pomoc w uczynieniu tego pobytu rzeczywiście jak najprzyjemniejszym.

Następnie Brytyjczycy odprowadzili oniemiałych z wściekłości funkcjonariuszy Mosadu do samochodu, pomachali im serdecznie na pożegnanie, po czym wsiedli do swojego wozu i ruszyli pięć metrów za nimi w drogę do centrum Londynu.

"Przesłuchanie" Dawida Szarona zaczęło się następnego ranka i zakończyło dopiero późno w nocy. SIS uznała, że najlepszym miejscem spotkania będzie całkowicie pewne i wyposażone w znakomicie działającą instalację podsłuchową mieszkanie w południowym Kensington.

Rozmowy toczyły się w pokoju jadalnym bardzo obszernego apartamentu. W jednej z sypialni zainstalowano nowoczesne magnetofony, obsługiwane przez dwóch techników. Energiczna młoda dama przysłana przez Century House kierowała akcją dostarczania kolejnych tac z mocną kawą i kanapkami.

Przez cały poprzedni dzień w holu na parterze kręcili się dwaj solidnie zbudowani mężczyźni, udając, że naprawiają działającą bez zarzutu windę. W rzeczywistości mieli dopilnować, żeby nikt, poza stałymi mieszkańcami budynku, nie dostał się na wyższe piętra.

W pokoju jadalnym przy dużym stole zasiedli Dawid Szaron, katsa z ambasady, pełniący funkcję "oficjalnego" agenta, Stewart i Barber z Langley oraz Laing i Paxman z Century House.

Na prośbę Amerykanów Szaron zaczął od samego początku i opowiedział, jak się wszystko zaczęło.

- Płatny informator? - przerwał mu Stewart. - I w dodatku ochotnik? Nie nabiera nas pan?

- Otrzymałem polecenie, żeby niczego nie ukrywać - odparł Szaron. - To szczerą prawdą.

Amerykanie nie mieli nic przeciwko płatnym informatorom; wręcz przeciwnie, w takim wypadku zazwyczaj sprawa stawała się znacznie prostsza. Z punktu widzenia rekrutującej agencji wywiadowczej byłoby najlepiej, gdyby wszyscy zdrajcy kierowali się chęcią zysku, bo wtedy przynajmniej wiadomo, na czym się stoi. Żadnych głębokich rozterek moralnych, żadnych wahań, żadnych psychologicznych podchodów mających na celu przygłaskanie nastroszonych piórek i podreperowanie nadszarpniętego poczucia własnej wartości. Płatny informator w świecie wywiadu jest czymś w rodzaju dziwki; nie potrzeba nużących kolacji przy świecach i słodkich słówek. W zupełności wystarczy zwitek dolarów na nocnym stoliku.

Szaron opowiedział o gorączkowych poszukiwaniach kogoś, kto mógłby przebywać przez dłuższy czas w Bagdadzie, korzystając z immunitetu dyplomatycznego, o odnalezieniu Alfonso Benza Moncady, o intensywnym szkoleniu, jakie młody człowiek przeszedł w Santiago oraz o jego powrocie do Iraku.

- Zaraz, chwileczkę - przerwał mu ponownie Stewart. - Chce

pan powiedzieć, że ten amator prowadził Jerycha przez dwa lata, ponad siedemdziesiąt razy pośredniczył w przekazywaniu wiadomości i wyszedł z tego cało?

– Słowo honoru.

– Co o tym myślisz, Steve?

Laing wzruszył ramionami.

– Po prostu miał szczęście, jak wielu początkujących. Mimo wszystko nie wysłałbym go do Berlina Wschodniego ani do Moskwy.

– Ani ja. Naprawdę nie został zdemaskowany i nikt nie powziął żadnych podejrzeń?

– Kilka razy śledzono go, ale zdarzało się to sporadycznie, a w dodatku wywiadowcy byli wyjątkowo nieudolni. Bez trudu dostrzegł ich i zamiast do skrzynki kontaktowej poszedł prosto do domu.

Laing nie dawał za wygraną.

– Przypuśćmy jednak, że ktoś go obserwował, znalazł skrytkę, przejął wiadomość i zdemaskował Jerycha, którego następnie Rahmani zmusił do współpracy...

– Wówczas natychmiast obniżyłaby się jakość dostarczanego przez niego towaru – odparł Szaron. – Działalność Jerycha naprawdę przynosiła Irakijczykom ogromne szkody, więc Rahmani nie mógłby dopuścić do tego, żeby taka sytuacja trwała nadal. Najprawdopodobniej byłibyśmy świadkami pokazowego procesu i publicznej egzekucji, Moncada zaś miałby sporo szczęścia, gdyby został tylko wydalony z Iraku.

Wszystko wskazuje na to, że śledzili go funkcjonariusze Al-Aman al-Amm, równie nieporadni jak zawsze, mimo że z zasady cudzoziemcami zajmowali się ludzie Rahmaniego. Jak wszyscy wiemy, policja polityczna bez przerwy próbuje ingerować w działania kontrwywiadu.

Zebrani skinęli głowami. Tego rodzaju rywalizacja nie stanowiła dla nich żadnej nowości, gdyż każdy znał ją także z własnego podwórka.

Kiedy Szaron opowiedział im, jak Moncada musiał niemal z dnia na dzień opuścić Irak, Bili Stewart nie wytrzymał.

– Jak to, straciliście z nim kontakt?! – wykrzyknął.

– Obawiam się, że tak – potwierdził spokojnie Szaron, po czym spojrział na Chipa Barbera. – Generał Dror nie kłamał mówiąc panu, że obecnie nie ma w Bagdadzie żadnego czynnego agenta. Mosad jest przekonany, że Operacja Jerycho dobiegła końca. Na twarzy Amerykanina nie drgnął ani jeden mięsień.

– Chcemy ponownie nawiązać z nim kontakt – wyjaśnił spokojnie Laing. – W jaki sposób możemy to uczynić?

Szaron podał dokładną lokalizację wszystkich sześciu skrytek. W ciągu 24 miesięcy działalności, Moncada zmienił położenie dwóch z nich: w jednym przypadku dlatego, że stary mur został zburzony podczas przygotowywania terenu do prac budowlanych, w drugim zaś, z powodu remontu i ponownego uruchomienia opuszczonego sklepu. Izraelczyk ujawnił także położenie sześciu miejsc służących jako "tablice informacyjne"; obecność wykonanego kredą znaku świadczyła o tym, że w jednej ze skrytek znajduje się przesyłka.

– Może poprosimy jakiegoś zaprzyjaźnionego dyplomatę, żeby przy okazji oficjalnego spotkania szepnął mu dyskretnie, że jesteście gotowi wznowić współpracę na jeszcze bardziej korzystnych warunkach? – zastanawiał się głośno Barber. – W ten sposób nie tracilibyśmy czasu na te wszystkie bzdury ze skrytkami i tajnymi znakami.

– Nic z tego – stwierdził stanowczo Szaron. – To niemożliwe.

– Dlaczego? – zapytał Stewart.

– Może trudno wam będzie w to uwierzyć, ale my po prostu

nie wiemy, kto to jest. Przysięgam, że mówię prawdę. Czterej mężczyźni przez co najmniej minutę wpatrywali się w milczeniu w izraelskiego agenta.

– Nie zidentyfikowaliście go? – zapytał wreszcie Stewart.

– Nie. Próbowaliśmy go przekonać, żeby sam ujawnił swoją tożsamość na wypadek, gdyby kiedyś potrzebował naszej pomocy, ale on kategorycznie odmówił, a w dodatku zagroził, że zerwie z nami wszelkie kontakty, jeżeli będziemy przy tym obstawać. Przeprowadziliśmy badania grafologiczne, sporządziliśmy portret psychologiczny, dokonaliśmy analizy dostarczanych przez niego informacji, a także tych, do których, jak twierdził, nie ma dostępu. Po wielu trudach sporządziliśmy listę trzydziestu kilku ludzi z najbliższego otoczenia Saddama Husajna. Wszyscy są albo członkami Rady Dowództwa Rewolucji, albo Naczelnego Dowództwa, albo władz Ba's.

Tylko tyle udało nam się osiągnąć. Dwa razy wprowadziliśmy do pytań angielskie terminy techniczne i dwa razy otrzymaliśmy prośbę o wyjaśnienia. Wynikałoby z tego, że Jerycho nie zna angielskiego, ale równie dobrze mógł tylko mydlić nam oczy, wiedząc, że w ten sposób zmusza nas do rozszerzenia zasięgu poszukiwań. Jego doniesienia są pisane ręcznie, zawsze po arabsku.

– Coraz bardziej przypomina mi "Głębokie Gardło" – mruknął Stewart.

Chodziło o tajemniczego człowieka, który odegrał kluczową rolę w aferze Watergate, przekazując poufne informacje dziennikarzom Washington Post.

– Ale chyba Woodwardowi i Bernsteinowi udało się zidentyfikować tamtego informatora? – zainteresował się Paxman.

– Tak twierdzą, choć ja osobiście mocno w to wątpię – odparł Stewart. – Zdaje się, że chłoptaş pozostał w cieniu, tak jak Jerycho. Panowała już głęboka noc, kiedy pozwolili wyczerpanemu Szaronowi wrócić do ambasady. Nawet jeżeli wiedział coś jeszcze, to nie mieli szans, żeby to z niego wyciągnąć. Steve Laing był jednak pewien, że tym razem Mosad niczego nie ukrywał, gdyż Bili Stewart powiedział mu, jaki nacisk na Izrael wywarło w Waszyngtonie.

Zarówno Brytyjczycy, jak i Amerykanie mieli już dosyć kanapek i kawy, więc przenieśli się do oddalonej o kilkaset metrów restauracji. Cierpiący na owrzodzenie żołądka Bili Stewart bez przekonania skubał widelcem wędzonego łososia; napięcie ostatnich kilkunastu godzin przyczyniło się do zaostrzenia dolegliwości.

– To może być złota żyła, Steve. Musimy postąpić tak samo jak Mosad: trzeba znaleźć jakiegoś dyplomatę, który ma trochę pojęcia o nielegalnej robocie i przekonać go, żeby zaczął dla nas pracować. Można mu nawet zapłacić, bo Langley jest gotowe przeznaczyć na tę operację naprawdę duże środki. Kiedy zacznie się wojna, informacje uzyskane od Jerycha ocala życie wielu ludziom.

– W takim razie zastanówmy się, z czego możemy wybierać – zaproponował Barber. – Połowa ambasad w Bagdadzie już została zamknięta, a reszta znajduje się pod ścisłą obserwacją. Irlandczycy? Szwajcarzy? Szwedzi? Finowie?

– Żadne państwo neutralne nie będzie chciało maczać w tym palców, a poza tym, bardzo wątpię, czy wśród ich dyplomatów jest choć jeden doświadczony agent. Gdybyśmy wzięli takiego kogoś, trzeba by go błyskawicznie przeszkolić.

– Nie mamy na to czasu, Steve. Sprawa jest pilna. Poza tym, trzy tygodnie to za mało. Izraelczycy mogli sobie wtedy na to pozwolić, ale teraz Saddam wkroczył na wojenną ścieżkę i trzeba się liczyć ze znacznymi obostrzeniami tam, na miejscu. Gdybyśmy musieli kogoś szkolić od podstaw, należałoby poświęcić na to co najmniej trzy miesiące.

Stewart skinął głową.

– Ponieważ nie mamy na to czasu, trzeba wymyślić coś innego. Może jakiś biznesmen? Kręci ich się tam jeszcze całkiem sporo, szczególnie Niemców i Japończyków. Moglibyśmy podstawić kogoś z naszych ludzi.

– Problem polega na tym, że oni przylatują i odlatują, a nam potrzebny jest ktoś, kto będzie na miejscu przez co najmniej cztery miesiące. Może dziennikarz? – zaproponował Laing.

Paxman potrząsnął głową.

– Rozmawiałem ze wszystkimi, powracającymi stamtąd. Byli pilnowani przez 24 godziny na dobę. Każdy miał swojego opiekuna z Al-Aman al-Amm, który ani na chwilę nie spuszczał go z oka. Poza tym, nie zapominajcie o jednym: to bardzo niebezpieczna operacja. Czy ktoś ma jakieś wątpliwości, co stanie się z agentem, który wpadnie w łapy Umara Chatiba?

Wszyscy mężczyźni siedzący przy stole doskonale wiedzieli, jaką opinią cieszy się Umar Chatib, szef irackiej policji politycznej, zwany także Katem.

– Czasem trzeba podejmować ryzyko – zauważył Barber.

– Owszem, ale gdzie znajdzie pan dziennikarza albo biznesmena, który zgodzi się wykonać to zadanie, wiedząc, co mu grozi w razie wpadki? Ja osobiście wolałbym mieć do czynienia z KGB niż z Al-Aman al-Amm.

Bili Stewart dał wreszcie spokój łososiowi, odłożył widelec i poprosił kelnera o szklankę mleka.

– Nie pozostaje nam więc nic innego, jak poszukać dobrze wyszkolonego agenta, który mógłby uchodzić za Irakijczyka. Paxman zerknął z ukosa na Steve'a Lainga, ten zastanowił się przez chwilę, po czym lekko skinął głową.

– Mamy takiego człowieka – powiedział Paxman.

– Arabskiego współpracownika? My też takich mamy, ale to nie ten poziom. Tutaj chodzi o szczególnie ważną operację związaną z koniecznością podjęcia olbrzymiego ryzyka.

– Ten człowiek to Brytyjczyk, major SAS.

Stewart znieruchomiał ze szklanką mleka w ręku, Barber zaś odłożył sztućce i zupełnie stracił zainteresowanie dla steku.

– Mówić po arabsku to jedno, a udawać Irakijczyka w Iraku to drugie – zauważył Stewart.

– Wiemy o tym. Ma śniadą cerę, czarne włosy i brązowe oczy, ale jest 100-procentowym Brytyjczykiem. Urodził się i wychowywał w Bagdadzie. Nie sposób odróżnić go od Araba.

– I w dodatku jest odpowiednio wyszkolony? – zdumiał się Barber. – Gdzie macie ten skarb, do jasnej cholery?

– Chwilowo przebywa w Kuwejcie – odparł Laing.

– Niech to szlag trafił Utknął?

– Wręcz przeciwnie. Z tego, co wiem, porusza się bez żadnych ograniczeń.

– Skoro może uciec, to co tam jeszcze robi?

– Zabija Irakijczyków.

Stewart zastanawiał się przez chwilę, po czym skinął głową.

– Facet z jajami – mruknął. – Możecie go stamtąd odwołać?

Chętnie byśmy go sobie pożyczyli.

– Z tym nie powinno być żadnego problemu. Każemy mu wracać, jak tylko skontaktuje się z nami. Ale pod jednym warunkiem: to my będziemy go prowadzić, dzieląc się z wami wszystkim, co uzyskamy.

Stewart ponownie skinął głową.

– Zgoda. W końcu to wy dowiedzieliście się o istnieniu Jerycha. Załatwię to z Szefem.

Paxman wytarł usta serwetką i wstał od stołu.

– A ja zawiadomię Rijad.

Mikę Martin nigdy nie liczył na uśmiech losu i sam dbał o swoje bezpieczeństwo, ale tym razem uszedł z życiem wyłącznie dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności.

Nocą 19 października miał przesłać drogą radiową wiadomość do placówki SIS na przedmieściach Rijadu. Tej samej nocy czterech wysokiej rangi funkcjonariusze CIA i Century House jedli kolację w londyńskiej restauracji.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, zakończyłby rozmowę na dwie godziny przed tym, jak Simon Paxman wstał od stołu, udał się do siedziby brytyjskiego wywiadu i przesłał wiadomość do Rijadu. Co gorsza, jego rozmowa trwałaby pięć do dziesięciu minut, gdyż tyle właśnie czasu potrzebowałby na przedstawienie listy broni, amunicji i innego wyposażenia, które chciał przy najbliższej okazji sprowadzić do Kuwejtu.

Na szczęście, kiedy tuż przed północą wszedł do garażu, w którym zostawił jeepa, przekonał się, że z jednej z opon uszło powietrze.

Klnąc na czym świat stoi, niemal przez godzinę walczył z czterema śrubami pokrytymi przypominającą najtwardszy cement substancją, która powstała w wyniku wymieszania smaru i brudu z pustynnym piaskiem. Za kwadrans pierwsza wyjechał wreszcie z garażu, tylko po to jednak, by przekonać się, że dętka w wymienionym kole także przepuszcza powietrze.

Nie pozostało mu nic innego, jak zrezygnować z nadania wiadomości i wrócić do garażu.

Naprawa obu dętek zajęła dwa dni. Dopiero nocą 21 października Martin znalazł się na pustyni, daleko na południe od pogrążonego we śnie miasta. Rozłożył przenośną antenę satelitarną, wycelował ją w odpowiedni punkt na niebie, po czym nacisnął guzik, wysyłając serię zakodowanych impulsów stanowiących jego identyfikację, a jednocześnie informujących tych w Rijadzie, że za chwilę rozpocznie nadawanie właściwej wiadomości.

Nadajnik, którym dysponował, był bardzo prostym, 10-kanalowym urządzeniem, zaprogramowanym w taki sposób, żeby automatycznie szyfrować i rozszyfrowywać transmisje oraz zmieniać kanał. 21 października ponownie przypadła kolej na kanał pierwszy. Po wysłaniu wstępnego sygnału Martin przełączył się na odbiór i czekał. Niebawem otrzymał odpowiedź.

– Skalista Góra, Czarny Niedźwiedź, słyszę cię pięć.

W ten sposób rozmówca potwierdził swoją tożsamość oraz poinformował, że jest gotowy na przyjęcie transmisji.

Martin ponownie przełączył się na nadawanie i zaczął mówić do mikrofonu.

Kilkanaście kilometrów na północ, w mieszkaniu na ostatnim piętrze wysokiego budynku, migające światełko na konsolce zawiadomiło młodego irackiego technika, że jedna z anten stacji nasłuchowej wykryła działający nadajnik.

– Panie kapitanie!

Oficer kontrwywiadu szybkim krokiem podszedł do konsolety.

Światełko nadal migało, technik zaś ostrożnie manipulował pokrętłami.

– Ktoś właśnie zaczął nadawać, panie kapitanie.

– Gdzie?

– Na pustyni.

Technik przez chwilę wsłuchiwał się w modulowane popiskiwanie.

– To elektronicznie szyfrowana transmisja, panie kapitanie.

– A więc to on! Masz już kierunek?

Sięgnął po słuchawkę telefonu, by zaalarmować załogę stacji namiarowych koło Dżahry i na terenie szpitala Al-Adan.

- Dwa-zero-dwa.

Dwa-zero-dwa oznaczało południe z niewielkim 22-stopniowym odchyleniem na zachód. W tym kierunku nie było absolutnie nic, jeśli nie liczyć ogromnej pustyni ciągnącej się hen, daleko w głąb Półwyspu Arabskiego.

- Częstotliwość? - warknął oficer. W tej samej chwili uzyskał połączenie z ruchomą stacją namiarową koło Dżahry. Okazało się, że nadajnik pracuje na rzadko używanej, niskiej częstotliwości.

- Kapitanie, proszę zawiadomić bazę Ahmadi! - wykrzyknął technik. - Zaraz będziemy mieli dokładny namiar. Tymczasem Martin ponownie przełączył urządzenie na odbiór, oczekując odpowiedzi z Rijadu. Wkrótce odpowiedź nadeszła, ale nie taka, jakiej oczekiwał.

- Skalista Góra, Czarny Niedźwiedź, wracaj do jaskini. Powtarzam: wracaj do jaskini. Bardzo pilne. Koniec. Iracki kapitan podał częstotliwość załogom dwóch pozostałych stacji namiarowych. Anteny 120-centymetrowej średnicy zaczęły natychmiast przesuwac się w prawo i w lewo. Gdyby wszystkie trzy stacje zdołały wziąć namiar, bez trudu dałoby się ustalić położenie nadajnika i wysłać w to miejsce śmigłowiec z dziesięcioma uzbrojonymi po zęby żołnierzami.

- Macie go? - zapytał niecierpliwie kapitan. Technik wpatrywał się z napięciem w okrągły ekran zaopatrzonej w podziałkę odpowiadającą podziałce kompasu. Jeszcze przed chwilą ze środka ekranu wybiegała jaskrawozielona linia, ale teraz ekran był pusty. Linia pojawi się dopiero z chwilą wznowienia transmisji przez nadajnik.

- Przestał nadawać, panie kapitanie. Prawdopodobnie czeka na odpowiedź.

- Zaraz się odezwie - stwierdził z przekonaniem oficer. Jednak się mylił. Czarny Niedźwiedź zmarszczył ze zdziwieniem brwi, wyłączył nadajnik, zamknął pokrywę i złożył antenę.

Irakijczycy jeszcze przez wiele godzin nie tracili nadziei. Dopiero o świcie pilot wyłączył silniki gotowego do startu śmigłowca, a zmęczeni żołnierze wysiedli z maszyny, z trudem prostując zdrętwiałe nogi.

Brzęczyk telefonu obudził Simona Paxmana, który zdrzemnął się na chwilę na kozetce w swoim gabinecie. Dzwonił szyfrant z mieszczącej się w podziemiach Sekcji Łączności.

- Zaraz zejść - powiedział Paxman.

Dopiero co rozszyfrowana wiadomość z Rijadu, która na niego czekała, była bardzo krótka: rozkaz dotarł do Martina.

Po powrocie do gabinetu Paxman zadzwonił do Chipa Barbera.

- Już wraca, ale nie wiemy, kiedy dokładnie przekroczy granicę - oznajmił. - Steve mówi, że powinienem czekać na niego tam, na miejscu. Leci pan ze mną?

- Jasne - odparł Barber. - Bili wraca rano do Langley, ale ja polecę z panem. Muszę zobaczyć tego faceta.

22 października ambasada amerykańska oraz brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zwróciły się do ambasady Arabii Saudyjskiej z prośbą o udzielenie w trybie pilnym akredytacji dwóm dyplomatom. Ambasada, po skontaktowaniu się z Rijadem, nie czyniła najmniejszych problemów. Dwa paszporty - żaden z nich nie opiewał na nazwisko Barber ani Paxman - zostały bezzwłocznie owizowane, dzięki czemu obaj mężczyźni mogli wsiąść do samolotu odlatującego z Heathrow o 20.45 i tuż przed świtem znaleźć się w międzynarodowym porcie lotniczym w Rijadzie.

Na Chipa Barbera czekała już tam limuzyna z ambasady USA, by zawieźć go prosto do placówki, pełniącej zarazem funkcję

centrum operacyjnego CIA w tym rejonie. Znacznie mniejszy samochód zabrał Paxmana do willi, w której ulokowali się ludzie z brytyjskiej SIS. Jak na razie wszystko wskazywało na to, że Martin nie przekroczył jeszcze granicy.

Rozkaz powrotu znacznie łatwiej było wydać, niż wykonać.

Mikę Martin przystąpił do jego realizacji jeszcze przed świtem 22 października, kiedy tylko zamknął jeepa w garażu po powrocie z pustyni.

W skrytce w grobowcu Able'a Sheptona zostawił krótki liścik dla Al-Chalify, w którym z przykrością poinformował kupca, że musi nagle opuścić Kuwejt. Drugi list, przeznaczony dla Abu Fu'ada, zawierał wskazówki ułatwiające odnalezienie miejsc, gdzie była jeszcze ukryta broń i amunicja.

Około południa uporał się ze wszystkim, co miał do zrobienia w mieście, wsiadł do obdrapanej furgonetki i pojechał na wielbłądzia farmę, na skraju pustyni, w Sulajbijji.

Czekały tam na niego wielbłądy, oba w znakomitej formie. Cielę znacznie podrosło i wszystko wskazywało na to, że będzie z niego wspaniałe zwierzę. Martin zostawił je właścicielowi farmy jako zapłatę za jego starania. Krótco przed zmierzchem dosiadł wielbłądźcy i ruszył na południe z niewielkim odchyleniem na zachód; kiedy zapadła noc, a wraz z nią nadszedł przenikliwy chłód, Martin znajdował się już daleko od wszelkich siedzib ludzkich.

Dotarcie do miejsca, gdzie schował radio, zamiast godziny zajęło mu aż cztery. Kryjówka znajdowała się w pobliżu przedziewiałego wraku samochodu, który kiedyś zepsuł się tutaj i został porzucony.

Martin włożył nadajnik do jednego z juków wypełnionych dla niepoznaki daktylami. Mimo że dość pękate, wydawały się znacznie lżejsze niż dziewięć tygodni temu, kiedy zawierały broń i materiały wybuchowe. Jednak jeśli nawet wielbłądzica była mu za to wdzięczna, to nie okazała tego w żaden sposób; pluła i parskiała z wściekłością, protestując przeciwko temu, że zabrano ją z wygodnej zagrody, lecz ani na chwilę nie zwolniła rozkołysanego kroku, niestrudzenie pokonując kilometr za kilometrem.

Podróż bardzo różniła się od tej z połowy sierpnia, gdyż teraz, w miarę jak posuwał się na południe, bez trudu dostrzegał liczne ślady świadczące o obecności ogromnej armii, która rozlokowała się na pustyni między stolicą podbitego kraju a jego południową granicą.

Starannie unikał zbliżania się do widocznych z daleka płomieni spalane go gazu, unoszących się nad szybami naftowymi, gdyż wiedział, że wszystkie instalacje tego typu są z pewnością obsadzone przez irackich żołnierzy. Uważnie wciągał powietrze, dzięki czemu kilkakrotnie zwał dym z ogniska i w porę skręcił, omijając obozowisko. Raz jednak niewiele brakowało, a wpadłby prosto na kolumnę czołgów ukrytych za łukowato wygiętą, wysoką wydumą i zwróconych w kierunku niewidocznego nieprzyjaciela. Na szczęście w ostatniej chwili usłyszał metaliczne szczęknięcie i zdołał uniknąć niebezpieczeństwa.

W sierpniu, kiedy wędrował w kierunku Al-Kuwajt, na południe od miasta stacjonowały zaledwie dwie dywizje Gwardii Republikańskiej. Teraz dołączyła do nich Dywizja Hammurabiego i jedenaście kolejnych, które miały stanowić przeciwwagę dla rosnących w siłę po drugiej stronie granicy wojsk Amerykanów oraz ich sojuszników.

Czternaście dywizji to mnóstwo ludzi, nawet jeżeli rozproszą się po pustyni. Na szczęście dla Martina nikomu nie przyszło do głowy wystawiać strażników, wszyscy żołnierze zaś zdawali się spać pod czołgami i ciężarówkami, ale sama ich liczba sprawiała, że musiał skręcać coraz dalej na zachód.

Choć w linii prostej kuwejcką farmę wielbłądów dzieliło od saudyjskiej wioski Hamadija zaledwie 50 kilometrów, to Martin chcąc nie chcąc zbaczał coraz wyraźniej na zachód, ku granicy Iraku wyznaczonej przez głębokie, suche koryto Wadial-Batin, którego wolałby nie przekraczać.

Świt zastał go daleko na zachód od pola naftowego Manakisz i wciąż jeszcze na północ od opustoszałego posterunku policyjnego w Al-Mufrad, wyznaczającego miejsce, gdzie jeszcze nie tak dawno znajdowało się przejście graniczne.

Teren stawał się coraz bardziej górzysty, dzięki czemu Martin bez trudu znalazł dogodne miejsce, żeby ułożyć się do snu i przeczekać dzień. Kiedy cała tarcza słońca pojawiła się nad horyzontem, spętał wielbłądzicę - z odrazą powąchała kamienistą ziemię, pozbawioną nawet ciernistych krzewów, które można by schrupać na śniadanie - po czym zawinał się w koc i natychmiast zasnął.

Tuż po południu obudził go donośny łoskot gąsienic. Uświadomił sobie wówczas, że znajduje się za blisko głównej drogi prowadzącej z Dżahry w Kuwejcie i przekraczającej granicę Arabii Saudyjskiej w As-Salmi. W związku z tym nie wyruszył w dalszą drogę zaraz po zachodzie słońca, ale zaczekał prawie do północy. Wiedział, że od granicy dzieli go nie więcej niż dwadzieścia kilometrów.

Podróżując o tej porze miał największe szansę uniknięcia irackiego patrolu. Po pewnym czasie w blasku księżyca dostrzegł po lewej stronie posterunek Kaima Subah, a kiedy pokonał następne trzy kilometry, mógł być pewien, że znajduje się już po drugiej stronie granicy. Jednak na wszelki wypadek podążył dalej na południe, aż wreszcie dotarł do biegnącej równoległe do granicy drogi, która łączy Hamadiję z Ar-Rugi. Dopiero tam zatrzymał się, wyjął z juków nadajnik i zmontował antenę.

Ponieważ po stronie kuwejckiej Irakijczycy zajęli pozycje kilka kilometrów od granicy, po saudyjskiej zaś dowodzone przez generała Schwarzkopfa wojska także odsunęły się od niej na spora odległość, aby nie dopuścić do prowokacji, Martin znalazł się na ziemi niczyjej. Już niebawem miała tędy przewalić się wezbrana rzeka koalicyjnych sił lądowych zmierzających na północ, do Kuwejtu, ale tuż przed świtem 24 października oprócz majora Mike'a Martina nie było tu żywej duszy.

Paxmana obudził jeden z młodszych funkcjonariuszy SIS.

- Simon, dostaliśmy wiadomość od Czarnego Niedźwiedzia.

Przekroczył granicę.

Simon Paxman wyskoczył z łóżka i pognał w piżamie do pokoju łączności. W eleganckiej niegdyś sypialni całą ścianę zajmowała ogromna konsoleta radiowa, obsługiwana przez operatora poruszającego się na obrotowym krzeselku na kółkach. Ponieważ był już dwudziesty czwarty dzień miesiąca, kod uległ zmianie.

- Lynx rufus do Teksaskiego Traper, gdzie jesteś? Powtarzam: podaj jeszcze raz swoje położenie.

Głos, jaki rozległ się zaraz potem, brzmiał trochę piskliwie, ale bardzo wyraźnie.

- Na południe od Kaima Subah, przy drodze z Hamadiji do Ar-Rugi.

Operator spojrział pytająco na Paxmana, który wcisnął jeden z guzików i powiedział:

- Traper, nie ruszaj się stamtąd. Wysyłamy po ciebie taksówkę. Potwierdź odbiór.

- Rozumiem - rozległ się ponownie głos. - Czekał na czarną taksówkę.

Dwie godziny później nad drogą między Hamadiją i Ar-Rugi pojawił się amerykański śmigłowiec blackhawk. Przypięty pasami

nawigator siedział przy otwartych drzwiach i spoglądał przez lornetkę na piaszczysty trakt noszący dumne miano drogi. Z wysokości 120 metrów bez trudu dostrzegł Beduina stojącego spokojnie przy swoim wielbłądzie; miał już dać znak pilotowi, żeby lecieć dalej, kiedy Beduin zaczął nagle wymachiwać rękami. Blackhawk zawisł nieruchomo w powietrzu. Pilot nie był zbyt zachwycony faktem, że znajduje się tak blisko granicy, ale otrzymał rozkaz, żeby przylecieć właśnie w to miejsce. Dowództwo bazy lotnictwa wojskowego w Rijadzie na prośbę Chipa Barbera zgodziło się udostępnić śmigłowiec blackhawk wraz z załogą w celu zabrania z pustyni Brytyjczyka, który właśnie przekroczył granicę okupowanego Kuwejtu. Tylko ten typ śmigłowca miał wystarczająco duży zasięg. Nikt jednak nie uprzedził pilota, że powinien szukać Beduina na wielbłądzie. Amerykańscy lotnicy obserwowali nieufnie, jak człowiek w kręciastej kufyi pospiesznie układa na ziemi kamienie. Kiedy skończył, cofnął się o kilka kroków, odsłaniając swoje dzieło. Kamienie tworzyły prosty napis: JAK SIĘ MACIE.

- To na pewno on - powiedział nawigator do mikrofonu. - Schodzimy po niego.

Pilot skinął głową. W chwilę potem maszyna zawisła pół metra nad ziemią, nie więcej niż dwadzieścia metrów od Beduina i zwierzęcia. Martin już wcześniej rozsiadł wielbłąda i położył juki przy drodze. Nadajnik oraz 13-strzałowy browning kalibru 9 mm, ulubioną broń żołnierzy SAS, wepchnął do przewieszanej przez ramię torby.

Kiedy śmigłowiec zaczął się zniżać, ogarnięta paniką wielbłądzica uciekła w pustynię. Martin odprowadził ją wzrokiem. Pomimo paskudnego charakteru doskonale wywiązała się ze swego zadania, więc teraz zasłużyła sobie na odrobinę wolności. Nic jej nie groziło - przez pewien czas będzie wędrować po pustyni, aż wreszcie znajdzie ją jakiś Beduin, stwierdzi, że nie ma wypalonego znaku właściciela, i z radością przyłączy do swojego stada. Martin zgiął się wpół i podbiegł do otwartych drzwi maszyny.

- Pańskie nazwisko?! - zapytał nawigator, przekrzykując łoskot wirnika.

- Major Martin!

Amerikanin wyciągnął rękę i pomógł Martinowi wskoczyć do środka.

- Witamy na pokładzie, majorze.

Łoskot przybrał na sile, uniemożliwiając dalszą rozmowę, więc nawigator wręczył Martinowi ochronne słuchawki, po czym maszyna ruszyła w drogę powrotną do Rijadu.

W pobliżu miasta pilot otrzymał polecenie, żeby skierować się do odosobnionej willi na przedmieściu. Tuż za okalającym ją ogrodzeniem, na spłachetku ubitej ziemi rozłożono jaskrawopomarańczowe pokrowce na meble, tworzące wielką literę H. Blackhawk zawisł nieruchomo metr nad ziemią, mężczyzna w arabskim stroju wyskoczył z maszyny, pomachał załodze, a następnie szybkim krokiem ruszył w kierunku budynku. Dwaj służący zaczęli pospiesznie zbierać pokrowce.

Martin przeszedł przez łukowato sklepioną bramę i znalazł się na dziedzińcu wyłożonym dużymi płaskimi kamieniami. Na progu willi czekali dwaj mężczyźni. Jednego z nich spotkał przed kilku tygodniami w kwaterze głównej SAS w zachodnim Londynie.

- Simon Paxman - przedstawił się mężczyzna, wyciągając rękę do Martina. - Cholernie się cieszę, że pan wrócił. A to jest Chip Barber, jeden z naszych kuzynów z Langley.

Barber także podał rękę nowo przybyłemu, przyglądając się z niedowierzaniem długiej, niegdyś białej, a teraz przeraźliwie brudnej szacie, pasiastej torbie z "koca przewieszanej przez ramię,

czerwono-białej kufiji przytrzymywanej przez dwa czarne sznurki oraz szczupłej, pokrytej szczeciniastym zarostem twarzy o smagłej cerze i ostrych rysach, z której spoglądały bystre, ciemne oczy.

– Miło mi pana poznać, majorze. Wiele o panu słyszałem. – Zmarszczył lekko nos. – Chyba przydałaby się panu gorąca kąpiel, co?

– Zaraz każę wszystko przygotować – zapewnił Paxman.

– Dzięki – powiedział Martin, po czym wszedł do chłodnego wnętrza willi. Paxman i Barber ruszyli za nim; Amerykanin był wręcz oszołomiony. Niech mnie szlag trafi! – pomyślał. To się może udać!

Martin zażył nie jednej, ale trzech kąpieli w marmurowej wannie, żeby pozbyć się nagromadzonego przez wiele tygodni brudu i przykrego zapachu potu. Następnie, z ręcznikiem owiniętym wokół bioder zasiadł w fotelu, a specjalnie sprowadzony fryzjer zajął się jego zmierzwionymi włosami. Zaraz potem Martin ogolił się, korzystając z przyborów toaletowych Simona Paxmana.

Służący zabrał jego ubranie do ogrodu i spalił je tam. Dwie godziny później, w bawełnianych spodniach Paxmana i koszuli z krótkim rękawem, Mikę Martin siedział przy stole, na którym czekał już złożony z pięciu dań lunch.

– Czy moglibyście mi powiedzieć, dlaczego kazaliście mi wracać? – zapytał.

– Dobre pytanie, majorze – odparł Chip Barber. – Cholernie dobre pytanie. Jedno z tych, które zasługują na równie dobrą odpowiedź, prawda? Otóż chodzi o to, że chcielibyśmy wysłać pana do Bagdadu, najlepiej już w przyszłym tygodniu. Sałatkę, czy rybę?

Rozdział dziesiąty

Zarówno CIA, jak i SIS, ogromnie zależało na czasie.

Choć wówczas, pod koniec października – a nawet potem – wiedziało o tym bardzo niewiele osób, to Centralna Agencja Wywiadowcza rozwinęła w Rijadzie działalność na niespotykaną do tej pory skalę. Bardzo szybko stało się to powodem nieporozumień z dowódcami wojskowymi urzędującymi w podziemiach budynku saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa; zdecydowana większość generałów – szczególnie tych z Sił Powietrznych – żywiła przekonanie, że wyrafinowane środki techniczne, jakimi dysponowali, pozwolą im bez trudu dowiedzieć się wszystkiego o irackich umocnieniach i rozlokowaniu wojsk nieprzyjaciela.

A środki te istotnie były wręcz niewiarygodnie wyrafinowane. Oprócz krążących w kosmosie satelitów, które bez przerwy dostarczały zdjęć całego terytorium Iraku, oprócz samolotów aurora i U-2, które robiły to samo, tyle tylko, że z mniejszej wysokości, istniały jeszcze inne, niezmiernie skomplikowane urządzenia, skonstruowane z myślą o zdobywaniu informacji.

Zupełnie inne satelity, zawieszane nad Bliskim Wschodem na geostacjonarnej orbicie, pełniły funkcję superczułych uszu. Mogły przechwycić każdy sygnał nadany drogą radiową, nie potrafiły natomiast podsłuchiwać rozmów odbywających się za pośrednictwem umieszczonej pod ziemią, liczącej kilkadziesiąt tysięcy kilometrów sieci światłowodowych połączeń.

Spośród samolotów najważniejszą rolę spełniał AWACS, czyli Powietrzny System Kontroli i Wczesnego Ostrzegania. Były to boeingi 707 wyposażone w wielki radar zainstalowany w tylnej części kadłuba. Krążące bez przerwy nad północną częścią Zatoki Perskiej maszyny mogły w ciągu kilku sekund powiadomić Rijad o wszystkim, co działo się w przestrzeni powietrznej Iraku. Ledwie jakiś iracki samolot oderwał się od ziemi, a już dowództwo koalicyjnego lotnictwa w Rijadzie znało jego typ, kierunek lotu,

prędkość i pułap.

Inna wersja boeinga 707, E8-A, znana jako J-STAR, kontrolowała ruchy jednostek naziemnych. Zainstalowany na niej potężny radar Nordena wysyłał wiązki promieni do przodu i na boki, dzięki czemu samolot mógł kontrolować całe terytorium Iraku, bez konieczności wchodzenia w jego przestrzeń powietrzną.

Generałowie byli całkowicie pewni, że cała ta skomplikowana maszyna, na którą Waszyngton wydał wiele miliardów dolarów, pomoże im usłyszeć każde słowo, dostrzec każdy ruch, a następnie pomoże zniszczyć wszystko, co wymaga zniszczenia. Deszcz czy mgła, noc czy dzień - nie miało to najmniejszego znaczenia. Tym razem nieprzyjaciel nie ukryje się w gęstej dżungli; oczy-na-niebie wypatrzą go zawsze i wszędzie.

Oficerowie wywiadu z Langley podchodzili do sprawy znacznie bardziej sceptycznie i wcale nie starali się tego ukryć, co wywoływało irytację wojskowych. Wszystkich czekała ciężka robota, wiedzieli, że na pewno dadzą sobie radę, i nie mieli najmniejszej ochoty na zimny prysznic.

Po brytyjskiej stronie sytuacja przedstawiała się nieco inaczej. Zaangażowanie SIS w rejonie Zatoki Perskiej pod żadnym względem nie dorównywało zaangażowaniu CIA, ale, przynajmniej z punktu widzenia Century House, ta operacja brytyjskiego wywiadu także należała do największych w jego historii, tyle tylko, że była prowadzona znacznie bardziej dyskretnie niż analogiczne działania Centralnej Agencji Wywiadowczej. W dodatku Brytyjczycy zastępcę generała Schwarzkopfa, niezwykłego człowieka o jeszcze bardziej niezwykłej przeszłości.

Norman Schwarzkopf był dużym, krzepkim mężczyzną o wielkim wojskowym doświadczeniu, prawdziwym żołnierzem z krwi i kości. Nazywano go "Norman Piorun" albo "Niedźwiedź", bo choć zazwyczaj dobroniosy i łagodny, nierzadko dawał upust gniewowi w gwałtownych, lecz nie trwających zbyt długo eksplozjach wściekłości, zwanych przez podwładnych "erupcjami". Trudno sobie wyobrazić kogoś bardziej odmiennego niż jego brytyjski kolega.

Sir Peter de la Billiere, który przybył nad Zatokę w pierwszych dniach października, był pozornie delikatnym, szczupłym człowiekiem, raczej milczącym i nieśmiałym w obejściu. Potężny amerykański ekstrawertyk i chudy brytyjski introwertyk tworzyli dziwną parę, ale współpraca między nimi układała się bardzo dobrze, przede wszystkim dzięki temu, że każdy potrafił dostrzec w partnerze jego prawdziwe zalety.

Sir Peter, zwany przez podwładnych "PB", był najczęściej odznaczanym żołnierzem w brytyjskiej armii. Nikt jednak nie zdołał go nigdy namówić, by opowiedział o swoich dokonaniach, i tylko ci, którzy brali wraz z nim udział w niektórych operacjach, wspominali przy piwie jego niesamowity spokój nawet pod najcięższym ostrzałem. Kiedyś dowodził SAS, dzięki czemu dysponował sporą, obecnie niezmiernie przydatną wiedzą na temat świata arabskiego oraz tajnych operacji, a ponieważ wielokrotnie współpracował z SIS, znacznie poważniej niż generał Schwarzkopf brał pod uwagę ostrzeżenia wywiadu.

Kontyngent SAS zjawił się już w Arabii Saudyjskiej i przebywał w wydzielonej części wielkiej bazy wojskowej w Rijadzie. Jako dawnemu dowódcy tych ludzi, generałowi PB bardzo zależało, żeby ich niezwykle umiejętności zostały wykorzystane we właściwy sposób. Żołnierze SAS byli najwyższej klasy specjalistami w głębokiej penetracji terenu nieprzyjaciela i uwalnianiu zakładników. Początkowo planowano, że zajmą się oswobo-

dzeniem Brytyjczyków, których Saddam chciał użyć w charakterze żywych tarcz, ale trzeba było zrezygnować z tego projektu, kiedy okazało się, że zakładnicy zostali rozproszeni po całym kraju.

Jednak pod koniec października zespół złożony z oficerów CIA i SIS, obradujący niemal bez przerwy w odizolowanej willi na przedmieściach Rijadu, przygotował plan, którego realizacja wymagała unikatowych talentów ludzi z SAS. Plan przedstawiono miejscowemu dowódcy jednostki, który bezzwłocznie zajął się opracowywaniem szczegółów.

Przez całe popołudnie pierwszego dnia pobytu Martina w willi zaznajamiano go z okolicznościami, w jakich alianci dowiedzieli się o istnieniu irackiego zdrajcy o pseudonimie Jerycho, a także ze szczegółami dotychczasowej działalności szpiega. Martin mógł jeszcze odmówić udziału w operacji i wrócić do swego oddziału. Wieczorem, po głębokim namyśle, powiedział ludziom z CIA i SIS:

- Wchodzę w to, ale mam kilka warunków, które musicie spełnić.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, że najważniejszy jest kamuflaż. Tym razem nie chodziło o błyskawiczną akcję opartą na szybkim działaniu i jednorazowym zmyleniu czujności irackiego kontrwywiadu, a w dodatku Martin nie mógł liczyć na pomoc miejscowego ruchu oporu, nie miał też możliwości dotarcia do przedmieść Bagdadu w przebraniu Beduina.

Pod koniec października 1990 roku Irak przypominał ogromny obóz wojskowy. Nawet pozornie zupełnie puste, odludne zazwyczaj tereny roily się teraz od zmotoryzowanych patroli, a w samym Bagdadzie było aż gęsto od posterunków żandarmerii i policji politycznej; żandarmeria szukała dezertersów, Al-Aman al-Amm zaś polował na wszystkich, którzy z jakichkolwiek powodów wydawali się podejrzani.

Oficerowie brytyjskiego i amerykańskiego wywiadu doskonale zdawali sobie sprawę ze strachu, jaki w irackim społeczeństwie wzbudza znienawidzona policja polityczna. Informacje uzyskane od biznesmenów, dziennikarzy, a także dyplomatów, zmuszonych do opuszczenia Bagdadu, potwierdzały wszechobecność agentów tajnej policji, stanowiącej jeden z filarów, na których opierał się reżim Saddama Husajna.

Jeżeli Martinowi w ogóle uda się dotrzeć do Bagdadu, to powinien zamieszkać tam na dłużej. Prowadzenie takiego agenta jak Jerycho z pewnością nie będzie należało do łatwych zadań. Po pierwsze, trzeba porozumieć się z nim poprzez jedną ze skrzynek kontaktowych i powiadomić, że współpraca zostaje wznowiona, tyle tylko, że zmienił się pracodawca. Istniało poważne niebezpieczeństwo, że skrzynki są pod obserwacją, samego zaś Jerycha aresztowano i zmuszono do wyznania wszystkiego.

Po drugie, Martin musi mieć jakiś dom, skąd by przekazywał informacje i odbierał przesyłane, także drogą radiową, instrukcje. Dom ma stanowić bazę, z której mogłyby swobodnie wyruszać w miasto, by dokonywać obchodu skrytek i przejmować dostarczone przez Jerycha informacje.

Po trzecie - i to wydawało się najgorsze - nie będzie dysponował ochronną tarczą immunitetu dyplomatycznego, w związku z czym w przypadku aresztowania z pewnością nie udałoby mu się uniknąć sali tortur w więzieniu Abu Gharib.

- Jakie konkretnie warunki ma pan na myśli? - zapytał Paxman.

- Skoro nie mogę być dyplomatą, muszę przynajmniej zostać zatrudniony w domu jakiegoś dyplomaty.

- To nie takie łatwe. Ambasady są pod ścisłą obserwacją.

- Nie powiedziałem "w ambasadzie", tylko "w domu jakiegoś

dyplomaty".

- Jako kierowca? - zapytał Barber.

- Nie, to za bardzo rzucaloby się w oczy. Poza tym, kierowca najczęściej nie rusza się z samochodu i jest obserwowany prawie tak samo uważnie jak sam dyplomata.

- W takim razie, jako kto?

- Jeżeli od czasów, kiedy tam byłem, nie zaszły jakieś istotne zmiany, to wielu wysokich rangą dyplomatów mieszka poza terenem ambasady, często w willi otoczonej ogrodem i wysokim murem. Dawniej przy każdej takiej willi zatrudniano ogrodnika, do którego obowiązków należało także robienie zakupów i spełnianie różnych drobnych poleceń.

- Ogrodnik? - zdumiał się Barber. - Przecież natychmiast zostałby pan wcielony do armii!

- Wcale nie. Ogrodnik zajmuje się nie tylko zielenią, ale także dba o dom i załatwia sprawunki, a mieszka zazwyczaj w jakiejś budzie ukrytej głęboko na terenie posesji.

- Do czego zmierzasz, Mikę? - zapytał Paxman.

- Do tego, że jest prawie niewidzialny. Nikt nie zwraca na niego uwagi. Jeśli go zatrzymają, dokumenty ma w porządku, a na wszelki wypadek nosi przy sobie napisany po arabsku list, w którym wyjaśnia się, że pracuje dla zagranicznego dyplomaty. Jeżeli nie popełni jakiegoś przestępstwa albo poważnego wykroczenia, właściwie nic mu nie grozi, gdyż każdy policjant albo żołnierz, który by go zatrzymał, musi liczyć się z ostrą reakcją swoich zwierzchników, gdyż ambasada natychmiast wystosowałaby stanowczy protest. Dwaj oficerowie wywiadu zastanawiali się przez chwilę w milczeniu.

- To nawet ma sens - przyznał wreszcie Barber. - Nie rzucający się w oczy, prawie niewidzialny... Co o tym myślisz, Simon?

- Cóż... - mruknął Paxman. - Jedyne problem widzę w tym, że trzeba by dopuścić do spisku tego dyplomate.

- Tylko częściowo - odparł natychmiast Martin. - Wystarczyłoby, żeby dostał od swojego rządu polecenie zatrudnienia takiego to a takiego człowieka, który się do niego zgłosi. Na pewno coś by podejrzewał, ale to już jego sprawa. Jeżeli zależałoby mu na dalszej karierze, z pewnością położyłby uszy po sobie i wykonał polecenie - pod warunkiem, że wyda je ktoś odpowiednio wysoko postawiony, ma się rozumieć.

- Nasza ambasada nie wchodzi w grę - stwierdził Paxman. - Irakijczycy skorzystają z każdej okazji, żeby uprzykrzyć nam życie.

- To samo z nami - dodał Barber. - Kogo miałeś na myśli, Mikę?

Kiedy Martin powiedział im, kogo miał na myśli, obaj mężczyźni z niedowierzaniem wybałuszyli oczy.

- Chyba nie mówisz poważnie? - zapytał Amerykanin.

- Najpoważniej w świecie - odparł spokojnie Martin.

- Do diabła, takie coś musiałyby uzyskać aprobatę samego premiera! - zaprotestował Paxman.

- I prezydenta - dorzucił Barber.

- Zdaje się, że teraz wszyscy jesteśmy przyjaciółmi, prawda?

Czy jeden telefon to tak dużo, jeżeli informacje, których dostarczy Jerycho, przyczynią się do zminimalizowania naszych strat?

Chip Barber spojrział na zegarek; w Waszyngtonie było siedem godzin wcześniej niż nad Zatoką. W Langley właśnie dobiegał końca lunch. Różnica czasu między Rijadem a Londynem wynosiła zaledwie dwie godziny, ale wyżsi urzędnicy być może nie poszli jeszcze do domów.

Barber pośpiesznie wrócił do ambasady, skąd wysłał pilną,

zaszyfrowaną depeszę do Billa Stewarta, zastępcy dyrektora CIA ds. operacyjnych. Ten, po zapoznaniu się z jej treścią, pokazał ją natychmiast Williamowi Websterowi, który z kolei zadzwonił do Białego Domu i poprosił prezydenta o spotkanie.

Simon Paxman miał sporo szczęścia, gdyż zastał Steve'a Lainga przy jego biurku w Century House, a po zakończonej rozmowie Laing bezzwłocznie wykręcił domowy numer Szefa. Sir Colin nie zastanawiał się długo, tylko połączył się z sekretarzem gabinetu pani premier, sir Robinem Butlerem.

W uzasadnionych przypadkach szef brytyjskiego wywiadu ma prawo zwrócić się do premiera z prośbą o spotkanie w cztery oczy, a Margaret Thatcher była znana z tego, że bardzo chętnie widuje się z ludźmi z Century House i Sił Specjalnych. Zaprosiła sir Colina na ósmą rano następnego dnia, do swego prywatnego gabinetu przy Downing Street 10.

Jak zwykle zaczęła pracę przed świtem, dzięki czemu w chwili, kiedy szef SIS wszedł do gabinetu, z biurka pani premier już prawie zniknęły piętrzące się tam jeszcze kilka godzin temu stosy papierów. Margaret Thatcher z lekkim zdziwieniem wysłuchiwała zaskakującej prośby sir Colina, zadała kilka dodatkowych pytań, zastanowiła się nad otrzymanymi odpowiedziami, po czym błyskawicznie podjęła decyzję.

– Omówię tę sprawę z prezydentem Bushem i wspólnie ustalimy, co możemy zrobić. Czy ten człowiek... Naprawdę może mu się udać?

– Będzie robił wszystko, aby tak się stało, proszę pani.

– Czy to ktoś z pańskich ludzi, sir Colin?

– Nie. Jest majorem w SAS.

Pani premier wyraźnie się rozchmurzyła.

– Niezwykły człowiek.

–*>Bez wątpienia, proszę pani.

– Chciałabym go poznać, kiedy będzie już po wszystkim.

– Nie widzę najmniejszych przeszkód, proszę pani.

Zaraz po wyjściu szefa wywiadu sekretarz pani premier zadzwonił do Białego Domu, mimo że w Waszyngtonie panowała jeszcze głęboka noc, i ustalił, że telefoniczna rozmowa dwojga przywódców odbędzie się o ósmej rano czasu waszyngtońskiego, czyli o pierwszej po południu czasu londyńskiego. W związku z tym lunch pani premier przesunięto o trzydzieści minut.

Prezydent George Bush, podobnie jak jego poprzednik Ronald Reagan, nie bardzo potrafił odmówić czegokolwiek brytyjskiej pani premier, zwłaszcza kiedy jej na czymś szczególnie zależało.

– W porządku, Margaret – powiedział z rezygnacją po pięciu minutach rozmowy. – Ja też zadzwonię do niego.

– Najwyżej odmówi, choć raczej nie powinien tego zrobić – zwróciła mu uwagę pani Thatcher. – Bądź co bądź, ostatnio ma nam sporo do zawdzięczenia.

– Istotnie – przytaknął prezydent.

Oboje szefowie rządów zadzwonili w godzinnych odstępach do tego samego człowieka. Ich mocno zdziwiony rozmówca zgodził się bez oporów: oczywiście, udzieli specjalnym wysłannikom prywatnej audiencji, jak tylko zjawią się na miejscu.

Tego samego wieczoru Bili Stewart wyruszył w drogę z Waszyngtonu, natomiast Steve Laing wsiadł do ostatniego samolotu odlatującego w tym samym kierunku z Heathrow.

Jeżeli nawet Mikę Martin zdawał sobie sprawę z zamieszania, jakie wywołała jego propozycja, to nie dał tego w żaden sposób po sobie poznać. Dwa dni, 26 i 27 października, spędził odpoczywając, jedząc i śpiąc. Przestał jednak się golić, więc brodę i policzki ponownie pokryła mu ciemna szczecina.

Jego beczynność rekompensowała jednak z nawiązką gorącz-

kowa aktywność, jaka zapanowała w wielu innych miejscach. Rezydent SIS w Tel-Awii zgłosił się do generała Kobi Drora z jeszcze jedną sprawą. Szef Mosadu przez chwilę mierzył Anglika pełnym niedowierzaniem spojrzaniem.

- A więc jednak postanowiliście spróbować, co? - zapytał wreszcie.

- Ja o niczym nie wiem, Kobi. Miałem ci tylko przekazać to, co powiedziałem.

- Puszczacie go tam na czarno? Chyba wiecie, co mu grozi, gdyby go złapali?

- Możesz to zrobić, Kobi?

- Oczywiście.

- W ciągu dwudziestu czterech godzin?

Kobi Dror bez trudu wszedł w rolę skrzypka na dachu.

- Dla ciebie, przyjacielu, pozwoliłbym nawet odrąbać sobie prawą rękę. Mimo to uważam, że popełniacie szaleństwo. - Wstał, wyszedł zza biurka i w serdecznym geście objął Anglika. - Złamaliśmy co najmniej połowę naszych żelaznych zasad, ale mieliśmy nieprawdopodobne szczęście. Zazwyczaj nasi ludzie nigdy nie odbierają niczego ze skrzynek kontaktowych, żeby uniknąć pułapki. Dla nas taka skrzynka jest jak jednokierunkowa ulica: od kasy do szpiega. Jednak w przypadku Jerycha postąpiliśmy inaczej. Moncada odbierał informacje w ten sam sposób, jak dostarczał pytania, bo po prostu nie było innego wyjścia. Trudno uwierzyć, ale przez dwa lata wszystko szło jak po maśle. Pamiętaj jednak, że chronił go immunitet dyplomatyczny, więc w razie czego... Naprawdę tego chcecie?

Po raz kolejny podniósł do oczu małą fotografię przedstawiającą smutnego człowieka o arabskich rysach twarzy, czarnych włosach, takich samych wąsach i szpeceniastym zaroście. Zdjęcie to, które przyniósł Anglik, godzinę wcześniej przyleciało z Rijadu na pokładzie służbowej, dwusilnikowej maszyny generała de la Billiere'a. (Był to jedyny sposób, gdyż między stolicami Arabii Saudyjskiej i Izraela nie istnieje żadne regularne połączenie lotnicze.) Teraz mały pasażerski odrzutowiec stał na płycie lotniska wojskowego Sde Dov, starannie pilnowany i obfotografowany ze wszystkich stron. Dror wzruszył ramionami.

- W porządku. Wasza sprawa. Jutro rano wszystko będzie gotowe.

Nie ulega wątpliwości, że Mosad dysponuje chyba najlepszymi służbami technicznymi na świecie. Oprócz głównego komputera, w którego pamięci zmagazynowano nazwiska niemal dwóch milionów ludzi z całego świata wraz ze szczegółowymi danymi, oprócz znakomitych specjalistów od dyskretnego otwierania nawet najbardziej skomplikowanych zamków, w najgłębszych podziemiach kwatery głównej agencji znajduje się kilka pomieszczeń o starannie kontrolowanej i regulowanej temperaturze oraz wilgotności powietrza.

W pomieszczeniach tych są przechowywane "papiery" bardzo szczególnego rodzaju: oryginały prawie wszystkich paszportów używanych na świecie, oprócz nich zaś egzemplarze najróżniejszych dowodów tożsamości, praw jazdy, legitymacji ubezpieczeniowych i wielu innych dokumentów. Są tam także czyste blankiety i książki, które można wypełnić według uznania, wzorując się na oryginałach.

W tej części podziemi "wytwarza się" nie tylko dokumenty.

W razie potrzeby można tam wyprodukować niemal dowolną liczbę znakomicie podrobionych banknotów, albo po to, by przyczynić się do pogorszenia stanu gospodarki jednego z sąsiednich, wrogich Izraelowi państw, albo w celu sfinansowania jakiejś "nieoficjalnej" operacji Mosadu, o której ani premier, ani Knesset

nie wiedzą lub nie chcą wiedzieć.

Początkowo CIA i SIS nie miały zamiaru zwracać się do Mosadu z prośbą o pomoc, ale w końcu musiały to uczynić, gdyż same po prostu nie były w stanie wyprodukować dokumentu tożsamości dla 45-letniego irackiego wieśniaka. Tak się złożyło, że wcześniej nikt nie pomyślał o tym, aby zdobyć oryginał, który teraz można by skopiować.

Na całe szczęście Sajeret Matkal, specjalna grupa zwiadowcza – jej istnienie otoczone jest w Izraelu ścisłą tajemnicą – przed dwoma laty dokonała wypadu w głąb terytorium Iraku, by zapewnić ochronę arabskiemu oterowi, mającemu skontaktować się z jakimś mało ważnym agentem. Po drodze Izraelczycy natrafili na dwóch wędrujących do miasta wieśniaków, obezwładnili ich, związali i pozbawili dowodów tożsamości.

Zgodnie z obietnicą Drora specjaliści Mosadu pracowali przez całą noc. Nad ranem dokument był gotów: iracki dowód osobisty, wymięty i brudny, opiewający na nazwisko niejakiego Mahmuda Al-Churi, lat 45, urodzonego w górskiej wiosce położonej na północ od Bagdadu, obecnie mieszkającego i pracującego w stolicy. Specjaliści owi nie wiedzieli jednak, że Martin przybrał nazwisko niejakiego Al-Churi, który na początku sierpnia sprawdzał w londyńskiej restauracji jego znajomość arabskiego, oraz że wskazał jako miejsce swego urodzenia wioskę, z której pochodził ogrodnik jego ojca. Wiele lat temu ten wiekowy już wówczas człowiek opowiadał małemu angielskiemu chłopcu o osadzie, gdzie przyszedł na świat, o meczecie i sklepiku z kawą, o polach lucerny i plantacjach melonów. Było jeszcze sporo rzeczy, o jakich fałszerze z Mosadu nie mieli najmniejszego pojęcia. Rano Kobi Dror wręczył fałszywy dowód tożsamości rezydentowi SIS w Tel-Awiiwie.

– Lepszy od oryginału – stwierdził z dumą, po czym popukał palcem w niewyraźną fotografię. – Coś ci jednak powiem: ten Arab, którego zatrudniliście, najdalej w ciągu tygodnia albo was zdradzi, albo wpadnie w ręce tajnej policji.

Anglik mógł na to tylko wzruszyć ramionami. Nawet on nie wiedział, że mężczyzna z fotografii wcale nie jest Arabem. Nie musiał o tym wiedzieć, więc nikt go nie poinformował. Podziękowawszy Drorowi zrobił to, co do niego należało: przekazał dokument załodze odrzutowca, który natychmiast wystartował w drogę powrotną do Rijadu.

Tam także trwały intensywne przygotowania. Czekał już strój irackiego chłopca, składający się z ciemnobrazowej kufiji, prostej szaty i prymitywnych, wiązanych na rzemień sandałów, a pewien stary wytwórca koszy zrobił niezwykle, pleciony kufer. Nie zadawał jednak żadnych pytań, gdyż był tylko ubogim saudyjskim wieśniakiem, niewierny zaś, który złożył dziwne zamówienie, miał zapłacić dobrą cenę, więc starzec pracował najszybciej, jak tylko mógł.

Niedaleko od Rijadu, w tajnej bazie wojskowej, przygotowywano dwa specjalne pojazdy. Dostarczone na pokładzie transportowego herculesa z głównej bazy SAS w Omanie zostały niemal całkowicie zdemontowane, teraz zaś składano je z powrotem, wprowadzając pewne istotne modyfikacje.

Ich podstawowym celem było zwiększenie prędkości i pojemności baków dwóch land-roverów. Każdy z nich miał zabrać czterech żołnierzy SAS, jeden nadprogramowego pasażera, drugi zaś, duży motocykl na szerokich terenowych oponach, także wyposażony w dodatkowe zbiorniki paliwa.

Amerykanie także włączyli się do przygotowań, oddając do dyspozycji dwa śmigłowce chinook o dużym udźwigu. Na razie maszyny miały po prostu czekać w pogotowiu.

Kiedy zabrzączał interkom, a w chwilę później kobiecy głos

poinformował o przybyciu dwóch specjalnych wysłanników z Londynu i Waszyngtonu, Michaił Siergiejewicz Gorbaczow siedział za biurkiem w swoim prywatnym gabinecie na szóstym, ostatnim piętrze budynku Komitetu Centralnego KPZR przy Nowym Placu w Moskwie. Oprócz niego w pokoju znajdowali się dwaj osobiści sekretarze.

Od dwudziestu czterech godzin nie dawała mu spokoju jedno-brzmiąca prośba amerykańskiego prezydenta i brytyjskiej pani premier o przyjęcie ich osobistych wysłanników. Nie polityków, nie dyplomatów, tylko po prostu wysłanników, których zadanie polegało na przekazaniu pewnej wiadomości. Co to za wiadomość, jakiej przy dzisiejszym stanie techniki nie da się bezpiecznie przesłać zwykłymi kanałami dyplomatycznymi? Przecież mogli skorzystać ze specjalnie zabezpieczonej przed podsłuchem gorącej linii łączącej stolice obu supermocarstw - chociaż wtedy treść rozmowy znalazłyby tłumacze i technicy.

Sekretarz generalny KPZR i zarazem prezydent ZSRR był bardzo zaintrygowany, a ponieważ ciekawość stanowiła jedną z głównych cech jego charakteru, wprost nie mógł się doczekać chwili, kiedy wreszcie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi. Dziesięć minut później dwaj goście weszli do gabinetu - długiego, wąskiego pokoju z oknami tylko w jednej ścianie, z których roztaczał się widok na Nowy Plac. Prezydent siedział odwrócony plecami do krótszej ściany przy samym końcu długiego stołu konferencyjnego.

W przeciwieństwie do swoich poprzedników, Andropowa i Czer-nienki, znacznie od nich młodszy Gorbaczow lubił lekkie, jasne meble. Zarówno biurko jak i stół zostały wykonane z buczyny, proste krzesła sprawiały wrażenie dość wygodnych. W oknach wisiały firanki.

Na widok gości podniósł się z miejsca i ruchem ręki odprawił sekretarzy.

- Witam panów - powiedział po rosyjsku. - Czy któryś z was mówi moim językiem?

- Chyba przyda nam się tłumacz, panie prezydencie - odparł ten, który wyglądał na Anglika.

- Witalij! - zawołał Gorbaczow za zmierzającymi do drzwi sekretarzami. - Przyślij tu Jewgienija.

Następnie uśmiechnął się i wskazał gościom krzesła. Zaraz potem zjawił się jego osobisty tłumacz i zajął miejsce z boku biurka.

- Nazywam się William Stewart, panie prezydencie. Jestem zastępcą dyrektora do spraw operacyjnych Centralnej Agencji Wywiadowczej - przedstawił się Amerykanin.

Gorbaczow lekko zmarszczył brwi.

- A ja jestem Stephen Laing, szef Sekcji Bliskowschodniej brytyjskiego wywiadu.

Prezydent ZSRR był już zupełnie zdezorientowany. Szpiedzy w jego gabinecie! O co tu chodzi, do wszystkich diabłów?!

- Agencje, w których pracujemy, zwróciły się do naszych przywódców z prośbą o to, by zechcieli umożliwić nam rozmowę z panem - zabrał ponownie głos Laing. - Doskonale zdajemy sobie sprawę, że Bliski Wschód znalazł się na krawędzi wojny. Jeżeli mamy uczynić wszystko co w ludzkiej mocy, żeby jej uniknąć, musimy dokładnie znać zamiary irackiego rządu. Naszym zdaniem jego deklaracje nie mają wiele wspólnego z prawdziwymi, trzymanymi w ukryciu planami.

- To nic nowego- zauważył sucho Gorbaczow.

- Istotnie, panie prezydencie. Jednak w tym wypadku mamy do czynienia z wyjątkowo niestabilnym, żeby nie powiedzieć: niebezpiecznym rządem. Niebezpiecznym dla nas wszystkich. Gdybyśmy wiedzieli, jakie decyzje zapadają w tej chwili w gabinecie

prezydenta Husajna, moglibyśmy lepiej przygotować się do nadchodzącej wojny.

– Jeśli się nie mylę, to zadanie dla dyplomatów – zauważył Rosjanin.

– Zazwyczaj tak, panie prezydencie. Jednak są chwile, kiedy dyplomacja nie może dobrze wypełniać swojej roli, gdyż środki, jakimi dysponuje, nie wystarczają do zapewnienia pełnej dyskrecji i bezpieczeństwa. Z pewnością pamięta pan historię Richarda Sorge?

Gorbaczow skinął głową. Każdy Rosjanin słyszał o Richardzie Sorger*Jego podobizna znalazła się nawet na znaczkach pocztowych, a pośmiertnie otrzymał tytuł Bohatera Związku Radzieckiego.

– Dostarczona przez niego informacja, że Japonia nie ma zamiaru uderzyć od wschodu, miała ogromne znaczenie dla waszego kraju, a przecież nie dało się jej uzyskać drogą dyplomatyczną. Obecnie sytuacja przedstawia się w ten sposób, że mamy podstawy przypuszczać, iż pewien człowiek z najwyższych kręgów władzy w Bagdadzie byłby skłonny informować nas o tym, co dzieje się w najbliższym otoczeniu Saddama Husajna. Kto wie, czy dzięki temu nie udałoby nam się uniknąć wojny, skłaniając Irak do dobrowolnego wycofania się z Kuwejtu.

Michaił Gorbaczow ponownie skinął głową. On także nie żywił zbyt ciepłych uczuć do Saddama Husajna; Irak, niegdyś pokorny satelita ZSRR, ostatnio zaczął się coraz bardziej usamodzielniać, zaś jego niezrównoważony przywódca wielokrotnie obrażał sąsiada z północy.

Prócz tego radziecki prezydent doskonale zdawał sobie sprawę, że po to, by kontynuować reformy, jakie zapoczątkował, będzie potrzebował ogromnego, finansowego i gospodarczego wsparcia Zachodu. Zimna wojna dobiegła końca. Między innymi z tego właśnie powodu Związek Radziecki poparł Stany Zjednoczone podczas głosowania w Radzie Bezpieczeństwa nad rezolucją potępiającą Irak za inwazję na Kuwejt.

– Skoro tak, panowie, to koniecznie skontaktujcie się z tym człowiekiem. Będziemy bardzo zadowoleni, jeżeli zdołacie uzyskać informacje, które pomogą rozwiązać konflikt. Nasz kraj także nie chce wojny na Bliskim Wschodzie.

– Bardzo chętnie byśmy to zrobili, panie prezydencie, ale nie możemy – odparł Stewart. – Człowiek ten nie chce się ujawnić, i szczerze mówiąc, wcale mu się nie dziwię. Podejmuje przecież ogromne ryzyko. Droga dyplomatyczna jest wykluczona, gdyż dał nam jasno do zrozumienia, że w grę może wchodzić jedynie tajna współpraca.

– Jeżeli tak, to czego ode mnie oczekujecie?

Anglik i Amerykanin niemal jednocześnie nabrali głęboko powietrza w płuca.

– Chcemy posłać do Bagdadu naszego człowieka, który pośredniczyłby w kontaktach z informatorem – powiedział Barber.

– Agenta?

– Tak, panie prezydencie. Agenta udającego Irakijczyka. Gorbaczow przyglądał im się uważnie.

– Macie kogoś takiego?

– Owszem. Problem polega na tym, że on musi gdzieś mieszkać, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, żeby odbierać wiadomości i dostarczać nasze pytania. Chcemy pana prosić, aby umożliwił pan zatrudnienie go w charakterze służącego w domu któregoś z waszych dyplomatów akredytowanych w Bagdadzie.

Gorbaczow przez chwilę pocierał brodę wierzchem dłoni. Nie był nowicjuszem, jeżeli chodzi o tajne operacje, gdyż osobiście nadzorował kilka z tych, jakie przeprowadzało KGB. Teraz poproszono go, żeby pomógł odwiecznym wrogom Komitetu i aby

zachodni agent mógł skorzystać z ochrony radzieckiej ambasady. Wydawało mi się to tak niedorzeczne, że aż parsknął śmiechem.
– Jeżeli ten człowiek zostanie schwytany, narazimy się na kompromitację.

– Wcale nie, panie prezydencie. Jeżeli zostanie schwytany, to stwierdzicie z oburzeniem, że po raz kolejny padliście ofiarą podstępnych diabłów z Zachodu. Saddam z pewnością w to uwierzy. Michaił Gorbaczow zastanowił się głęboko. Wciąż miał świeżo w pamięci, że z prośbą o pomoc zwrócili się do niego osobiście prezydent Stanów Zjednoczonych i premier Wielkiej Brytanii. Bez wątpienia bardzo im na jej spełnieniu zależało, jemu z kolei zależało na ich przychylności.

Wreszcie skinął głową.

– Zgoda* Wydam polecenie generałowi Kriuczkowowi, żeby okazał wam wszelką niezbędną pomoc. Kriuczkow pełnił wówczas funkcję szefa KGB. Dziesięć miesięcy później, kiedy Gorbaczow przebywał na wakacjach nad Morzem Czarnym, Kriuczkow, wraz z ministrem obrony Jazowem oraz kilkoma innymi wysokimi funkcjonariuszami państwowymi, podjął próbę obalenia prezydenta.

Anglik i Amerykanin wymienili szybkie spojrzenia.

– Proszę nie brać nam tego za złe, panie prezydencie, ale czy można liczyć na to, że powierzy pan tę tajemnicę tylko ministrowi spraw zagranicznych?

Piastujący to stanowisko Eduard Szewardnadze był bliskim przyjacielem Gorbaczowa.

– I nikomu więcej?

– Nikomu. Zyska pan naszą ogromną wdzięczność.

– W porządku. Proszę kontaktować się tylko z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

Kiedy dwaj oficerowie zachodnich służb wywiadowczych wyszli z gabinetu, Gorbaczow długo siedział bez ruchu, pogrążony głęboko

w myślach. Tylko on i Szewardnadze, nikt więcej... Dlaczego nie Kriuczkow? Czyżby Zachód wiedział o czymś, o czym on, prezydent Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, nie miał pojęcia? Zespół wyznaczony do realizacji Operacji Jozue składał się z dziesięciu agentów Mosadu podzielonych na dwa zespoły po pięć osób, oraz z oficera kierującego akcją, którego Kobi Dror wybrał osobiście, zwalniając go z nudnego obowiązku szkolenia rekrutów w ośrodku koło Hercliji.

Jeden zespół tworzyli ludzie z Jaridu, wydziału Mosadu zajmującego się rozpoznaniem i ochroną, drugi zaś specjaliści z Newiotu, prawdziwi mistrzowie w dziedzinie zakładania podsłuchów, otwierania zamków i uruchamiania pojazdów – krótko mówiąc, we wszystkim, co miało jakikolwiek związek z techniką.

Ośmiu z nich lepiej lub gorzej mówiło po niemiecku, dowodzący oficer zaś posługiwał się tym językiem równie biegle jak każdy mieszkaniec Wiednia. Dwaj pozostali byli jedynie technikami. Wszyscy przybyli do stolicy Austrii w ciągu trzech dni, docierając tam z różnych miejsc w Europie i posługując się doskonale spreparowanymi paszportami.

Podobnie jak podczas Operacji Jerycho, Kobi Dror omijał niektóre przepisy, ale żaden z podwładnych nie miał o to do niego pretensji. Ponieważ operację nadzorował sam szef, należało się domyślać, że ma ona szczególną wagę.

Zazwyczaj zespoły sekcji Jarid i Newiot liczą od siedmiu do dziewięciu członków, ale ze względu na to, że w tym wypadku obiekt miał być osobą cywilną, nie stwarzającą żadnego zagrożenia, zmniejszono ich liczebność do pięciu ludzi.

Szef placówki Mosadu w Wiedniu znalazł trzy bezpieczne

lokale; każdym z nich opiekował się jeden bodel, utrzymując go w czystości i dbając o to, żeby zawsze znajdowało się tam pod dostatkiem zapasów.

Bodel - w liczbie mnogiej: bodlim - to zazwyczaj młody Izraelczyk, często student, o właściwym pochodzeniu i nienagannej przeszłości, zaangażowany przez Mosad jako pomocnik. Ma dostarczać przesyłki, wypełniać różne drobne polecenia i nie zadaje żadnych pytań. W zamian pozwala mu się mieszkać za darmo w wynajętym przez Mosad lokalu - dla niezamożnego studenta jest to poważna ulga finansowa - z tym jednak zastrzeżeniem, że musi w każdej chwili liczyć się z koniecznością przenosin do innego mieszkania, gdyby to, które zajmuje, nagle okazało się potrzebne do innych celów.

Mimo że Wiedeń nie należy do najważniejszych stolic europejskich, to w świecie wywiadu zawsze odgrywał istotną rolę. Przyczyn tego faktu należy szukać w wydarzeniach roku 1945, kiedy Wiedeń, pełniący funkcję drugiej stolicy Trzeciej Rzeszy, dostał się pod okupację aliantów i podzielono go na cztery sektory: francuski, brytyjski, amerykański i rosyjski. W przeciwieństwie do Niemiec, Austria bardzo szybko odzyskała niezależność, choć za cenę całkowitej neutralności. W roku 1948, podczas blokady Berlina, kiedy trwała już w najlepsze zimna wojna, Wiedeń stał się rajem dla szpiegów. Nic dziwnego: był stolicą neutralnego państwa właściwie pozbawionego własnego kontrwywiadu, położoną blisko granicy z Czechami i Węgrami, otwartą na Zachód, ale jednocześnie często odwiedzaną przez mieszkańców Europy Wschodniej.

Utworzony w 1951 roku Mosad błyskawicznie docenił te zalety; wkrótce szef wiedeńskiej placówki był funkcjonariuszem ważniejszym od ambasadora.

Zaangażowanie Mosadu okazało się niezmiernie przydatne wówczas, kiedy elegancka dawna stolica Cesarstwa Austro-Węgierskiego stała się ośrodkiem bankowym, w którym dyskretnie przeprowadzano nawet największe operacje finansowe, siedzibą trzech wyspecjalizowanych agencji Organizacji Narodów Zjednoczonych, a także ulubionym punktem tranzytowym dla najróżniejszych terrorystów, w tym także Palestyńczyków, starających się przeniknąć do innych krajów.

Przywiązana do idei neutralności Austria przez wiele lat miała tak słabo rozwinięte służby wywiadu i kontrwywiadu, że izraelscy agenci określali pełnych dobrych chęci austriackich funkcjonariuszy mianem "fertsalach", co oznacza mniej więcej tyle samo co "wypierdek".

Oficer, wyznaczony przez Kobięgo Drora do kierowania akcją, był doświadczonego katsą. Spędził wiele lat w Berlinie, Paryżu i Brukseli. Gideon Barzilai, gdyż tak nazywał się ten człowiek, służył także w jednym z oddziałów rozesłanych po świecie w ślad za arabskimi terrorystami, którzy podczas Igrzysk Olimpijskich w Monachium dokonali masakry izraelskich sportowców. Na szczęście dla siebie i swojej dalszej kariery nie miał nic wspólnego z największą kompromitacją w historii Mosadu, kiedy to taki właśnie oddział zastrzelił w norweskiej miejscowości Lillehammer niewinnego Marokańczyka, błędnie zidentyfikowanego jako Ali Hasan Salameh, główny autor akcji podczas Olimpiady.

Gideon "Gidi" Barzilai nazywał się teraz Ewald Strauss i reprezentował producenta armatury łazienkowej z Frankfurtu. Rzecz jasna, wszystkie dokumenty miał w absolutnym porządku, a gdyby ktoś zajrzał do jego teczki, znalazłby tam odpowiednie broszury reklamowe, cenniki oraz papier listowy i koperty z firmowymi nadrukami. Jeśli zaś ta ciekawska osoba, wciąż nieusatysfakcjonowana, zechciała zadzwonić do Frankfurtu, bez trudu uzyskałaby potwierdzenie tożsamości Herr Straussa, gdyż numer na nadrukach

był numerem telefonicznym biura, w którym również urzędowali agenci Mosadu.

Papier listowy, firmowe koperty, a także katalogi i blankiety zamówień zostały spreparowane przez wydział Mosadu sąsiadujący z działem zajmującym się dokumentami. W tym samym podziemiu, tyle tylko, że kilkanaście metrów dalej, zgromadzono ogromną liczbę najróżniejszych firmowych druków niemal z całego świata; posługując się nimi jako wzorami można bez większego trudu wyposażać każdego agenta Mosadu, który udaje się w zagraniczną podróż, w stos papierów potwierdzających autentyczność jego całkowicie fikcyjnej funkcji, zawodu albo stanowiska.

Zaraz po ulokowaniu się w zwolnionym przez bodela mieszkaniu, Barzilai odbył długą rozmowę z szefem wiedeńskiej placówki Mosadu, a następnie zaczął realizację misji od stosunkowo prostego zadania: polegało ono na zdobyciu wszelkich dostępnych informacji o przywiązującym ogromną wagę do tradycji i niezmiernie dyskretnym Banku Winklera, który mieścił się w pobliżu Franziskanerplatz. W ten sam weekend dwa amerykańskie chinooki wzbily się w powietrze z bazy na przedmieściach Rijadu i skierowały na północ, ku drodze, biegnącej wzdłuż granicy saudyjsko-irackiej od Chafdzi aż do Jordanii.

Każdy śmigłowiec miał na pokładzie land-rovera, w wersji z wydłużonym nadwoziem, bez jakichkolwiek zbędnych dodatków, natomiast z ogromnymi zbiornikami paliwa. Za plecami załogi, w ciasnej przestrzeni tłoczyli się czterej żołnierze w mundurach SAS. Zasięg chinooków nie pozwoliłby im na dotarcie do punktu przeznaczenia, gdyby nie to, że na przygranicznej drodze czekały już dwie cysterny, które dotarły tam z położonego nad Zatoką Perską portu Dammam.

Spragnione śmigłowce wylądowały na drodze, a mechanicy natychmiast przystąpili do przepompowywania paliwa. Gdy tylko zbiorniki wypełniły się po brzegi, maszyny ponownie wzbily się w powietrze i ruszyły wzdłuż drogi w kierunku Jordanii. Leciały nisko nad ziemią, by uniknąć wykrycia przez irackie stacje radarowe rozlokowane po drugiej stronie granicy.

Wylądowały po raz drugi tuż za miasteczkiem Badanah, blisko miejsca, gdzie stykają się granice Arabii Saudyjskiej, Iraku i Jordanii. Czekają tam dwie następne cysterny, w tym też miejscu śmigłowce miały pozbyć się swego ładunku i pasażerów.

Nawet jeśli amerykańscy piloci wiedzieli dokąd udają się milczący Anglicy, to nie dali tego po sobie poznać, a jeżeli nie wiedzieli, to o nic nie pytali. Kiedy pomalowane w maskujące, szaro-żółte plamy samochody zjechały po rampach na ziemię, Amerykanie uścisnęli dłonie brytyjskim kolegom, życzyli im powodzenia, a następnie uzupełnili paliwo i, nie zwlekając, wystartowali w drogę powrotną do bazy. Cysterny potoczyły się za nimi w tym samym kierunku. Ośmiu żołnierzy w mundurach SAS odprowadziło wzrokiem śmigłowce, wsiadło do samochodów i ruszyło w przeciwną stronę. Land-rovery zatrzymały się dopiero osiemdziesiąt kilometrów na północny zachód od Badanah.

Kapitan dowodzący grupą dokładnie ustalił pozycję małego oddziału. W czasach, kiedy na libijskiej Pustyni Zachodniej działał pułkownik David Stirling, można było tego dokonać wyłącznie na podstawie pomiarów położenia słońca, gwiazd i księżyca. Technologia lat 90. uczyniła zadanie znacznie łatwiejszym, dając jednocześnie gwarancję większej dokładności wyników.

W lewej ręce kapitan trzymał urządzenie wielkości niezbyt grubej książki, zwane Światowym Systemem Pozycyjnym (GPS), SATNAV, lub "Magellanem". Mimo niewielkich rozmiarów GPS

jest w stanie z dokładnością do 10 metrów ustalić położenie tego,

kto nim się posługuje, i to w dowolnym punkcie na kuli ziemskiej. GPS może działać w trybie D albo w trybie P. Tryb P zapewnia 10-metrową dokładność, ale korzystać z niego można tylko wówczas, kiedy nad horyzontem znajdują się cztery amerykańskie satelity nawigacyjne NAYSTAR. W trybie Q wystarczy obecność zaledwie dwóch satelitów, ale wówczas błąd pomiaru może wynieść "aż" 100 metrów.

Tego dnia nad horyzontem wisiały tylko dwa satelity, ale nie miało to większego znaczenia. 100-metrowa dokładność na piaszczystym pustkowiu, wiele kilometrów od najbliższej osady, była całkowicie wystarczająca. Stwierdziwszy, że dowodzony przez niego oddział znalazł się dokładnie w miejscu wyznaczonego spotkania, kapitan wyłączył GPS i skrył się w cieniu rozpiętej między dwoma samochodami sieci maskującej. Termometr wskazywał 55 stopni Celsjusza.

Godzinę później z południa nadleciał brytyjski śmigłowiec "Gazela". Podróż z Rijadu do miasteczka Al-Dżauf, gdzie znajdowało się położone najbliżej granicy cywilne lotnisko, major Mike Martin odbył na pokładzie transportowego herculesa RAF-u. W tym samym samolocie znajdował się także helikopter ze zdemontowanymi łopatami wirnika, jego pilot, mechanicy oraz dodatkowe zbiorniki z paliwem, które było niezbędne, jeżeli śmigłowiec miał pokonać odległość dzielącą miasteczko od wyznaczonego miejsca spotkania, a następnie wrócić na lotnisko.

Na wypadek gdyby nawet to pustkowie znajdowało się pod obserwacją irackich stacji radarowych, pilot prowadził maszynę nisko nad ziemią. Odnalezienie dwóch zakamuflowanych samochodów nie sprawiło mu najmniejszego kłopotu, gdyż dowodzący grupą kapitan wystrzelił flarę, żeby wskazać miejsce postoju. Gdy tylko podwozie gazeli zetknęło się z ziemią, Martin wyskoczył z kabiny. Przez ramię miał przewieszony wojskowy tornister, w rękę zaś trzymał wiklinowy kosz z dwiema żywymi kurami, co skłoniło pilota do niewesołych rozmyślań, czy zamiast do RAF-u nie trafił przez pomyłkę do jakiegoś związku rolników. Poza tym strój Martina niczym nie różnił się od ubioru ośmiu czekających na niego mężczyzn: sznurowane wysokie buty, luźne spodnie z mocnego płótna, koszula, sweter i kurtka w maskujące plamy. Na szyi miał zawiązaną kufiję, którą w razie potrzeby można było naciągnąć na twarz, chroniąc nos i usta przed niesionym przez wiatr pyłem, na głowie zaś wełnianą kominiarkę i zsunięte na czoło gogle.

Pilot podejrzewał, że cała dziewiątka niebawem umrze z gorąca. Nigdy nie był nocą na pustyni i nie wiedział, jak bardzo jest wtedy zimno.

Żołnierze wytoczyli ze śmigłowca plastikowe beczki z benzyną i przelali paliwo do zbiorników aut. Kiedy uporali się z tym zadaniem, pilot pomachał im ręką i poderwał maszynę w powietrze, by czym prędzej wrócić do Al-Dżauf, a stamtąd do Rijadu, byle dalej od tych szaleńców zabierających kury na przejażdżkę po pustyni.

Kiedy łoskot silnika ucichł w oddali, Martin przywitał się z kolegami. Mimo że należeli do batalionu D, w którego skład wchodził specjaliści od pojazdów lądowych, on zaś służył w batalionie A, czyli spadochronowym, znał prawie wszystkich. Zaraz potem zrobili to, co zawsze robią brytyjscy żołnierze, jeśli mają trochę czasu: zaparzyli dzbanek mocnej herbaty.

Do podjęcia decyzji, że przekroczą granicę Iraku akurat w tym miejscu, skłoniły kapitana dwa powody: po pierwsze, im bardziej dziki i niedostępny teren, tym mniejsze prawdopodobieństwo napotkania nieprzyjacielskiego patrolu, a przecież nie chodziło o to, by wymknąć się ewentualnej pogoni, lecz by niezauważalnie

przemknąć na terytorium sąsiedniego kraju.

Drugi powód był taki, że kapitan chciał dostarczyć towar możliwie najbliżej szosy, która wiedzie z Bagdadu na zachód, poprzez rozległą pustynię, aż do punktu kontrolnego Ruwajszid na granicy z Jordanią.

Po inwazji na Kuwejt ten niewielki posterunek na piaszczystej równinie poznali telewidzowie niemal na całym świecie, gdyż właśnie tutaj docierały tłumy filipińskich, bengalskich i palestyńskich uciekinierów, uchodzących przed wojną i spowodowanym przez nią chaosem.

Z miejsca, gdzie teraz znajdowali się Brytyjczycy, to znaczy z wysuniętego najdalej na północny zachód zakątka Arabii Saudyjskiej, można było najszybciej dotrzeć w pobliże szosy. Co prawda kapitan wiedział, że nieco bardziej na wschód natrafiliby na gładką

jak stół bilardowy pustynię – tam dałoby się poruszać ze znaczną prędkością – ale należało się spodziewać, że obecnie aż roi się na niej od patroli i obserwatorów. Na zachód wznosiły się wzgórza poprzecinane licznymi wąwozami. W porze deszczowej płynęły tędy wezbrane strumienie. Wąwozy te stanowiły uciążliwą przeszkodę, ale za to prawdopodobieństwo spotkania irackiego patrolu równało się niemal zeru.

Po przekroczeniu niewidocznej granicy, która znajdowała się 50 kilometrów na północ od miejsca postoju, musieli pokonać jeszcze dwa razy większą odległość, żeby znaleźć się przy drodze z Bagdadu do Ruwajszid. Nie było to dużo, ale kapitan liczył się z tym, że aby pokonać tę drogę, będzie potrzebował całej nocy, całego dnia, który spędzą pod siatkami maskującymi, i jeszcze jednej nocy. Wówczas jego "ładunek" znajdzie się tak blisko drogi, że bez problemu dotrze do niej nawet na piechotę.

Wyruszyli o czwartej po południu. Słońce nadal płonęło na niebie, upał zaś był taki, jakby ktoś otworzył drzwi gigantycznego pieca. Jednak już dwie godziny później zaczął zapadać zmierzch, i spadła temperatura. O siódmej zrobiło się zupełnie ciemno i zimno. Dopiero teraz okazało się, jak bardzo przydatne będą grube swetry, które wywołały takie zdziwienie pilota gazeli.

Nawigator siedzący w pierwszym samochodzie bez przerwy sprawdzał kurs. W bazie spędził wraz z kapitanem wiele godzin studiując ogromne płachty zdjęć wykonanych za pomocą aparatów z obiektywami o wielkiej rozdzielczości, znacznie bardziej przydatne od najdokładniejszej nawet mapy. Fotografie wykonał, podczas specjalnej misji, amerykański samolot U-2, który dwa dni wcześniej wystartował z bazy Al-Ta'if.

Jechali bez świateł, ale nawigator posługiwał się ołówkową latarką, nanosząc najmniejsze nawet zmiany kursu, kiedy jakiś wąwóz lub wyniesienie terenu zmuszało ich do chwilowej zmiany kierunku jazdy.

Co godzinę zatrzymywali się, żeby ustalić swoje położenie za pomocą "Magellana". Nawigator miał mniejsze kopie tych samych zdjęć, nad którymi ślęczał w bazie; wcześniej pozaznaczał na nich południki i równoleżniki, tak że teraz, odczytując cyfrowe wskazania GPS, mógł bez trudu wskazać miejsce, gdzie się znajdowali.

Pokonywali odległość bardzo powoli, przede wszystkim dlatego, że przed każdym wzniesieniem samochodu zatrzymywały się, kilku ludzi zaś czołgało się na grzbiet pagórka, by stamtąd zbadać teren i upewnić się, czy po drugiej stronie nie czeka na nich jakaś przykra niespodzianka.

Godzinę przed świtem dotarli do suchego koryta potoku o stromych ścianach, wjechali do niego i przykryli samochody sieciami maskującymi. Jeden z żołnierzy wspiał się następnie na szczyt pobliskiego wzniesienia, by ocenić ich dzieło. Kiedy wprowa-

dzili kilka poprawek, nabrał pewności, że zwiadowczy samolot odkryłby ich tylko wtedy, gdyby rozstrzaskał się w korycie wyschniętego strumienia.

Przez cały dzień na zmianę jedli, pili i spali. Dwóch ludzi trzymało straż na wypadek pojawienia się w pobliżu jakiegoś zabłąkanego pasterza albo innego samotnego wędrowca. Kilkakrotnie do ich uszu dotarł huk przelatujących wysoko w górze irackich odrzutowców, a raz usłyszeli meczenie kóz wspinających się na sąsiednie wzgórza. Jednak kozy, najwyraźniej wędrujące bez opieki pasterza, poszły w przeciwną stronę. Po zachodzie słońca oddział ruszył w dalszą drogę.

Około czwartej nad ranem dostrzegli w oddali światła irackiego miasteczka Ar-Rutba, przez które przebiega droga wiodąca ku granicy. "Magellan" potwierdził, że dotarli tam, gdzie chcieli; znajdowali się na południe od miasta, zaledwie osiem kilometrów od drogi.

Czterej mężczyźni zaczęli przeszukiwać teren, aż wreszcie jeden z nich znalazł kolejne łożysko wyschniętego potoku, tyle tylko, że o miękkim, piaszczystym dnie. Natychmiast wszyscy wzięli się do roboty i błyskawicznie wykopali obszerną dziurę, w której ukryli motocykl na szerokich terenowych oponach oraz zapasowe pojemniki z benzyną. Zarówno motocykl, jak i kanistry zostały uprzednio starannie owinięte polietylenowymi płachtami, nie tylko dla ochrony przed piaskiem, ale i przed wodą, gdyż zbliżała się pora deszczowa. Po zasypaniu kryjówki ułożyli na wierzchu sporo kamieni, aby zapobiec wywiewaniu piasku przez wiatr i wymywaniu przez wodę. Zaraz potem nawigator wspiął się na szczyt wzniesienia i dokładnie ustalił położenie kryjówki w stosunku do maszty radiowego w Ar-Rutbie, którego czerwone światełko ostrzegawcze błyszczało wyraźnie w ciemnościach.

Tymczasem Mikę Martin zrzucił wojskowy mundur, założył zaś prosty strój Mahmuda Al-Churiego, wieśniaka, ogrodnika i pomocnika do wszystkiego. Wkrótce potem, z przerzuconą przez ramię parcianą torbą, w której znajdował się chleb, ser i oliwki na śniadanie, podniszczony portfel z dowodem tożsamości i zdjęciami rodziców Mahmuda, obdrapane metalowe pudełko z niewielką sumą pieniędzy oraz mały nóż, był gotów do wymarszu. Land-rovery musiały wyruszyć w drogę co najmniej na godzinę przed świtem.

– Połamania nóg – powiedział kapitan.

– I smacznego żarcia – dorzucił nawigator.

– Przynajmniej będziesz miał świeże jajka na śniadanie – dodał ktoś inny, wzbudzając powszechną wesołość. Ludzie służący w SAS nigdy nie życzą sobie powodzenia. Mikę Martin pomachał na pożegnanie i ruszył przez pustynię w kierunku szosy. Kilka minut później land-rovery odjechały w przeciwną stronę i w korycie wyschniętego strumienia znowu zapanował spokój.

Szef placówki Mosadu w Wiedniu miał na swojej liście sayana, który był wysokim urzędnikiem w jednym z największych austriackich banków. Właśnie ten człowiek został poproszony o przygotowanie możliwie najbardziej wyczerpującego raportu na temat Banku Winklera. Powiedziano mu tylko tyle, że kilka poważnych firm izraelskich postanowiło nawiązać bliskie kontakty z tą instytucją, ale wcześniej chciałyby upewnić się co do jej solidności oraz poznać jej przeszłość i metody działania. W dzisiejszym świecie, w którym aż roi się od oszustów, taka ostrożność jest ze wszech miar godna polecenia.

Sayan całkowicie zgodził się z tą opinią i z zapałem wziął się do roboty. Osiągnął całkiem sporo, szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę, że jedną z pierwszych informacji, jakie uzyskał na temat Banku Winklera, była ta, iż bank ów w swej działalności kieruje się obsesyjnie przestrzegana zasadą zachowania ścisłej dyskrecji.

Został założony niemal sto lat temu przez ojca obecnego właściciela i prezesa. Winkler z roku 1990 liczył sobie 91 lat i w wiedeńskich kręgach finansowych nazywano go der Alte, czyli Starzec. Pomimo zaawansowanego wieku nie zgodził się ustąpić ze stanowiska ani przekazać swojego pakietu akcji. Owdowiały i bezdzietny, nie miał naturalnych spadkobierców, w związku z czym sprawa sukcesji mogła wyjaśnić się dopiero wtedy, gdy pewnego dnia zostanie odczytana jego ostatnia wola.

Tymczasem bieżącymi sprawami związanymi z funkcjonowaniem banku zajmowali się trzej wiceprezesi. Mniej więcej raz na miesiąc spotykali się z pryncypałem w jego domu, głównie po to, by wysłuchać napomnień starego człowieka, podkreślającego konieczność ścisłego przestrzegania starych, wypracowanych w ciągu wielu dziesięcioleci, zasad.

Konkretne decyzje podejmowali wyłącznie trzej wiceprezesi: Kessler, Gemutlich i Blei. Ma się rozumieć, bank, w którym pracowali, nie prowadził rachunków bieżących i nie wystawiał książeczek czekowych. Jego zadanie polegało na przechowywaniu znacznych depozytów i lokowaniu pieniędzy klientów w stuprocentowo pewnych inwestycjach, głównie na rynku europejskim. Fakt, że dochód uzyskiwany dzięki tym inwestycjom nigdy nie był oszałamiający, nie miał najmniejszego znaczenia. Klientów Banku Winklera nie interesowały krociowe profity ani błyskawiczne podwajanie lub potrajanie kapitału, tylko pewność i całkowita anonimowość. Akurat te dwie rzeczy stary Winkler mógł im zagwarantować.

Wpajane pracownikom staromodne zasady, których sam właściciel przestrzegał przez całe życie, szły w parze z jego nie skrywaną niechęcią wobec tego, co pogardliwie określał mianem "nowomodnych wymysłów". Z tego właśnie powodu Bank Winklera nie używał komputerów, ograniczał do minimum posługiwanie się faksem i bardzo niechętnie tolerował telefony. Co prawda urzędnicy przyjmowali dyspozycje wydawane przez klientów drogą telefoniczną, ale sami nigdy nie udzielali w ten sposób żadnych informacji. Kiedy tylko istniała taka możliwość, pisano listy na kosztownym czerpanym papierze; na terenie Wiednia dostarczali je adresatom posłańcy, a z usług poczty korzystano jedynie wówczas, gdy korespondencja musiała dotrzeć do innego miasta lub za granicę. Jeżeli chodzi o konta na hasło, założone przez zagranicznych klientów – sayan miał poświęcić szczególną uwagę właśnie temu tematowi – nikt dokładnie nie wiedział, ile ich jest, chociaż, jeśli wierzyć plotkom, łączna suma zgromadzonych na nich depozytów sięgała setek milionów dolarów. Jeżeli tak było w istocie, to – biorąc pod uwagę, że pewna część klientów umierała śmiercią naturalną lub ginęła w nagłych okolicznościach, nie zdążywszy nikogo poinformować o sposobie posługiwania się kontem – można było przyjąć, że Bank Winklera ma się całkiem dobrze.

Po zapoznaniu, się z raportem sayana Gidi Barzilai kłął długo i soczyście. Nawet jeśli stary Winkler nigdy w życiu nie słyszał o włamaniach do systemów komputerowych i podsłuchach telefonicznych, to podświadomie bezbłędnie wyczuwał, z której strony może mu grozić największe niebezpieczeństwo.

Przez długie lata, kiedy Irak rozbudowywał swój potencjał przemysłowy w celu opanowania technologii produkcji gazów bojowych, płatności za wszystkie zakupy, jakich dokonywał w Niemczech, odbywały się za pośrednictwem trzech szwajcarskich banków. Mosad wiedział, że Centralnej Agencji Wywiadowczej udało się dostać do pamięci komputerów we wszystkich trzech bankach – uczyniono to w poszukiwaniu pieniędzy "pranych" w Europie przez handlarzy i producentów narkotyków – dzięki czemu Waszyngton mógł zasypywać Bonn niezliczonymi protestami

dotyczącymi tych transakcji. CIA nie ponosiła winy za to, że kanclerz Kohl nie zwracał na te protesty najmniejszej uwagi; informacje, które Agencja dostarczała Białemu Domowi, były stuprocentowo dokładne.

Jeżeli Gidi Barzilai żywił do tej pory złudne nadzieje, iż uda mu się włamać do głównego komputera Banku Winklera, to teraz nadzieje te rozwiały się bez śladu. Taki komputer po prostu nie istniał. Co prawda pozostawały jeszcze inne środki - podsłuch pomieszczeń, podsłuch telefoniczny, przechwytywanie korespondencji - ale wiele wskazywało na to, że żadna z tych metod nie okaże się skuteczna.

Często zdarza się, że po to, by podjąć pieniądze z konta lub dokonać ich transferu, trzeba podać hasło znane jedynie bankowi i właścicielowi konta. Hasło to zazwyczaj można przekazać przez telefon, faksem albo nawet listownie. Jednak biorąc pod uwagę metody działania Banku Winklera należało przypuszczać, iż kierujący nim ludzie wymyślili jakiś znacznie bardziej skomplikowany system zabezpieczeń, szczególnie jeśli w grę wchodziło konto zagranicznego klienta, na które regularnie wpływały znaczne kwoty. Być może właściciel rachunku musiał stawić się osobiście w siedzibie banku, albo przynajmniej przesłać tam pismo sporządzone według skomplikowanego, uzgodnionego wcześniej schematu, z kluczowymi słowami lub wyrażeniami umieszczonymi w precyzyjnie określonych miejscach.

Bank Winklera nie stosował takich środków ostrożności w przypadku przyjmowania gotówki; Mosad wiedział o tym, gdyż przekazywanie honorarium Jerycha odbywało się bez żadnych przeszkód. Wystarczyło podać numer konta. Jednak wydobyć z tegoż konta choćby jednego centa stanowiło zupełnie oddzielny, znacznie bardziej skomplikowany problem.

W jakiś niezwykle sposób stary Winkler, który większą część życia spędził siedząc w szlafroku i słuchając kościelnej muzyki, domyślił się, że technologia przechwytywania informacji będzie rozwijać się znacznie szybciej od technologii zabezpieczania tejże informacji przed przechwyceniem. Niech go szlag trafi! Sayan mógł ręczyć głową jedynie za to, że operacjami dotyczącymi kont, na które wpłacano naprawdę wysokie kwoty, zajmowali się osobiście trzej wiceprezesa banku. Starzec bardzo starannie dobrał sobie współpracowników: wszyscy trzej byli całkowicie pozbawieni poczucia humoru, nieprzystępni i doskonale opłacani. Krótko mówiąc, całkowicie godni zaufania. Sayan zakończył swój raport stwierdzeniem, że nikt, kto kiedykolwiek zetknął się z tym bankiem, nigdy nie miał jakichkolwiek powodów do narzekań. Nawet nie przypuszczał, jak bardzo się pomylił; pod koniec pierwszego tygodnia listopada Gidi Barzilai miał już serdecznie dosyć Banku Winklera.

Godzinę po wschodzie słońca nadszedł autobus. Na widok samotnego człowieka, który wstał z leżącego na poboczu kamienia i zamachał ręką, kierowca zwolnił i zatrzymał pojazd. Podróżny wsiadł, wręczył kierowcy dwa wymięte banknoty, zajął miejsce w tylnej części autobusu, postawił sobie na kolanach wiklinowy kosz z kurami i niemal natychmiast zasnął.

W centrum miasteczka, gdzie autobus ponownie zatrzymał się z sapnięciem hamulców, czekał już policyjny patrol. Funkcjonariusze dokładnie sprawdzali dokumenty wszystkich wysiadających i wsiadających, ale nie weszli do środka, ograniczając się do zerknięcia do wnętrza przez zakurzone boczne szyby. Nie zainteresowali się kilkoma pasażerami jadącymi dalej, wśród których znajdował się także niepozorny wieśniak z wiklinowym koszem na kolanach. Policjanci wyłapywali ludzi sprawiających podejrzaną wrażenie, wyglądających na szpiegów lub dywersantów.

Godzinę później autobus ruszył w dalszą drogę na wschód, kołysząc się na wybojach, a od czasu do czasu zjeżdżając na pobocze, by przepuścić podążającą w przeciwnym kierunku kolumnę wojskowych pojazdów. Zarośnięci, brudni żołnierze siedzieli nieruchomo na ciężarówkach, wpatrzeni tępo w kłęby pyłu unoszące się z drogi.

Mikę Martin siedział z zamkniętymi oczami i przysłuchiwał się rozmowom współpasażerów, starając się wchłonąć miejscowy akcent i wychwycić nowe, nieznanne słowa. Arabski, jakim posługiwano się w tej części Iraku, różnił się dość znacznie od tego, jaki znał. Jeżeli Martin miał odgrywać rolę prostego, niewykształconego wieśniaka, to prowincjonalny akcent i archaiczne wyrażenia mogły okazać się bardzo przydatne. Mało kto traktuje prowincjuszy z większą pogardą i lekceważeniem niż policjant z wielkiego miasta.

Trudy podróży dały się mocno we znaki kurom uwięzionym w koszyku, mimo że nasypał im trochę ziarna, a nawet podzielił się z nimi wodą z manierki. Na każde szarpnięcie autobusu ptaki reagowały oburzonym gdakaniem, zanieczyszczając i tak już pokryte odchodami dno koszyka.

Trzeba by bardzo bystrego oka, aby stwierdzić, że zewnętrzne wymiary koszyka były aż o 10 centymetrów większe od wewnętrznych, oraz że kosz ma podwójne dno. W pustej przestrzeni ukryto kilka przedmiotów, które z pewnością wzbudziłyby zainteresowanie policjantów z Ar-Rutby.

Między innymi znajdowała się tam antena satelitarna, po złożeniu przypominająca rozmiarami małą parasolkę, a także nadajnik o znacznie większej mocy niż ten, którego Martin używał w Kuwejcie. Różnił się od tamtego jeszcze jedną, bardzo ważną cechą, wynikającą z faktu, że w Bagdadzie nie było mowy o swobodnym przenoszeniu się z miejsca na miejsce. Długie transmisje nie wchodziły w grę i dlatego właśnie do nadajnika dołączono magnetofon o dość szczególnej konstrukcji.

Niemal wszystkie urządzenia wykorzystujące najnowocześniejsze technologie są początkowo duże i nieporęczne, potem jednak inżynierowie przystępują do ich błyskawicznego modernizowania, co pociąga za sobą skutki trojakiego rodzaju: "wnętrzości" stają się coraz bardziej skomplikowane, obsługa prostsza, a wymiary i waga znacznie maleją.

Radiostacje, które agenci brytyjskiego wywiadu przerzucali do Francji podczas drugiej wojny światowej, według dzisiejszych standardów były po prostu jednym wielkim koszmarem. Zajmujące sporą walizkę potrzebowały długiej anteny, miały monstrualne lampy wielkości żarówek, nadawały zaś jedynie sygnały alfabetem Morse'a. W związku z tym przekazanie nawet najprostszego wiadomości ciągnęło się w nieskończoność, a w tym czasie niemieckie stacje namiarowe bez trudu lokalizowały nadajnik.

Ukryty w podwójnym dnie koszyka magnetofon był bardzo prostym w obsłudze i zarazem niezmiernie użytecznym urządzeniem. Najpierw należało, powoli i wyraźnie, odczytać wiadomość do mikrofonu. Wmontowany mikroprocesor zamieniał dźwięki w elektroniczny jazgot, niemożliwy do odszyfrowania nawet w przypadku przechwycenia transmisji. Po naciśnięciu guzika taśma cofała się, następnie zaś zakodowana wiadomość była powtórnie odtwarzana, tyle tylko, że z wielokrotnie większą prędkością, dzięki czemu zamieniała się w kilkusekundową "eksplozję", prawie niemożliwą do przechwycenia.

Po podłączeniu magnetofonu do nadajnika z rozstawioną anteną "eksplozja" ulatywała w eter. W Rijadzie wystarczyło ją zarejestrować, spowolnić i rozszyfrować za pomocą identycznego mikroprocesora jak ten, który zainstalowano w magnetofonie.

W Ramadi autobus skończył trasę, więc Martin przesiadł się do innego, jadącego do Bagdadu. Po drodze minęli Jezioro Habbanijja, oraz dawną bazę RAF-u, gdzie obecnie stacjonował dywizjon nowoczesnych myśliwców Irackich Sił Powietrznych. Na przedmieściu stolicy autobus zatrzymał się i wszyscy pasażerowie wysiedli, by poddać się kontroli dokumentów.

Martin stał grzecznie w kolejce, przyciskając do piersi koszyk z kurami. Kiedy wreszcie dotarł do stołu, za którym siedział mężczyzna w mundurze sierżanta policji, postawił koszyk na ziemi i podsunął funkcjonariuszowi dowód tożsamości. Policjant zerknął od niechcenia na dokument. Było bardzo gorąco, a on miał za sobą ciężki dzień i ogromnie chciało mu się pić.

- Gdzie to jest? - zapytał, wskazując nazwę miejscowości, z której pochodził stojący przed nim mężczyzna.

- Na północ od Badżi, bej. Mamy tam wspaniałe melony. Sierżant skrzywił się pogardliwie. Używane w celu okazania szacunku słowo "bej" stanowiło zabytek z czasów imperium tureckiego i przetrwało jedynie w najbardziej zacofanych rejonach Iraku. Machnął ze zniecierpliwieniem ręką, nakazując wieśniakowi, żeby czym prędzej zabrał swoje śmierdzące kury i wrócił do autobusu.

Tuż przed siódmą wieczorem major Mikę Martin znalazł się na głównym dworcu autobusowym w Bagdadzie.

Rozdział jedenasty

Dzielnicy Mansur, w której stał dom zajmowany przez pierwszego sekretarza ambasady ZSRR, dzieliła spora odległość od usytuowanego w północnej części miasta dworca autobusowego, ale Martin nie miał nic przeciwko wieczornemu spacerowi - po pierwsze z tego powodu, że minione dwanaście godzin spędził w autobusie, pokonując w tym czasie niespełna 400 kilometrów, jakie dzieliły Ar-Rutbę od Bagdadu, po drugie zaś dlatego, że długi spacer dawał mu szansę na ponowne "wchłonięcie" atmosfery miasta. Nie widział go od chwili, kiedy jako trzynastoletni chłopiec wszedł na pokład samolotu odlatującego do Londynu. Działo się to dwadzieścia cztery lata temu.

Przez ten czas wiele się zmieniło. Bagdad, jaki Mikę zachował we wspomnieniach, był miastem o zdecydowanie arabskim charakterze, znacznie mniejszym niż obecnie. Życie koncentrowało się w centralnie położonych dzielnicach Szajch Umar i Sa'adun na północno-zachodnim brzegu Tygrysu w Rusafie oraz w Alam po drugiej stronie rzeki, w Karch. Obszar ten zajmowała platanina wąskich uliczek i zaułków, poprzetykana niezliczonymi targowiskami i meczetami - ich wysokie minarety dominowały w krajobrazie miasta, przypominając mieszkańcom o posłuszeństwie, jakie winni byli Allahowi.

W wyniku trwającego od dwudziestu lat boomu naftowego przez puste niegdyś przestrzenie biegły teraz szerokie autostrady, po których mknęły tysiące samochodów, w nocne niebo zaś pięły się drapacze chmur, niczym wysłannicy bożka pieniądza rzucającego wyzwanie Wszechmogącemu Bogu.

Kiedy Martin dotarł wreszcie do dzielnicy Mansur, prawie jej nie poznał. Pamiętał, że wokół klubu, do którego w sobotnie i niedzielne popołudnia ojciec zabierał całą rodzinę, rozciągały się puste pola. Co prawda Mansur bez wątpienia zachował ekskluzywny charakter, ale na dawnych polach wyrosły niezliczone rezydencje tych, którzy mogli sobie pozwolić na życie w wielkim stylu. Otoczenie zmieniło się tak bardzo, że nie wiedząc o tym minął ulicę, przy której wznosiła się stara szkoła podstawowa pana Hartleya, gdzie niegdyś uczył się i bawił ze swoimi przyjaciółmi, Hasanem Rahmani i Abd al-Karimem Badri.

Wiedział, czym zajmuje się teraz Hasan, natomiast już od niemal ćwierć wieku nie miał żadnej wiadomości o dwóch synach doktora Badri. Czy młodszy, Usman, który przejawiał wielkie zainteresowanie matematyką, został w końcu inżynierem? I czy Abd al-Karim, zdobywający nagrody w konkursach recytatorskich, zrealizował swoje marzenia i stał się poetą albo pisarzem? Gdyby Mikę maszerował tak, jak go nauczono w SAS, to znaczy stawiając energicznie stopy i poruszając ramionami, z pewnością dotarłby na miejsce dwa razy szybciej, ale zapewne usłyszałby po drodze tę samą uwagę, jaką dzieci uraczyły dwóch brytyjskich inżynierów w Kuwejcie: "Przebrałeś się za Araba, ale chodzisz jak Anglik".

Poza tym, na nogach nie miał wysoko sznurowanych butów o twardej podeszwie, lecz, jak przystało na ubogiego irackiego fellacha, zawiązywane na sznurki sandały, więc szedł powłócząc nogami, ze zgarbionymi plecami i pochyloną głową.

W Rijadzie dano mu do przestudiowania nie tylko najnowsza mapę Bagdadu, ale także powiększone zdjęcia lotnicze tej części miasta; były one tak znakomitej jakości, że za pomocą szkła powiększającego dało się bez trudu dojrzeć ukryte za murami baseny i luksusowe samochody możnych i wpływowych mieszkańców stolicy.

Martin dokładnie zapamiętał topografię terenu, dzięki czemu bez trudu trafił na miejsce. Skręcił w lewo, w ulicę Jordańską, przeciął niewielki plac, następnie zaś skręcił w prawo, w wysadzana drzewami aleję, gdzie mieszkał radziecki dyplomata.

W latach 60. za czasów Kasima i generałów, którzy objęli rządy bezpośrednio po nim, Związek Radziecki cieszył się w Iraku wielkimi względami. Władcy Kremla w arabskim nacjonalizmie dostrzegali jedynie antyzachodnie akcenty, a jednocześnie próbowali nawrócić cały świat arabski na komunizm. Ponieważ rosnąca liczba dyplomatów i pracowników nie mogła już pomieścić się w budynku ambasady, zakupiono kilkanaście rezydencji w innych częściach miasta, a na mocy specjalnej umowy wszystkie te nieruchomości otrzymały status terytorium ZSRR. Nawet Saddam Husajn nie próbował cofnąć tego przywileju, co było zresztą nietrudne do zrozumienia, jeśli wziąć pod uwagę, że jeszcze w połowie lat 80. większość dostaw uzbrojenia docierała do Iraku właśnie z Moskwy, a ponad 6000 rosyjskich doradców uczyło Irakijczyków, jak obsługiwać radzieckie czołgi i samoloty.

Martin dotarł wreszcie do bramy, obok której przytwierdzono do muru niewielką mosiężną tabliczkę informującą, że obiekt ten stanowi własność ambasady ZSRR. Pociągnął za łańcuch i czekał. Po kilku minutach furtkę otworzył krępy, krótko ostrzyżony Rosjanin w białej marynarce.

- Da?

Martin odpowiedział po arabsku, bojaźliwym tonem kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że zwraca się do lepszego od siebie. Rosjanin skrzywił się, więc Martin sięgnął do kieszeni i wyjął dowód osobisty. Służący natychmiast wyciągnął rękę i zabrał mu dokument; w swojej ojczyźnie przyzwyczał się do tego, że znacznie ważniejsze od człowieka są jego papiery.

- Zaczekaj - nakazał po arabsku, po czym zamknął furtkę. Wrócił po pięciu minutach i dał znak skromnie ubranemu, znużonemu podróżą Irakijczykowi, żeby szedł za nim. Poprowadził go ku schodom wiodącym do głównego wejścia do budynku. Kiedy tam dotarli, drzwi otworzyły się i stanął w nich gospodarz.

- Ja się tym zajmę - poinformował służącego, który obrzucił Araba jeszcze jednym pogardliwym spojrzeniem, po czym zniknął we wnętrzu willi.

Jurij Kulikow, pierwszy sekretarz ambasady Związku Socjalis-

tycznych Republik Radzieckich, był zawodowym dyplomata o wieloletnim doświadczeniu. Choć polecenie, jakie otrzymał z Moskwy, wywołało jego oburzenie, to doskonale zdawał sobie sprawę, że musi je wykonać. Teraz w dodatku chyba wstał od kolacji, gdyż ocierał usta trzymaną w ręku serwetką.

- A więc jesteś - warknął po rosyjsku, schodząc po schodach. - Słuchaj mnie uważnie: nie wiem, o co chodzi w całej tej bzdurze i nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Panimajesz? Martin, który nie znał rosyjskiego, wzruszył bezradnie ramionami.

- Słucham, bej? - powiedział płaczliwie. Kulikow uznał to zachowanie za przejaw bezczelności, gdyż był święcie przekonany, że jego nowy ogrodnik jest Rosjaninem, przysłanym do Bagdadu przez tych zidiociałych matolów z Łubianki.

- Proszę bardzo, możemy rozmawiać po arabsku, jeśli sobie tego życzysz - odparł wyniośle. Władał całkiem niezłym tym językiem, choć z wyraźnym obcym akcentem, i nie miał najmniejszego zamiaru dać się zapędzić. W kozi róg zarozumiałemu agentowi KGB. - Tu masz swoje dokumenty, a to jest list, który kazali mi przygotować. Będziesz mieszkał w szopie na końcu ogrodu, dbał o zieleń i robił zakupy dla kucharza. Poza tym nic mnie nie interesuje. Jeżeli cię złapią, powiem tylko tyle, że zatrudniłem cię, bo wyglądałeś na uczciwego człowieka. A teraz idź i bierz się do roboty. Aha, zrób coś z tymi cholernymi kurami! Nie mam ochoty zakładać w ogrodzie hodowli kurczaków.

Nie ma co, pięknie mnie urządzili! - pomyślał z goryczą, wracając do przerwanej kolacji. Jeżeli ten dureń da się złapać, wkrótce cały Al-Aman al-Amm dowie się, że jest Rosjaninem, a wówczas nikt nie uwierzy, że jedynie przez przypadek został przyjęty do pracy w ogrodzie pierwszego sekretarza ambasady. Jurij Kulikow jeszcze nigdy nie był aż tak wściekły na swoich moskiewskich pracodawców.

Kwaterna Martina mieściła się przy tylnym murze ogrodu zajmującego powierzchnię około tysiąca metrów kwadratowych. Wyposażenie jednego małego pokoiku składało się z wąskiego łóżka, stołu, dwóch krzeseł, kilku haczyków na ścianie i miednicy w kącie. Dokładniejsze oględziny ujawniły obecność kranu z zimną wodą przy murze posesji oraz prymitywnej toalety kilka metrów od domku. Najwyraźniej były to wszystkie wygody, na jakie mógł liczyć, jeżeli zaś chodzi o żywność, to prawdopodobnie miał ją dostawać przy kuchennych drzwiach willi. Martin westchnął ciężko; luksusowa rezydencja w Rijadzie wydała mu się nagle niesamowicie odległa.

W pokoiku znalazł także kilka świec i zapałki. Zapalił świecę, zasłonił kocem okno i zabrał się do pracy. Po godzinie dłubania nożem w podłodze udało mu się wyjąć cztery ceramiczne płytki, zaś po kolejnych sześćdziesięciu minutach wygrzebał na tyle obszerną dziurę, żeby bez problemu zmieściły się w niej nadajnik, magnetofon i złożona antena. Ułożywszy płytki na miejscu wtarł w ich złącza trochę ziemi wymieszanej ze śliną i przyjrzał się uważnie swemu dziełu; nic nie wskazywało na to, że pod podłogą znajduje się kryjówka.

Tuż przed północą wyciął nożem fałszywe dno koszyka i wyjął je, przesypując nieczystości na prawdziwe. Kury natychmiast skorzystały ze swobody i wyruszyły na poszukiwanie smakowitych ziaren, ale ponieważ nie były zbyt wybredne, zadowolili się kilkoma owadami.

Martin zjadł do końca oliwki i ser, resztkami chleba zaś podzielił się ze skrzydlatymi towarzyszami podróży. Następnie nalał im pełną miskę wody, po czym wsadził z powrotem do kosza. Jeżeli nawet ptaki zorientowały się, że ich więzienie jest teraz

o dziesięć centymetrów głębsze, to nie zgłaszały żadnych zastrzeżeń. Miały za sobą męczący dzień, więc od razu poszły spać. Martin zrobił to samo, ale przedtem nie mógł sobie odmówić tej drobnej satysfakcji i odlał się na klomb z najpiękniejszymi różami pierwszego sekretarza Kulikowa.

Bez pomocy budzika wstał o czwartej rano. Zarejestrował wiadomość dla Rijadu, przyśpieszył ją dwieście razy, podłączył magnetofon do nadajnika i ustawił antenę na środku pomieszczenia, kierując ją w otwarte drzwi. O 4.45 nadał wiadomość na kanale przewidzianym dla tego właśnie dnia, po czym zdemontował sprzęt i ukrył go pod podłogą.

Niebo nad Rijadem wciąż jeszcze było ciemne, kiedy bardzo podobna antena zainstalowana na dachu placówki SIS wychwyciła trwający jedną sekundę sygnał i przekazała go na dół, do centrali łączności. "Okno" przewidziane na transmisję trwało od 4.30 do 5.00, więc technicy siedzieli w pełnej gotowości przy aparaturze. Wiadomość uległa automatycznemu rozszyfrowaniu, a następnie została odpowiednio spowolniona. Jeden z radiooperatorów zanotował ją, przepisał szybko na maszynie i wybiegł z centrali. O 5.15 gwałtowne szarpanie za ramię obudziło Juliana Greya, szefa placówki SIS w Rijadzie.

– To Czarny Niedźwiedź, proszę pana. Dotarł na miejsce. Gray błyskawicznie zapoznał się z treścią depechy i pobiegł obudzić Paxmana. Szef komórki irackiej SIS został na dłużej oddelegowany do Rijadu, przekazawszy uprzednio zastępcy swoje obowiązki w Londynie. On także natychmiast otrząsnął się ze snu i przebiegł wzrokiem po kartce maszynopisu.

– Niech mnie licho! Jak na razie, wszystko w porządku.

– Problemy mogą pojawić się dopiero wtedy, kiedy spróbuje skontaktować się z Jerychem – zauważył Gray.

Rzeczywiście, dawny informator Mosadu "nie działał" już od trzech miesięcy. W tym czasie mógł zostać zdemaskowany, zmuszony do współpracy z kontrwywiadem, albo po prostu zmienić zdanie. Kto wie, czy w ogóle przebywał jeszcze w Bagdadzie; jeżeli był jednym z wyższych dowódców irackiej armii, równie dobrze mógł zostać wysłany do Kuwejtu.

Simon Paxman wstał z łóżka.

– Chyba od razu zawiadomię Londyn. Są jakieś szanse na filiżankę kawy?

– Powiem Muhammadowi, żeby się tym zajął – odparł Gray.

Ruch w domu zaczął się o wpół do szóstej, kiedy Mikę Martin podlewał już w najlepsze kwiaty. Kucharka – Rosjanka o potężnym biuście – zobaczyła go przez okno i dała znak, żeby się zbliżył.

– Kok ciebia zowut? – zapytała, po czym zastanowiła się przez chwilę. – Imię? – powiedziała po arabsku.

– Mahmud – odparł Martin.

– Masz tu kubek kawy, Mahmud.

Mikę Martin z radosnym uśmiechem na twarzy kilkakrotnie skłonił głowę, wymamrotał: Szukran, szukrani wziął gorący kubek w obie ręce. Wcale nie udawał. Kawa była wspaniała, a on nie miał nic gorącego w ustach od chwili, kiedy opuścił Arabię Saudyjską. Śniadanie, na które zawołano o siódmej, składało się z miski soczewicy i chleba. Okazało się, że kucharka jest żoną służącego, który poprzedniego wieczoru otworzył Martinowi furtkę, natomiast pierwszy sekretarz Kulikow mieszka w willi sam, bez żony. Po śniadaniu Mikę poznał kierowcę dyplomaty – Irakijczyka mówiącego trochę po rosyjsku.

Martin postanowił nie spoufalac się nadmiernie z kierowcą, który mógł pracować dla tajnej policji. Problem rozwiązał się sam, gdyż niezależnie od tego, czy kierowca był agentem, czy też nie, okazał się nieprawdopodobnym snobem i odnosił się do nowego

ogrodnika z nie ukrywaną pogardą. Zgodził się jednak wyjaśnić kucharce, że Martin musi wyjść na chwilę z domu, gdyż jego nowy pracodawca polecił mu pozbyć się kur.

Znalazłszy się na ulicy Martin uwolnił kury w pobliżu porośniętego chwastami placu, po czym skierował się w stronę dworca autobusowego.

Podobnie jak w większości arabskich miast, dworzec autobusowy w Bagdadzie jest nie tylko miejscem, z którego można dojechać na prowincję lub do innego miasta, ale kipiącym życiem rojowiskiem ludzi, gdzie niemal każdy chce coś sprzedać albo kupić. Tam właśnie Martin nabył po długich targach poobijany rower, który żałośnie skrzypiał przez całą drogę powrotną do domu, ale po dokładnym nasmarowaniu sprawiał wrażenie jeszcze całkiem zdatnego do użytku.

Naturalnie nie było mowy o tym, żeby skromny ogrodnik poruszał się po mieście samochodem, nawet motocykl to zbyt luksusowy pojazd dla ubogiego przybysza ze wsi. Mikę Martin doskonale pamiętał z dzieciństwa, że służący ojca jeździł właśnie rowerem, codziennie przywożąc z targu zakupy i właśnie dlatego on także zaopatrzył się w taki sam środek lokomocji.

Kosz, w którym jeszcze niedawno mieszkały kury, po dokładnym oczyszczeniu zamienił się w kosz na zakupy. Mikę przymocował go do bagażnika roweru za pomocą dwóch poprzecieranych pasków klinowych – znalazł je na zapleczu jakiegoś warsztatu. Doprowadziwszy rower do porządku popedałował z powrotem do centrum i kupił cztery kawałki kolorowej kredy od sprzedawcy, który rozłożył swój kram niemal dokładnie naprzeciwko wejścia do katolickiego kościoła św. Józefa, gdzie odprawiali swoje nabożeństwa chrześcijanie obrządku chaldejskiego.

Pamiętał tę okolicę jeszcze z dzieciństwa; w Agid al Nasara, czyli Dzielnicy Chrześcijan, a szczególnie na ulicach Szaradży i Bankowej, nadal stawały zaparkowane wbrew przepisom samochody i roiło się od cudzoziemców buszujących w niezliczonych sklepikach z ziołami i przyprawami.

Kiedy Martin był małym chłopcem, brzegi Tygrysu spinały jedynie trzy mosty: most kolejowy na północy, Nowy Most pośrodku oraz most króla Fajsala na południu. Teraz naliczył ich aż dziewięć. (Cztery dni po rozpoczęciu przez aliantów wojny powietrznej wszystkie przestały istnieć, gdyż zostały uznane za cele o dużym znaczeniu strategicznym i jako takie zniszczone w pierwszej kolejności. Jednak na początku listopada służyły jeszcze dziesiątkom tysięcy ludzi i tysiącom pojazdów.)

Martinowi natychmiast rzuciła się w oczy widoczna na każdym kroku obecność agentów tajnej policji. Większość z nich nawet nie starała się ukryć. Stali na skrzyżowaniach i siedzieli w samochodach, obserwując śpieszących ulicą ludzi. Dwukrotnie był świadkiem, jak zatrzymywali cudzoziemców, prosząc ich o okazanie dokumentów, dwa razy widział też, jak to samo spotkało Irakijczyków. Cudzoziemcy reagowali na zatrzymanie ze zrezygnowaną irytacją, natomiast Irakijczycy z wyraźnym strachem.

Pozornie wszystko wskazywało na to, że życie w mieście toczy się tak samo jak przed laty, a ludzie są równie pogodni i przyjaźnie nastawieni do świata, jak dawniej, jednak wyczulony szósty zmysł podpowiadał Martinowi, że pod zwodniczo spokojną powierzchnią wrze przerażenie wywołane przez tyrana mieszkającego w ogromnym pałacu nad rzeką, w pobliżu mostu 14 Tammuz.

Tylko raz udało mu się zaobserwować zachowanie świadczące o tym, co naprawdę czują i myślą mieszkańcy Bagdadu. Znajdował się wtedy na targu owocowym w Nasrze, po przeciwnej stronie rzeki niż jego nowy dom, i targował się zawzięcie z wiekowym

sprzedawcą. Jeżeli Rosjanie mieli zamiar żywić go wyłącznie soczewicą i chlebem, to on przynajmniej urozmaici sobie dietę świeżymi owocami.

Nagle tuż obok czterech agencji tajnej policji chwycili młodego mężczyznę, kazali stanąć mu w rozkroku z rękami opartymi o ścianę, przeszukali brutalnie, po czym dali kopniakiem znać, że może iść w swoją stronę. Stary sprzedawca splunął za nimi z rozmachem, o mało nie trafiając w stos własnych gruszek.

– Pewnego dnia zjawia się Bani Nadzi i zniszcza to plugastwo! – wymamrotał.

– Ostrożnie, starcze – szepnął Martin, wybierając najbardziej dojrzałe brzoskwinie. – To nierozważne słowa.

Sprzedawca spojrział na niego badawczo.

– Skąd jesteś, bracie?

– Z daleka. Mieszkam w wiosce na północy, wiele kilometrów od Badzi.

– Jeżeli chcesz skorzystać z rady starego człowieka, to wracaj tam czym prędzej. Moje oczy wiele już widziały. Pewnego dnia Bani Nadzi spadną nagle z jasnego nieba, a wraz z nimi Bani al-Kalb. Splunął ponownie, lecz tym razem gruszki nie miały takiego szczęścia, jak poprzednio. Martin zapłacił za brzoskwinie i cytryny, i pogrążony w myślach ruszył w drogę powrotną do domu. Do Willi Kulikowa dotarł w samo południe. Kierowca już dawno temu zawiózł pierwszego sekretarza do ambasady, więc choć Martin otrzymał od kucharki ostrą reprimendę, to nic z niej nie zrozumiał, gdyż nie miał mu kto jej przetłumaczyć. Niewiele sobie robiąc z krzyków kobiety wruszył ramionami i spokojnie wziął się do pracy w ogrodzie. Wciąż jednak myślał o starym sprzedawcy. Wyglądało na to, że byli w Iraku ludzie, którzy potrafili przewidzieć zbliżające się uderzenie aliantów i nie mieli nic przeciwko temu. Wyrażenie "zniszcza to plugastwo" odnosiło się z pewnością do tajnej policji, a pośrednio także do Saddama Husajna.

Na ulicach Bagdadu Brytyjczyków określa się mianem Bani Nadzi. Nie bardzo wiadomo, kim właściwie był tajemniczy Nadzi, ale powszechnie uważa się go za bardzo mądrego, świętego człowieka. Podobno młodzi brytyjscy oficerowie odbywający służbę w tej części Imperium często go odwiedzali, siadali u jego stóp i słuchali mądrości, które im prawił. Chociaż byli chrześcijanami, a więc niewiernymi, traktował ich jak swoje dzieci, i stąd wzięła się nazwa synowie Nadziego. O Amerykanach mówi się Bani al-Kalb. Kalb znaczy po arabsku pies, a w tym kręgu kulturowym zwierzę to nie jest darzone specjalnym szacunkiem.

Raport na temat Banku Winklera dostarczony Barzilaiowi przez sayana miał przynajmniej jedną zaletę: wskazywał kierunek, w którym należało prowadzić dalsze poszukiwania.

Podstawowe zadanie polegało na ustaleniu, który z trzech wiceprezesów – Kessler, Gemutlich czy Blei – prowadził konto irackiego zdrajcy o pseudonimie Jerrycho. Na pozór wydawało się, że najprościej będzie zadzwonić do banku i po prostu o to zapytać, ale z danych zawartych w raporcie wynikało, że żaden z pracowników Winklera nie udzielił takiej informacji przez telefon.

W związku z tym Barzilai wysłał z zajmowanego przez Mosad, ufortyfikowanego podziemia ambasady Izraela w Wiedniu, zaszyfrowaną depezę do Tel-Awihu i niebawem otrzymał za pośrednictwem kuriera to, czego sobie zażyczył.

Był to list napisany na oryginalnym papierze z firmowym nadrukiem, uzyskanym niezbyt legalną drogą z jednego z najstarszych i cieszących się najlepszą renomą londyńskich banków, świadczącego usługi nawet dworowi Jej Królewskiej Mości. Znakiem podrobiony podpis był nie do odróżnienia od oryginalnego autografu wysokiego urzędnika Coutts Bank zajmującego się

operacjami zagranicznymi, ani na kopercie zaś, ani w samym liście nie wymieniono nazwiska adresata. Tekst zaczynał się od tradycyjnego: "Szanowny Panie..."

Nadawca przedstawiał sprawę krótko i w prostych słowach.

Pewien ważny klient Coutts Bank ma zamiar w niedługim czasie przekazać sporą sumę do Banku Winklera, na konto numer taki to a taki. Klient ów poinformował jednak swoich londyńskich bankierów, że z ważnych a niezależnych od niego powodów operacja ulegnie opóźnieniu o kilka dni. Gdyby właściciel konta w Banku Winklera zaniepokoił się zwłoką i pragnął poznać jej przyczyny, Coutts Bank uprzejmie prosi, aby uspokojono go i zapewniono, że pieniądze nadejdą w najbliższym możliwym terminie. Jednocześnie Coutts byłby bardzo wdzięczny za potwierdzenie otrzymania tego listu.

Barzilai liczył na to, że ponieważ wszystkie banki bardzo chętnie przyjmują wszelkie wpłaty – a chyba żaden nie czyni tego chętniej od Banku Winklera – urzędnicy z Ballgasse zechcą udzielić kolegom z Londynu listownej odpowiedzi.

Koperta, do której włożono podrobiony w Tel-Awiiwie list, także miała firmowy nadruk i została opatrzona brytyjskimi znaczkami, ostemplowanymi dwa dni wcześniej w urzędzie pocztowym na Trafalgar Square. Zaadresowano ją do zastępcy prezesa ds. kont osobistych. Rzecz jasna, w Banku Winklera nie istniała taka funkcja, gdyż obowiązki, jakie musiałyby wykonywać pełniący ją człowiek, były rozdzielone między trzy osoby.

Koperta została wrzucona nocą do skrzynki na listy umieszczonej na drzwiach banku.

Tymczasem już od tygodnia oddział wywiadowców prowadził dokładną obserwację budynku, notując i fotografując wszystko, co mogło przydać się w przyszłości: godziny otwarcia i zamknięcia, sposób odbierania poczty, godzinę, o której wyruszał posłaniec z listami i przesyłkami, zachowanie recepcjonistki siedzącej w głównym holu oraz uzbrojonego strażnika zajmującego miejsce za biurkiem vis-a-vis niej.

Jak należało się spodziewać, siedziba Banku Winklera nie mieściła się w nowej budowli. Zarówno sama Ballgasse, jak i Franziskanerplatz, wraz z otaczającymi go uliczkami, znajdują się w starej dzielnicy miasta, w pobliżu Singerstrasse. Budynek zajmowany obecnie przez bank, niegdyś musiał służyć zamożnej kupieckiej rodzinie – sprawiał wrażenie niezmiernie solidnego, miał potężne drzwi z ciemnego drewna, a o tym, że mieści się tam bank, informował jedynie napis na niewielkiej mosiężnej tabliczce. Sądząc z rozkładu wewnątrz niemal identycznego domu przy pobliskim placu, który agenci Mosadu dokładnie zwiedzili, podając się za potencjalnych klientów mieszczących się tam kancelarii adwokackiej, budynek miał pięć pięter, na każdym zaś znajdowało się nie więcej niż sześć pomieszczeń.

Agenci Mosadu zaobserwowali między innymi, że zamiejscową pocztę wynoszono z banku codziennie wieczorem i wrzucano do skrzynki na placu, mniej więcej godzinę przed końcem urzędowania. Zadanie to należało do portiera, który zaraz potem wracał do banku, by otwierać drzwi wychodzącym z pracy urzędnikom. Na koniec wpuszczał nocnego strażnika i sam także udawał się do domu, strażnik zaś starannie zamykał się od wewnątrz, zasuwając tyle metalowych sztab, że potężne drzwi z pewnością wytrzymałyby nawet uderzenie rozpędzonego wozu opancerzonego.

Jeszcze zanim list z Coutts Bank w Londynie trafił do Banku Winklera, specjalista z grupy technicznej Mosadu obejrzał dokładnie skrzynkę pocztową na Franziskanerplatz i wykrzywił pogardliwie usta. Żaden problem. Jeden z jego ludzi uporał się z zamkiem

w ciągu trzech minut, po czym bez najmniejszego trudu dorobił klucz, który po niewielkich poprawkach obracał się w zamku bez żadnych oporów.

Dalsza obserwacja pozwoliła stwierdzić, że samochód pocztowy zajeżdża przed skrzynkę dokładnie o szóstej po południu, a więc dwadzieścia do trzydziestu minut po dostarczeniu przesyłek przez strażnika.

Tego dnia, kiedy list z Londynu został wsunięty do otworu w drzwiach banku, zespół obserwatorów połączył siły z zespołem technicznym. Jak tylko strażnik wrócił do budynku przy Ballgasse z krótkiej przechadzki na Franziskanerplatz, agent Mosadu otworzył skrzynkę. Listy z Banku Winklera leżały na samym wierzchu. Wyjęcie ich, odnalezienie tego, który był zaadresowany do Coutts Bank w Londynie, włożenie reszty na miejsce i zamknięcie skrzynki zajęło dokładnie trzydzieści sekund.

Pięciu członków zespołu obserwacyjnego stało w różnych punktach placu na wypadek, gdyby ktoś zaczął przejawiać nadmierne zainteresowanie tym, co dzieje się przy skrzynce pocztowej. Nic takiego jednak nie nastąpiło, gdyż spokojnym wiedeńczykom nawet przez chwilę nie zaświtałaby myśl, że agenci z Bliskiego Wschodu mogą zajmować się włamywaniem do skrzynek pocztowych w ich uroczym mieście. Na placu, naturalnie oprócz funkcjonariuszy Mosadu, znajdowały się tylko dwie osoby, ale żadna z nich nie zwróciła najmniejszej uwagi na człowieka w mundurze – zakupionym dzień wcześniej w sklepie z używanymi rzeczami – który, jak na skrupulatnego pracownika poczty przystało, opróżniał skrzynkę pocztową. Dwadzieścia minut później na placu pojawił się prawdziwy ambulans pocztowy, ale wówczas nie było tam już nikogo, kto mógłby nabrać jakichś podejrzeń.

Po otwarciu koperty Barzilai stwierdził, iż zawiera ona krótkie, ale uprzejme potwierdzenie otrzymania zawiadomienia, napisane dość przyzwoitą angielszczyzną i opatrzone podpisem Wolfganga Gemutlicha. Teraz kierujący operacją katsa wiedział już, kto zajmuje się kontem Jerycha. Pozostało tylko wydobyć z tego człowieka interesujące Mosad informacje.

Gideon Barzilai nie zdawał sobie jednak sprawy, że dopiero teraz zaczną się dla niego prawdziwe kłopoty.

Było już po zachodzie słońca, kiedy Mikę Martin opuścił teren rezydencji w dzielnicy Mansur. Nie musiał defilować przez główną bramę, gdyż otrzymał klucz od małej, zardzewiałej furtki w tylnej części ogrodu. Wyprowadził rower, zamknął za sobą furtkę na klucz, wsiadł na dwukołowy wehikuł i ruszył w drogę.

Wiedział, że czeka go długa noc. Kiedy Moncada został odwołany z Bagdadu, dokładnie opisał oficerom Mosadu położenie trzech skrzynek kontaktowych, których używał do przekazywania informacji zdrajcy ukrywającemu się pod pseudonimem Jerycho, a także miejsc, gdzie należało zrobić kredą znak, aby zawiadomić go, że czeka tam wiadomość. Martinowi nie pozostało nic innego jak umieścić w każdej z nich identyczną informację.

Napisał po arabsku na cienkim lotniczym papierze trzy jedno-brzmiające liściki, włożył je do plastikowych torebek, te zaś przykleił sobie do wewnętrznej strony uda. Kawałki kredy wrzucił do kieszeni.

Najpierw zatrzymał się przy cmentarzu Alwazia w dzielnicy Risafa po drugiej stronie rzeki. Doskonale pamiętał to miejsce z dzieciństwa, w Rijadzie zaś dokładnie przestudiował najnowsze zdjęcia lotnicze okolicy, ale okazało się, że odnalezienie po ciemku obłuzowanej cegły w murze to zupełnie inna, znacznie trudniejsza sprawa.

Zajęło mu to ponad dziesięć minut, ale przynajmniej miał

pewność, że trafił tam, gdzie powinien. Wyjął cegłę, wsunął zawinięty w celofan kawałek papieru do wnęki w murze i umieścił cegłę na miejscu.

Druga skrytka także znajdowała się w murze, prawie rozpadającym się ze starości, w pobliżu zniszczonej cytadeli w Azamijji, gdzie jedynie zarośnięty staw z cuchnącą wodą świadczy o tym, że niegdyś była tam głęboka fosa. Z ruinami cytadeli sąsiaduje świątynia Imama Al-Azama, oddzielona od niej częściowo zburzonym murem. Martin bez trudu znalazł stare drzewo, stanął tuż za nim twarzą do muru i odliczył dziesięć rzędów cegieł od jego szczytu. Dziesiąta cegła chwiała się niczym zepsuty ząb. Druga koperta trafiła do wnętrza małej niszy, cegła zaś wróciła na swoje miejsce. Martin rozejrzał się uważnie, aby upewnić się, że nie jest śledzony, ale nigdzie w pobliżu nie było żywej duszy. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odwiedza po zapadnięciu zmroku takich zakazanych zakątków.

Trzecia kryjówka znajdowała się także na cmentarzu, tyle tylko, że brytyjskim i bardzo zaniedbanym, w dzielnicy Waziraja niedaleko ambasady tureckiej. Podobnie jak w Kuwejcie, skrytkę umieszczono w grobowcu, lecz tym razem nie pod obluzowaną płytką, a w niewielkim kamiennym wazonie ustawionym w miejscu, gdzie powinna wznosić się tablica nagrobna.

- Nic się nie przejmuj, świetnie sobie radzisz - mruknął Martin do spoczywającego od wielu lat pod płytą obywatela Imperium. - Oby tak dalej.

Moncada mieszkał daleko od centrum, w wynajmowanym przez ONZ budynku przy autostradzie prowadzącej do lotniska, ale bardzo słusznie doszedł do wniosku, że miejsca, w których miały pojawiać się znaki informujące o tym, że w jednej ze skrytek jest do odebrania kolejna przesyłka, powinny znajdować się znacznie bliżej dzielnicy Mansur, gdzie bez trudu można je dostrzec z okien przejeżdżającego samochodu. Obowiązywała następująca zasada: ten, do kogo był adresowany znak, powinien przy pierwszej okazji zetrzeć go, tak by ten, kto go narysował, wiedział, że wiadomość dotarła do właściwego człowieka.

W ten sposób chilijski dyplomata i Jerycho porozumiewali się ze sobą przez dwa lata i nigdy się nie spotkali.

Martin nie miał samochodu, w związku z czym całą drogę odbył na rowerze. Pierwszy znak - przypominający krzyż św. Andrzeja - zrobił niebieską kredą na kamiennym murze, przy bramie prowadzącej na teren opuszczonej rezydencji. Drugi znak - białą kredą, kształt zbliżony do krzyża lotaryńskiego - znalazł się na pokrytych rdzą metalowych drzwiach garażu na tyłach dużego budynku w dzielnicy Jarmuk. Trzeci znak Martin narysował czerwoną kredą: islamski półksiężyc przekreślony w połowie poziomą kreską, na murze siedziby Związku Dziennikarzy Arabskich w dzielnicy Mutanabbi. Iraccy dziennikarze zdążyli już przywyknąć do tego, że nie oczekuje się od nich nadmiernej dociekliwości, w związku z czym można było mieć nadzieję, że niepozorny znak namazany kredą na murze nie trafi następnego dnia na czołówki gazet.

Martin nie miał pojęcia, czy Jerycho - mimo iż Moncada uprzedził go, że pewnego dnia współpraca może zostać ponownie nawiązana - nadal regularnie odwiedza umówione miejsca, wypatrując charakterystycznych znaków. Mógł tylko codziennie sprawdzać, czy któryś ze znaków nie zniknął, i czekać.

7 listopada nie było już znaku zrobionego białą kredą. Może po prostu właściciel garażu postanowił oczyścić zardzewiałe drzwi? Martin popedałował dalej. Brama opuszczonej rezydencji, ściana budynku... Wszędzie znaki przepadły bez śladu.

Wieczorem odwiedził trzy skrzynki kontaktowe, za których pośrednictwem Jerycho przekazywał meldunki prowadzącemu go

agentowi.

Pierwsza mieściła się w niszy za obluzowaną cegłą w murze otaczającym targ warzywny przy ulicy Sa'adun. W skrytce leżała złożona kilka razy kartka cienkiego papieru. Identyczne kartki czekały na niego w dwóch pozostałych skrytkach: pod rozpadającym się parapetem pustego domu przy jednej z niezliczonych uliczek, tworzących targ na północnym brzegu rzeki w pobliżu mostu Szuhada oraz pod dużym płaskim kamieniem na dziedzińcu zrujnowanej willi przy Abu Nuwas.

Wszystkie trzy kartki Martin przyklepił sobie taśmą klejącą do wewnętrznej strony uda, po czym nie zwlekając wrócił do rezydencji rosyjskiego dyplomaty w Mansur.

W domu zamknął drzwi, zasłonił okno kocem, zapalił świeczkę i przeczytał je uważnie. Wszystkie zawierały identyczną wiadomość: Jerycho żyje i ma się dobrze. Jest gotów nawiązać współpracę z Zachodem, gdyż przypuszcza, że teraz jego mocodawcami będą Anglicy i Amerykanie. Ponieważ jednak ostatnio ogromnie wzrosło ryzyko, wzrosnąć musi także jego wynagrodzenie. Oczekuje zgody na ten warunek oraz sprecyzowania zakresu informacji, jakich ma dostarczać.

Martin spalił trzy karteluszki, a następnie wyszedł na dwór i wdeptał popiół w ziemię. Wiedział, że Langley było gotowe zapłacić bardzo wiele, pod warunkiem jednak, że uzyska towar pierwszej jakości. Co do zakresu informacji, to przed wyprawą do Bagdadu zapamiętał długą listę pytań dotyczących zamiarów Saddama, jego koncepcji strategicznych, a także lokalizacji głównych ośrodków dowodzenia i fabryk wytwarzających broń masowej zagłady.

Tuż przed świtem wydobył nadajnik z ukrycia i przesłał do Rijadu wiadomość: JERYCHO WRÓCIŁ DO GRY.

10 listopada, po powrocie do swego małego, zawałonego książkami i papierami gabinetu na Wydziale Orientalistyki i Afrykanistyki Uniwersytetu Londyńskiego, doktor Terry Martin zastał na biurku kartkę z następującą informacją od sekretarki: Dzwonił jakiś pan Plummer. Powiedział, że ma pan jego numer i będzie wiedział, o co chodzi.

Treść notatki świadczyła o paskudnym nastroju panny Wordsworth, która za wszelką cenę starała się otoczyć swoich naukowców taką opieką, jaką kwoka otacza kurczęta. W związku z tym uważała, że za wszelką cenę, zawsze i wszędzie musi wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. Ktoś, kto dzwonił do jednego z jej podopiecznych, a nie chciał ujawnić, jaką ma do niego sprawę, nie mógł liczyć na jej przychylność.

Jesienny semestr trwał już w najlepsze, codziennie odbywały się zajęcia ze studentami, więc nic dziwnego, że Terry Martin prawie zapomniał o prośbie, jaką przedstawił kierownikowi sekcji arabskiej w Rządowym Centrum Informacyjnym w Gloucestershire.

Natychmiast zadzwonił do Plummera, tylko po to jednak, aby dowiedzieć się, że ten wyszedł na lunch. Potem Martin aż do czwartej miał ćwiczenia ze studentami, w związku z czym ponownie zadzwonił do Gloucestershire dopiero kilka minut przed piątą. Tym razem sprzyjało mu szczęście.

– A, to pan – powiedział Plummer. – Tak, telefonowałem do pana. Przypomina pan chyba sobie, że poprosił nas pan, żebyśmy zwracali uwagę na wszystko, co dziwne albo pozornie pozbawione sensu? Otóż wczoraj nasza stacja na Cyprze przechwyciła coś, z czym nie bardzo możemy sobie poradzić. Może pan tego posłuchać, jeśli ma pan ochotę.

– Tutaj, w Londynie?

– Obawiam się, że nie. Naturalnie mógłbym przesłać panu taśmę, ale chyba byłoby lepiej, gdyby skorzystał pan z naszego

specjalistycznego sprzętu. Jakość nagrania jest nie najlepsza, i chyba między innymi właśnie dlatego nawet moi Arabowie nie potrafią dociec, o co tam właściwie chodzi.

Do końca tygodnia obaj mężczyźni nie mieli ani chwili wolnego czasu. Ostatecznie stanęło na tym, że Martin przyjedzie w niedzielę, Plummer zaś obiecał mu lunch w przytulnym pubie położonym niespełna dwa kilometry od Centrum.

Żadnego ze stałych bywalców lokalu nie zdziwiło pojawienie się dwóch mężczyzn w tweedowych marynarkach, którzy usiedli w zacisznym kącie i zamówili danie dnia: befsztyk i pudding.

- Nie wiemy, kto z kim rozmawia, ale nie ulega wątpliwości, że to szczyt - wyjaśnił Plummer. - Z jakiegoś powodu ten, który dzwonił, korzystał z ogólnie dostępnej sieci telefonicznej. Wszystko wskazuje na to, że niedawno wrócił z Kuwejtu. Ponieważ rozmowa nie odbywała się po wojskowych łączach, to może ten, do kogo dzwonił także nie jest wojskowym, tylko wysokim urzędnikiem.

Umilkł, gdyż kelnerka przyniosła befsztyki, pieczone ziemniaki i sałatkę. Kiedy kobieta odeszła, Plummer zaczął mówić dalej:

- Ten, który dzwoni, zdaje się komentować doniesienia pilotów Irackich Sił Powietrznych, wielokrotnie meldujących, że amerykańskie i brytyjskie samoloty coraz częściej zbliżają się z dużą prędkością do granicy Iraku, jakby miały zamiar ją przekroczyć, ale w ostatniej chwili zakręcają, by wkrótce zjawić się powtórnie. \

Martin skinął głową, on także słyszał o tej taktyce. Miała na celu sprowokowanie przeciwnika do uruchomienia radarów i wprowadzenia w stan gotowości wyrzutni pocisków ziemia-powietrze, a tym samym ujawnienia ich usytuowania krążącym bez przerwy nad Zatoką AWACS-om.

- Wspomina coś o Bani al-Kalb, psich synach, czyli Amerykanach, na co jego rozmówca wybucha śmiechem i odpowiada, że Irak nie powinien reagować na te prowokacje, gdyż są to tylko nieudolne próby rozpracowania jego systemu obronnego.

I właśnie wtedy następuje ten fragment, z którym nie możemy sobie poradzić. Nagle pojawiają się jakieś zakłócenia, a w dodatku ten, który mówi, wyraźnie ścisza głos.

Mimo to jego informator przerywa mu gwałtownie i każe natychmiast zakończyć rozmowę, co tamten niezwłocznie czyni. Chciałbym, żeby pan wysłuchał właśnie tego ostatniego fragmentu.

Po lunchu Plummer zawiózł Martina do Rządowego Centrum Informacyjnego - działa ono przez siedem dni w tygodniu, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Kiedy znaleźli się w wyłożonym dźwiękochłonnymi płytami pomieszczeniu, przypominającym nieco studio nagrań, Plummer poprosił jednego z technikówoodtworzenie taśmy z zagadkowym nagraniem. Dwaj mężczyźni siedzieli w milczeniu, wsłuchując się w gardłowe, zniekształcone głosy. Rozmowa przebiegała dokładnie tak, jak mówił Plummer. Pod koniec Irakijczyk, który telefonował do Bagdadu, stał się wyraźnie podekscytowany.

- To już niedługo, rafik. Wkrótce będziemy...

Właśnie wtedy pojawiły się zakłócenia i słowa mężczyzny zginęły w nagłej erupcji szumów i trzasków. Z pewnością dotarły jednak do uszu człowieka w Bagdadzie, gdyż natychmiast przerwał swojemu rozmówcy.

- Zamilcz, ibn-al-gahbal

Zaraz potem odłożył z trzaskiem słuchawkę, jakby dopiero teraz uświadomił sobie, że rozmowa odbywa się na linii nie zabezpieczonej przed podsłuchem.

Technik odtworzył taśmę trzykrotnie, za każdym razem z nieco inną prędkością.

- I co pan o tym myśli? - zapytał Plummer.

- Na pewno obaj są wysokimi funkcjonariuszami partii, gdyż tylko oni zwracają się do siebie "rafik", czyli "towarzyszu",

- Zgadza się. Mamy więc dwóch ważniaków plotkujących o amerykańskich pozornych atakach lotniczych na pozycje irackie.

- Potem jeden z nich wyraźnie się zaperza, ale jest w tym też jakby triumfalna nuta. Używa Wyrażenia , już niedługo..."

- Tak jakby czynił aluzję do jakichś zmian, które mają niebawem nastąpić?

- Całkiem możliwe - odparł Martin.

- Potem pojawiają się zakłócenia, ale proszę zwrócić uwagę na reakcję tego z Bagdadu. Zanim rzucił słuchawkę na widełki, nazwał swego rozmówcę "synem ulicznicy". To chyba amunicja dużego kalibru, prawda?

- Bardzo dużego. Ten, kto jej użył, musi być kimś naprawdę bardzo ważnym, skoro odważył się na coś takiego. Ale co mogło go aż tak bardzo zdenerwować? - zastanawiał się głośno Terry Martin.

- Na pewno ten fragment z zakłóceniami. Posłuchajmy go raz jeszcze.

Technik ponownie odtworzył tę część rozmowy.

- Coś o Allahu! - zaryzykował Plummer. - Wkrótce będziemy z Allahem! W rękach Allaha!

- Moim zdaniem to brzmi tak: "Wkrótce będziemy... cośtam... cośtam... Allah".

- Chyba ma pan rację. Wkrótce będziemy... doświadczać łaski Allaha!

- Gdyby chodziło o coś takiego, to dlaczego ten drugi zareagował wybuchem wściekłości? - zapytał Martin. - Od wieków ludzie odwołują się do opieki Opatrzności i nigdzie nie uważa się tego za bluźnierstwo. Naprawdę, nie mam pojęcia... Czy mógłbym dostać do domu kasetę z tą rozmową, żeby jeszcze się zastanowić?

- Oczywiście.

- Zwracaliście się może w tej sprawie do naszych amerykańskich kuzynów?

Mimo że Terry Martin zaledwie kilka tygodni temu wkroczył w świat tajnych operacji, w szybkim tempie przyswajał sobie obowiązujące tam słownictwo. Dla funkcjonariuszy brytyjskich służb wywiadowczych ich rodacy z pokrewnych służb są "przyjaciółmi", natomiast koledzy z Ameryki "kuzynami".

- Jasne. Fort Meade przechwycił za pomocą satelity tę samą rozmowę, ale oni też nie wiedzą, jak sobie poradzić. Szczerze mówiąc, nie przywiązują do niej większej wagi i chyba nie pracują zbyt usilnie nad jej wyjaśnieniem.

Ku niezadowoleniu Hilary'ego, Terry Martin po powrocie do domu przez cały wieczór odtwarzał niemal bez przerwy nagranie, które przywiózł z wycieczki do Gloucestershire. Kiedy Hilary wreszcie zaprotestował, Terry zwrócił mu uwagę, że jemu także zdarza się przez kilka godzin poszukiwać właściwego hasła do krzyżówki w Timesie.

- Ale ja przynajmniej je znajduję, jeśli nie od razu, to na pewno następnego ranka! - odparł z oburzeniem Hilary, po czym odwrócił się na drugi bok i w dalszym ciągu próbował zasnąć.

Terry Martin nie znalazł odpowiedzi ani nazajutrz rano, ani następnego dnia, ani jeszcze następnego. Słuchał taśmy w przerwach między wykładami i niemal w każdej wolnej chwili, poszukując sposobu wyjaśnienia zagadki, wciąż jednak bez skutku. Dlaczego niewinna wzmianka o Allahu wywołała tak wielki gniew partyjnego dostojnika?

Dopiero pięć dni później gardłowe, zniekształcone dźwięki

niespodziewanie ułożyły mu się w sensowną całość. Martin natychmiast spróbował skontaktować się z Simonem Paxmanem z Century House, ale powiedziano mu, że pan Simon wyjechał służbowo i nie wiadomo, kiedy wróci. To samo dotyczyło Steve'a Lainga. Naturalnie doktor Terry Martin nie mógł mieć pojęcia, że Paxman został czasowo oddelegowany do kwatery SIS w Rijadzie, Laing zaś udał się do tego samego miasta na spotkanie z Chipem Barberem z CIA.

Człowiek zwany "fotografem" przyleciał do Wiednia z Tel-
-Awiwu przez Londyn i Frankfurt. Wiedział, że na lotnisku Schwechat nikt nie będzie na niego czekał, więc od razu wsiadł do taksówki i kazał się zawieźć do hotelu Sheraton, gdzie miał zarezerwowany pokój.

Rumiany i jowialny, wyglądał jak typowy amerykański prawnik z Nowego Jorku i miał wszelkie niezbędne dokumenty, żeby potwierdzić swą profesję. Mówił bezbłędnie po angielsku z wyraźnym amerykańskim akcentem – co było całkiem zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę to, że przez kilkanaście lat mieszkał w Stanach. Dość sprawnie posługiwał się także niemieckim.

Natychmiast po rozlokowaniu się w pokoju skorzystał z usług jednej z zawodowych sekretarek, jakie Sheraton oddaje do dyspozycji gości, i podyktował jej bardzo uprzejmy list, który zaraz potem został przepisany na firmowym papierze nowojorskiej kancelarii adwokackiej. Adresatem listu okazał się niejaki Wolfgang Gemutlich, wiceprezes Banku Winklera.

Firmowy papier był całkowicie prawdziwy, a gdyby ktoś zechciał zadzwonić pod podany w nagłówku numer telefonu, dowiedziałyby się, że autor listu istotnie jest jednym z głównych wspólników tej firmy. Tak się jednak złożyło, że człowiek ten przebywał obecnie na urlopie (Mosad wiedział to na pewno) i nie miał nic wspólnego z mężczyzną, który zjawił się w Wiedniu.

List był nie tylko uprzejmy, ale zarazem intrygujący, czyli dokładnie taki, jak powinien. Nadawca informował w nim, że reprezentuje interesy bardzo zamożnego, cieszącego się wielkim poważaniem klienta. Zaprağnął on zainwestować część swego majątku w Europie, a dowiedziawszy się od przyjaciela o tym, jak wspaniałą reputacją cieszy się Bank Winklera, polecił swemu prawnikowi – czyli autorowi listu – aby ten skontaktował się z tą instytucją, a konkretnie z jej wiceprezesem, Herr Gemutlichem.

Nadawca zdaje sobie sprawę, że powinien wcześniej uzgodnić termin spotkania, ale ponieważ zarówno jego firma prawnicza, jak i sam klient, którego interesy reprezentuje, przykładają ogromną wagę do dyskrecji, wszędzie tam, gdzie tylko jest to możliwe, stara się nie omawiać poufnych spraw przez telefon i nie korzystać z faksu. Dlatego też pozwolił sobie przy okazji swej europejskiej podróży zjawić się osobiście w Wiedniu.

Napięty rozkład zajęć sprawia jednak, że Amerykanin będzie mógł pozostać w stolicy Austrii zaledwie trzy dni, w związku z czym pozwala sobie zwrócić się do Herr Gemutlicha z uprzejmą prośbą o wyznaczenie spotkania właśnie w tym okresie.

List został wieczorem wrzucony do skrzynki na korespondencję na drzwiach banku, a nazajutrz w południe specjalny posłaniec dostarczył do hotelu odpowiedź: Herr Gemutlich z przyjemnością spotka się z amerykańskim prawnikiem jutro o dziesiątej rano.

Od chwili, kiedy "fotograf przekroczył próg banku, jego wzrok nie ominął niczego. Mężczyzna nie sporządzał żadnych notatek, gdyż nie musiał tego robić; znakomita, wręcz fotograficzna pamięć pozwalała mu potem odtworzyć każdy szczegół. Recepcjonistka poprosiła go o jakiś dowód tożsamości, sprawdziła przez telefon, czy rzeczywiście człowiek ów jest ocze-

kiwany, a następnie portier zaprowadził go na górę, aż do skromnych drewnianych drzwi, w które zapukał. Gość ani na chwilę nie został sam.

Na głośnie: Herein! portier otworzył drzwi, zaczekał, aż Amerykanin wejdzie do środka, po czym zamknął je i wrócił za swoje biurko do holu na parterze.

Herr Wolfgang Gemutlich podniósł się z miejsca, uścisnął rękę gościowi, wskazał mu gestem fotel, po czym znowu zajął miejsce za biurkiem.

Słowo "gemutlich" znaczy po niemiecku tyle co "miło" i "przytulnie". Trudno sobie wyobrazić, żeby nazwisko mniej pasowało do człowieka niż w tym wypadku. Ponad 60-letni Herr Gemutlich był wręcz chorobliwie chudy, miał na sobie szary garnitur, szary krawat, a jego szarosiwe włosy okalały twarz doskonale pasującą do całości. Wprost emanował szarością. W jego wyblakłych oczach nie widziano nigdy choćby śladu poczucia humoru, zaś grymas jakby wyciętych z papieru ust bardziej przypominał pośmiertny skurcz niż przyjazny uśmiech.

Gabinet sprawiał identyczne wrażenie jak jego właściciel: na ścianach obitych ciemnym drewnem zamiast obrazów wisiały oprawione w ramy dyplomy, a na ozdobnym wielkim biurku panował nienaganny porządek.

Wolfgang Gemutlich na pewno nie zajmował się bankowością dla zabawy, a wiele wskazywało na to, że jest człowiekiem, który w ogóle nie pochwała jakiegokolwiek wesołości. Pieniądze to poważna sprawa, a kto wie, czy nie najważniejsza w życiu. Należało je oszczędzać, najlepiej w Banku Winklera. Jeżeli istniało coś, do czego Herr Gemutlich czuł szczerze obrzydzenie, to tym czymś było wydawanie pieniędzy. Każde polecenie wypłaty wywoływało u niego ostre bóle żołądka, a konieczność dokonania przelewu większej sumy do innego banku psuło mu humor na cały tydzień.

"Fotograf znalazł się w gabinecie po to, by wszystko dokładnie zapamiętać. Najważniejsze zadanie, które już zostało wypełnione, polegało na poznaniu wiceprezesa banku, tak by później oddział wywiadowczy nie miał żadnych problemów z identyfikacją. Wysłannikowi Mosadu kazano także szukać sejfów, gdzie mogła znajdować się informacja o czynnościach, jakich należy dokonać, aby uzyskać dostęp do konta Jerycha, oraz zwrócić uwagę na rodzaj zamków, zabezpieczeń i systemów alarmowych. Krótko mówiąc, przeprowadzał dokładny rekonesans przed ewentualnym włamaniem.

Unikając szczegółów na temat transferu, ale co chwila podkreślając, że w grę wchodzi znaczna suma pieniędzy, "fotograf uparcie sprowadzał rozmowę na temat środków podejmowanych przez Bank Winklera w celu zapewnienia jego klientom maksymalnej dyskrecji. Herr Gemutlich z dumą stwierdził, że właściwie nie ma sposobu, żeby ktoś niepowołany poznał tożsamość klienta, który ma w banku konto na hasło.

W pewnej chwili mężczyźni przerwali rozmowę, gdyż otworzyły się boczne drzwi i do gabinetu cicho jak mysz weszła kobieta z trzema listami wymagającymi podpisu pryncypała. Gemutlich zmarszczył z niezadowoleniem brwi.

- Nie przeszkadzałabym panu, Herr Gemutlich, ale sam pan powiedział, że to bardzo ważne...

Po bliższym przyjrzeniu się można było stwierdzić, że kobieta ma najwyżej czterdzieści lat, choć zebrane w kok włosy, tweedowy kostium, fildekosowe pończochy oraz pantofle na płaskim obcasie zdawały się wskazywać na więcej.

- Ja, ja - mruknął ze zniecierpliwieniem wiceprezes banku i wyciągnął rękę po listy. - Entschuldigung... - rzucił pod adresem gościa.

Rozmowa toczyła się po niemiecku, gdyż okazało się, że Gemutlich ma poważne problemy z angielskim. Niespodziewanie "fotograf poderwał się z fotela i uklonił się lekko kobiecie.

- Gruss Gott, Fraulein - powiedział.

Sekretarka była wyraźnie zmieszana, gdyż goście szefa zazwyczaj nie okazywali jej aż takich względów. Zachowanie Amerykanina sprawiło jednak, że Gemutlich odchrząknął niepewnie i wymamrotał:

- Ehm... Tak, to moja prywatna sekretarka, panna Hardenberg.

"Fotograf zanotował to w pamięci i ponownie usiadł w fotelu. Wkrótce potem pożegnał się z wiceprezesem banku, przyjąwszy zapewnienia, że jego nowojorskiego klienta ponad wszelką wątpliwość zadowoli poziom usług oferowanych przez Bank Winklera. Rytuał się powtórzył: wezwany z dołu portier zjawił się przy drzwiach, by odprowadzić gościa do drzwi.

Kiedy wsiedli do małej windy o drzwiach wykonanych z metalowych prętów, "fotograf zapytał, czy mógłby skorzystać z toalety. Portier zmarszczył brwi, jakby zaspokajanie potrzeb fizjologicznych nie było zbyt mile widziane na terenie Banku Winklera, ale zatrzymał windę na półpiętrze i wskazał amerykańskiemu prawnikowi drewniane drzwi nie opatrzone żadnym napisem.

Wyposażenie przeznaczonej dla męskiej części personelu toalety składało się z pojedynczej kabiny, pisuaru, umywalki, pojemnika z papierowymi ręcznikami oraz ściennej szafy. "Fotograf odkręcił kran, po czym dokładnie obejrzał pomieszczenie. Małe, zamknięte na głucho okienko było podłączone do systemu alarmowego, wentylację zapewniał ścienny wyciąg, w szafie zaś znajdowały się szczotki, wiadra, środki czystości oraz odkurzacz. A więc Bank Winklera odwiedzały także sprzątaczkі, ale kiedy wykonywały swoje obowiązki? Nocą, czy w niedzielę? Należało się spodziewać, że nie wolno im było samym pozostawać w gabinetach najwyższych urzędników banku; zapewne towarzyszył im wtedy strażnik, którym łatwo można by się zająć, ale takie rozwiązanie nie wchodziło w grę. Kobi Dror wydał wyraźny rozkaz, żeby nie zostawiać żadnych śladów.

Kiedy Amerykanin opuścił toaletę, portier czekał na niego przy windzie. Dostrzegłszy szerokie marmurowe schody prowadzące do głównego holu "fotograf uśmiechnął się, wskazał w ich kierunku i nie czekając na reakcję portiera ruszył w dół. Umundurowany mężczyzna chcąc nie chcąc podążył za gościem i otworzył przed nim drzwi. "Fotograf usłyszał wyraźne trzaśnięcie masywnej zasuw. Ciekawe, czy recepcjonistce wolno otwierać drzwi, jeżeli portier jest akurat zajęty w innej części budynku? - przemknęło mu przez głowę.

Przez dwie kolejne godziny opowiadał Barzilaiowi o tym, co zaobserwował we wnętrzu banku. Obraz, jaki wyłaniał się stopniowo z tej opowieści, był raczej mało zachęcający. Dowódca oddziału Mosadu co chwila kręcił ponuro głową.

Włamanie nie przedstawiało żadnych problemów; wystarczyło zlokalizować centralę systemu alarmowego i wyłączyć ją. Jeżeli jednak chodzi o to, by nie pozostawiać śladów, tu mogły pojawić się spore kłopoty. Po godzinach urzędowania, banku pilnuje nocny strażnik, który z pewnością co jakiś czas obchodzi cały budynek, a poza tym, czego właściwie mieliby szukać? Sejfu? Jakiego typu? Z jakim zamkiem? Gdzie ukrytego? Takie poszukiwania musiałyby potrwać kilka godzin, nie obyłyby się więc bez "uciszenia" strażnika, a to oznaczało ślady, mnóstwo śladów. Dror wyraźnie tego zabronił.

Nazajutrz "fotograf odleciał do Londynu, a stamtąd z powrotem do Tel-Awiwu, wcześniej jednak wskazał na zdjęciach,

które robiono wszystkim wchodzącym i wychodzącym z banku, Wolfganga Gemutlicha oraz pannę Hardenberg. Zaraz po jego wyjeździe Barzilai odbył poważną rozmowę z szefem zespołu technicznego.

- Potrzebuję więcej informacji, Gidi. Zbyt wiele spraw jest jeszcze dla mnie niejasnych. Na przykład, gdzie jest ten sejf, w którym są papiery, których potrzebujesz? W ścianie? W podłodze? W pokoju sekretarki? A może w podziemiach? Koniecznie trzeba się tego dowiedzieć.

Barzilai mruknął coś pod nosem. Dawno temu, podczas szkolenia, jeden z instruktorów powiedział mu, że nie istnieje ktoś taki jak człowiek bez słabych punktów. Wystarczy ustalić ten punkt i mocno ucisnąć, a zyska się chętnego współpracownika. Nazajutrz z samego rana oba zespoły wzięły Wolfganga Gemutlicha pod ścisłą obserwację.

Wkrótce miało się jednak okazać, że chudy wiedeńczyk stanowi wyjątek od reguły, wyznawanej przez instruktora Mosadu.

Steve Laing i Chip Barber mieli poważny problem. W połowie listopada Jerycho dostarczył pierwszych odpowiedzi na pytania przekazane mu za pośrednictwem skrzynek kontaktowych w Bagdadzie. Cena okazała się wysoka, ale rząd Stanów Zjednoczonych bez słowa protestu przesłał należność na specjalne konto na hasło w jednym z wiedeńskich banków.

Jeżeli informacje dostarczone przez Jerycha były prawdziwe - a nie istniał żaden powód, by przypuszczać, że jest inaczej - to miarjfone ogromną wagę. Nie odpowiedział jeszcze na wszystkie pytania, ale wyjaśnił już sporo wątpliwości i potwierdził kilka domysłów.

Najważniejsze, że podał dokładną lokalizację siedemnastu obiektów związanych z produkcją broni masowej zagłady. W stosunku do ośmiu z nich alianci żywili takie podejrzenia, ale o istnieniu dziewięciu pozostałych nie mieli do tej pory pojęcia. Wśród tej dziewiątki znajdowała się także kaskada wirówek wytwarzających uran 235, niezbędny do zbudowania bomby atomowej.

Problem polegał na tym: w jaki sposób wskazać te cele wojskowym, nie zdradzając jednocześnie, że Century House i Langley dysponują informatorem usadowionym w najwyższych kręgach władzy w Bagdadzie?

Nie chodziło przy tym bynajmniej o brak zaufania, tylko o wierność starej, wielokrotnie sprawdzonej zasadzie, mówiącej, że człowiek, który nic nie wie, niczego nie może ujawnić, nawet przez zwykłą nieostrożność albo głupotę. Gdyby cywile nagle wyciągnęli z rękawa zupełnie nową listę celów, wielu generałów i dowódców wyższego szczebla z pewnością domyśliłoby się jej pochodzenia.

W drugiej połowie miesiąca Barber i Laing spotkali się w podziemiach saudyjskiego Ministerstwa Lotnictwa z generałem Busterem Glossonem, zastępcą generała Chucka Homera dowodzącego lotnictwem sprzymierzonych nad Zatoką Perską.

Choć Glosson z pewnością miał jakieś imię, nikt nigdy nie mówił o nim inaczej niż "Buster". To on właśnie był głównym autorem planu zmasowanych ataków powietrznych na Irak, które - wszyscy doskonale zdawali sobie z tego sprawę - miały stanowić wstęp do natarcia sił lądowych.

Londyn i Waszyngton już dawno temu doszły do wniosku, że bez względu na wydarzenia, jakie rozegrały się w Kuwejcie, należy zniszczyć potęgę wojskową Saddama Husajna i pozbawić go możliwości wytwarzania śmiertcionośnych gazów, broni bakteriologicznej oraz bomb atomowych.

Plany wojny powietrznej były gotowe na długo przed tym, zanim w wyniku operacji Pustynna Tarcza pozbawiono Irak

możliwości przeprowadzenia ataku na Arabię Saudyjską.

16 listopada Organizacja Narodów Zjednoczonych wspomagana przez wielu dyplomatów z różnych krajów nadal rozpaczliwie usiłowała stworzyć jakiś plan pokojowy, pozwalający rozwiązać kryzys bez konieczności oddania choćby jednego strzału lub zrzucenia nawet jednej bomby. Trzej mężczyźni, którzy tego dnia spotkali się w ukrytym pod ziemią pomieszczeniu w Rijadzie, wiedzieli doskonale, że nic takiego nie będzie możliwe.

Barber mówił zwięźle i na temat.

- Jak wiesz, Buster, razem z Brytyjczykami od kilku miesięcy próbowaliśmy ustalić lokalizację irackich fabryk broni masowej zagłady.

Amerykański generał lotnictwa skinął ze znużeniem głową; w pokoju, do którego wchodziło się z tego samego korytarza, miał mapę upstrzoną czerwonymi szpilkami jak jeżozwierz igłami. Każda szpilka oznaczała jeden cel.

- Co dalej?

- Zaczęliśmy od sprawdzania zezwoleń eksportowych, żeby ustalić najpierw, z jakich państw pochodziły dostawy, następnie znaleźć właściwe firmy, na końcu zaś dotrzeć do poszczególnych uczonych realizujących zamówienia na miejscu, w Iraku. Okazało się jednak, że albo byli codziennie dowożeni na miejsce autobusami o zasłoniętych oknach, albo przez kilka miesięcy mieszkali na terenie fabryki, nie bardzo wiedząc, gdzie ona się właściwie znajduje.

Na koniec wzięliśmy się za inżynierów, którzy budowali Saddamowi te wszystkie zabawki. Okazało się, że dopiero wtedy trafiliśmy w dziesiątkę. Część z nich miała do powiedzenia mnóstwo ciekawych rzeczy.

Barber podał generałowi nową listę celów. Glosson przyjrzał się jej z zainteresowaniem. Wymienione miejsca były pozbawione dokładnych współrzędnych, ale dzięki szczegółowym opisom ich odnalezienie na zdjęciach lotniczych nie powinno nastręczać żadnych kłopotów. Niektóre znajdowały się na wcześniej sporządzonych listach, przy kilku do tej pory stały znaki zapytania, większość jednak stanowiła zupełną nowość.

Generał uniósł brwi.

- Jesteście tego pewni? - zapytał.

- Całkowicie - odparł milczący do tej pory Anglik. -

Budowlańcy stanowią jedno z najlepszych źródeł informacji (jeżeli w ogóle nie najlepsze), bo przez cały czas dokładnie wiedzieli co robią, a w dodatku są bardziej skłonni do rozmów niż panowie uczeni.

Glosson podniósł się z miejsca.

- W porządku - mruknął. - Myślicie, że znajdziecie jeszcze coś nowego?

- Na pewno będziemy szukać, Buster - odparł Barber. -

Rozesłaliśmy ludzi po całej Europie i jeżeli czegoś się dowiedzą, natychmiast damy ci znać. Wiesz, Saddam sporo budował pod ziemią, nawet tam, gdzie wydaje się, że jest tylko pustynia.

- Powiedzcie mi tylko, gdzie to jest, a zwalimy im tę pustynię na głowy - zapewnił generał.

Nieco później zaniósł listę Chuckowi Homerowi. Dowódca USAF był niższy od Glossona, miał twarz przypominającą pysk ogara, ponure spojrzenie, jeśli zaś chodzi o subtelność - przypominał słonia w składzie porcelany. Niemniej bardzo kochał swoich ludzi, zarówno pilotów, jak i tych z obsługi naziemnej, oni zaś w pełni odwzajemniali to uczucie.

Wszyscy doskonale wiedzieli, że w razie potrzeby potrafi zawzięcie walczyć z dostawcami sprzętu, urzędnikami i politykami,

nawet tymi z Białego Domu, posługując się przy tym słownictwem, które najdelikatniej określa się mianem "koszarowego". W nikim, kto widział go choć raz w życiu, nie mogło to budzić najmniejszego zdziwienia.

Przebywając nad Zatoką Perską w Bahrajnie, Abu Zabi albo Dubaju, gdzie stacjonowała większość jego maszyn, unikał jak ognia luksusowych Hiltonów i Sheratonów, jedząc w żołnierskich stołówkach i śpiąc na takich samych pryczach, na jakich spali piloci i mechanicy.

Żołnierze bardzo szybko wyczuwają obłudę, a jeśli choć raz zostaną oszukani, nic i nikt nie zmusi ich, żeby darzyli szacunkiem kogoś, kto zawiódł ich zaufanie. Gdyby Chuck Horner wydał taki rozkaz, piloci USAF wystartowaliby przeciwko irackim myśliwcom nawet na dwupłatowcach, ze sklejki, płótna i drutu.

Generał przez chwilę przyglądał się liście dostarczonej przez ludzi z wywiadu i wymamrotał coś pod nosem. W dwóch spośród wymienionych miejsc nie było nic oprócz rozpalonej słońcem pustyni.

– Skąd oni to wytrzasnęli? – zapytał Glossona.

– Mówią, że od ludzi, którzy pracowali przy budowie – odparł jego zastępca.

– Pieprzenie – warknął Horner. – Te fiuty mają kogoś w Bagdadzie. Buster, trzymaj gębę na kłódkę. Nikomu ani słowa. Po prostu zaznacz te gówna na naszej mapie. – Umilkł, by po chwili namysłu dodać: – Jestem kurewsko ciekaw, skąd wytrzasnęli tego drania.

Kiedy Steve Laing wrócił 18 listopada do Londynu, zastał stolicę w stanie wrzenia w związku z kryzysem, który ujawnił się w łonie rządzącej Partii Konserwatywnej, kiedy jeden z jej drugorzędnych parlamentarzystów wykorzystał partyjny regulamin, by usunąć Margaret Thatcher z fotela premiera.

Laing znalazł na biurku wiadomość pozostawioną przez Terry'ego Martina i pomimo zmęczenia natychmiast zadzwonił na uniwersytet. Uczony wydawał się czymś niezmiernie podekscytowany, więc Laing umówił się z nim na szybkiego drinka zaraz po pracy, żeby móc jak najszybciej wrócić do domu usytuowanego na odległym przedmieściu Londynu.

Kiedy usiedli przy stoliku w zacisznym kącie niewielkiego baru w West Endzie, Martin wyjął z teczki przenośny magnetofon i kasetę, po czym powiedział Laingowi o prośbie, jaką kilka tygodni temu przedstawił Seanowi Plummerowi oraz o ich, spotkaniu w minioną niedzielę.

– Chce pan posłuchać? – zapytał.

– Cóż, jeżeli chłopcy z Centrum nie dali sobie z tym rady, to ja nie mam żadnych szans – odparł Laing. – Wśród pracowników Plummera są rodowici Arabowie, choćby taki Al-Churi, więc jeśli oni też nic nie zrozumieli...

Mimo to pozwolił uczonemu odtworzyć nagranie.

– Usłyszał pan zgłoskę "k" zaraz po słowie "mieli"? – zapytał z podnieceniem Martin. – Ten człowiek nie odwołuje się do pomocy Allaha, tylko wymienia jakąś nazwę. Właśnie dlatego jego rozmówca tak nagle się zdenerwował. Przypuszczalnie nazwa ta odnosi się do czegoś, co jest znane tylko wąskiemu gronu wtajemniczonych osób.

– Ale co on dokładnie mówi? – zapytał całkowicie zdezorientowany Laing.

Zniecierpliwiony Martin zmarszczył brwi. Czy ten człowiek naprawdę niczego nie rozumie?

– Mówi, że obecność coraz liczniejszych amerykańskich oddziałów oraz pozorowane ataki lotnictwa aliantów są bez znaczenia,

ponieważ , już wkrótce będziemy mieli Kubdat Allah".

Laing w dalszym ciągu miał niezbyt mądra minę.

- Z pewnością chodzi o jakąś broń - ciągnął Martin z błyszczącymi oczami. - O coś, co będzie wkrótce gotowe i powstrzyma Amerykanów.

- Proszę mi wybaczyć, że się powtarzam, ale co to znaczy Kubdat Allah?

- Pięść Boga - odparł Terry Martin.

Koniec tomu pierwszego.